



WIZJA ŚWIATA PO WYGRANIU WOJNY PRZEZ HITLEROWSKIE NIEMCY

ROBERT HARRIS

Vaterland



ROBERT HARRIS

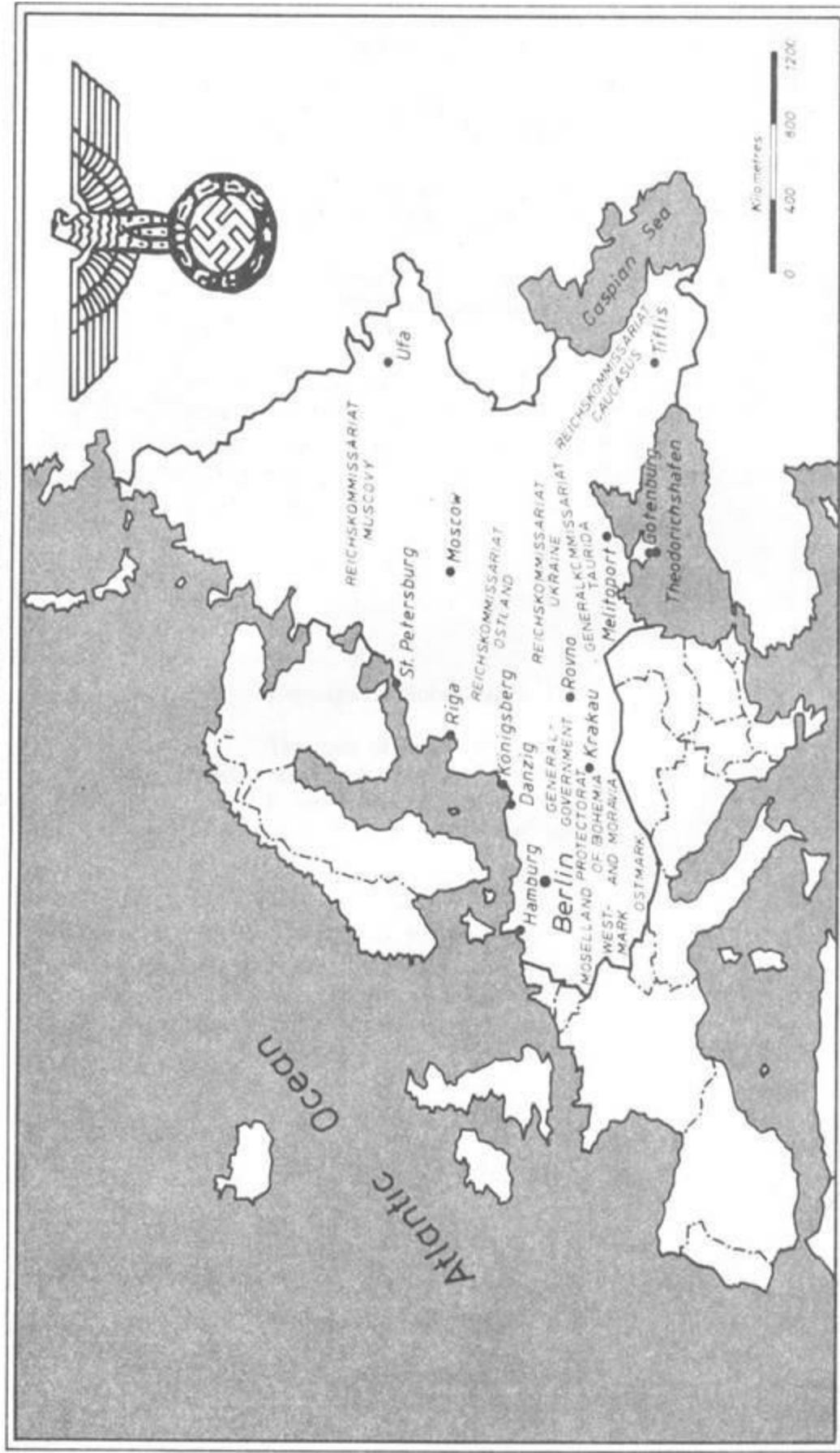
Vaterland

Przełożył
ANDRZEJ SZULC

Spis treści

[STRONA TYTUŁOWA](#)
[CZEŚĆ PIERWSZA](#)
[CZEŚĆ DRUGA](#)
[CZEŚĆ TRZECIA](#)
[CZEŚĆ CZWARTA](#)
[CZEŚĆ PIĄTA](#)
[CZEŚĆ SZÓSTA](#)
[CZEŚĆ SIÓDMA](#)
[OD AUTORA](#)

WIELKA RZESZA NIEMIECKA, 1964



Sto milionów butnych niemieckich panów miało zostać osiedlonych w Europie i obdarzonych władzą opartą na monopolu cywilizacji technicznej oraz niewolniczej pracy zmniejszającej się liczby tubylczej ludności – zaniedbanych, schorowanych, nie umiejących czytać kretynów – po to, żeby mknąc swymi bezkresnymi Autobahnami mogli podziwiać domy partii, muzea czynu zbrojnego, schroniska Kraft durch Freude i Planetarium, zbudowane przez Hitlera w Linzu (jego nowym Hitleropolis). I by przebiegłszy truchtem przez miejscową galerię obrazów, mogli zasiąść nad ciastkiem z kremem i po raz setny z rzędu wysłuchać nagrania „Wesołej wdówki”. Tak miało wyglądać Niemieckie Tysiąclecie, przed którym nawet wyobraźnia nie oferowała dróg ucieczki.

HUGH TREVOR-ROPER

Umysł Adolfa Hitlera

Ludzie mówią mi czasem: „Uważaj! Nie pozbędziesz się partyzantki przez najbliższe dwadzieścia lat!” Ta perspektywa sprawia mi wielką radość... Niemcy pozostaną dzięki temu w stanie ciągłej gotowości.

ADOLF HITLER

29 sierpnia 1942

CZEŚĆ PIERWSZA

WTOREK, 14 KWIETNIA 1964

Przysięgam Ci, Adolfie Hitlerze,
Führerze i Kanclerzu Rzeszy,
Że będę lojalny i odważny.
Ślubuję, że będę posłuszny aż do śmierci
Tobie i wyznaczonym przez Ciebie zwierzchnikom,
Tak mi dopomóż Bóg.

PRZYSIĘGA SS

Wiszące przez całą noc nisko nad Berlinem chmury bynajmniej nie ustąpiły z nadejściem poranka. Nad powierzchnią Haweli unosiły się przypominające dym krople deszczu.

Niebo i woda zlały się w jedną szarą płachtę; jej jedynym urozmaiceniem była ciemna linia przeciwległego brzegu. Nic się tam nie poruszało. Nie widać było ani jednego światła.

Xavier March, inspektor wydziału zabójstw berlińskiej Kriminalpolizei – w skrócie Kripo – wysiadł ze swego volkswagena i obrócił twarz w stronę padających kropli. Był koneserem tego szczególnego rodzaju deszczu. Znał jego smak i zapach. To był bałtycki deszcz, deszcz z północy, zimny, pachnący morzem i cierpki od soli. Na krótki moment cofnął się myślami o dwadzieścia lat – wydawało mu się, że znowu stoi na wieży wymykającego się w mrok ze zgaszonymi światłami z Wilhelmshaven U-Boota.

Spojrzał na zegarek. Minęła dopiero siódma.

Na poboczu drogi stały przed nim trzy inne samochody. Kierowcy dwóch pierwszych drzemali w swoich fotelach. Trzeci należał do Ordnungspolizei – Orpo, jak nazywał ją każdy Niemiec. W środku nie było nikogo. Przez otwarte okno dobiegał głośny szum radia, przerywany co jakiś czas potokiem słów. Obracające się światło na dachu rzucało refleksy na rosnący przy drodze las: niebieski, czarny, niebieski, czarny, niebieski, czarny.

March rozejrzał się za gliniarzami z Orpo i zobaczył, że kryją się przed deszczem pod stojącą przy brzegu jeziora brzozą. U ich stóp majaczyło coś bladego. Na leżącej nie opodal kłodzie siedział młody człowiek w czarnym dresie, z wyszytymi na piersi insygniami SS. Pochylony do przodu, opierał łokcie o kolana i krył twarz w dłoniach – uosobienie nędzy i rozpacz.

Inspektor zaciągnął się po raz ostatni papierosem i odrzucił go na bok. Niedopałek zasyczał i zgasł na mokrej drodze.

Kiedy March się zbliżył, jeden z policjantów uniósł w górę ramię.

– Heil Hitler!

Mężczyzna zignorował pozdrowienie i ślizgając się po błocie, podszedł do brzegu, żeby przyjrzeć się ciału.

Były to zwłoki starego tęgiego człowieka – zimne, pozbawione włosów i szokująco białe. Z daleka przypominały na pół zatopiony alabastrowy posąg. Usmarowane błotem i zanurzone częściowo w wodzie leżały na plecach z rozrzuconymi szeroko ramionami i odchyłoną do tyłu głową. Jedno oko było zamknięte, drugie zezowało ze smutkiem w stronę zaciągniętego chmurami nieba.

– Wasze nazwisko, Unterwachtmeister? – zapytał cichym głosem March, nie odrywając oczu od ciała.

– Ratka, Herr Sturmbannführer.

Obowiązująca w SS ranga Sturmbannführera odpowiadała z grubsza stopniowi majora Wehrmachtu. Ratka, mimo że był zmęczony jak pies i zmoczony do suchej nitki, odnosił się do niego z wielkim szacunkiem. March nie musiał na niego patrzeć, żeby wiedzieć, z jakiego rodzaju człowiekiem ma do czynienia: trzy podania o przeniesienie do Kripo, wszystkie odrzucone; obowiązkowa żona, która urodziła Führerowi futbolową drużynę bachorów; dochód w wysokości dwustu marek miesięcznie. Życie, którego jedynym motorem była nadzieja.

– Bardzo dobrze, Ratka – odezwał się ponownie cichym głosem. – O której godzinie go odkryto?

– Mniej więcej godzinę temu, Herr Sturmbannführer. Kończyła się właśnie nasza zmiana, patrolowaliśmy Nikolassee. Odebraliśmy telefon, absolutne pierwszeństwo. Byliśmy tutaj w ciągu

pięciu minut.

– Kto go znalazł?

Unterwachtmeister wskazał kciukiem za siebie.

Młody człowiek w dresie podniósł się z kłody. Nie mógł mieć więcej niż osiemnaście lat. Był ostrzyżony tak krótko, że przez jasnobrązowe włosy prześwitywała różowa skóra czaszki. March zauważył, że chłopak stara się nie patrzeć na ciało.

– Wasze nazwisko?

– SS-Schütze Hermann Jost, Herr Sturmbannführer. – Mówił z akcentem saksońskim; z jego głosu przebijało zdenerwowanie, niepewność, chęć sprawienia dobrego wrażenia. – Z Akademii imienia Seppa Dietricha przy Schlachtensee. – Inspektor znał dobrze ten ośrodek: bezduszne betonowe gmachy wzniesione w latach pięćdziesiątych na południe od Haweli. – Rano prawie zawsze tutaj biegam. Było jeszcze ciemno. Z początku myślałem, że to łabędź – dodał bezradnie.

Ratka prychnął z pogardą. Kadet SS wystraszył się jednego starego trupa. Nic dziwnego, że tak długo ciągnie się wojna na Uralu.

– Czy widziałeś jeszcze kogoś, Jost? – March przemawiał łagodnym tonem niczym dobry wujek.

– Nikogo, Herr Sturmbannführer. Przy obozowisku, pół kilometra stąd, jest budka telefoniczna. Zadzwoniłem stamtąd, a potem wróciłem i czekałem aż do przyjazdu policji. Na drodze nie było żywej duszy.

March ponownie rzucił okiem na topielca. Był bardzo gruby. Sto dziesięć kilo, może więcej.

– Wyciągnijcie go z wody – polecił, ruszając w stronę drogi. – Czas obudzić nasze śpiące królowny.

Przestępujący z nogi na nogę Ratka wykrzywił twarz w uśmiechu.

Deszcz wzmógł się i prawie nie było widać leżącego po drugiej stronie jeziora osiedla Kładów. Krople bębniły o liście drzew i dachy samochodów. W powietrzu unosił się ciężki, przesycony deszczem zapach rozkładu – woń urodzajnej ziemi i gnijącej roślinności. Włosy przylepiły się Xavierowi do głowy, za kołnierz spływała mu zimna woda. Wcale tego nie zauważał. Dla niego każda sprawa, choćby najbardziej zwyczajna, mogła stać się początkiem czegoś wielkiego.

Miał czterdzieści dwa lata – był szczupłym mężczyzną, z szarą czupryną i chłodnymi szarymi oczyma, nie różniącymi się kolorem od zachmurzonego nieba. Podczas wojny Ministerstwo Propagandy wymyśliło dla marynarzy z U-Bootów stosowne przezwisko – „szare wilki” – i w pewnym sensie pasowało ono do Marcha, ponieważ był nieustępliwym detektywem. Ale poza tym wcale nie przypominał wilka – nie lubił chodzić razem ze stadem i polegał bardziej na inteligencji niż na sile mięśni. Dlatego koledzy nazywali go „lisem”.

Wymarzona pogoda dla U-Bootów.

Otworzył na oścież drzwi białej skody i w twarz uderzył go podmuch ciepłego, stęchłego powietrza.

– Dzień dobry, Spiedel! – przywitał się, potrząsając kościstym ramieniem policyjnego fotografa. – Czas na prysznic. – Spiedel obudził się i zmierzył Marcha ponurym spojrzeniem.

Kiedy ten zbliżył się do drugiej skody, okno od strony kierowcy było już otwarte.

– W porządku, March. W porządku. – W piskliwym głosie sądowego lekarza Kripo, SS-Arztę Augusta Eislera, pobrzmiwała urażona godność. – Zachowaj swój koszarowy humor dla tych, którzy potrafią go docenić.

Podeszli na skraj wody, wszyscy oprócz doktora Eislera stojącego z boku pod staroświeckim czarnym parasolem, którego nie chciał nikomu użyczyć. Spiedel zamontował flesz na aparacie i oparł ostrożnie prawą nogę o grudę gliny.

– Cholera! – zaklął, kiedy woda zalała mu but.

Błysnęła lampa, utrwalając na chwilę całą scenę: białe twarze, srebrne nitki deszczu, ciemny las. Z pobliskich trzcin przyleciała zaciekawiona łabędzica i zaczęła zataczać kręgi kilka metrów od nich.

– Broni swojego gniazda – stwierdził młody esesman.

– Chcę mieć jeszcze jedno zdjęcie stąd – pokazał March. – I jedno stamtąd.

Fotograf zaklął ponownie i wyciągnął ociekającą nogę z błota. Flesz błysnął jeszcze dwukrotnie.

Inspektor pochylił się i złapał ciało pod pachy. Było śliskie i twarde niczym chłodna guma.

– Pomóżcie mi.

Policjanci z Orpo złapali topielca każdy za jedno ramię. Stękając z wysiłku dźwignęli go wszyscy razem i wyciągnęli z wody, a potem powlekli z błotnistej brzozy na wilgotną trawę. Wprostowując się March dostrzegł, że Jost bacznie mu się przypatruje.

Stary mężczyzna miał na sobie błękitne kąpielówki, które zsunęły się aż do kolan. W lodowatej wodzie genitalia skurczyły się i przypominały złożone w czarnym gnieździe białe ptasie jaja.

Trup nie miał lewej nogi.

Spodziewałem się tego, pomyślał Xavier. W taki dzień nic nie mogło być zwyczajne. Może rzeczywiście czekała go jakaś wielka sprawa.

– Pańska opinia, doktorze?

Eisler sapnął poirytowany, dał ostrożnie krok do przodu i zdjął z jednej ręki rękawiczkę. Noga ucięta była przy podstawie łydki. Wciąż trzymając nad sobą parasol lekarz pochylił się sztywno i przesunął palcami po kikucie.

– Śruba okrętowa? – zapytał March. Widział ciała wyciągane z miejsc, które wiodły ruchliwe szlaki wodne: z Tegler See i Szprewy w Berlinie, a także z Alsteru w Hamburgu. Wyglądały, jakby znęcał się nad nimi rzeźnik.

– Nie – odparł Eisler, cofając rękę. – Stara amputacja. Nawiasem mówiąc, dość fachowo przeprowadzona. – Oparł pięść o pierś topielca i mocno nacisnął. Z ust i nozdrzy pociekła błotnista woda. – Zaawansowane stężenie pośmiertne. Nie żyje od jakichś dwunastu godzin. Może trochę krócej – dodał, zakładając z powrotem rękawiczkę.

Zza drzew dobiegł ich warkot diesla.

– Ambulans – stwierdził Ratka. – Zbyttno się nie śpieszą. March dał znak Spiedelowi.

– Zrób jeszcze jedno zdjęcie.

Przyglądając się zwłokom, zapalił papierosa. A potem przysiadł na piętach i spojrzał w otwarte oko. Trwało to dłuższą chwilę. Ponownie błysnął flesz. Łabędzica poderwała się w górę i trzepocząc skrzydłami pofrunęła w poszukiwaniu pożywienia na środek jeziora.

2

Komenda Kripo znajdowała się na drugim końcu Berlina, dwadzieścia pięć minut drogi od Haweli. Chcąc przesłuchać Josta March zaoferował, że podrzuci go najpierw do koszar, żeby mógł się przebrać, ale chłopak nie skorzystał z uprzejmości; chciał mieć to wszystko jak najszybciej za sobą. Poczekali więc tylko, aż ciało zostanie załadowane do ambulansu i zabrane do kostnicy, po czym wsiedli do małego czterodrzwiowego volkswagena inspektora i ruszyli na wschód przez zatłoczone miasto.

Wstawał jeden z owych ponurych berlińskich poranków, kiedy słynne tutejsze powietrze nie tyle

orzeźwia, co ziębi, kłując twarz i dłonie tysiącem lodowatych igieł. Na Potsdamer Chaussee woda tryskająca spod kół przejeżdżających samochodów przegoniła przechodniów pod ściany budynków. Obserwując ich przez zalaną deszczem szybę March miał wrażenie, że znalazł się w mieście podążających po omacku do pracy ślepców.

Wszystko wydawało się takie normalne. Później to właśnie uderzało go najbardziej. Podobnie jak podczas wypadku na szosie: najpierw wszystko jest w porządku, a potem następuje ta chwila i świat nigdy już nie wraca do swej poprzedniej postaci. Bo przecież nie było nic nadzwyczajnego w fakcie, że wyłowiono czyjeś ciało z Haweli. Zdarzało się to dwa razy w miesiącu – odnajdywano w wodzie pijaków i zbankrutowanych przedsiębiorców, nieostrożne dzieci i zawiedzionych w miłości nastolatków; ofiary nieszczęśliwych wypadków, samobójstw i morderstw; ludzi zdesperowanych, głupich i nieszczęśliwych.

Telefon w jego mieszkaniu przy Ansbacher Strasse zadzwonił piętnaście po szóstej. Nie obudził go. Od dłuższego czasu leżał w półmroku z szeroko otwartymi oczyma, słuchając deszczu. Od kilku miesięcy źle spał.

– March? Z Haweli wyłowiono topielca. – To był Krause, nocny oficer dyżurny. – Bądź tak dobry i zajmij się tym. March odparł, że nie jest zainteresowany topielcem.

– Twoje zainteresowanie albo jego brak nie ma tutaj najmniejszego znaczenia.

– Nie interesuje mnie topielec – powtórzył March – bo nie jestem na służbie. Miałem dyżur w zeszłym tygodniu i jeszcze tydzień temu. – A także dwa tygodnie temu, mógł dodać. – Dzisiaj mam wolny dzień. Zerknij ponownie do swojej listy.

Po drugiej stronie zapadła cisza.

– Masz szczęście, March – odezwał się w końcu pojednawczo Krause. – Patrzyłem na dyżury z zeszłego tygodnia. Możesz spać dalej. Albo – zachichotał – robić to, co ci przerwałem.

Podmuch wiatru zabębnił deszczem o okienną ramę.

Procedura w wypadku odnalezienia ciała była z góry ustalona: na miejsce natychmiast udawali się lekarz, policyjny fotograf i inspektor. Inspektorzy wysyłani byli na podstawie listy dyżurów układanej na komendzie Kripo przy Werderscher Markt.

– Kto ma dzisiaj dyżur, jeśli wolno spytać?

– Max Jaeger.

Jaeger. March dzielił z nim gabinet. Spojrzał na swój budzik i pomyślał o małym domku w Pankow, gdzie Max mieszkał ze swoją żoną i czterema córkami; w tygodniu widywał się z rodziną tylko przy śniadaniu. March tymczasem był rozwiedziony i żył samotnie. Popołudnie miał spędzić ze swoim synem. Ale najpierw musiał wypełnić czymś długie puste godziny poranka. Czuł się tak paskudnie, że perspektywa rutynowej sprawy wydała mu się zachęcająca. Przynajmniej czymś się zajmie.

– Och, daj mu spokój – powiedział. – I tak już nie śpię. Pojadę tam.

To było prawie dwie godziny temu. Zerknął w tylne lusterko na swego pasażera. Jost nie odezwał się ani razu, odkąd wsiadł do samochodu. Siedział sztywno na tylnym siedzeniu, wpatrując się w szare, mijane przez nich budynki.

Przy Bramie Brandenburskiej policjant na motocyklu dał im sygnał, żeby się zatrzymali.

Środkiem Pariser Platz maszerowała, rozchlapując kałuże, orkiestra SA w zmoczonych brązowych mundurach. Przez zamknięte szyby volkswagena dobiegał stłumiony odgłos bębnow i trąbek, wygrywających stary partyjny marsz. Kilkadziesiąt osób stojących przed Akademią Sztuk Pięknych przypatrywało się paradzie, kuląc ramiona przed deszczem.

O tej porze roku nie sposób było przejechać przez Berlin, nie natknąwszy się na jakąś orkiestrę.

Za sześć dni całe Niemcy obchodziły urodziny Adolfa Hitlera: obwołany państwowym świętem Führertag. Ulicami miały wtedy przedefilować wszystkie orkiestry Rzeszy. Wycieraczki samochodu odmierzały rytm niczym metronom.

– Oto ostateczny dowód – mruknął March, obserwując tłumek – że marszowa muzyka odbiera Niemcom rozum.

Obrócił się do kadeta, który niewyraźnie się uśmiechnął.

Występ zakończył brzęk cymbałów. Rozległy się słabe oklaski. Dyrygent odwrócił się i uklonił. Za jego plecami esamani wycofywali się już, pół idąc, pół biegnąc, do czekającego autokaru. Gliniarz na motocyklu odczekał, aż plac opustoszeje, a potem gwizdnął krótko i machnął odzianą w białą rękawiczkę dłonią, przepuszczając ich przez Bramę.

Przed nimi ciągnęła się Unter den Linden. Aleja straciła swoje lipy w roku 1936 – wycięto je w akcie oficjalnego wandalizmu przed Igrzyskami Olimpijskimi w Berlinie. Na ich miejscu Gauleiter miasta, Josef Goebbels, wznosił po obu stronach bulwaru dwa długie rzędy dziesięciometrowych kolumn, na szczycie których sterczały partyjne orły z rozpostartymi skrzydłami. Z dziobów i piór kapąła im woda. Jazda przez Unter den Linden przypominała wędrówkę przez indiański cmentarz.

March zwolnił przed światłami i skręcił w prawo, we Friedrich Strasse. Dwie minuty później wjeżdżali na parking położony naprzeciwko komendy Kripo przy Werderscher Markt.

Zamykające plac od południa sześciopiętrowe wilhelmińskie gmazysko było brzydkie, ciężkie i pokryte smugami sadzy. Od dziesięciu lat prawie przez siedem dni w tygodniu March przychodził tutaj codziennie do pracy. Jak skarżyła się często jego była żona, czuł się tu bardziej u siebie niż we własnym domu. W środku, za posterunkiem SS i skrzypiącymi obrotowymi drzwiami wisiała na ścianie tablica, na której zaznaczano obowiązujący aktualnie stopień alertu antyterrorystycznego. Stopni było cztery, każdy groźniejszy od poprzedniego: zielony, niebieski, czarny i czerwony. Tego dnia, jak zwykle, zaznaczony był alarm czerwony.

Zaraz przy wejściu do holu przyjrzało im się dokładnie dwóch strażników w szklanej budce. Inspektor pokazał swoją legitymację i podpisał przepustkę dla Josta.

Na komendzie panował ruch większy niż zazwyczaj. Przed Führertagiem zawsze było trzy razy więcej roboty. Wyłożony marmurowymi płytami hol przemierzały, głośno stukając wysokimi obcasami, objuczone aktami sekretarki. W powietrzu unosił się intensywny zapach wilgotnej odzieży i pasty do podłóg. Pod ścianami stały, wymieniając szeptem uwagi na temat różnych przestępstw, grupki funkcjonariuszy: ci w zielonych mundurach należeli do Orpo, ci w czarnych do Kripo. Nad ich głowami wpatrywały się w siebie kamiennym wzrokiem umieszczone po przeciwnych stronach holu, obwieszane girlandami dwa popiersia: Führera oraz Szefa Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy, Reinharda Heydricha.

March odciągnął metalową kratę i wszedł razem z kadetem do windy.

Siły policyjne, które kontrolował Heydrich, podzielone były na trzy części. Na samym dole znajdowało się Orpo, normalni gliniarze. Zgarniali z parków pijaczków, patrolowali autostrady, linie kolejowe i lotniska, nakładali mandaty za przekroczenie szybkości, dokonywali aresztowań, gasili pożary, odpowiadali na telefony zaniepokojonej ludności i wyławiali z wody topielców.

Na samej górze było Sipo, służba bezpieczeństwa. W skład Sipo wchodziło zarówno Gestapo, jak i wewnętrzna policja partyjna, SD. Siedziba obu instytucji znajdowała się w ponurym kompleksie gmachów przy Prinz-Albrecht Strasse, kilometr na południowy zachód od Werderscher Markt. Sipo zajmowało się terroryzmem, działalnością wywrotową, kontrwywiadem i „zbrodniami przeciwko państwu”. Miało własne wtyczki w każdej fabryce, szkole, szpitalu i kantine; w każdym miasteczku, w każdej wsi i na każdej ulicy. Ciało odnalezione w jeziorze mogło zainteresować Sipo, wyłącznie

jeśli należało do terrorysty lub zdrajcy.

Gdzieś między tymi dwoma instytucjami, zahaczając o nie obydwie, lokowało się Kripo – Departament V Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Policja kryminalna zajmowała się pospolitą przestępczością – poczynając od włamań i napadów na bank, aż po gwałty, mieszane małżeństwa i morderstwa. Topielec wyłowiony z jeziora – ustalenie jego tożsamości i sposobu, w jaki się tam znalazł – to była właśnie sprawa dla Kripo.

Winda zatrzymała się na drugim piętrze. Wyszli na korytarz, którego oświetlenie przypominało akwarium. Zielone linoleum i pomalowane na ten sam kolor ściany lśniły w słabym świetle jarzeniówek. W powietrzu unosił się ten sam co w holu zapach pasty do podłóg, tyle że tutaj wzbogacony był dobiegającą z ubikacji wonią środków dezynfekcyjnych i starym papierosowym dymem. Za drzwiami z matowego szkła mieściło się dwadzieścia klitek, w których pracowali inspektorzy. Niektóre były uchylone. Ktoś stuknął jednym palcem w maszynę, gdzie indziej dzwonił nie odbierany telefon.

– Oto centralny ośrodek nerwowy prowadzonej dzień i noc batalii z przeciwnikami Narodowego Socjalizmu – stwierdził March, cytując tytuł partyjnej gazety, „Völkischer Beobachter”.
– Żartowałem – dodał, widząc, że Jost nadal gapi się przed siebie pustym wzrokiem.

– Słucham?

– Nieważne.

Pchnął drzwi i zapalił światło. Jego gabinet był niewiele większy od służbówki; mała cela z pojedynczym oknem wychodzącym na podwórko z pocerniałej cegły. Jedna ściana zabudowana była półkami; stały na nich rozsypujące się, oprawne w skórę zbiory ustaw i dekretów, a także podręcznik kryminologii, słownik, atlas, spis berlińskich ulic, książki telefoniczne oraz skoroszyty, na grzbietach których widniały nalepki z nazwiskami – „Braune”, „Hundt”, „Stark”, „Zadek” – biurokratyczne kamienie milowe, które uwieczniały przy okazji tożsamość dawno zapomnianych ofiar. Przy drugiej ścianie ustawiono cztery szafki. Na jednej z nich stał storczyk, umieszczony tam przed dwoma laty przez niemłodą już sekretarkę u szczytu jej nie wyznanego nigdy i nie odwzajemnionego uczucia do Xaviera Marcha. Storczyk był od dawna martwy. Na tym kończyło się całe umeblowanie, jeśli nie liczyć dwóch zsuniętych przy samym oknie biurek. Jedno z nich należało do Marcha, drugie do Maxa Jaegera.

Inspektor powiesił płaszcz na wieszaku obok drzwi. Unikał, jak mógł, noszenia munduru. Tego ranka wykorzystał ulewę jako pretekst, żeby założyć szare spodnie i gruby niebieski sweter. Pchnął w stronę chłopaka krzesło Jaegera.

– Siadaj. Kawy?

– Poproszę.

Automat stał na korytarzu. Z wydziału VB3, zajmującego się przestępstwami seksualnymi, dobiegał głos przechwalającego się swoim najnowszym sukcesem Sturmbannführera Fiebesa.

– Mamy tutaj fotografie. Potrafisz w to uwierzyć? Popatrz tylko na to. Zrobiła to jej pokojówka. Spójrz, widać tutaj każdy włos. Ta dziewczyna powinna zostać zawodowym fotografem.

Co to za sprawa? March rąbnął w bok automat, który wyrzucił z siebie plastikową filiżankę. Pewnie jakaś żona oficera i Polak, przysłany z Generalnej Guberni do pracy w ogrodzie. Najczęściej był to właśnie Polak, marzycielski, sentymentalny Polak, uwodzący panią domu, której mąż walczył na froncie. Z tego, co słyszał, sfotografowani zostali *in flagranti* przez zazdrosną pokojówkę. Dziewczyna należąca do Bund deutscher Mädel chciała się koniecznie przypodobać władzom. Zgodnie z uchwaloną w roku 1935 Ustawą o Czystości Rasy oboje popełnili przestępstwo seksualne.

Xavier walnął ponownie automat.

Odbędzie się prawdopodobnie posiedzenie Sądu Ludowego, które następnie zrelacjonuje ze wszystkimi srośnymi szczegółami „Der Stürmer”. Wyrok niech stanie się ostrzeżeniem dla innych. Dwa lata w Ravensbrück dla żony. Degradacja męża. Dwadzieścia pięć lat dla Polaka, jeśli będzie miał szczęście; jeśli nie, kara śmierci.

– Kurwa!

Drugi męski głos mruknął coś i oblesny, zbliżający się do sześćdziesiątki Fiebes wybuchnął gromkim śmiechem. Jego własna żona uciekła przed dziesięciu laty z instruktorem narciarskim SS. March, trzymając w obu rękach filiżanki z czarną kawą, wycofał się do swojej klitki i jak mógł najgłośniej, zatrzasnął nogą drzwi.

Reichskriminalpolizei

Werderscher Markt 5/6

Berlin

ZEZNANIE ŚWIADKA

Nazywam się Hermann Friedrich Jost. Urodziłem się 23.02.45 w Dreźnie. Jestem kadetem Akademii imienia Seppa Dietricha w Berlinie. Dzisiaj rano o godzinie 05.30 opuściłem koszary, żeby jak co dzień trenować bieganie. Wolę biegać sam. Moja trasa wiedzie na ogół na zachód przez las Grunewald aż do Haweli, a stamtąd brzegiem jeziora na północ do restauracji Lindwerder i z powrotem na południe do koszar przy Schlachtensee. W odległości trzystu metrów od grobli Schwanenwerder zobaczyłem przy samym brzegu zanurzony w jeziorze obiekt. Stwierdziwszy, że jest to ciało mężczyzny, pobiegłem prowadzącą wzdłuż brzegu jeziora ścieżką do znajdującego się w odległości pół kilometra telefonu i zawiadomiłem policję. Następnie wróciłem do zwłok i czekałem na przyjazd funkcjonariuszy. Przez cały czas padał ulewny deszcz i nikogo nie widziałem.

Składam to oświadczenie z własnej nieprzymuszonej woli w obecności inspektora Kripo Xaviera Marcha.

SS-Schütze H. F. Jost

08.24/14.04.64

March odchylił się na krzesle i obserwował podpisującego zeznanie chłopaka. Miał miękkie rysy, różową jak niemowlę twarz, kilka krost wokół ust i ledwo widoczny jasny meszek na górnej wardze. Zdaniem Marcha nie zaczął się jeszcze golić.

– Dlaczego biegasz samotnie?

Jost oddał mu swoje zeznanie.

– Mam wtedy szansę porozmyślać. Dobrze jest pobyć choć raz w ciągu dnia samemu. W koszarach na ogół nie jest to możliwe.

– Jak długo jesteś kadetem?

– Trzy miesiące.

– Jak ci się podoba w Akademii?

– Podoba?! – Chłopak spojrział w stronę okna. – Wezwanie nadeszło, kiedy rozpocząłem studia na uniwersytecie w Getyndze. Powiedzmy, że nie był to najszcześniejszy dzień w moim życiu.

– Co studiowałeś?

– Literaturę.

– Niemiecką?

– A czy jest jakaś inna? – odparł, uśmiechając się niewyraźnie. – Mam nadzieję, że po odsłużeniu trzech lat puszczą mnie z powrotem na uniwersytet. Chcę być nauczycielem albo pisarzem, nie żołnierzem.

March przebiegł oczyma zeznanie.

– Jeśli jesteś takim pacyfistą, dlaczego w ogóle wstąpiłeś do SS? – zapytał, domyślając się

odpowiedzi.

– Przez ojca. Był członkiem założycielem Leibstandarte Adolf Hitler. Wie pan, jak to jest; jestem jego jedynym synem. To było jego najgorętsze pragnienie.

– Musi ci być ciężko. Jost wzruszył ramionami.

– Jakoś przeżyję. Dowiedziałem się poza tym, oczywiście nieoficjalnie, że nie będę musiał iść na front. W szkole oficerskiej w Bad Tolz potrzebują asystenta, który poprowadziłby kurs na temat zdegenerowanej literatury amerykańskiej. To dziedzina, na której znam się całkiem nieźle: degeneracja. – Chłopak zaryzykował kolejny uśmiech. – Być może zostanę na tym polu prawdziwym ekspertem.

March roześmiał się i ponownie rzucił okiem na zeznanie. Coś się tutaj nie zgadzało i teraz odkrył co.

– Na pewno zostaniesz – powiedział, odkładając na bok kartkę i wstając z krzesła. – Mam nadzieję, że poprowadzisz ten kurs.

– Mogę już iść?

– Oczywiście.

Jost podniósł się z wyrazem ulgi na twarzy. March położył dłoń na klawce.

– Jeszcze tylko jeden drobiazg – powiedział. Odwrócił się i spojrzał prosto w oczy kadetowi. – Dlaczego mnie okłamujesz? Jost odchylił głowę do tyłu.

– Co...?

– Powiedziałeś, że wyszedłeś z koszar o piątej trzydzieści. Zadzwoiłeś na policję pięć po szóstej. Schwanenwerder jest trzy kilometry od koszar. Jesteś wysportowany; biegasz codziennie. Nigdzie się nie włóczyłeś: padał ulewny deszcz. Jeśli nagle nie okulałeś, musiałeś zjawić się przy jeziorze grubo przed szóstą. Mamy więc jakieś dwadzieścia minut, z których nie zdałeś relacji. Dwadzieścia na trzydzieści pięć. Co wtedy robiłeś, Jost?

Chłopak sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Może wyszedłem z koszar później. Albo zrobiłem najpierw kilka okrążeń na boisku...

– Może, może... – March pokiwał ze smutkiem głową. – Wszystko to można sprawdzić i ostrzegam cię: znajdziesz się w poważnych tarapatach, jeśli to ja będę musiał odkryć prawdę i opowiedzieć ci ją, a nie odwrotnie. Jesteś homoseksualistą, tak?

– Herr Sturmbannführer! Na litość boską... March położył mu ręce na ramionach.

– Nie obchodzi mnie to. Być może biegasz codziennie sam, żeby spędzić w Grunewaldzie dwadzieścia minut z jakimś facetem. To twoja sprawa. W moim kodeksie to nie jest zbrodnia. Mnie interesuje tylko topielec. Widziałeś coś? Co naprawdę robiłeś?

Jost potrząsnął głową.

– Nic, przysięgam. – W jego jasnych, szeroko otwartych oczach gromadziły się łzy.

– Doskonale – powiedział puszczając go March. – Zaczekaj na dole. Załatwię jakiś transport. Odwiozą cię z powrotem do Schlachtensee. – Otworzył drzwi. – Pamiętaj, co ci powiedziałem: lepiej, żebyś wyjawiał mi prawdę już teraz, niż żebym musiał szukać jej na własną rękę później.

Jost zawahał się i przez moment Xavier myślał, że pęknie, ale sekundę później za chłopakiem zamknęły się drzwi.

March zadzwonił do podziemnego garażu i zamówił samochód, a potem odłożył słuchawkę i przez chwilę gapił się przez brudne okno na sąsiedni budynek. Po czarnych błyszczących ceglach lała się woda z wyższych pięter. Czy nie był zbyt ostry wobec tego chłopca? Możliwe. Ale czasami prawdy można się dowiedzieć tylko atakując z zasadzki, podczas niespodziewanego natarcia. Czy Jost kłamał? Z całą pewnością. Ale jeśli był rzeczywiście pederastą, trudno było oczekiwać, żeby się

do tego przyznał: delikwenci przyłapani na postępowaniu „sprzecznym ze zbiorową moralnością” wędrowali prosto do obozów pracy. Aresztowanych za homoseksualizm esesmanów wysyłano do karnych batalionów na froncie wschodnim; wracali stamtąd nieliczni.

W minionym roku March widywał wielu ludzi podobnych do Josta. Z każdym dniem było ich coraz więcej. Buntujących się przeciwko rodzicom. Kwestionujących obowiązki wobec państwa. Słuchających amerykańskich radiostacji. Wymieniających między sobą niewyraźnie odbite kopie zakazanych książek: Güntera Grassa i Grahama Greene'a, George'a Orwella i J. D. Salinger. Najczęściej protestowali przeciwko wojnie – nie mającej końca wojnie z popieraną przez Amerykanów sowiecką partyzantką, która od dwudziestu lat działała na wschód od Uralu.

Nagle zrobiło mu się wstyd, że potraktował Josta tak ostro. Zastanawiał się nawet, czy nie zejść na dół i go nie przeprosić. Ale potem jak zawsze doszedł do wniosku, że przede wszystkim powinien spełnić obowiązek wobec zmarłego. Pokutą za poranną agresywność będzie odnalezienie nazwiska topielca.

Centrum operacyjne berlińskiej komendy Kriminalpolizei zajmowało większą część trzeciego piętra gmachu przy Werderscher Markt. March wbiegł na górę, pokonując po dwa stopnie naraz. Stojący przed wejściem, uzbrojony w pistolet maszynowy wartownik zażądał od niego przepustki. Drzwi otworzyły się ze zgrzytem elektronicznych rygli.

Górną połowę przeciwległej ściany zajmowała świetlna mapa Berlina. Galaktyka połyskujących pomarańczowo w półmroku gwiazd oznaczała miejsca, w których mieściły się sto dwadzieścia dwa stołeczne komisariaty. Po lewej stronie wisiała druga, jeszcze większa mapa przedstawiająca całą Rzeszę. Czerwone światełka symbolizowały miasta, w których mieściły się samodzielne oddziały Kripo. Środek Europy jaśniał purpurą. Dalej na wschód światełek było coraz mniej, a za Moskwą jarzyło się tylko kilka izolowanych iskier. Mrugały w ciemności niczym obozowe ognie. Całość przypominała planetarium zbrodni.

Krause, oficer dyżurny Berlin Gau, siedział na podwyższeniu pod mapami. Rozmawiał właśnie przez telefon i na widok zbliżającego się Marcha podniósł na powitanie rękę. W stojących przed nim szklanych kabinach siedziało dwanaście kobiet w białych bluzkach, każda z założonymi na głowie słuchawkami, do których dołączony był mikrofon. Czego one się nie nasłuchiwały!

Sierżant dywizji pancерnej wraca do domu z frontu wschodniego. Po rodzinnej kolacji wyciąga pistolet i zabija swoją żonę, a potem po kolei trójkę dzieci. Na koniec strzela w łeb sobie samemu, ochlapując mózgiem cały sufit. Rozhisteryzowany sąsiad wzywa gliniarzy. Wiadomość dociera najpierw tutaj – zostaje skontrolowana, oceniona i zredukowana – a potem dopiero przesyła się ją na dół, do klitek wyłożonych zielonym popękany linoleum i przesiąkniętych starym papierosowym dymem.

Za plecami oficera dyżurnego, ubrana po cywilnemu, skwaszona sekretarka nanosiła dane na tablicę, na której odnotowywano wydarzenia ubiegłej nocy. Tablica podzielona była na cztery kolumny: przestępstwa poważne, przestępstwa z użyciem przemocy, wykroczenia i nieszczęśliwe wypadki. Każda kategoria również zawierała cztery rubryki: czas zgłoszenia, źródło informacji, szczegóły raportu i powzięte działania. Przeciętną noc w największym, liczącym dziesięć milionów mieszkańców mieście świata zredukowano tu do niewyraźnych hieroglifów na kilku metrach kwadratowych białego plastiku.

Od godziny dwudziestej drugiej poprzedniego dnia odnotowano osiemnaście wypadków śmiertelnych. Najwięcej ofiar pochłonęła kraksa samochodowa w Pankow – oznaczona jako 1H2D4K – w której zginęła trójka dorosłych i czworo dzieci. Nie podjęto żadnych działań – ta

sprawa pozostawała w gestii Orpo. Był jeszcze pożar domu w Kreuzbergu, w którym poniosła śmierć cała rodzina; bójka na noże przed barem w Wedding, kobieta pobita na śmierć w Spandau. Ostatni na liście widniał zapis sprawy, którą zajmował się wczesnym rankiem March: 06.07 [O] (co oznaczało, że zgłoszenie nadeszło za pośrednictwem Orpo) IH Hawela/March. Sekretarka dała krok do tyłu i nałożyła głośno nasadkę na pisak.

Krause skończył rozmawiać przez telefon i zrobił minę, jakby miał się zamiar bronić.

– Już cię przeprosiłem, March.

– Zapomnij o tym. Potrzebna mi jest lista zaginionych. Obszar Wielkiego Berlina. Powiedzmy ostatnie czterdzieści godzin.

– Żaden problem. – Krause odetchnął z ulgą i obrócił się na krześle do skwaszonej kobiety. – Słyszałaś, co powiedział pan inspektor, Helgo. Sprawdź wszystko, co przyszło aż do teraz. – Odkręcił się z powrotem do Xaviera, z czerwonymi od niewyspania oczyma. – Powiniennem skończyć dyżur godzinę temu. Ale wiesz, jak to jest, kiedy coś się dzieje.

March spojrział na mapę Berlina. Większą część zajmowała szara pajęczyna ulic. Ale po lewej stronie jaśniały dwie kolorowe plamy: zielony Grunewald i biegnąca tuż obok błękitna wstęga Haweli. Blisko brzegu widać było skurczoną niczym płód niewielką wyspę, połączoną z lądem cienką pępowiną grobli.

Schwanenwerder.

– Czy Goebbels wciąż ma tam swój dom?

Krause kiwnął głową.

– I cała reszta.

Był to jeden z najbardziej ekskluzywnych adresów w Berlinie, praktycznie rzecz biorąc osiedle rządowe. Kilkadziesiąt dużych willi niewidocznych od strony drogi. Wartownik przy wjeździe na groblę. Wymarzone miejsce dla tych, którym zależy na intymności i bezpieczeństwie, a przy okazji chcą mieć pod bokiem las i własną prywatną przystań. Miejsce, w którym zdecydowanie nie powinno się wyławiać topielca. Ciało zostało wyrzucone na brzeg nie dalej jak trzysta metrów od grobli.

– Miejscowi gliniarze z Orpo nazywają Schwanenwerder „bażantarnią” – dodał Krause.

Xavier uśmiechnął się: „złotymi bażantami” nazywała ulica wysokich dygnitarzy partyjnych.

– Nie wolno pozwolić, żeby brud leżał zbyt długo przed takim progiem. Wróciła Helga.

– Oto osoby zaginione od niedzieli rano – oznajmiła. – I dotychczas nie odnalezione.

Wręczyła długi rulon wystukanych na maszynie nazwisk Krausemu, który rzucił nań okiem i przekazał Marchowi.

– Będziesz miał z tym kupę roboty. – Z jakiegoś powodu uznał to za zabawne. – Powinieneś dać to temu twojemu grubemu kumplowi, Jaegerowi. To on przecież miał się zająć całą sprawą, pamiętasz?

– Dziękuję. Zrobię przynajmniej coś na początek. Krause potrząsnął głową.

– Bierzesz dwa razy tyle godzin co inni. Nie dają ci żadnych awansów. Zarabiasz grosze. Jesteś nienormalny, czy co?

March zwinął rulon ze spisem zaginionych. Pochylił się do przodu i poklepał nim lekko Krausego po piersi.

– Zapominacie się, towarzyszu – powiedział. – Wiecie, jakie hasło wisi nad bramą obozów pracy? *Arbeit macht frei*.

Odwrócił się i precyzyjnie z powrotem między rzędami telefonistek.

– I to miał być żart? Widzisz chyba, o co mi chodzi? – usłyszał za sobą głos zwracającego się

do sekretarki Krausego.

Kiedy March wrócił do gabinetu, Max Jaeger wieszal właśnie w kącie swój płaszcz.

– Zavi! – zawołał, otwierając szeroko ramiona. – Dostałem właśnie wiadomość z Centrum Operacyjnego. Naprawdę brak mi słów!

Miał na sobie mundur Sturmbannführera. Na czarnej kurtce wciąż widniały ślady śniadania.

– Zawsze miałem miękkie serce – odparł March. – A poza tym zbytnio się nie podniecaj. Przy zwłokach nie ma nic, co pozwoliłoby je zidentyfikować, a od niedzieli rano zaginęło w Berlinie sto osób. Parę godzin zajmie samo przejrzenie listy. A ja obiecałem, że to popołudnie spędzę razem z moim chłopakiem. Zostawiam ci wszystko na głowie.

Zapalił papierosa i przeszedł do szczegółów: opisał miejsce zdarzenia, wspomniał o amputowanej nodze topielca, napomknął o podejrzeniach w stosunku do Josta. Jaeger słuchał, pochrząkując od czasu do czasu.

Był zwalistym, mającym prawie dwa metry niechlujnym mężczyzną, o niezgrabnych stopach i dłoniach. Miał pięćdziesiąt lat, o dziesięć więcej od Xaviera, ale dzielili ten gabinet od 1959 roku i czasami pracowali jako partnerzy. Lis i Niedźwiedź, żartowali za ich plecami koledzy z Werderscher Markt. Przypominali stare małżeństwo – mimo częstych kłótni jeden zawsze chronił drugiego.

– To jest lista zaginionych. – March usiadł przy swoim biurku i rozwinął rulon: nazwiska, daty urodzenia, czas zaginięcia, adresy informatorów. Max zajrzał mu przez ramię. Palił grube krótkie cygara i ich zapachem przesiąkł cały jego mundur. – Według naszego poczciwego doktora Eislera śmierć nastąpiła prawdopodobnie po godzinie szóstej wczoraj wieczorem, istnieje zatem możliwość, że nikt nie zauważył zniknięcia naszego delikwenta aż do godziny siódmej albo ósmej dziś rano. Może jeszcze na niego czekają. Całkiem prawdopodobne więc, że w ogóle nie znajdziemy go na tej liście. Ale musimy wziąć pod uwagę także dwie inne ewentualności, prawda? Po pierwsze, że zaginął jakiś czas przed śmiercią. Po drugie, że Eisler błędnie podał czas zgonu. Nie można tego wykluczyć, biorąc pod uwagę nasze dotychczasowe smutne doświadczenia.

– Ten facet nie nadaje się nawet na weterynarza – stwierdził Jaeger.

Xavier dokonał szybkich obliczeń.

– Sto dwa nazwiska. Wiek naszego topielca określiłbym na jakieś sześćdziesiąt lat.

– Dla bezpieczeństwa powiedzmy pięćdziesiąt. Nikt nie wygląda najlepiej po dwunastu godzinach spędzonych w wodzie.

– To prawda. Wykluczamy zatem wszystkich, którzy urodzili się po roku 1914. Trudno sobie wyobrazić łatwiejszą identyfikację: czy dziadek nie miał przypadkiem uciętej nogi? – March złożył rulon na pół, rozdarł go na dwie części i wręczył jedną z nich Jaegerowi. – Jakie są najbliższe posterunki Orpo?

– W Nikolassee – odparł Max. – W Wannsee. W Kładow. W Gatow. I w Pichelsdorfie, choć może to zbyt daleko na północ.

Przez następne pół godziny Xavier obdzwaniał po kolei wszystkie posterunki, włącznie z Pichelsdorfem, pytając, czy nie odnaleziono jakiegoś ubrania i czy jakiś lokalny włóczęga nie odpowiada rysopisowi topielca. Bez rezultatu. Potem zajął się swoją połową listy. Do jedenastej trzydzięci sprawdził wszystkie nazwiska. Wstał i przeciągnął się.

– Prawdziwy anonim.

Jaeger skończył telefonować dziesięć minut wcześniej i wyglądał przez okno, paląc cygaro.

– Popularny facet, nie? W porównaniu z nim nawet ty wydajesz się szeroko znany. – Wyjął z ust cygaro i zebrał z języka kilka luźnych paprochów tytoniu. – Sprawdzę, czy w Centrum Operacyjnym

nie mają jakichś nowych nazwisk. Zostaw to mnie. Przyjemnego popołudnia z Pilim.

W brzydkim kościele naprzeciwko siedziby Kripo właśnie skończyło się ostatnie poranne nabożeństwo. Stojący po drugiej stronie ulicy March obserwował zamykającego drzwi księdza. Religia nie była w Niemczech zbyt dobrze widziana. Ilu wiernych, zastanawiał się, miało odwagę uczestniczyć w nabożeństwie, nie zważając na kręcących się wokół agentów Gestapo. Pół tuzina? Ksiądz ubrany był w zniszczony, zarzucony na sutannę płaszcz. Wsunął ciężki żelazny klucz do kieszeni i odwrócił się. Kiedy zobaczył przyglądającego mu się Sturmbannführera, spuścił oczy i zaczął się natychmiast szybko oddalać, jak ktoś złapany na nielegalnej transakcji. March zapiął guziki trencza i podążył w ślad za nim szarą berlińską ulicą.

3

– Budowę Łuku Triumfalnego rozpoczęto w roku 1946 i zgodnie z planem ukończono w 1950, w Dniu Odrodzenia Narodowego. Projekt oparty jest na oryginalnym pomysłe Führera i jego rysunkach wykonanych w Latach Walki.

Pasażerowie wycieczkowego autobusu – przynajmniej ci, którzy rozumieli po niemiecku – trawili w milczeniu słowa przewodniczki. Niektórzy podnosili się z miejsc albo wychylali na środek, żeby lepiej widzieć. Siedzący w połowie autobusu Xavier March posadził sobie syna na kolanach. Przewodniczka, niezbyt młoda kobieta w ciemnozielonym uniformie Ministerstwa Turystyki, stała z przodu na rozstawionych szeroko nogach, obrócona tyłem do przedniej szyby. Jej przekazywany przez mikrofon głos był ochrypły z przeziębienia.

– Łuk wzniesiony jest z granitu i ma kubaturę dwóch milionów trzystu sześćdziesięciu pięciu tysięcy sześciuset osiemdziesięciu pięciu metrów sześciennych. – Kobieta kichnęła. – Paryski Arc de Triumph zmieściłby się w nim czterdzieści dziewięć razy.

Przez krótką chwilę Łuk zamajaczył przed nimi. A potem nagle znaleźli się w środku – w olbrzymim, wykutym z kamienia tunelu, dłuższym niż boisko do piłki nożnej i wyższym od piętnastopiętrowego budynku. Wysoko nad nimi wisiało mroczne niczym w katedrze sklepienie. W półmroku tańczyły tylne i przednie światła jadących ośmioma pasmami ruchu samochodów.

– Łuk ma wysokość stu osiemnastu, szerokość stu sześćdziesięciu ośmiu i długość stu dziewiętnastu metrów. Na jego wewnętrznych ścianach wyryte są nazwiska trzech milionów żołnierzy, którzy polegli w obronie ojczyzny w wojnach 1914–1918 i 1939–1946.

Ponownie kichnęła. Pasażerowie posłusznie wyciągnęli szyje, żeby przyjrzeć się liście poległych. Towarzystwo było mieszane. Grupa obwieszonych aparatami Japończyków; amerykańskie małżeństwo z małą dziewczynką w wieku Pilego; kilku niemieckich osadników z Ostlandu i Ukrainy, którzy przyjechali do Berlina na Führertag.

March nie patrzył na listę poległych. Gdzieś tam widniały nazwiska jego ojca i obu dziadków. Nie spuszczał przewodniczki z oczu. Kiedy była przekonana, że nikt na nią nie patrzy, wytarła ukradkiem nos w rękaw. Autobus wjechał z powrotem w mżawkę.

– Spod Łuku wjeżdżamy w centralną część alei Zwycięstwa. Aleja została zaprojektowana przez ministra Rzeszy, Alberta Speera, i ukończono ją w roku 1957. Ma sto dwadzieścia trzy metry szerokości i pięć kilometrów sześćset metrów długości. Jest szersza i dwa i pół raza dłuższa od Champs Élysées w Paryżu.

Wyższe, dłuższe, większe, szersze, bardziej kosztowne. Chociaż wygraliśmy wojnę, pomyślał Xavier, nie możemy się nadal wyzbyć kompleksu niższości. Nic nie jest dobre samo w sobie.

Wszystko musi być porównane z tym, co mają cudzoziemcy.

– Rozciągający się z tego miejsca widok na północ uważany jest za jeden z cudów świata.

– Jeden z cudów świata – powtórzył szeptem Pili.

I rzeczywiście widok był wspaniały, nawet w dzień taki jak ten. Załoczoną aleję oskrzydlały szkło i granit wzniesionych przez Speera nowych gmachów: ministerstw, biur, domów towarowych, kin i bloków mieszkalnych. Na samym końcu rzeki światła stał, wynurzając się z mgły niczym szary pancernik, Wielki Pałac Rzeszy, z kopułą do połowy skrytą w sunących nisko chmurach.

Od strony osadników doszły go pomruki podziwu.

– Jest wielki jak góra – stwierdziła kobieta siedząca za Marchem. Towarzyszył jej mąż i czwórka chłopców. Planowali prawdopodobnie tę wycieczkę przez całą zimę. Broszura Ministerstwa Turystyki i marzenie o kwietniu spędzonym w Berlinie: pociecha, która podtrzymywała ich na duchu przez długie bezksiężycowe noce gdzieś w zasypanej śniegiem głuszy pod Mińskiem albo pod Kijowem, tysiąc kilometrów od domu. Jak tu dotarli? Być może ze zbiorową wycieczką organizowaną przez Kraft durch Freude*: dwie godziny odrzutowym junkersem z międzylądowaniem w Warszawie. Albo rodzinnym volkswagenem, telepiąc się przez trzy dni autostradą Berlin–Moskwa.

Pili wyślizgnął się z objęć ojca i ruszył niepewnym krokiem do przodu. March ścisnął kciukiem i palcem wskazującym grzbiet nosa; nerwowy tik, którego nabawił się – kiedy? – chyba na łodzi podwodnej, kiedy śruby brytyjskich niszczycieli kręciły się tak blisko, że dygotał cały kadłub i nigdy nie wiedziało się, czy następna bomba głębinowa nie będzie tą ostatnią. W roku 1948 odszedł z marynarki z podejrzeniem gruźlicy i cały rok spędził w klinice. Potem, z braku lepszego zajęcia, wstąpił w stopniu porucznika do Marine-Küstenpolizei, Straży Przybrzeżnej w Wilhelmshaven. W tym samym roku ożenił się z Klarą Eckart, pielęgniarką, którą poznał w klinice. W roku 1952 wstąpił do hamburskiego Kripo. W roku 1954, kiedy Klara była w ciąży, a małżeństwo już się rozpadało, przeniesiono go do Berlina. Paul – Pili – urodził się dokładnie przed dziesięcioma laty i jednym miesiącem.

Gdzie popełnili błąd? Nie winił Klary. Ona się nie zmieniła. Zawsze była silną kobietą, pragnącą w życiu paru prostych rzeczy: domu, rodziny, przyjaciół, akceptacji. Zmienił się on, Xavier. Po dziesięciu latach służby w marynarce i dwunastu miesiącach niemal totalnej izolacji zszedł na ląd, którego prawie nie poznawał. Chodząc do pracy, oglądając telewizję, popijając z przyjaciółmi piwo, nawet – niech Bóg mu wybaczy – śpiąc obok własnej żony, wyobrażał sobie często, że wciąż jest na pokładzie U-Boota: płynie pod powierzchnią codziennego życia, samotny i czujny.

O dwunastej odebrał Pilego z domu Klary – bungalowu stojącego w ponurym powojennym osiedlu mieszkaniowym Lichtenrade, na południowych obrzeżach miasta. Zaparkował na ulicy, zatrąbił dwa razy i zobaczył, jak uchylają się na chwilę zasłony w salonie. To był rytuał, który ukształtował się za ich milczącą zgodą w ciągu pięciu lat, jakie upłynęły od rozwodu – sposób na uniknięcie kłopotliwych spotkań. Odprawiali go, jeśli pozwalały na to inne obowiązki, co trzy tygodnie, w niedzielę, na mocy ściśle ustalonych przepisów kodeksu rodzinnego. Rzadko kiedy oglądał syna we wtorek, ale trwały właśnie szkolne ferie; od roku 1959 zamiast na Wielkanoc dawano uczniom wolny tydzień przed urodzinami Führera.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Pili. Przypominał wypchniętego na scenę wbrew własnej woli, stremowanego dziecinnego aktora. Ubrany w nowy mundurek Deutsches Jungvolk – czarną jak smoła koszulę i ciemnoniebieskie szorty – wdrapał się, nie mówiąc ani słowa, na siedzenie. March uściśnął go niezgrabnie.

– Wyglądasz wspaniale. Co w szkole?

- Wszystko w porządku.
- A u mamy? Chłopak wzruszył ramionami.
- Jak chciałbyś spędzić dzień?

Ponowne wzruszenie ramion.

Zjedli lunch przy Budapester Strasse, naprzeciwko zoo, w nowoczesnym lokalu z winylowymi krzesłami i stolikami z plastikowym blatem: ojciec zamówił piwo i kielbaski, syn sok jabłkowy i hamburgera. Przez chwilę rozmawiali o Deutsches Jungvolk i Pili cały się rozpromienił. Ktoś, kto nie należał do organizacji, kompletnie się nie liczył, był „nie umundurowaną oferą, która nigdy nie uczestniczyła w ognisku ani marszu przełajowym”. Pimpfem* wolno było zostać w wieku dziesięciu lat. W czternastym roku życia przechodziło się automatycznie do Hitlerjugend.

– Zdałem najlepiej wstępny sprawdzian.

– Dzielny chłopak.

– Trzeba przebiec sześćdziesiąt metrów w dwanaście sekund – powiedział Pili. – Skoczyć w dal i rzucić kulą. Jest też marsz przełajowy: trwa półtora dnia. Potem sprawdzian pisemny. Filozofia partii. Trzeba nauczyć się na pamięć „Horst Wessel Lied”.

Przez moment Xavier myślał, że syn ma zamiar zaśpiewać. – Dostałeś nóż? – wtrącił szybko.

Chłopiec pogrzebał w kieszeni, marszcząc z powagą czoło. Jaki on podobny do matki, pomyślał March. Te same szerokie kości policzkowe i pełne usta; te same patrzące poważnie, rozstawione szeroko piwne oczy. Pili położył ostrożnie sztylet na stole. Xavier podniósł go. Przypomniał mu się dzień, kiedy dostał swój własny. Kiedy to było? – w trzydziestym czwartym? Podniecenie chłopca, który wierzy, że dopuszczono go do świata mężczyzn. Obrócił nóż i w świetle błysnęła wyryta na rękojeści swastyka. Przez chwilę ważył sztylet w dłoni, a potem oddał go synowi.

– Jestem z ciebie dumny – skłamał. – Co chcesz teraz robić? Możemy pójść do kina. Albo do zoo.

– Chcę pojechać autobusem.

– Ale robiliśmy to już ostatnim razem. I poprzednio.

– To nic. Chcę jechać autobusem.

– Wielki Pałac Rzeszy jest największą budowlą świata. Wznosi się ponad ćwierć kilometra w górę i zdarzają się dni, tak jak dzisiejszy, kiedy jego szczyt tonie w chmurach. Sama kopuła ma średnicę stu czterdziestu metrów i kopuła bazyliki świętego Piotra w Rzymie zmieściłaby się w niej szesnaście razy.

Dotarli do końca Wielkiej Alei i wjechali na Adolf Hitler Platz. Po lewej stronie plac zamykała bryła Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu, po prawej nowa Kancelaria Rzeszy i Rezydencja Führera. Na wprost przed nimi stał Wielki Pałac. W miarę jak się zbliżali, jego szarość przechodziła w bardziej żywe kolory. Widzieli teraz na własne oczy to, co powiedziała im przewodniczka: kolumny, na których wspierała się fasada, wykute były z czerwonego, sprowadzonego ze Szwecji granitu i ograniczone z obu stron złotymi posągami Atlasa i Tellusa, dźwigającymi na ramionach potężne kule wyobrażające niebo i ziemię.

Budynek był krystalicznie biały niczym weselny tort, a kopuła z kutej miedzi matowozielona. Pili wciąż stał z przodu autobusu.

– W Wielkim Pałacu odbywają się wyłącznie największe uroczystości państwowe Rzeszy. Może pomieścić sto osiemdziesiąt tysięcy ludzi. W środku można zaobserwować interesujący i nie przewidziany przez projektantów fenomen: oddech tysięcy ludzi unosi się wysoko pod kopułę i zamienia w chmury, które kondensują się i spadają w postaci lekkiego deszczu. Wielki Pałac jest

jedyną budowlą na świecie, która wytwarza swój własny mikroklimat...

March słyszał to wszystko już wcześniej. Wyglądając przez szybę autobusu, przez cały czas miał przed oczyma topielca. Kąpielówki! Co sobie wyobrażał ten dziadek, pływając po nocy w jeziorze? W poniedziałek już wcześniej po południu Berlin zasnuły ciemne chmury. Kiedy rozpętała się w końcu burza, strugi deszczu zalały dachy i ulice, zagłuszając huk piorunów. Może to było samobójstwo? Trzeba to będzie uwzględnić. Wyobraził sobie, jak starszy mężczyzna wchodzi do zimnego jeziora i oddala się w ciemności od brzegu, jak młóci rękoma wodę i unosi wzrok, widząc rozświetlającą niebo błyskawicę – czekając, aż reszty dokona zmęczenie...

Pili wrócił z powrotem i podskakiwał podekscytowany na siedzeniu.

– Czy zobaczymy dziś Führera, tato?

Wizja ulotniła się i Xaviera ogarnęło poczucie winy. Właśnie te jego sny na jawie najbardziej wyprowadzały z równowagi Klarę: „nawet kiedy z nami siedzisz, myślą jesteś gdzie indziej...”

– Nie wydaje mi się – odparł.

– Po prawej stronie widzimy Kancelarię Rzeszy i Rezydencję Führera. Łączna długość jej fasady wynosi dokładnie siedemset metrów, jest więc o sto metrów większa od fasady pałacu Ludwika XIV w Wersalu.

W miarę jak się zbliżali, odsłaniały się przed nimi szczegóły: marmurowe kolumny i czerwone mozaiki, lwy z brązu, złoczone płaskorzeźby i gotyckie napisy – architektoniczny chiński smok, który ułożył się do snu po prawej stronie placu. Pod powiewającym sztandarem ze swastyką pełnili honorową wartę czterej esesmani. Na gładkiej, pozbawionej okien ścianie umieszczony był na wysokości pięciu pięter pojedynczy balkon, na którym pokazywał się Führer, kiedy na placu gromadził się milionowy tłum. Teraz kręciło się tu tylko kilkudziesięciu gapiów, spoglądających z pobladytymi od oczekiwania twarzami w stronę zamkniętych na głucho okiennic.

March spojrzał na syna. Pili był cały zmieniony; jego dłoń zaciskała się kurczowo na rękojęści sztyletu.

Autobus zajechał z powrotem na przystanek przy Dworcu Gotenlandzkim. Kiedy wysiadali, dochodziła piąta i zapadał zmierzch. Zniechęcony dzień dawał za wygraną.

Z dworca wylewał się potok ludzi – objuczeni tornistrami żołnierze, którym towarzyszyły narzeczone lub żony; cudzoziemscy robotnicy, dźwigający kartonowe walizki i sfatygowane, powiązane sznurkami toboły; wreszcie osadnicy, którzy po dwudniowej podróży ze stepów patrzyli zaskoczeni na feerię światła i przewalające się tłumy. Wszędzie widać było mundury. Ciemnoniebieskie, zielone, brązowe, czarne, w szarym kolorze khaki. Przypominało to fabrykę przy końcu zmiany. Podobnie jak w fabryce słychać było zgrzyt metalu i przenikliwe gwizdki; ciężkie powietrze wypełniał fabryczny zapach rozgrzanego oleju i stali. Wszystkie ściany upstrzone były plakatami. „Bądź czujny przez dwadzieścia cztery godziny na dobę!” „Uwaga! Zgłaszaj natychmiast podejrzaną bagaż!” „Alarm antyterrorystyczny!”

Wielkie jak domy pociągi wyruszały stąd po szerokich torach w stronę wysuniętych na wschód placówek imperium – do Gotenlandu (przedtem Krym), do Theoderichshafen (przedtem Sewastopol); do Generalkommissariatu Taurydy i jego stolicy Melitopolu; na Wołyń i Podole, do Żytomierza, Kijowa, Nikołajewa, Dniepropietrowska, Charkowa, Rostowa i Saratowa... Terminal nowego świata. Informacje o przyjazdach i odjazdach pociągów przerywane były kilkoma taktami „Uwertury Koriolana”. Przeciskając się przez tłum, March usiłował wiać Pilego za rękę, ale mały odsunął jego dłoń.

Piętnaście minut trwało, zanim wyjechali samochodem z podziemnego parkingu, kolejne

piętnaście, zanim wydostali się z zatłoczonych uliczek otaczających dworzec. Po drodze nie odzywali się ani słowem. Dopiero kiedy zbliżali się do Lichtenrade, syn nagle przerwał milczenie.

– Ty jesteś aspołeczny, prawda? – zapytał.

Tak śmiesznie zabrzmiało to słowo w wargach dziesięciolatka i tak było starannie wymówione, że Xavier o mało nie wybuchnął śmiechem. Typ aspołeczny: w partyjnym języku zaledwie jeden stopień wyżej od zdrajcy. Ktoś, kto nie daje datków na Pomoc Zimową. Nie należy do żadnej z licznych narodowosocjalistycznych organizacji. Do narodowosocjalistycznego związku narciarskiego. Do narodowosocjalistycznego towarzystwa krzewienia kultury fizycznej. Do wielkoniemieckiego narodowosocjalistycznego klubu motorowego. Do narodowosocjalistycznego zrzeszenia policjantów. Któregoś popołudnia natknął się nawet w Lustgarten na paradę, którą zorganizowała narodowosocjalistyczna liga odznaczonych medalem za uratowanie życia.

– To bzdura.

– Wujek Erich mówi, że to prawda.

Erich Helfferich. Więc teraz został już „wujkiem Erichem”? No, no. Zelota najgorszego rodzaju, pełnoetatowy biurokrata w berlińskiej siedzibie partii. Nadęty, łypiący małymi oczkami zza swoich okularów instruktor skautingu... March poczuł, że zaciska bezwiednie ręce na kierownicy. Helfferich zaczął się widywać z Klarą mniej więcej przed rokiem.

– On mówi, że nie oddajesz hitlerowskiego salutu i że robisz sobie żarty z partii.

– A skąd on to wszystko wie?

– Mówi, że w siedzibie partii mają na twój temat teczkę i że niedługo cię zamkną. To tylko kwestia czasu. – Chłopak prawie płakał ze wstydu. – Myślę, że chyba ma rację.

– Pili!

Podjechali pod dom.

– Nienawidzę cię. – Wypowiedziane to było spokojnym chłodnym tonem.

Chłopiec wyskoczył z volkswagena. March otworzył drzwiczki ze swojej strony, okrążył samochód i pobiegł za synem. Z domu dochodziło szczekanie psa.

– Pili! – zawołał jeszcze raz.

Drzwi otworzyły się. Stała w nich Klara ubrana w mundur narodowosocjalistycznego stowarzyszenia gospodyń domowych. Za jej plecami mignął przez chwilę brązowy uniform Helffericha. Pies, młody niemiecki owczarek, wybiegł na zewnątrz i skoczył w stronę Pilego, który precyzyjnie się obok matki i zniknął w środku domu. Xavier chciał pobiec za nim, ale Klara stanęła mu na drodze.

– Zostaw chłopca w spokoju. Wynoś się stąd. Zostaw nas wszystkich w spokoju.

Złapała psa za obrozę i wciągnęła do środka. Jego skowyt zagłuszyły głośno zatrzaśnięte drzwi.

Później, kiedy wracał do śródmieścia, nie mógł przestać myśleć o psie. Była to jedyna żywa istota w tym domu, która nie miała na sobie munduru.

Gdyby nie czuł się tak paskudnie, wybuchnąłby śmiechem.

4

– Co za pieprzony dzień – jęknął, zakładając płaszcz, Max Jaeger; było wpół do ósmej wieczorem. – Nie odnaleziono żadnych przedmiotów ani garderoby należącej do ofiary. Cofnąłem się na liście zaginionych aż do czwartku. Nic. Minęło dwadzieścia cztery godziny od przybliżonego czasu zgonu i nikt nie zgłosił jego zaginięcia. Jesteś pewien, że to nie jakiś włóczęga?

March potrzęsnał głową.

– Za dobrze odkarmiony. Poza tym włóczędzy nie noszą kąpielówek. Z zasady.

– Na domiar złego – dodał Max, zaciągając się po raz ostatni cygarem i gasząc je w popielniczkę – mamy dziś wieczorem zebranie partii. „Niemiecka matka – bojowniczką frontu wewnętrznego”.

Podobnie jak wszyscy inspektorzy Kripo, łącznie z Marchem, Jaeger miał rangę Sturmbannführera SS. W odróżnieniu od Xaviera wstąpił w zeszłym roku do partii. March specjalnie go za to nie winił. Żeby awansować, trzeba było należeć do partii.

– Czy Hannelore idzie razem z tobą?

– Hannelore? Odznaczona Brązowym Krzyżem Niemieckiego Macierzyństwa? Oczywiście, że idzie. – Max spojrział na zegarek. – Zostało mi czasu akurat na jedno piwo. Co ty na to?

– Dziękuję, dzisiaj nie. Ale zejść z tobą na dół.

Rozstali się na stopniach komendy. Jaeger uniósłszy na pożegnanie rękę, skręcił w lewo, do baru przy Obwall Strasse. Xavier ruszył w prawo, w stronę rzeki. Szedł szybkim krokiem. Deszcz przestał padać, ale powietrze wciąż było wilgotne i mgliste. Czarne płyty chodnika błyszczały w świetle przedwojennych latarni. Od Szprewy dobiegało stłumione przez ściany budynków niskie buczenie syreny przeciwmgielnej.

Skręcił za rogiem i ruszył nabrzeżem, wystawiając twarz na powiew chłodnego nocnego powietrza. W górę rzeki płynęła, sapiąc ciężko, barka z zapalonym na dziobie pojedynczym światełkiem. Za rufą pieniała się ciemna woda. Poza tym panowała prawie kompletna cisza. Żadnych samochodów, żadnych ludzi. Miasto mogło wyparować w ciemności. March niechętnie skręcił w następną przecnicę. Przeciął Spittel Markt i ruszył w stronę Seydel Strasse. Kilka minut później wchodził do berlińskiej kostnicy.

Doktor Eisler poszedł już do domu. Marcha zbytnio to nie zaskoczyło.

– Kocham cię – szepnęła lubieżnie kobieta na ekranie przenośnego telewizora – i chcę urodzić ci dzieci. – Ubrany w poplamioną białą kurtkę pracownik niechętnie odwrócił wzrok od ekranu i sprawdził legitymację Marcha. Zanotował nazwisko w swojej księdze, wziął do ręki pęk kluczy i dał znak detektywowi, żeby szedł za nim. Za plecami słyszeli temat muzyczny wieczornego serialu „Reichsrundfunk”.

Minąwszy wahadłowe drzwi, wyszli na korytarz podobny jak dwie krople wody do tego, przy którym mieścił się jego gabinet. Gdzieś, pomyślał March, musi urzędować Reichsdirektor od zielonego linoleum. Wszedł w ślad za pracownikiem do windy. Metalowa krata zamknęła się z trzaskiem i zjechali do podziemi.

Zanim weszli do kostnicy, zapalili pod znakiem NIE PALIĆ papierosy – dwaj profesjonalści zabezpieczający się w identyczny sposób nie tyle przeciwko zapachowi nieboszczyków (w sali utrzymywano niską temperaturę i nie czuć było woni rozkładu), co kłującym oparom środków dezynfekcyjnych.

– Chce pan zobaczyć tego starego? Tego, którego przywieziono zaraz po ósmej?

– Zgadza się.

Pracownik kostnicy nacisnął dużą klamkę i przy akompaniamencie syku zimnego powietrza otworzył na oścież ciężkie drzwi. Weszli do środka. Zalana jaskrawym światłem jarzeniówek, wyłożona kaflami podłoga opadała lekko z obu stron ku środkowi, którym biegł wąski kanał odpływowy. Przy ścianach stały ciężkie, przypominające szafki na akta metalowe komory. Mężczyzna zdjął wiszący na haczyku obok kontaktu wykaz i ruszył wzdłuż komór, sprawdzając numery.

– To tu.

Wsadził wykaz pod pachę i pociągnął silnie za uchwyt szuflady. March podszedł bliżej i ściągnął okrywające ciało białe prześcieradło.

– Jeśli pan chce, może mnie pan tutaj zostawić – powiedział, nie obracając się. – Zawołam pana, kiedy skończę.

– Nie wolno. Przepisy.

– Żeby nie zamienił przypadkiem dowodów rzeczowych? Niech pan nie będzie śmieszny.

Trup nie robił bynajmniej lepszego wrażenia przy drugim spotkaniu. Twarda, mięsista twarz, małe oczy i okrutne usta. Poza małym dziwnym kosmykiem siwych włosów czaszka była prawie zupełnie łysa. Po obu stronach haczykowatego nosa znajdowały się wyraźne wgłębienia. Musiał od wielu lat nosić okulary. Na obu policzkach widniały symetrycznie rozmieszczone blizny. March wsadził palce do ust topielca i napotkał tylko miękkie dziąsła. Musiała mu wypaść sztuczna szczęka.

Ściągnął dalej prześcieradło. Ramiona były szerokie, tors potężny – jak u człowieka, który dopiero niedawno zaczął tyć. Delikatnie złożył prześcieradło kilka centymetrów nad kikutem. Zmarłych traktował zawsze z szacunkiem. Żaden lekarz z ubezpieczalni przy Kurfürstendamm nie odnosił się do swoich pacjentów z większą delikatnością niż Xavier March.

Chuchnąwszy w dłonie, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza. Wyjął stamtąd dwie białe karty, a także małe metalowe pudełko, które otworzył. Czuł w ustach gorzki smak papierosa. Ujął zwłoki za lewy nadgarstek – skóra była taka zimna; nigdy nie przestało go to szokować – i wyprostował palce. Ostrożnie przycisnął czubek każdego z nich do nasyczonej tuszem poduszki w pudełku. Potem odłożył pudełko, wziął do ręki białą kartę i odbił na niej linie papilarne wszystkich palców. Kiedy zadowolił go rezultat, powtórzył całą procedurę z prawą ręką. Zafascynowany pracownik kostnicy nie spuszczał z niego wzroku.

Poplamione białe dłonie wyglądały szokująco – tak jakby ktoś dopuścił się wobec nich świętokradztwa.

– Niech pan go wyczyści – powiedział March.

Komenda Główna Kripo znajdowała się przy Werderscher Markt, ale jądro policyjnej roboty – laboratoria kryminalistyczne, archiwa, zbrojownia i cele aresztantów – mieściło się w budynku Prezydium Policji Berlińskiej przy Alexander Platz, potężnym, przypominającym pruską fortecę gmachu położonym naprzeciwko zatłoczonej stacji metra. Tam właśnie March skierował się w następnej kolejności. Zajęło mu to piętnaście minut szybkiego marszu.

– Na kiedy to chcesz?

Zdumiony głos należał do Ottona Kotha, zastępcy kierownika sekcji odcisków palców.

– To pilna sprawa – stwierdził March, zaciągając się papierosem. Znał Kotha bardzo dobrze. Przed dwoma laty ujęli razem gang uzbrojonych włamywaczy, którzy zabili policjanta w Lankwitz. Koth zasłużył sobie tym na awans. – Wiem, że masz tyle zamówień, że nie zdążysz ich załatwić do setnych urodzin Führera. Wiem, że za plecami siedzi ci polujące na terrorystów Sipo i Bóg jeden wie kto jeszcze. Ale zrób to dla mnie.

Koth odchylił się do tyłu na krześle. Na półce za jego plecami March zobaczył podręcznik kryminologii pióra Artura Nebeego – opublikowany przed trzydziestu laty, ale wciąż aktualny standardowy tekst. Nebe pełnił funkcję szefa Kripo od roku 1933.

– Pokaż, co tam masz – powiedział Koth.

March podał mu dwie karty. Koth spojrział na nie i kiwnął głową.

– Mężczyzna – powiedział March. – Mniej więcej sześćdziesięcioletni. Nie żyje od dwudziestu czterech godzin.

– Domyślam się, że nie czuje się najlepiej. – Koth zdjął z nosa okulary i pomasaował zmęczone oczy. – W porządku. Kładę je na samej górze.
– Ile to potrwa?
– Powinieneś mieć odpowiedź do rana. – Koth założył z powrotem okulary. – Nie rozumiem tylko, skąd wiesz, że ten facet, kimkolwiek jest, ma kryminalną przeszłość.
March wcale tego nie wiedział, ale nie miał zamiaru dawać Kothowi pretekstu do wycofania się z obietnicy.
– Zaufaj mi – powiedział.

*

Wrócił do swojego mieszkania o jedenastej. Staroświecka winda była zepsuta. Wyścielona brązowym wytartym chodnikiem klatka schodowa przesiąknięta była zapachem nieświeżych potraw, gotowanej kapusty i przypalonego mięsa. Mijając drugie piętro usłyszał fragment kłótni mieszkającej pod nim młodej pary.

– Jak możesz tak mówić?

– Niczego w życiu nie dokonałeś. Kompletnie niczego!

Trzasnęły drzwi. Zapłakało dziecko. Ktoś gdzieś w odpowiedzi nastawił głośniej radio. Symfonia życia pod jednym dachem. Kiedyś była to ekskluzywna kamienica. Teraz, podobnie jak wielu jej lokatorów, stała u progu ciężkich czasów. March wspiał się piętro wyżej i wszedł do swego mieszkania.

W środku panował ziąb; jak zwykle nawaliło centralne ogrzewanie. Trzypokojowe mieszkanie składało się z wysokiego salonu, którego okna wychodziły na Ansbacher Strasse, sypialni, w której stało żelazne łóżko, a także małej łazienki i jeszcze mniejszej kuchni. Trzeci pokój zavalony był rzeczami, które ocalały z jego małżeństwa i które po pięciu latach nadal tkwiły zapakowane w kartonach. Mieszkanie było większe od typowego, mającego czterdzieści cztery metry Volkswohnung – mieszkania ludowego – ale różnica była nieznaczna: zaledwie parę metrów.

Przed wprowadzeniem się Marcha mieszkała tu wdowa po generale Luftwaffe. Zajmowała mieszkanie od zakończenia wojny i doprowadziła je do ruiny. Podczas drugiego, spędzonego tutaj weekendu March zdarł w trakcie odnawiania sypialni spleśniałą tapetę i znalazł schowane za nią, złożone kilkakrotnie, sepiowe zdjęcie. Opatrzone było datą 1929 i pieczętą berlińskiego atelier. Przedstawiało rodzinę, całą w przymglonych brązach i beżach, stojącą na tle namalowanego wiejskiego pejzażu. Ciemnowłosa kobieta wpatrywała się w trzymane w ramionach niemowlę. Z tyłu, opierając z dumą rękę na jej ramieniu, stał mąż. Obok niego mały chłopczyk. March postawił odnalezione zdjęcie na kominku.

Chłopiec nie był większy od Pilego. Teraz, po kilkudziesięciu latach, powinien być w wieku Marcha.

Kim byli ci ludzie? Co stało się z dzieckiem? Przez długie lata nie dawało mu to spokoju, ale nie podejmował żadnych prób dowiedzenia się prawdy – dosyć miał zagadek w pracy, żeby zajmować się dodatkowymi problemami. Potem jednak, tuż przed ostatnim Bożym Narodzeniem, z przyczyn, których sam nie umiał dokładnie wyjaśnić – być może jedną z nich był po prostu niejasny i narastający niepokój, być może przypadające w tym czasie jego urodziny – zaczął swoje małe prywatne dochodzenie.

W księdze kwaterunkowej odnotowano, że w latach 1928–1942 mieszkanie wynajmował niejaki Jakob Weiss. Nikt taki nie figurował jednak w policyjnej kartotece. Żadnego zapisku o tym, czy się

wyprowadził, czy zachorował albo umarł. Telefony do biur werbunkowych Wehrmachtu, Reichsmarine i Luftwaffe potwierdziły, że nie został powołany do wojska. W studiu fotograficznym mieściła się teraz wypożyczalnia telewizorów. Nikt z młodych pracowników biura kwaterunkowego nie pamiętał Weissów. Po prostu zniknęli. Weiss. Biały. Pusty. W głębi duszy Xavier zaczął domyślać się prawdy – być może znał ją od samego początku – ale któregoś wieczoru niczym szukający świadków policjant obszedł z fotografią w ręku cały dom i inni lokatorzy patrzyli na niego, jakby stracił rozum. Z jednym wyjątkiem.

– To byli Żydzi – rzuciła, zatrzasnąwszy mu drzwi przed nosem, mieszkająca na poddaszu starucha.

No tak. Wszyscy Żydzi zostali podczas wojny ewakuowani na Wschód. Każdy o tym wiedział. O to, co się z nimi potem stało, nikt publicznie nie pytał; publicznie i jeśli miał choć trochę oleju w głowie, również prywatnie. Nawet jeśli miał rangę Sturmbannführera SS.

Wtedy właśnie, zauważył teraz, popsuły się jego stosunki z Pilim; odtąd zaczął budzić się na długo przed brzaskiem i brać z własnej woli każdą nadarzącą się sprawę.

Nie zapalając światła March zbliżył się do okna i przez kilka chwil wpatrywał się w jadące na południe, w stronę Wittenberg Platz, samochody. Potem przeszedł do kuchni i nalał sobie dużą whisky. Obok zlewu leżał „Berliner Tageblatt”. Zabrał go ze sobą z powrotem do salonu.

Czytał gazety w sobie tylko właściwy sposób. Zaczynał od ostatniej strony, od prawdy. Jeśli napisano, że w meczu piłki nożnej Lipsk zwyciężył Kolonię cztery do zera, wiele wskazywało na to, że rezultat jest prawdziwy: partia nie wpadła jeszcze na pomysł fałszowania wyników. Co innego pozostałe wiadomości sportowe. ZACZEŁO SIĘ ODLICZANIE DO OLIMPIADY W TOKIO. PO RAZ PIERWSZY OD 28 LAT STANY ZJEDNOCZONE MOGĄ UCZESTNICZYĆ W SPORTOWEJ RYWALIZACJI. NIEMIECCY SPORTOWCY NADAL PRZEWODZĄ ŚWIATU. Później reklamy. NIEMIECKIE RODZINY! CZEKA NA WAS GOTENLAND, RIWIERA RZESZY. Francuskie perfumy, włoskie jedwabie, skandynawskie futra, holenderskie cygara, belgijska kawa, rosyjski kawior, brytyjskie telewizory – obywatele Rzeszy mogli bez przeszkód czerpać z imperialnego rogu obfitości. Urodziny, małżeństwa i zgony.

Ernst Tebbe z radością zawiadamia, że jego żona Ingrid urodziła syna Führerowi. Z zalem żegnamy zmarłego w wieku lat 71 Hansa Wenzela, prawdziwego narodowego socjalistę.

Klub samotnych serc:

Pięćdziesięcioletni doktor, czysty Aryjczyk, weteran Bitwy pod Moskwą, pragnie osiedlić się na wsi i spłodzić męskie potomstwo w związku ze zdrową Aryjką: młodą, bezpretensjonalną dziewczyną, przyzwyczajoną do ciężkiej pracy; pożądane szerokie biodra, płaskie obcasy i brak dziur po kolczykach.

Sześćdziesięcioletni wdowiec pragnie ponownie związać się z kobietą rasy nordyckiej, gotową obdarzyć go dziećmi, dzięki którym nie wygaśnie męska linia starej rodziny.

Kolumny poświęcone sztuce: Zarah Leander wciąż występuje w „Kobiecie z Odessy”, wystawianej obecnie w Gloria-Palast: epickiej historii przesiedleńców z południowego Tyrolu. Recenzja muzyczna: autor z pasją atakował „szkodliwe negroidalne wycie” młodej angielskiej grupy z Liverpoolu, koncertującej w wypełnionej młodzieżą sali w Hamburgu. W dniu urodzin Führera Herbert von Karajan poprowadzi w Royal Albert Hall w Londynie uroczyste wykonanie Dziewiątej Symfonii Beethovena – hymnu zjednoczonej Europy.

Artykuł redakcyjny na temat antywojennej demonstracji studentów w Heidelbergu: ZDRAJCY POWINNI PONIEŚĆ ZASŁUŻONĄ KARĘ. „Tageblatt” zawsze reprezentował twardą linię.

Oficjalne nekrologi: jakiś dygnitarz z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych – „...całe życie spędził w służbie Rzeszy...”

Wiadomości krajowe: Z NASTANIEM WIOSENNYCH ROZTOPÓW NA NOWO ROZGORZAŁY WALKI NA FRONCIE SYBERYJSKIM. WOJSKA NIEMIECKIE ROZBIJAJĄ GRUPY TERRORYSTYCZNE IWANA. W Równie, stolicy Reichskommissariatu Ukrainy, straconych zostało pięciu terrorystów, którzy dokonali masakry niemieckich osadników. Obok zamieszczono fotografię najnowszej nuklearnej łodzi podwodnej Rzeszy: Grossadmiral Doenitz w nowej bazie Reichsmarine w Trondheim.

Wiadomości ze świata: w Londynie ogłoszono, że król Edward wraz z królową Walii złożą w lipcu państwową wizytę w Rzeszy, „aby pogłębić i umocnić tradycyjną przyjaźń i szacunek, jakie łączą narody Wielkiej Brytanii i Niemieckiej Rzeszy”. W Waszyngtonie sądzi się, że niedawne zwycięstwo prezydenta Kennedy'ego w wyborach wstępnych zwiększa jego szansę na ponowne objęcie urzędu.

Gazeta wysunęła się Marchowi z palców i spadła na podłogę.

Pół godziny później zadzwonił telefon.

– Tak mi przykro, że cię budzę. – W głosie Kotha pobrzmiwał sarkazm. – Odniosłem wrażenie, że to pilna sprawa. Może zadzwonię jutro?

– Nie, nie. – March całkowicie się rozbudził.

– To ci się spodoba. Piękna sprawa. – Po raz pierwszy w życiu March słyszał, że Koth głośno się śmieje. – A może robicie sobie ze mnie jaja? Czy to nie jest jakiś głupi żart, który wymyśliliście razem z Jaegerem?

– Kto to jest?

– Najpierw opowiem ci, jak do tego doszliśmy. – Koth za dobrze się bawił, by się spieszyć. – Żeby znaleźć pasujące odciski, musieliśmy się cofnąć niezły kawał drogi. Ale znaleźliśmy. Pasują doskonale. Nie może być mowy o pomyłce. Twój człowiek ma u nas swoją teczkę. Został aresztowany tylko raz w życiu. Przez naszych kolegów w Monachium, czterdzieści lat temu. Dokładnie rzecz biorąc dziewiątego listopada tysiąc dziewięćset dwudziestego trzeciego roku.

W słuchawce zapadła cisza. Minęło pięć, sześć, siedem sekund.

– Widzę, że nawet ty wiesz, co to za data.

– *Alter Kämpfer*. – Xavier poszukał ręką leżących na podłodze papierosów. – Jak się nazywa?

– Zgadza się. Stary towarzysz. Aresztowany razem z Führerem po puczu w Bürgerbräukeller. Wyłowileś z jeziora jednego z pionierów naszej słynnej narodowosocjalistycznej rewolucji. – Otto ponownie się roześmiał. – Ktoś mądrzejszy od ciebie zostawiłby go tam, gdzie leżał.

– Nazwisko?

Kiedy Koth odłożył słuchawkę, March przez pięć minut chodził po mieszkaniu, paląc jak lokomotywa. Potem zadzwonił w trzy miejsca. Najpierw do Maxa Jaegera. Następnie do oficera dyżurnego przy Werderscher Markt. Trzeci telefon długo dzwonił w prywatnym berlińskim mieszkaniu. March miał już odłożyć słuchawkę, kiedy w końcu odezwał się w niej zaspany męski głos.

– Rudi? To ja, Xavier March.

– Zavi? Oszalałeś? Minęła północ.

– Niezupełnie. – March przemierzał nerwowym krokiem wytarty dywan, trzymając w ręku

telefon i przyciskając ramieniem słuchawkę. – Potrzebna mi jest twoja pomoc.

– Na litość boską!

– Co wiesz o człowieku, który nazywa się Josef Buhler?

Tej nocy March miał sen. Był znowu nad jeziorem, padał deszcz i przy brzegu leżał z twarzą w błocie topielec. Pociągnął go za ramię – pociągnął bardzo silnie – lecz nie mógł ruszyć trupa z miejsca. Ciało było z szarobiałego ołowiu. Ale kiedy odwrócił się, żeby odejść, topielec nagle złapał go za nogę i zaczął wciągać w toń jeziora. Xavier kurczowo rył ziemię, wbijając palce w miękkie błoto, ale nie miał się czego złapać. Trup trzymał go w żelaznym uścisku. A potem, kiedy znaleźli się pod wodą, okazało się, że ma wykrzywioną ze złości, groteskowo zawstydzoną twarz Pilego. „Nienawidzę cię... nienawidzę... nienawidzę...!”, krzyczał.

CZĘŚĆ DRUGA

ŚRODA, 15 KWIETNIA

détente, rzecz, l (a) odprężenie, osłabienie, obluzowanie (czegoś, co jest napięte); rozluźnienie (mięśni); (b) uspokojenie (sytuacji politycznej).

Po padającym poprzedniego dnia deszczu pozostało tylko złe wspomnienie; kałuże prawie zniknęły z ulic. Witryny sklepów i szyby mieszkań lśniły w promieniach słońca – cudownie bezstronnego słońca.

W łazience zgrzytały i jęczały zardzewiałe rury; z prysznicą sączyła się cienka strużka zimnej wody. March ogolił się starą brzytwą swojego ojca. Przez otwarte okno łazienki słyszał odgłosy budzącego się miasta: zgrzytanie kół pierwszego tramwaju, odległy, dobiegający z Tauentzien Strasse szum samochodów, kroki przechodniów, podążających w stronę wielkiej stacji U-Bahnu przy Wittenberg Platz; trzask podnoszonych żaluzji w piekarni po drugiej stronie ulicy. Dochodziła dopiero siódma i Berlin pełen był nadziei, których nie zdążył rozwiązać kolejny dzień.

W sypialni leżał jego mundur: współczesna zbroja władzy.

Brązowa koszula z czarnymi skórzanymi guzikami. Czarny krawat. Czarne bryczesy. Czarne oficerskie buty (intensywny zapach wyglansowanej do połysku skóry).

Czarna kurtka od munduru: cztery srebrne guziki; trzy wyszywane srebrne belki na naramiennikach, na lewym rękawie czerwono-biało-czarna opaska ze swastyką; na prawym wpisana w romb gotycka litera „K”, oznaczająca Kriminalpolizei.

Czarny szeroki pas. Czarna czapka ze srebrną trupią czaszką i partyjnym orłem. Czarne skórzane rękawiczki.

Xavier popatrzył w lustro. Ze szklanej tafli spoglądał nań Sturmbannführer Waffen-SS. Podniósł leżącego na toalecie służbowego dziewięćmilimetrowego lugera, sprawdził zamek, po czym wsunął pistolet do kabury i wyszedł z mieszkania.

*

– Jesteś pewien, że się tym najesz?

Rudolf Halder skwitował uśmiechem sarkastyczną uwagę Marcha i zestawił z tacy swoje śniadanie: ser, szynkę, salami, trzy jajka na twardo, kilka kromek razowca, mleko i filiżankę parującej kawy. Poustawiał elegancko talerzyki na białym lnianym obrusie.

– Rozumiem, że w Głównym Urzędzie Bezpieczeństwa Rzeszy nie fundują wam na ogół tak obfitych posiłków.

Siedzieli w jadalni Prinz Friedrich Karl Hotel, w połowie drogi między Komendą Główną Kripo a Reichsarchiv, gdzie pracował Halder. Xavier był tutaj stałym gościem; tani lokal odwiedzali głównie turyści i sprzedawcy, ale podawano tutaj naprawdę dobre śniadania. Ze sterczącego nad wejściem drzewca zwisała markotnie europejska flaga – dwanaście symbolizujących kraje Wspólnoty Europejskiej złotych gwiazd na ciemnoniebieskim tle. March podejrzewał, że dyrektor hotelu, Herr Brecker, kupił ją z drugiej ręki i zawiesił, chcąc nadać swemu lokalowi trochę cudzoziemskiego sznytu. Nie przyniosło to chyba jednak spodziewanego rezultatu. Szybki rzut oka na niezbyt zamożną klientelę i znudzony personel upewnił ich, że mogą rozmawiać bezpiecznie.

Ludzie jak zwykle omijali mundur Xaviera z daleka. Ściany jadalni drżały przy każdym wjeżdżającym na stację Friedrich Strasse pociągu.

– Nic więcej nie zamówiłeś? – zapytał Rudolf. – Tylko kawę? – Potrząsnął głową. – Czarna kawa, papierosy i whisky. Niezbyt zdrowa dieta. Teraz, kiedy się nad tym zastanawiam, nie wydaje mi się, żebyś od rozwodu z Klarą zjadł jakiś przyzwoity posiłek. – Postukał łyżeczką w jajko i zaczął zdejmować skorupkę.

Halder zmienił się z nas wszystkich najmniej, pomyślał March. Pod warstwą tłuszczu i oklapłymi mięśniami starzejącego się mężczyzny wciąż kołatał się duch niezgrabnego, wziętego wprost z uniwersytetu rekruta, który przed ponad dwudziestu laty wszedł na pokład U-174. Był radiooperatorem – wyjątkowo marnym, powołanym do służby na początku roku 1942, po bardzo krótkim szkoleniu, kiedy straty były najwyższe i Doenitz przeczesywał całe Niemcy w poszukiwaniu ludzi, którzy mogliby zastąpić wykruszające się załogi. Nosił podobnie jak teraz okulary w drucianych oprawkach i miał rzadkie, rude włosy, sterczące niesfornie z tyłu głowy. Podczas rejsu, kiedy większość marynarzy zapuściła brody, na policzkach i podbródku Rudolfa pojawiły się pomarańczowe kępki, które upodobniły go do liniejącego kota. Sam fakt, że pływał na łodziach podwodnych, był jakąś upiorną pomyłką, ironią losu. Miał dwie lewe ręce; z trudem udawało mu się wymienić korki. Natura nie obdarzyła go temperamentem marynarza, lecz naukowca; w trakcie każdego rejsu pocił się ze strachu i bez przerwy cierpiał na morską chorobę.

Mimo to był popularny. Załogi U-Bootów były przesądne i w jakiś sposób rozniosło się, że Rudi Halder przynosi szczęście. Opiekowali się nim zatem, kryjąc jego błędy i pozwalając wylegiwać się przez dodatkowe pół godziny w koi. Stał się dla nich kimś w rodzaju maskotki. Po wojnie, nie mogąc się nadziwić, że przeżył, Halder wznowił studia na wydziale historii uniwersytetu w Berlinie. W roku 1958 dołączył do grupy zatrudnionych przez Reichsarchiv naukowców, którym zlecono napisanie oficjalnej historii wojny. Zatoczył w pewnym sensie pełen krąg: spędzał teraz całe dnie w podziemnej salce, odtwarzając wielką strategię, której był kiedyś małym, przestraszonym pionkiem. W roku 1963 ukazała się „Wojna na morzu: działalność i taktyka U-Bootów w latach 1939–1943”. Teraz Rudi pomagał pisać trzeci tom historii walk na froncie wschodnim.

– Przypomina to fabrykę Volkswagena w Fallersleben – powiedział, biorąc do ust kawałek jajka. – Ja przykręcam koła, Jaeckel drzwi, a Schmidt montuje silnik.

– Ile to jeszcze potrwa?

– Chyba całą wieczność. Źródeł nam nie zabraknie. Źródła są niczym zbudowany ze słów Łuk Triumfalny, pamiętasz? Odnotowany jest każdy strzał, każda potyczka, każdy płatek śniegu, każde kichnięcie. Ktoś kiedyś pewnie napisze oficjalną historię pisania oficjalnych historii. Co do mnie, nie zamierzam przy tym siedzieć dłużej niż pięć lat.

– A potem?

Halder zdjął z krawata kawałek jajka.

– Katedra na jakimś małym uniwersytecie na południu. Domek na wsi, w którym zamieszkać razem z Ilse i dziećmi. Recenzowane z szacunkiem książki. Mam skromne ambicje. Ta praca, jeśli w ogóle czegoś cię uczy, to przeświadczenia o własnej śmiertelności. A skoro już o tym mowa... – Wyjął z wewnętrznej kieszeni kartkę papieru. – Z pozdrowieniami od Reichsarchiv.

Była to fotokopia jednej strony starego spisu partyjnych dygnitarzy. Cztery paszportowe zdjęcia ubranych po cywilnemu dygnitarzy, każde opatrzone krótkim biogramem. Brün, Brunner, Buch. I Buhler.

– Spis wyższych urzędników NSDAP – powiedział Halder. – Wydanie z roku pięćdziesiątego pierwszego.

– Znam je bardzo dobrze.

– Doborowe towarzystwo, prawda?

Wyłowili z Haweli Buhlera, nie było co do tego wątpliwości. Spoglądał na Marcha przez swoje pozbawione oprawek szkła, sztywny, bez poczucia humoru, z zaciśniętymi ustami. To była twarz biurokraty, twarz prawnika; twarz, którą człowiek ogląda tysiąc razy i nigdy nie jest jej w stanie opisać; rysy, które wydają się wyraziste, kiedy widzi się je na własne oczy, ale potem rozmazują się

w pamięci.

– Jak się zaraz przekonasz – kontynuował Halder – Buhler to prawdziwy wzór narodowosocjalistycznych cnót. Wstąpił do partii w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym drugim: trudno o większy powód do chwały. Pracował jako prawnik razem z Hansem Frankiem, osobistym adwokatem Führera. Zastępca przewodniczącego Akademii Niemieckiego Prawa.

– „W trzydziestym dziewiątym objął stanowisko sekretarza stanu w Generalnej Guberni” – przeczytał March. – „Brigadeführer SS”. Brigadeführer, na Boga! – Wyjął z kieszeni notes i zaczął notować.

– Ranga honorowa – wymamrotał z pełnymi ustami Halder. – Wątpię, czy kiedykolwiek oddał strzał na polu walki. Typowy urzędnik zza biurka. Kiedy w trzydziestym dziewiątym wysłano Franka, żeby rządził jako gubernator tym, co zostało z Polski, musiał zabrać ze sobą starego wspólnika z kancelarii. Buhler został u niego naczelnym biurokratą. Powinieneś spróbować trochę tej szynki. Wyśmienita.

March gryzmolił szybko w notesie.

– Jak długo Buhler był na Wschodzie?

– Chyba dwanaście lat. Sprawdziłem wydanie spisu z pięćdziesiątego drugiego. Buhlera już tam nie ma. Więc pięćdziesiąty pierwszy był jego ostatnim rokiem służby.

Xavier przestał pisać i postukał się piórem po zębach.

– Nie pogniewasz się, jeśli cię na chwilę opuszczę? W holu stała budka telefoniczna. Wykręcił numer centrali Kripo i podał telefonistce własny wewnętrzny.

– Jaeger – warknął głos w słuchawce.

– Słuchaj, Max. – March powtórzył mu, czego dowiedział się od Haldera. – W spisie mówią coś o żonie. – Przysunął kartkę do słabej, zamontowanej w budce żarówki i zmrużył oczy. – Nazywa się Edith Tulard. Możesz ją odnaleźć? Niech zidentyfikuje ciało.

– Ona nie żyje.

– Co?

– Zmarła ponad dziesięć lat temu. Sprawdziłem w archiwum SS. Nawet ci, którzy mają tylko stopień honorowy, muszą podać najbliższego krewnego. Buhler nie miał dzieci, ale odnalazłem jego siostrę. Jest wdową, ma siedemdziesiąt dwa lata i nazywa się Elizabeth Trinkl. Mieszka w Fürstenwalde. – Xavier znał Fürstenwalde: małe miasteczko, w odległości mniej więcej czterdziestu pięciu minut drogi na południowy wschód od Berlina. – Miejscowi gliniarze wiozą ją w tej chwili do kostnicy.

– Spotkamy się tam.

– Jeszcze jedno. Buhler miał dom w Schwanenwerder. To wyjaśniało miejsce znalezienia ciała.

– Dobra robota, Max – pochwalił wspólnika. Odwiesił słuchawkę i wrócił na salę.

Halder skończył tymczasem jeść. Widząc Marcha rzucił na stół serwetkę i wyprostował się na krześle.

– Śniadanie było wyśmienite. Teraz nie przeraża mnie już tak bardzo perspektywa przewertowania półtora tysiąca depeszy nadesłanych przez Pierwszą Armię Pancerną Kleista. – Zaczął dłubać w zębach. – Powinniśmy się częściej spotykać. Ilse zawsze mnie pyta: kiedy przyprowadzisz wreszcie do domu Zavięgo? – Pochylił się do przodu. – Posłuchaj: w archiwum pracuje u nas jedna babka. Zajmuje się historią Bund deutscher Mädel w Bawarii w latach 1935–1950. Rasowa sztuka. Mąż zaginął w zeszłym roku na froncie wschodnim. Biedny sukinsyn. Tak czy owak pasowalibyście do siebie. Co o tym myślisz? Moglibyśmy was oboje zaprosić. Powiedzmy w przyszłym tygodniu?

March uśmiechnął się.

– Jesteś bardzo miły.

– To nie jest odpowiedź.

– Masz rację. – Xavier dotknął ręką fotokopii. – Czy mogę to zatrzymać?

Rudi wzruszył ramionami.

– Czemu nie?

– Jeszcze jedna sprawa.

– Wal śmiało.

– Sekretarz stanu w Generalnej Guberni. Jaki był dokładnie zakres jego obowiązków?

Halder oparł ręce o stół. Dłonie miał upstrzone piegami, spod mankietów wystawały kręcone czerwonawosłote włoski.

– On i Frank mieli absolutną władzę. Robili, co chcieli. W tamtym czasie najważniejszą sprawą było przesiedlenie.

March napisał w notesie słowo „przesiedlenie” i zatoczył wokół niego kółko.

– W jaki sposób się to odbywało?

– Co to ma być? Seminarium? – Rudi ustawił przed sobą trzy talerzyki; dwa niniejsze po lewej stronie, większy po prawej. – To wszystko przed wojną była Polska. W trzydziestym dziewiątym zachodnie prowincje – stuknął dwa małe talerzyki – zostały przyłączone do Niemiec. Reichsgau Danzig-West Prussia i Reichsgau

Wartheland. – Odsunął na bok duży talerzyk. – A z tego utworzono Generalną Gubernię. Kadłubowe państwo. Dwie zachodnie prowincje zostały zgermanizowane. To nie jest moja działka, rozumiesz, ale widziałem kilka liczb. W tysiąc dziewięćset czterdziestym założyli, że na jeden kilometr kwadratowy ma przypadać stu Niemców. I dokonali tego w ciągu trzech lat. Niewiarygodna operacja, zważywszy na to, że wciąż przecież trwała wojna.

– Ilu ludzi w to zaangażowano?

– Milion. Biura eugeniczne SS odnajdywały Niemców w miejscach, o których by ci się nie śniło: w Rumunii, Bułgarii, Serbii, Chorwacji. Jeśli twoja czaszka miała odpowiednie rozmiary i pochodziła z odpowiedniej wioski, dostawałeś bilet.

– A Buhler?

– Cóż... Żeby zrobić miejsce dla miliona Niemców w nowych wschodnich prowincjach, trzeba było wywieźć stamtąd milion Polaków.

– I wywieziono ich do Generalnej Guberni?

Halder rozejrzał się ukradkiem, żeby sprawdzić, czy na pewno nikt ich nie podsłuchuje. Ten szybki rzut oka w lewo i w prawo ludzie nazywali „niemieckim spojrzeniem”.

– Mieli również na głowie Żydów wydalonych z Niemiec i terytoriów zachodnich: Francji, Holandii, Belgii.

– Żydów?

– Oczywiście. Nie musisz tak krzyżeć. – Rudi mówił tak cicho, że Xavier musiał pochylić się nad stolikiem, żeby go usłyszeć. – Możesz sobie wyobrazić: panował tam istny chaos. Przeludnienie. Głód. Choroby. Wbrew temu, co mówią, życie nadal nie jest tam usłane różami.

Co tydzień w gazetach i telewizji ukazywały się apele Ministerstwa do Spraw Wschodu zachęcające do przeniesienia się do Generalnej Guberni. „Niemcy! Weźcie to, co wam się należy! Farma – za darmo! Gwarantowany dochód przez pierwsze pięć lat”. Reklamy pokazywały szczęśliwych, opływających we wszelkie dostatki kolonistów. Ale z powrotem docierała też smutna prawda – o egzystencji, której wyznacznikami była nieurodzajna ziemia, wyczerpująca praca i ponure

osiedla, do których wszyscy Niemcy musieli wracać o zmroku w obawie przed atakami miejscowych partyzantów. Generalna Gubernia była gorsza niż Ukraina, gorsza niż Ostland, gorsza nawet niż okolice Moskwy.

Podszedł do nich kelner, proponując jeszcze jedną filiżankę kawy. March odprawił go skinieniem ręki.

– Frank rządził wszystkim z Krakowa, z zamku na Wawelu – podjął tym samym cichym tonem Halder, kiedy kelner znalazł się poza zasięgiem głosu. – Tam właśnie rezydował Buhler. Mam przyjaciela, który pracuje tam w państwowym archiwum. Boże, jakie on opowiada historie... Trudno uwierzyć, w jakie opływali luksusy. Prawdziwe rzymskie imperium. Obrazy, arras, biżuteria, skarby zagrabione z kościołów. Łapówki w gotówce i w naturze, jeśli rozumiesz, o co mi chodzi. – Na samą myśl o tym wszystkim w niebieskich oczach Rudiego zaświeciły się ogniki. Poruszał nerwowo brwiami.

– I Buhler maczał w tym wszystkim palce?

– Kto wie? Jeśli tego nie robił, musiał być naprawdę jedynym sprawiedliwym.

– To wyjaśnia, dlaczego ma dom w Schwanenwerder. Halder gwizdnął cicho.

– Sam widzisz. Prowadziliśmy tę wojnę nie tam, gdzie trzeba, przyjacielu. Zdychaliśmy zamknięci w śmierdzącej metalowej trumnie dwieście metrów pod powierzchnią Atlantyku, podczas gdy lepsi od nas mieszkali w śląskich zamkach, wylegując się na jedwabiu w towarzystwie kilku ponętnych Polek.

Xavier chętnie dowiedziałby się czegoś więcej, ale nie miał zbyt wiele czasu.

– Więc wpadniesz do mnie na kolację, żeby porozmawiać z tą babką z BDM? – zapytał go Halder, kiedy wychodzili.

– Pomyślę o tym.

– Może uda nam się namówić ją, żeby przyszła w mundurze – dodał Rudi. Kiedy tak stał przed hotelem, z rękoma wsuniętymi głęboko w kieszenie i dwukrotnie obwiązany wokół szyi długim szalikiem, jeszcze bardziej przypominał studenta. Nagle uderzył się otwartą dłonią w czoło. – Zupełnie zapomniałem! Miałem ci od razu powiedzieć. Ta moja pamięć... W zeszłym tygodniu pytało się o ciebie w archiwum kilku facetów z Sipo.

March poczuł, jak uśmiech zastyga mu na twarzy.

– Gestapo? Czego chcieli? – zapytał. Starał się, by jego głos zabrzmiał swobodnie, nonszalancko.

– Och, te same. pytania, co zwykle. Jak się zachowywał podczas wojny? Czy miał jakieś określone poglądy polityczne? Kim byli jego przyjaciele? Co się dzieje, Zavi? Szykuje ci się jakiś awans?

– Najwyraźniej. – Nie powinien się przejmować, mówił sobie. To na pewno tylko rutynowa akcja. Musi zapytać Maxa, czy nie słyszał o jakiejś nowej lustracji.

– Mam nadzieję, że kiedy zostaniesz szefem Kripo, nie zapomnisz o starych przyjaciółkach.

Mardi roześmiał się.

– Nie zapomnę. – Uścisnęli sobie dłonie. – Zastanawiam się, czy Buhler miał jakichś wrogów – rzucił, kiedy się rozchodzili.

– Z całą pewnością – odparł Halder. – I to wielu.

– Kogo masz na myśli? Rudi wzruszył ramionami.

– Na przykład trzydzieści milionów Polaków.

Na drugim piętrze komendy przy Werderscher Markt nie było nikogo oprócz polskiej

sprzątaczkę. Kiedy March wyszedł z windy, odwrócona była do niego plecami. Widział tylko potężny tyłek oparty o podeszwy czarnych kaloszy i czerwoną szarfę na włosach, które kołysały się, kiedy szorowała podłogę. Polka śpiewała cicho w swoim ojczystym języku. Słyszając, że się zbliża, umilkła i obróciła głowę do ściany. Prześlizgnął się obok niej i wszedł do swego gabinetu. Zamknąwszy drzwi, usłyszał, że znowu zaczęła śpiewać.

Nie było jeszcze dziewiątej. Powiesił czapkę przy drzwiach i rozpiął guziki munduru. Na jego biurku leżała duża brązowa koperta. Otworzył ją i wytrząsnął na blat zawartość. Fotografie z miejsca, gdzie odnaleziono topielca. Błyszczące kolorowe zdjęcia. Buhler wyglądał na nich niczym wylegujący się na brzegu jeziora plażowicz.

Zdjął ze szczytu szafki z aktami staroświecką maszynę do pisania i postawił ją na biurku. Z drucianego koszyka wziął dwie mocno zużyte kalki, dwa arkusze lichego papieru i jeden formularz, używany do pisania raportu. Ułożył je w odpowiedniej kolejności, wkręcił do maszyny, po czym zapalił papierosa i przez kilka minut wpatrywał się w zwiędły storczyk.

W końcu zaczął pisać.

Do: Szefa VB3(a)

15.04.64

Dotyczy: nie zidentyfikowanego ciała płci męskiej

Od: Sturmbannführera SS X. Marcha

Pragnę zameldować, co następuje:

1. O godzinie 6.28 w dniu wczorajszym polecono mi asystować przy wyłowieniu topielca z Haweli. Zwłoki zostały odkryte o godzinie 6.02 przez SS-Schütze Hermanna Josta, który zawiadomił o tym fakcie Ordnungspolizei (zeznanie w załączeniu).

2. Nie zgłoszono zaginięcia żadnego mężczyzny, który odpowiadałby rysopisowi zmarłego. W związku z tym pobrałem w celu sprawdzenia w kartotece jego odciski palców.

3. Umożliwiło to identyfikację zmarłego jako doktora Josefa Buhlera, członka partii w randze Brigadeführera SS. W latach 1939–1951 zmarły pełnił służbę w Generalnej Guberni na stanowisku sekretarza stanu.

4. Przeprowadzone na miejscu przez Sturmbannführera SS, doktora Augusta Eislera, wstępne oględziny zwłok wykazały, że przyczyną śmierci było prawdopodobnie utonięcie i że nastąpiła ona w nocy 13 kwietnia.

5. Zmarły mieszkał w Schwanenwerder, niedaleko miejsca, w którym odnaleziono jego zwłoki.

6. Nie stwierdziłem żadnych podejrzanych okoliczności.

7. Dokładna sekcja zwłok zostanie przeprowadzona po formalnym rozpoznaniu zwłok przez najbliższego krewnego.

Wyciągnął raport z maszyny, podpisał go i wychodząc z komendy oddał gońcowi w holu.

Starsza kobieta siedziała wyprostowana na drewnianej ławce. Ubrana w brązowy tweedowy kostium, porządne brązowe buty, szare wełniane pończochy i brązowy kapelusz z opadającym piórem, patrzyła prosto przed siebie, ściskając w dłoniach torebkę i nie zwracając najmniejszej uwagi na pielęgniarki, policjantów i pogrążonych w żałobie krewnych, którzy kręcili się po korytarzu kostnicy przy Seydel Strasse. Obok niej siedział, wyciągnąwszy przed siebie nogi, Max Jaeger. Miał skrzyżowane na piersi ręce i znudzoną minę. Zobaczywszy Marcha, odciągnął go na stronę.

– Czeka tutaj od dziesięciu minut. Prawie się nie odezwała.

– Jest w szoku.

– Tak mi się wydaje.

– Załatwmy to szybko.

March usiadł obok niej na ławce. Nadal wpatrywała się prosto przed siebie.

– Frau Trinkl – powiedział cicho. – Nazywani się March. Jestem inspektorem berlińskiej

Kriminalpolizei. Musimy sporządzić raport na temat śmierci pani brata i chcemy, żeby zidentyfikowała pani ciało. Potem odwieziemy panią do domu. Rozumie pani?

Dopiero teraz Frau Trinkl obróciła się w jego stronę. Miała wąską twarz, wąski nos (nos Buhlera) i wąskie usta. Plisowaną purpurową bluzkę spinała tuż przy kościstym gardle broszka z kameą.

– Rozumie pani? – powtórzył.

Spojrzała na niego jasnoszarymi, zaczerwienionymi od płaczu oczyma.

– Doskonale – odparła oschłym głosem.

Przeszli korytarzem do małej, pozbawionej okien sali recepcyjnej. Ściany pomalowane były tutaj na zielono, podłoga wyłożona klepką. Chcąc ożywić ponurą atmosferę ktoś przykleił do ścian plakaty Deutsche Reichsbahn Gesellschaft: nocny widok na Wielki Pałac Rzeszy, muzeum Führera w Linzu, Starnberger See w Bawarii. Po czwartym plakacie zostały przypominające dziury po pociskach wyrwy w tynku.

Stukot kół zapowiedział zbliżanie się ciała. Wtoczono je do środka na metalowym, przykrytym prześcieradłem wózku. Dwaj pielęgniarze w białych fartuchach zatrzymali wózek pośrodku sali – zimny bufet czekający na gości. Jaeger zamknął drzwi.

– Jest pani gotowa? – zapytał March. Kiwnęła głową. Odwinął prześcieradło, a Frau Trinkl stanęła przy jego ramieniu. Kiedy pochylała się do przodu, w twarz uderzył go silny zapach miętowych dropsów i perfum zmieszanych z kamforą – zapach starej kobiety. Wpatrywała się przez dłuższą chwilę w twarz zmarłego, a potem otworzyła usta, jakby chciała coś powiedzieć, ale wydarło się z nich tylko westchnienie. Zamknęła oczy. March złapał ją, kiedy osuwała się na podłogę.

*

– To on – powiedziała. – Nie widziałam go od dziesięciu lat i od tego czasu utył, a poza tym od czasu kiedy był małym chłopcem, nigdy nie oglądałam go bez okularów. Ale to on.

Siedziała na krześle pod plakatem przedstawiającym muzeum Führera w Linzu, pochylona do przodu, z łokciami wspartymi o kolana. Kapelusz spadł jej z głowy. Twarz zasłaniały kosmyki siwych włosów. Ciało odwieziono z powrotem.

Drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Jaeger ze szklanką wody, którą wcisnął w kościstą dłoń.

– Niech pani to wypije.

Przez chwilę trzymała szklankę przed sobą, a potem przytknęła ją do ust i wypiała łyk.

– Nie zemdlałam jeszcze nigdy w życiu – stwierdziła zdecydowanym głosem. – Nigdy.

Stojący za nią Max zrobił głupią minę.

– Oczywiście – zgodził się March. – Chcę pani zadać kilka pytań. Czy czuje się pani na siłach? Proszę mi powiedzieć, jeśli poczuje się pani zmęczona. – Wyjął notes. – Dlaczego nie widziała się pani z bratem przez ostatnie dziesięć lat?

– Po śmierci Edith... jego żony... nic nas już nie łączyło. Nigdy zresztą nie byliśmy ze sobą blisko związani. Byłam od niego osiem lat starsza.

– Jego żona zmarła dosyć dawno? Starsza pani przez chwilę się namyślała.

– Chyba w pięćdziesiątym trzecim. W zimie. Na raka.

– I od tamtej pory nie miała pani od niego żadnej wiadomości? Czy mieliście jeszcze jakieś rodzeństwo?

– Nie. Była nas tylko dwójka. Czasami pisał do mnie. Dwa tygodnie temu dostałam od niego list z okazji urodzin. – Pogrzebała w torebce i wyjęła z niej pojedynczy kremowy arkusik – na sztywnym, porządnym papierze widniał wytłoczony jako nagłówek kontur domu w Schwanenwerder. Kaligraficznym pismem skreślonych było kilka oficjalnych słów: „Droga siostrzo! Heil Hitler! Przesyłam ci pozdrowienia z okazji urodzin. Mam szczerą nadzieję, że cieszysz się dobrym zdrowiem podobnie jak ja. Josef". March złożył list z powrotem i oddał go Frau Trinkl. Nic dziwnego, że nikt nie zauważył jego zniknięcia.

– Czy w innych listach wspominał o czymś, co go niepokoiło?

– Co mogłoby go niepokoić? – odparła zniecierpliwiona. – Podczas wojny Edith odziedziczyła fortunę. Mieli pieniądze. Żył jak prawdziwy pan. Może mi pan wierzyć.

– Nie mieli dzieci?

– Był bezpłodny. – Powiedziała to bezbarwnym głosem, tak jakby opisywała kolor jego włosów. – Edith była taka nieszczęśliwa... Myślę, że to właśnie ją zabiło. Siedziała sama w tym wielkim domu... to był rak, który zżerał jej duszę. Uwielbiała muzykę; pięknie grała na fortepianie. Mieli bechsteina, dobrze pamiętam. A on... on był takim zimnym człowiekiem.

Stojący po drugiej stronie pokoju Jaeger chrząknął głośno.

– Nie myślała pani zatem o nim zbyt wiele? – zapytał.

– Nie. Niewielu ludzi o nim myślało. Jestem wdową od dwudziestu czterech lat – dodała, zwracając się ponownie do Xaviera. – Mój mąż był nawigatorem w Luftwaffe, zestrzelono go nad Francją. Nie zostawiono mnie bez środków do życia... nie mogę powiedzieć. Ale renta... to bardzo mało dla kogoś, kto przyzwyczał się żyć na trochę wyższym poziomie. W ciągu tych wszystkich lat Josef ani razu mi nie pomógł.

– A noga? – odezwał się ponownie napastliwym tonem Max. W rodzinnym sporze najwyraźniej postanowił wziąć stronę Buhlera. – Co się z nią stało? – Ze sposobu, w jaki zadał pytanie, ktoś mógłby wnosić, że ją ukradła.

Starsza pani zignorowała go.

– Sam nigdy o tym nie mówił – odparła, zwracając się do Marcha – ale Edith opowiedziała mi całą historię. Zdarzyło się to w roku 1951, kiedy był jeszcze w Generalnej Guberni. Jechał w towarzystwie eskorty drogą z Krakowa do Katowic. Jego samochód wpadł na minę założoną przez polskich partyzantów. Kierowca zginął na miejscu. Josef miał szczęście, że stracił tylko stopę. Po tym wypadku zrezygnował ze służby państwowej.

– A mimo to pływał? – zapytał, podnosząc wzrok znad swoich notatek, Xavier. – Wie pani, że kiedy go odnaleźliśmy, miał na sobie kąpielówki?

Uśmiechnęła się słabo.

– Mój brat był fanatykiem we wszystkim, Herr March, nieważne, czy chodziło o sprawy polityki czy zdrowia. Nie palił, nigdy nie wypił kropli alkoholu i codziennie ćwiczył mimo swego... inwalidztwa. Zatem nie; nie jestem w najmniejszym stopniu zaskoczona tym, że pływał. – Odstawiła szklankę i podniosła kapelusz. – Chciałabym, jeśli można, wrócić już do domu.

March wstał i podał Frau Trinkl rękę, pomagając jej podnieść się z krzesła.

– Co robił doktor Buhler po roku 1951? Miał wtedy dopiero ile?... pięćdziesiąt lat?

– To dziwna rzecz. – Otworzyła torebkę i wyjęła z niej małe lustro. Poprawiła kapelusz i nerwowymi drżącymi ruchami palców odsunęła na bok zabłąkane kosmyki włosów. – Przed wojną był taki ambitny. Mógł pracować po osiemnaście godzin przez siedem dni w tygodniu. Ale po wyjeździe z Krakowa poddał się. Nigdy już nie wrócił do praktyki adwokackiej. Przez ponad dziesięć lat po śmierci biednej Edith siedział po prostu sam w tym wielkim domu i nic nie robił.

Dwa piętra niżej, w podziemiach kostnicy, SS-Arzt August Eisler z departamentu medycyny sądowej przystąpił z typowym dla niego upodobaniem i brakiem taktu do sekcji. Korpus Buhlera został otwarty w standardowy sposób: nacięciem w kształcie litery „Y”, biegnącym od każdego z ramion do jamy brzusznej, a potem prosto w dół do kości łonowej. Teraz doktor trzymał ręce głęboko w jamie brzusznej, przekręcając, tnąc i wyciągając. Zielone rękawice lśniły od krwi. March i Jaeger stali oparci o ścianę, tuż przy otwartych drzwiach, zaciągając się chciwie cygarami Jaegera.

– Widzieliście, co nasz klient jadł na lunch? – zapytał Eisler. – Pokaż im, Eck.

Asystent doktora wytarł ręce o fartuch i podniósł w górę przezroczystą plastikową torbę. Na dnie widać było coś małego i zielonego.

– Sałata. Trawi się bardzo powoli. Całymi godzinami tkwi w jelitach.

March pracował już wcześniej z Eislerem. Przed dwoma laty, kiedy zasy zablokowały Unter den Linden, a na Tegeler See rozgrywano zawody łyżwiarskie, ze Szprewy wyciągnięto prawie zamrożonego szypra barki nazwiskiem Kempf. Zmarł w ambulansie, w drodze do szpitala. Wypadek czy morderstwo? Odpowiedź na to pytanie zależała od dokładnego ustalenia czasu, kiedy wpadł do wody. Spoglądając na lód, którym rzeka ścięta była zaledwie dwa metry od brzegu, March doszedł do wniosku, że zmarły mógł przeżyć w wodzie najwyżej piętnaście minut. Eisler twierdził, że czterdzieści pięć. I do jego stanowiska przychylił się prokurator. To wystarczyło, żeby podważyć alibi drugiego mata i powiesić go.

Po procesie prokurator – porządny facet jeszcze ze starej szkoły – wezwał do swego gabinetu Marcha i zamknął drzwi na klucz. A potem pokazał mu „dowody rzeczowe” Eislera: kopie dokumentów opatrzone pieczęcią geheime Reichssache – ściśle tajne akta państwowe – i sporządzonych w Dachau w roku 1942. Dotyczyły prowadzonych w niskich temperaturach eksperymentów, którym na zlecenie Naczelnego Lekarza SS poddawano skazanych na śmierć więźniów. Skuwano ich kajdankami, zanurzano w zbiornikach lodowatej wody i wyciągano co jakiś czas, żeby zmierzyć temperaturę ciała. Trwało to tak długo, aż umarli. W aktach były fotografie wystających spomiędzy pływających kawałków lodu głów, były wykresy obrazujące ubytek ciepłoty ciała, przewidywany i rzeczywisty. Eksperymenty trwały dwa lata i prowadzone były między innymi przez młodego Untersturmführera Augusta Eislera. Tej nocy March i prokurator poszli razem do baru w Kreuzbergu i obaj upili się do nieprzytomności. Nigdy później ze sobą nie rozmawiali.

– Jeśli spodziewasz się, że wystąpię z jakąś fantastyczną teorią, March, zapomnij o tym.

– Nigdy bym się po tobie czegoś takiego nie spodziewał. Jaeger roześmiał się.

– Ani ja – dodał. Doktor zignorował przytyk.

– Przyczyną śmierci było utonięcie, nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Płuca wypełnione są wodą, więc musiał oddychać, kiedy poszedł na dno.

– Żadnych ran? – zapytał Xavier. – Zadrapań?

– Chcesz podejść tutaj i dokończyć za mnie robotę? Nie? Więc uwierz mi: facet utonął. Nie ma żadnych kontuzji głowy, które wskazywałyby na to, że został uderzony albo trzymany pod powierzchnią wody.

– Zawał serca? Jakiś atak?

– Istnieje taka możliwość – przyznał Eisler. Eck podał mu skalpel. – Nie dowiemy się, dopóki nie doprowadzę do końca badania organów wewnętrznych.

– Ile to jeszcze zajmie?

– Tyle, ile będzie trzeba.

Doktor ustawił się za głową Buhlera. Delikatnym ruchem, tak jakby chciał uśmierzyć gorączkę,

zgarnął mu z czoła włosy. A potem pochylił się nisko, wbił skalpel w lewą skroń i zatoczył nim krąg wokół czoła, tuż poniżej linii włosów. Rozległ się zgrzyt sunącego po kości metalu. Eck wyszczerzył do nich zęby. Xavier zaciągnął się mocniej dymem z cygara.

Eisler odłożył skalpel na metalową tackę. Pochylił się ponownie i wsadził w głębokie nacięcie palce wskazujące obu rąk. Stopniowo odciągnął do tyłu skalp. March odwrócił głowę na bok i zamknął oczy. Modlił się, żeby ciało nikogo, kogo kochał, lubił albo nawet luźno znał, nie zostało zbezczeszczone podczas krwawej jatki, noszącej nazwę sekcji zwłok.

– No i co? – zapytał Jaeger.

Doktor wziął do ręki małą obrotową piłę wielkości dłoni. Zawyla niczym dentystyczny świder.

March zaciągnął się po raz ostatni cygarem.

– Myślę, że powinniśmy się stąd wynosić – powiedział. Wyszli na korytarz. Za nimi niósł się charakterystyczny, coraz niższy jazgot wgrzyzającej się w kość piły.

2

Pół godziny później Xavier March siedział za kierownicą należącego do Kripo volkswagena, jadąc krętą drogą wysoko nad jeziorem. Czasami widok zasłaniały drzewa, ale po minięciu kolejnego zakrętu las przerzedzał się nagle i znowu rozciągała się przed nim tafla wody, skrząca się w kwietniowym słońcu niczym rozsypane na tacy brylanty. Sunęły po niej dwa białe trójkąty żagli – połyskujące na niebieskim tle dziecinne wycinanki.

Odkręcił szybę i wystawił łokieć za okno, pozwalając, by wiatr wydał rękaw munduru. Po obu stronach Havelchaussee nagie gałęzie drzew pokryły się już pierwszą wiosenną zielenią. Za miesiąc drogę zablokują samochody uciekających z miasta berlińczyków: przyjadą tu na żagle, wykapać się albo po prostu poopalać na jednej z wielkich publicznych plaż. Ale dzisiaj w powietrzu wisiał jeszcze chłód i bliskie wspomnienie zimy – dzięki temu March miał całą drogę dla siebie. Za wzniesioną z czerwonej cegły wieżą Kaisera Wilhelma szosa zaczęła opadać w dół i po chwili zrównała się z poziomem jeziora.

Po dziesięciu minutach dotarł do miejsca, gdzie odnaleziono ciało. Przy pięknej pogodzie wyglądało zupełnie inaczej. Turyści często je odwiedzali; znajdujący się tutaj punkt widokowy ochrzczono mianem Grosse Fenster: Wielkiego Okna. Tam gdzie jeszcze wczoraj kłębiły się szare chmury, dzisiaj rozciągał się wspaniały widok na ośmiokilometrową, sięgającą aż do Spandau taflę jeziora.

Xavier zaparkował samochód i zbadał trasę, którą przebiegł poprzedniego dnia Jost. Prowadząca przez las ścieżka skręcała nagle ostro w prawo i biegła wzdłuż jeziora. Przeszedł się nią po raz drugi i trzeci, a potem wsiadł usatysfakcjonowany do samochodu i ruszył, mijając niski mostek, w stronę Schwanenwerder. Drogę blokował pomalowany w białe i czerwone pasy szlaban. Z małej budki wynurzył się wartownik z notesem i przewieszonym przez ramię karabinem.

– Dowód, proszę.

March wręczył mu przez otwarte okno legitymację Kripo. Wartownik przyjrzał się jej dokładnie. Oddając legitymację zasalutował.

– Może pan jechać, Herr Sturmbannführer.

– Jaka jest tutaj procedura?

– Zatrzymujemy każdy samochód. Sprawdzamy papiery i pytamy gości, komu chcą złożyć wizytę. Kiedy wydają się podejrzani, dzwoniemy do mieszkańców i pytamy, czy rzeczywiście kogoś się spodziewają. Czasami przeszukujemy samochód. Zwłaszcza jeśli na wyspie jest Reichsminister.

– Prowadzicie jakiś rejestr gości?

– Tak jest, Herr Sturmbannführer.

– Bądźcie tak dobrzy i zajrzyjcie, czy w poniedziałek wieczorem ktoś nie złożył wizyty doktorowi Josefowi Buhlerowi.

Wartownik poprawił na ramieniu karabin i wrócił do budki. March widział, jak przewraca kartki rejestru. Po chwili pojawił się z powrotem i potrząsnął głową.

– Nikt nie odwiedzał doktora Buhlera.

– Czy w ogóle nie opuszczał wyspy?

– Nie prowadzimy rejestru dotyczącego mieszkańców, Herr Sturmbannführer. Kontrolujemy wyłącznie gości. I tylko przy wjeździe, nigdy przy wyjeździe.

– W porządku. – March ominął wzrokiem wartownika i zerknął na jezioro. Nisko nad wodą krążyło hałasując stado mew. Przy nabrzeżu stało przycumowanych kilka jachtów. Słyszał klekotanie poruszanych wiatrem masztów. – A wybrzeże wyspy? – zapytał. – Czy jest strzeżone?

Wartownik kiwnął głową.

– Policja rzeczna wysyła tutaj co kilka godzin patrol. Ale w większości domów jest tyle psów i syren, że można by upilnować za ich pomocą cały kacet. My trzymamy z daleka tylko gapiów.

KZ. Kacet. Łatwiej wymówić to słowo niż długie Konzentrationslager. Obóz koncentracyjny.

W oddali rozległ się warkot potężnych silników. Wartownik spojrzał na drogę biegnącą w stronę wyspy.

– Chwileczkę, Herr Sturmbannführer.

Zza zakrętu wynurzyło się, jadąc z dużą szybkością na zapalonych światłach, szare BMW, za którym pędził długi czarny mercedes i kolejne BMW. Wartownik dał krok do tyłu, nacisnął podnoszący szlaban elektryczny przycisk i zasałutował. Kiedy konwój przejeżdżał obok nich, March zobaczył przez chwilę pasażerów mercedesa: młodą piękną kobietę z krótko ostrzyżonymi blond włosami – prawdopodobnie aktorkę lub modelkę – i sztywno wyprostowanego, zasuszonego starca o charakterystycznym szczurzym profilu. Samochody popędziły z rykiem w stronę miasta.

– Czy zawsze tak szybko podróżuje? – zapytał March. Wartownik posłał mu znaczące spojrzenie.

– Reichsminister prowadził zdjęcia próbne. Frau Goebbels ma wrócić dopiero w porze lunchu.

– Aha. Wszystko jasne. – March przekręcił kluczyk w stacyjce i volkswagen zapalił. – Czy ktoś poinformował was o śmierci doktora Buhlera?

– Nie, Herr Sturmbannführer. – Wartownik nie zdradzał śladu zainteresowania. – Kiedy to się stało?

– W poniedziałek w nocy. Woda wyrzuciła jego ciało kilkaset metrów stąd.

– Słyszałem, że znaleźli jakieś ciało.

– Jakim był człowiekiem?

– Prawie go nie widywałem, Herr Sturmbannführer. Rzadko kiedy wyjeżdżał. Żadnych gości. Nigdy się nie odzywał. Ale prawdę mówiąc, wielu z nich tak kończy.

– Który to dom?

– Nie może go pan nie zauważyć. Stoi po wschodniej stronie wyspy. Dwie wysokie wieże. To jedna z największych rezydencji.

– Dziękuję.

Jadąc groblą Xavier zerknął w lusterko. Wartownik patrzył w ślad za nim przez kilka sekund, a potem ponownie poprawił karabin, obrócił się i ruszył powoli z powrotem do swojej budki.

Wyspa była niewielka, miała mniej niż kilometr długości i pół kilometra szerokości;

jednokierunkowa, zbliżona kształtem do pętli droga biegła przez nią zgodnie z ruchem wskazówek zegara. Żeby dotrzeć do posiadłości Buhlera, March musiał pokonać trzy czwarte jej długości. Jechał ostrożnie, zatrzymując się prawie za każdym razem, kiedy po lewej stronie ukazywały się zarysy kolejnego domu.

Nazwę Schwanenwerder zawdzięczała wyspa słynnym koloniom łabędzi, które osiedliły się przy południowym brzegu Haweli. Stała się modna u schyłku poprzedniego stulecia. Większość rezydencji pochodziła właśnie z tego okresu: długie podjazdy, rozległe trawniki i duże wille o spadzistych dachach i kamiennych, utrzymanych we francuskim stylu fasadach. Wszystko skryte przed oczyma ciekawskich za wysokimi murami i drzewami. W pewnym miejscu stał przy drodze pasujący tu jak pięść do nosa fragment zburzonego pałacu Tuileries – kolumna i część haku, przywiezione w epoce wilhelmińskiej z Paryża przez dawno już zmarłego biznesmena. Wszędzie panował kompletny bezruch. Mijając kolejne bramy Xavier tylko czasem widział pilnującego posiadłości psa; raz dojrzał zgarniającego liście ogrodnika. Właściciele albo nie było w domu, albo nie dawali znaku życia.

Niektórych mieszkańców wyspy March znał ze słyszenia: oprócz partyjnych bonzów mieszkali tu między innymi producent broni, szef firmy budującej wielkie autostrady na Wschodzie, motoryzacyjny magnat, który dorobił się na niewolniczej pracy zaraz po wojnie, a także dyrektor skonfiskowanego przed ponad trzydziestu laty żydowskim właścicielom, stojącego przy Potsdamer Platz wielkiego domu towarowego Wertheim. Xavier zastanawiał się przez chwilę, w jaki sposób Buhler dostał się w towarzystwo takich bogaczy, ale potem przypomniał sobie słowa Haldera: prawdziwe rzymskie imperium...

– KP siedemnaście, tu centrala. KP siedemnaście, zgłoś się! – odezwał się w samochodzie natarczywy kobiecy głos. March wyjął ukryty pod tablicą rozdzielczą radiotelefon.

– Zgłasza się KP siedemnaście. O co chodzi?

– KP siedemnaście, mam na linii Sturmbannführera Jaegera.

Podjeżdżał właśnie do bramy posiadłości Buhlera. Przez metalową kratę widać było kolisty żółty podjazd i dwie wieże – dokładnie tak, jak to opisał strażnik.

– Mówiłeś, że będziemy mieli kłopoty – huknął Max – i wykrakałeś.

– Co się stało?

– Nie minęło nawet dziesięć minut od mojego powrotu, kiedy złożyło mi wizytę dwóch naszych wielce szanownych kolegów z Gestapo. Ze względu na zajmowane przez towarzysza Buhlera wysokie stanowisko, ple ple ple, sprawa przechodzi w gestię organów bezpieczeństwa.

Xavier uderzył ręką w kierownicę.

– Cholera!

– Wszystkie dokumenty mają zostać przekazane Sipo. Przydzieleni do sprawy inspektorzy mają sporządzić raport na temat tego, co udało im się do tej pory ustalić. Prowadzone przez Kripo dochodzenie zamyka się ze skutkiem natychmiastowym.

– Kiedy to się stało?

– Właśnie w tej chwili. Siedzą u mnie w pokoju.

– Powiedziałeś im, gdzie jestem?

– Oczywiście, że nie. Pozostawiłem to ich inteligencji. Powiedziałem tylko, że spróbuję cię znaleźć. – Głos Jaegera ścichł nieco. March

domyślił się, że obraca się tyłem do telefonistki. – Słuchaj, Zavi. Wolałbym, żebyś nie strugał bohatera. Oni traktują to bardzo serio, wierz mi. Za kilka minut na Schwanenwerder zaroi się od Gestapo.

March przyjrzał się rezydencji. Za bramą nie widać było żadnego ruchu, willa sprawiała

wrażenie zupełnie opuszczonej. Do diabła z Gestapo.

Podjął decyzję.

– Przykro mi, ale w ogóle cię nie słyszę, Max – rzucił do radiotelefonu. – Są jakieś zakłócenia na linii. Nie zrozumiałem ani słowa z tego, co mówiłeś. Zgłoś awarię radia. Wyłączam się – dodał i przekręcił gałkę odbiornika.

Jadąc tutaj, jakieś pięćdziesiąt metrów przed domem minął po prawej stronie szlaban, zamykający wjazd na polną drogę, która wiodła w głąb rosnącego w środku wyspy lasu. Teraz wrzucił tylny bieg i szybko się cofnął. Zaparkował przed szlabanem, wysiadł z samochodu i ruszył truchtem w stronę bramy. Nie miał zbyt wiele czasu.

Brama była zamknięta. Mógł się tego spodziewać. Zamontowany półtora metra nad ziemią metalowy zamek sprawiał wrażenie solidnego. Xavier oparł o niego stopę i dźwignął się w górę. Na szczycie bramy osadzone były co trzydzieści centymetrów żelazne szpikulce. Złapał dwa z nich, podciągnął się w górę i przerzucił lewą nogę na drugą stronę. Rzykowny proceder. Przez moment siedział, łapiąc powietrze, na szczycie, a potem zeskoczył na wysypaną żwirem alejkę.

Dziwnie zaprojektowany, duży dwupiętrowy dom kryty był spadzistym ciemnobłękitnym dachem. Po lewej stronie stały dwie, połączone z głównym korpusem budynku kamienne wieże. Pierwsze piętro obiegała kamienna balustrada wspartego na kolumnadzie tarasu. Między kolumnami, w połowie skryte w cieniu, znajdowało się główne wejście. March ruszył w jego stronę. Po obu stronach alejki rosły nie przycinane od dawna buki i jodły. Pobocze było zarośnięte zielskiem, po trawniku hulały nie sprzątnięte od zimy zeschnięte liście.

Wszedł między kolumny. Pierwsza niespodzianka. Drzwi nie były zamknięte.

Przystanął w holu i rozejrzał się dookoła. Po prawej stronie znajdowały się dębowe schody, po lewej dwoje drzwi. Wprost przed sobą widział ciemny korytarz, prowadzący, jak się domyślał, do kuchni.

Nacisnął klamkę pierwszych drzwi. Mieściła się za nimi wyłożona boazerią jadalnia. Długi stół i dwanaście rzeźbionych krzeseł z wysokimi oparciami. W chłodnym powietrzu unosił się zapach stęchlizny.

Następne drzwi prowadziły do bawialni. March sporządzał w myśli inwentarz. Wyfroterowana, kryta dywanami klepka. Ciężkie, wyściełane grubym brokatem meble. Na ścianach wisiały gobeliny – Xavierowi wydawały się dużo warte, choć nie był w tej dziedzinie żadnym ekspertem. Przy oknie duży fortepian, na którym stały dwie fotografie. Obrócił jedną z nich do światła przebijającego się słabo przez zakurzone, jakby ołowiane szyby. Na grubej srebrnej ramce wryty był na dole motyw swastyki. Zdjęcie przedstawiało Buhlera i jego żonę w dniu ich ślubu. Schodzili po schodach, środkiem szpaleru esamanów, którzy trzymali nad młodą parą dębowe gałązki. Buhler również ubrany był w mundur SA. Jego żona miała kwiaty we włosach i była – żeby użyć ulubionego określenia Jaegera – brzydka jak żaba. Żadne z nich się nie uśmiechało.

March podniósł drugą fotografię i poczuł, jak żołądek podnosi mu się do gardła. Na tym zdjęciu również widniał Buhler, tym razem lekko pochylony i z nabożeństwem ściskający dłoń pewnej osoby. Mężczyzna, będący przedmiotem hołdu, obrócony był półprofilem w stronę aparatu, tak jakby w środku powitania jego uwagę oderwało coś, co działo się za ramieniem fotografa. Niżej umieszczony był podpis. Xavier potarł palcem zabrudzone szkło, żeby odcyfrować niewyraźne kulfony. „Partyjnemu towarzyszowi Buhlerowi – przeczytał. – Adolf Hitler. 17 maja 1945”.

Nagle usłyszał hałas. Coś jakby kopanie w drzwi, a potem skowyt. Odstawił fotografię i wrócił do holu. Hałas dochodził z końca korytarza.

Wyciągnął pistolet i ruszył ostrożnie przed siebie. Tak jak podejrzewał, korytarz prowadził do

kuchni. Hałas rozległ się ponownie. Pisk strachu i dudnienie nóg. W powietrzu unosił się nieprzyjemny odór.

Po drugiej stronie kuchni były drzwi. March nacisnął klamkę i gwałtownie otworzył je na oścież. Z ciemności skoczyło na niego coś wielkiego. To był pies – z założonym kagańcem i szeroko otwartymi z przerażenia ślepiami. Przeturlał się po podłodze, a potem popędził przez korytarz i wyskoczył przez otwarte drzwi na zewnątrz. Podłoga spiżarni pokryta była odchodami i żywnością, którą pies zrzucił z półek, ale której nie był w stanie napocząć.

Xavier chętnie odczekałby teraz kilka minut, żeby ochłonąć, ale nie miał na to czasu. Schował lugera i szybko zbadał kuchnię. Kilka tłustych plam w zlewie. Na stole prawie pusta butelka wódki, obok niej szklanka. Zamknięte na klucz drzwi do piwnicy; postanowił ich nie wyważać. Wrócił do holu i wszedł po schodach na górę. Sypialnie, łazienki – wszędzie panowała ta sama atmosfera wyświechtanego zbytku i zaniedbania. I wszędzie, co zauważył, wisiały obrazy – pejzaże, religijne alegorie, portrety – w większości pokryte grubą warstwą kurzu. Od kilku miesięcy, może od roku, nikt nie robił tu porządków.

Pokój, w którym musiał się mieścić gabinet Buhlera, znajdował się na najwyższym piętrze jednej z wież. Półki zastawione kodeksami, monografiami i podręcznikami prawa. Duże biurko z obrotowym krzesłem stojące obok okna, z którego rozciągał się widok na trawnik z tyłu domu. Długa, nosząca ślady częstego używania sofa i leżące obok złożone koce. Kolejne fotografie. Buhler w mundurze SS. Buhler siedzący w pierwszym rzędzie jakiejś sali koncertowej, razem z grupą partyjnych dygnitarzy, wśród których March rozpoznał Hansa Franka. Wszystkie zdjęcia zrobione były przed co najmniej dwudziestu laty.

Xavier usiadł przy biurku i wyjrzał przez okno. Trawnik biegł w dół aż do brzegu Haweli. Przy niewielkim pomoście przycumowany był mały jacht; dalej rozciągał się swobodny widok na jezioro aż do przeciwnego brzegu. Daleko widać było sunący po Haweli prom, który kursował między Kładów i Wannsee.

Skupił uwagę na biurku. Bibularz. Ciężki mosiężny kałamarz. Aparat telefoniczny. Wyciągnął w jego stronę rękę.

W tej samej chwili telefon zadzwonił.

Ręka Marcha zamarła w bezruchu. Jeden dzwonek. Drugi. Trzeci.

W panującej w domu ciszy dźwięk wydawał się rozdzierać bębrenki; kurz wibrował w powietrzu. Czwarty dzwonek. Piąty. Zacisnął palce na ebonicie. Szósty. Siódmy. Podniósł słuchawkę z widełek.

– Buhler? – Głos starego człowieka, bardziej z tamtej niż z tej strony grobu; szept z innego świata. – Buhler? Odezwij się. Kto mówi?

– Przyjaciel – odparł Xavier.

Pauza. Trzask odkładanej słuchawki.

Ten, kto dzwonił, odwiesił słuchawkę. March zrobił to samo. Zaczął na chybił trafił wysuwać szybko szuflady. Kilka ołówków, papier do pisania, słownik. Wysunął dwie najniższe szuflady i wsadził rękę w pustą przestrzeń.

Nic.

A jednak coś.

Daleko, przy tylnej ścianie natrafił palcami na mały, gładki przedmiot. Wyciągnął go. Niewielki, oprawny w czarną skórę notes, ze złożonym orłem i swastyką na okładce. Przerzucił szybko kartki. Partyjny kalendarzyk na rok 1964. Wsadził go do kieszeni i wsunął z powrotem szuflady.

Pies Buhlera biegł jak szalony wzdłuż brzegu, wpatrując się w jezioro i głośno skowycząc. Co kilka sekund przysiadł na tylnych łapach, żeby po chwili wznowić swój desperacki patrol. Xavier zobaczył teraz, że cały prawy bok psa pokryty jest zeschniętą krwią. Kiedy szedł w stronę jeziora, zwierzę w ogóle nie zwracało na niego uwagi.

Wszedł, stukając obcasami oficerskich butów, na drewniany pomost. Między obluzowanymi deskami widział chlupoczącą metr niżej, płytką, błotnistą wodę. Dotarł do końca pomostu i zszedł na łódź, która przechyliła się pod jego ciężarem. Na pokładzie było kilka centymetrów brudnej deszczówki. Pływały w niej liście i tęczowa plama oleju. Cała łódź śmierdziała benzyną. Gdzieś musiał być przeciek. Mardi pochylił się i próbował otworzyć małe drzwiczki do kabiny. Były zamknięte na klucz. Osłoniwszy oczy dłońmi, zajrzał przez szybę, ale w środku było zbyt ciemno, żeby mógł coś zobaczyć.

Zszedł z łodzi i ruszył z powrotem. Deski pomostu były szare ze starości, ale w jednym miejscu, naprzeciwko zacumowanej łodzi, widać było świeże żółte drzazgi i resztki białej farby. Xavier pochylił się, żeby przyjrzeć się śladom, i nagle jego wzrok przykuł blady przedmiot, połyskujący w wodzie niedaleko miejsca, w którym pomost łączył się z lądem. Podeszedł tam i uklęknął. Przytrzymując się lewą ręką i wychylając, jak to tylko możliwe w dół, zdołał wyciągnąć przedmiot z wody. To była proteza; zaopatrzona w skórzane paski i stalowe sprzączki przypominała różową, niszczącą się starą porcelanową lalkę.

*

Pies usłyszał ich pierwszy. Zadarł łeb, obrócił się i potruchtał przez trawnik w stronę domu. Xavier rzucił natychmiast do wody swoje znalezisko i pobiegł za psem. Przeklinając własną głupotę okrążył dom i przystanął w cieniu wież. Mógł stąd obserwować bramę. Pies warczał głośno i skakał na żelazną kratę. Po drugiej stronie stało, przyglądając się willi, dwóch mężczyzn. Po chwili pojawił się trzeci, niosąc wielkie nożyce do cięcia metalu. Ścisnął nimi zamek, który po dziesięciu sekundach poddał się z głośnym szczękiem.

Trzej mężczyźni weszli na teren posiadłości i pies cofnął się trochę. Podobnie jak March ubrani byli w mundury SS. Jeden z nich wyjął coś z kieszeni i podeszedł z wyciągniętą ręką do psa, tak jakby chciał go nakarmić. Zwierzę przywarowało. Ciszę przerwał pojedynczy strzał; odbił się echem po posiadłości i przepłoszył stado gawronów, które uniosły się, głośno kracząc, nad lasem. Mężczyzna schował rewolwer do kabury i wskazał martwe zwierzę jednemu ze swoich towarzyszy. Ten złapał je za tylne łapy i zaciągnął w krzaki.

Wszyscy trzej mężczyźni ruszyli alejką w stronę domu. March stanął za kolumną, przesuając się powoli, w miarę jak się zbliżali, tak żeby przez cały czas pozostać w ukryciu. Przyszło mu do głowy, że właściwie nie powinien się wcale chować. Mógłby powiedzieć gestapowcom, że przeszukiwał posiadłość i że nie otrzymał wiadomości od Jaegera. Ale coś w ich zachowaniu, w nonszalancji, z jaką pozbyli się psa, kazało mu tego nie robić. Ci ludzie byli tutaj już wcześniej.

Kiedy podeszli bliżej, rozpoznał ich stopnie. Dwóch Sturbannführerów i jeden Obergruppenführer – dwóch majorów i generał. Jaka, dotycząca bezpieczeństwa państwowego, sprawa mogła wymagać osobistego udziału generała Gestapo? Obergruppenführer zbliżał się do sześćdziesiątki, był potężny jak byk i miał poobijaną twarz byłego boksera. March pamiętał ją z telewizji i ze zdjęć w gazetach.

Jak on się nazywał?

Po chwili sobie przypomniał. Odilo Globocnik. W SS zwany swojsko Globusem. Były

Gauleiter Wiednia. To on zastrzelił psa.

– Ty zajmij się parterem. Ty sprawdź z tyłu – polecił swoim podwładnym.

Gestapowcy wyciągnęli pistolety i zniknęli w środku domu. March odczekał pół minuty, a potem ruszył w stronę bramy. Nie szedł alejką, lecz skrajem ogrodu, przedzierając się zgarbiony przez splątane krzewy. Pięć metrów przed bramą zatrzymał się, żeby złapać oddech. We wmurowanej w kamienny słupek metalowej skrzynce na listy leżała duża brązowa paczka.

To szaleństwo, pomyślał. Absolutne szaleństwo.

Nie pobiegł w stronę bramy. Nic, wiedział o tym, nie przyciąga ludzkiego wzroku bardziej od nagłego ruchu. Zamiast tego wynurzył się z krzaków, jakby fakt, że się tutaj znalazł, był najbardziej naturalną rzeczą pod słońcem. Wyjął paczkę ze skrzynki i nie spiesząc się wyszedł na zewnątrz przez otwartą bramę.

Cały czas spodziewał się za sobą krzyku albo strzału. Ale słyszał tylko szum poruszającego gałęziami drzew wiatru. Kiedy doszedł do samochodu, stwierdził, że drżą mu ręce.

3

– Dlaczego wierzymy w Niemcy i w Führera?

– Wierzymy w Niemcy, ponieważ wierzymy w Boga, który je stworzył i który zesłał nam Führera, Adolfa Hitlera.

– Komu musimy służyć przede wszystkim?

– Naszemu narodowi i naszemu Führerowi, Adolfowi Hitlerowi.

– Dlaczego jesteśmy mu posłuszni?

– Z wewnętrznego przekonania, z lojalności i ponieważ wierzymy w Niemcy, w Führera, w nasz Ruch i w SS.

– Doskonale! – Instruktor kiwnął głową. – Bardzo dobrze. Oczekuję was ponownie za trzydzieści pięć minut na południowym boisku. Jost! Ty zostajesz. Reszta może odmaszerować!

Z krótko przyciętymi włosami i w luźnych mundurach polowych kadeci SS przypominali więźniów. Wychodząc szurali głośno krzesłami i stukali buciorami o podłogę z surowych desek. Z zawieszzonego na ścianie dużego portretu uśmiechał się dobrotliwie do nich nieżyjący już Heinrich Himmler. Jost stał na baczność pośrodku klasy. Wydawał się kompletnie zagubiony. Kilku wychodzących kadetów rzuciło w jego stronę zaciekawione spojrzenia. Znowu ten Jost, można było wyczytać w ich oczach. Jost – dziwak i samotnik; facet, który zawsze podpada. Może warto spuścić mu dzisiaj w nocy kolejną kocówę.

Instruktor wskazał głową tył sali.

– Masz gościa.

Oparty o kaloryfer March trzymał ręce skrzyżowane na piersi i obserwował uważnie chłopaka.

– Witaj ponownie, Jost – rzucił.

Minęli rozległy plac apelowy. Stojąca w rogu grupa rekrutów słuchała z nabożeństwem sztorcującego ich Hauptscharführera SS. W innym rogu około stu młodzieńców w czarnych dresach robiło skłony, skręty i przysiady, wypełniając co do joty wydawane krzykiem rozkazy. Spotkanie z Jostem przypominało odwiedzin w więzieniu. Ten sam więzienny smród: mieszanina pasty do podłóg, środków dezynfekcyjnych i gotowanego jedzenia. Takie same brzydkie betonowe bloki, takie same wysokie mury i patrole wartowników. Podobnie jak kacet Akademia imienia Seppa Dietricha była jednocześnie rozległa i klaustrofobiczna; stanowiła świat całkowicie zamknięty w sobie.

– Czy możemy tu znaleźć jakieś zaciszne miejsce? – zapytał March.

Chłopak spojrział na niego z politowaniem.

– Nie ma tutaj żadnego zacisznego miejsca. I o to właśnie chodzi. – Przeszli w milczeniu kilka kroków. – Możemy spróbować w koszarach – dodał. – Wszyscy są teraz w stołówce.

Jost zaprowadził go do niskiego, pomalowanego na zielono budynku. W pogrążonym w półmroku wnętrzu unosiła się mocna woń męskiego potu. Sala mieściła około stu ustawionych w czterech rzędach łóżek. Jost nie pomylił się: nie było tu nikogo. Jego łóżko stało w jednym ze środkowych rzędów, w trzech czwartych długości sali. March usiadł na szorstkim brązowym kocu i poczęstował chłopaka papierosem.

– Tutaj nie wolno palić. March machnął paczką.

– Daj spokój. W razie czego powiesz, że ci kazałem.

Jost wziął z wdzięcznością papierosa. Ukłękł, otworzył metalową szafkę obok łóżka i zaczął szukać czegoś, co posłużyłoby za popielniczkę. Kiedy drzwiczki otworzyły się na oścież, March zobaczył zawartość szafki: czasopisma, kilka książek w miękkich okładkach i oprawiona w ramki fotografia.

– Mogę?

Kadet wzruszył ramionami.

– Jasne.

March wziął do ręki fotografię. Przedstawiała rodzinę i patrząc na nią, bezwiednie pomyślał o Weissach. Ojciec w mundurze SS. Nieśmiało wyglądająca matka w kapeluszu. Córka: ładna, może czternastoletnia dziewczyna z blond warkoczami. I sam Jost: uśmiechnięty i pyzaty, zupełnie niepodobny do klęczącej na kamiennej podłodze, krótko ostrzyżonej, udręczonej postaci.

– Zmieniłem się, prawda? – zapytał. March był wstrząśnięty i próbował to ukryć.

– To twoja siostra? – zapytał.

– Wciąż chodzi do szkoły.

– A ojciec?

– Prowadzi teraz firmę inżynierską w Dreźnie. Jako jeden z pierwszych wkroczył w czterdziestym pierwszym do Rosji. Stąd ten mundur. . .

March przyjrzał się uważnie wyprostowanej sztywno postaci.

– Czy nie ma przypadkiem Krzyża Rycerskiego? – zapytał. Było to najwyższe odznaczenie za odwagę na polu walki.

– O tak – odparł chłopak. – Autentyczny wojenny bohater. – Odebrał Marchowi fotografię i schował ją do szafki. – A pański ojciec?

– Służył w cesarskiej marynarce – odparł March. – Został ranny podczas pierwszej wojny światowej. Nigdy już nie doszedł do siebie.

– Ile miał pan lat, kiedy umarł?

– Siedem.

– Wciąż pan o nim myśli?

– Codziennie.

– Też wstąpił pan do marynarki?

– Prawie. Pływałem na U-Bootach.

Kadet powoli pokiwał głową. Jego blada twarz lekko się zaróżowiła.

– Wszyscy idziemy w ślady naszych ojców, prawda?

– Może większość z nas. Nie wszyscy.

Przez chwilę w milczeniu palili. March słyszał dochodzące z zewnątrz odgłosy wciąż trwającej gimnastyki.

- Raz, dwa, trzy... raz, dwa, trzy...
- Ci ludzie... – powiedział Jost i potrząsnął głową. – Jest taki wiersz Ericha Kästnera. Nazywa się „Marschliedchen”. Piosenka marszowa. – Zamknął oczy i zaczął recytować:

Kochasz nienawiść i chcesz mierzyć nią świat.
Rzucasz ochłapy bestii, która jest w człowieku,
Żeby rosła, ta skryta głęboko w twoim wnętrzu bestia!
Niechaj bestia w człowieku pożre go ze szczętem.

Nagła pasja chłopaka wprawiła Marcha w zakłopotanie.

- Kiedy to zostało napisane?
- W tysiąc dziewięćset trzydziestym drugim.
- Nie znam tego.
- Nie powinien pan. To zakazany wiersz. Na chwilę zapadło milczenie.
- Znamy już nazwisko człowieka, którego ciało odkryłeś – powiedział w końcu March. – To doktor Josef Buhler. Był wysokim dygnitarzem w Generalnej Guberni. I Brigadeführerem SS.
- O Boże... – Kadet skrył twarz w dłoniach.
- Jak widzisz, zrobiła się z tego poważna afera. Zanim do ciebie przyszedłem, sprawdziłem zapisy na głównej wartowni. Zanotowali, że wczoraj rano opuściłeś koszary jak zwykle o piątej trzydzieści. Podane przez ciebie czasy nie mają zatem sensu.

Jost nie odsłaniał twarzy. Między palcami wypalał mu się papieros. March pochylił się do przodu, wyjął go i zgasił. Podniósł się z łóżka.

- Patrz na mnie – powiedział. Chłopak podniósł wzrok, a March zaczął truchtać w miejscu. – To jesteś ty, wczoraj, dobrze? – Zaczął udawać zmęczenie, wydymając policzki i ocierając czoło przedramieniem. Jost mimo woli się uśmiechnął. – Dobrze – powtórzył March. Nie przestawał truchtać w miejscu. – Teraz myślisz o jakiejś książce albo o tym, jakie podłe jest życie. Wybiegasz z lasu i skręcasz w ścieżkę wiodącą wzdłuż jeziora. Leje jak z cebra i jest jeszcze ciemno, ale po lewej stronie coś przyciąga twój wzrok...

March obrócił głowę. Kadet wpatrywał się w niego jak zahipnotyzowany.

- Cokolwiek to jest, to nie ciało...

– Ale...

March wyciągnął w jego stronę palec.

- Nie wkopuj się głębiej w to gówno, dobrze ci radzę. Dwie godziny temu sprawdziłem dokładnie miejsce, gdzie znaleziono topielca. Nie mogłeś zobaczyć go ze ścieżki. – Znowu zaczął truchtać w miejscu. – Więc widzisz coś, ale się nie zatrzymujesz. Ale potem sumienie nie daje ci spokoju i pięć minut później postanawiasz wrócić i przyjrzeć się uważniej. Znajdujesz ciało. I dopiero wtedy zawiadamiasz policję.

Złapał Josta za rękę i pomógł mu wstać z łóżka.

- Biegnij ze mną! – rozkazał.

– Nie mogę...

– Biegnij!

Jost zaczął niezgrabnie szurać nogami. Stukali obcasami o kamienne płyty.

- Opisz teraz, co widzisz. Wybiegasz z lasu i jesteś na ścieżce prowadzącej wzdłuż jeziora.

– Proszę...

– Mów!

- Widzę... widzę... samochód... – Chłopak miał zamknięte oczy. – A teraz trzech mężczyzn.

Pada ulewny deszcz... ubrani są w płaszcze i kaptury... niczym mnisi. Mają spuszczone głowy. Wspinają się po zboczu, które opada ku jezioru. Boję się... Przecinam drogę i wbiegam między drzewa, żeby mnie nie zauważyli.

– Mów dalej.

– Wsiadają do samochodu i odjeżdżają... Czekam jakiś czas, a potem wychodzę z lasu i odnajduję ciało.

– O czymś zapomniałeś.

– Nie, przysięgam...

– Widziałeś twarz. Kiedy wsiadali do samochodu, widziałeś twarz.

– Nie...

– Powiedz mi, kto to był, Jost. Widziałeś go. Znasz tego człowieka. Powiedz mi.

– To był Globus! – krzyknął Jost. – Widziałem Globusa.

4

Paczka, którą wyjął ze skrzynki pocztowej Buhlera, leżała obok niego na przednim siedzeniu. Jeszcze jej nie otworzył. Może to bomba, pomyślał, uruchamiając silnik volkswagena. W ciągu ostatnich miesięcy przysyłane pocztą bomby urwały ręce albo głowy kilku urzędnikom państwowym. Już sobie wyobrażał tytuł na trzeciej stronie „Tageblatt”: „Policjant ginie w tajemniczym wybuchu obok koszar”.

Objechał Schlachtensee i znalazł delikatesy, gdzie kupił bochenek czarnego chleba, kilka deko westfalskiej szynki i ćwiartkę szkockiej whisky. Słońce wciąż świeciło; powietrze było rześkie. Skręcił na zachód, oddalając się od jeziora. Miał zamiar zrobić coś, czego nie robił od wielu lat. Zafundować sobie piknik.

Kiedy w roku 1934 Göring został Wielkim Łowczym Rzeszy, próbowano ożywić Grunewald. Zasadzono kasztany, lipy, buki, brzozy i dęby. Ale podobnie jak przed tysiącem lat, kiedy północne niziny Europy porastała gęsta puszcza, na tych zalesionych pagórkach wciąż królowała melancholijna sosna. Z tej puszczy, pięć stuleci przed Chrystusem, wynurzyły się wojownicze germańskie plemiona – i po dwóch i pół tysiącu lat wracały tutaj zwycięskie w swoich przyczepach i samochodach. Niemcy byli plemieniem puszczy. Wszelkie przesieki i tak po jakimś czasie zarastał z powrotem las.

March zaparkował samochód, wziął do ręki prowiant i zaadresowaną do Buhlera bombę – czy cokolwiek innego zawierała paczka – i ruszył ostrożnie stromą ścieżką w głąb lasu. Po pięciu minutach wdrapał się na wzgórze, z którego rozciągał się szeroki widok na Hawelę i zasnutą błękitną mgiełką, porośnięte przierzadzającym się lasem zbocza. W ciepłym powietrzu unosił się intensywnie słodki zapach żywicy. Nad wzgórzem przeleciał z hukiem podchodzący do lądowania na berlińskim lotnisku wielki odrzutowiec. Po chwili hałas ucichł i słyszeć było tylko śpiew ptaków.

Xavier oddalał od siebie myśl o otwarciu paczki. Coś go powstrzymywało. Usiadł na dużym kamieniu – który władze miasta pozostawiły tam niewątpliwie w tym właśnie celu – pociągnął łyk whisky i zaczął jeść chleb z szynką.

O Odilo Globocniku wiedział niewiele i to głównie z krążących o nim plotek. W ciągu ostatnich trzydziestu lat Obergruppenführer był raz na wozie, raz pod wozem. Austriak z urodzenia, robotnik budowlany z zawodu, w połowie lat trzydziestych został przywódcą partyjnym w Karyntii i Gauleiterem Wiednia. Zamieszany w nielegalne transakcje walutowe podpadł zwierzchnikom, ale po jakimś czasie przywrócono go do łask, mianując na początku wojny szefem policji w Generalnej Guberni. Tam właśnie musiał poznać Buhlera, doszedł do wniosku March. U schyłku wojny po raz

drugi powinęła mu się noga i zesłano go gdzie? – chyba do Triestu. Ale po śmierci Himmlera Globus wrócił do Berlina i zajmował teraz jakieś bliżej nie określone stanowisko w Gestapo, pracując bezpośrednio pod rozkazami Heydricha.

Tej poobijanej brutalnej twarzy nie można było pomylić z żadną inną i mimo padającego deszczu i słabego światła Jost z pewnością ją rozpoznał. Portret Globusa wisiał w Izbie Pamięci Akademii, a sam Obergruppenführer zaledwie przed kilkoma tygodniami wygłosił dla przejętych grozą kadetów wykład na temat formacji policyjnych Rzeszy. Nic dziwnego, że Jost był taki przerażony. Powinien zadzwonić do Orpo anonimowo i zmyć się jeszcze przed ich przyjazdem. A jeszcze lepiej, z jego punktu widzenia, gdyby w ogóle nie dzwonił.

Xavier zjadł całą szynkę. Zebrał pozostały chleb, pokruszył go i rozsypał na ziemię. Dwa kosy, które przyglądały się, jak jadł, wynurzyły się ostrożnie z krzaków i zaczęły dziobać okruchy.

Wyjął z kieszeni kalendarzyk Buhlera. Standardowe wydanie dla członków partii, dostępne w każdym sklepie z papeterią. Na początku użyteczne informacje. Nazwiska partyjnych przywódców: ministrów rządu, szefów Kommissariatów, Gauleiterów.

Święta państwowe: 30 stycznia: Dzień Odrodzenia Narodowego; 21 marca: Dzień Poczdamski; 20 kwietnia: urodziny Führera; 1 maja: Festiwal Narodu Niemieckiego...

Mapa imperium z podanym czasem podróży kolejowych: Berlin – Równo: szesnaście godzin; Berlin – Tyflis: dwadzieścia siedem dni; Berlin – Ufa: cztery dni.

W samym kalendarzyku każdy tydzień mieścił się na dwóch stronach; zapiski były tak rzadkie, że z początku March myślał, że ich w ogóle nie ma. Przerzucał kartkę za kartką. Przy siódmym marca znalazł mały krzyżyk. Przy pierwszym kwietnia Buhler zanotował: „imieniny mojej siostry”. Potem następny krzyżyk przy dziewiątym kwietnia. Przy jedenastym kwietnia zapisał „Stuckart/Luther, rano godz. 10”. Na koniec, przy 13 kwietnia, na dzień przed swoją śmiercią, postawił kolejny mały krzyżyk.

Xavier przepisał wszystkie daty do swojego notesu, a potem odwrócił stronę. Śmierć Josefa Buhlera – napisał. Możliwości. Po pierwsze: śmierć była przypadkowa, Gestapo dowiedziało się o niej kilka godzin przed telefonem do Orpo i Globus po prostu badał ciało. Absurd.

Dobrze. Możliwość druga: Buhler został zamordowany przez Gestapo, a egzekucję wykonał Globus. Ponownie absurd. Wciąż obowiązywała wydana w roku 1941 dyrektywa „Noc i mgła”. Buhler mógł zostać całkiem legalnie i po cichu zamordowany w kazamatach Gestapo, a jego posiadłość skonfiskowana przez państwo. Kto by go opłakiwał? Albo przejmował się jego zniknięciem?

A więc w grę wchodzi możliwość trzecia: Buhlera zabił Globus, który zaciera teraz za sobą ślady. Deklaruje, że ta śmierć stanowi zagrożenie dla bezpieczeństwa państwa i sam przejmuje dochodzenie. Ale dlaczego w ogóle pozwolono Kripo zająć się tą sprawą? Jakie były motywy Globusa? Dlaczego pozostawiono ciało Buhlera w miejscu publicznym?

March oparł się plecami o kamień i zamknął oczy. Świejące słońce zmieniło ciemność pod powiekami w krwawą czerwień. Zmorzyła go wypita whisky.

Nie spał dłużej jak pół godziny. Obudził go szelest w rosnących obok krzakach; poczuł, jak coś dotyka jego rękawa. Natychmiast się ocknął, w samą porę, żeby zobaczyć biały ogon i zad znikającego między drzewami jelenia. Wiejska sielanka, dziesięć kilometrów od stolicy Rzeszy! A może po prostu pijackie złudzenie. Potrząsnął głową i podniósł z ziemi paczkę.

Była elegancko oklejona taśmą i opakowana w gruby brązowy papier. Dzieło prawdziwego profesjonalisty. Proste linie i ostre załamania, ekonomia użytego materiału i włożonego wysiłku. Wzorec paczki. Żaden znany mu mężczyzna nie był do tego zdolny – to musiała zrobić kobieta. Na

brązowym papierze nalepione były trzy szwajcarskie znaczki; widniały na nich małe żółte kwiatki na zielonym tle. Paczkę nadano w Zurychu w dniu 13.04.1964 o godzinie 16.00. Przedwczoraj po południu.

Czując, jak pocą mu się dłonie, zabrał się do dzieła. Najpierw zdarł taśmę, a potem zaczął odginać centymetr po centymetrze papier. W końcu uniósł go lekko. W środku była bombonierka.

Namalowane na niej dziewczyny tańczyły wokół słupa na ukwieconej łące. Miały lniane warkocze i sukienki w czerwoną kratę; za ich plecami wznosiły się na tle błękitnego, błyszczącego nieba ośnieżone szczyty Alp. „Najlepsze życzenia urodzinowe dla naszego ukochanego Führera, 1964”, głosił pod spodem wykaligrafowany gotyckimi literami czarny napis. Ale coś tu się nie zgadzało. Pudełko było zbyt ciężkie.

March wyjął scyzoryk i przeciął celofanowe opakowanie. Postawił delikatnie bombonierkę na pniu drzewa i odwracając w bok głowę i wyciągając maksymalnie ramię, podniósł ostrzem wieko. W środku zaszumiał cicho mechanizm. A potem usłyszał melodię.

Usta milczą, dusza śpiewa:
Kochaj mnie!
Dookoła pieśń rozbrzmiewa:
Kochaj mnie!
Każde tve spojrzenie
Do miłości rwie.
Serce w błogim woła śnie:
Ja kocham cię!

Oczywiście w powietrzu rozbrzmiewała tylko muzyka, bez słów, ale przecież znał je bardzo dobrze. Stojąc samotnie na wzgórzu w Grunewaldzie słuchał pozytywki, która grała utrzymany w rytmie walca duet z trzeciego aktu „Wesołej wdówki”.

5

Kiedy jechał z powrotem, ulice centralnego Berlina były wyjątkowo wyludnione – przyczynę odkrył dopiero na komendzie. Duże ogłoszenie w holu zapowiadało, że o godzinie wpół do piątej nadane zostanie ważne oświadczenie rządowe. Cały personel miał się zgromadzić w kantine. Obecność obowiązkowa. Zdążył akurat na czas.

W Ministerstwie Propagandy wymyślono ostatnio nową teorię, według której najlepszą porą na nadanie ważnego oświadczenia jest koniec dnia pracy. Wiadomości przyjmowane były wtedy przez cały kolektyw, w duchu wspólnoty i nie było miejsca na prywatny sceptycyzm i defetyzm. Co więcej, pora zawsze dobrana była w ten sposób, żeby ludzie mogli wrócić trochę wcześniej do domu – o wpół do piątej, powiedzmy, zamiast o piątej – i żeby wracali zadowoleni, wypełnieni podświadomą wdzięcznością wobec reżimu. Tak to teraz wyglądało. W śnieżnobiałym pałacu Ministerstwa Propagandy zatrudniano więcej psychologów niż dziennikarzy.

Kantyna zaczęła się wypełniać personelem: funkcjonariusze i urzędnicy, maszynistki i kierowcy – wszyscy stali obok siebie ramię przy ramieniu niczym żywe wcielenie narodowosocjalistycznego ideału. Na ekranach czterech ustawionych w rogach telewizorów widniał kontur Rzeszy z wpisaną w środek olbrzymią swastyką. Tło muzyczne stanowiły wybrane fragmenty Beethovena. Co jakiś czas muzykę przerywał podniecony głos spikera: „Niemcy i Niemki, przygotujcie się na ważne rządowe oświadczenie!” W dawnych czasach, w epoce radia, na człowieka oddziaływała tylko muzyka. Tu też

dokonał się postęp.

Ile już takich oświadczeń pamiętał w swoim życiu March? Tkwiły w jego pamięci niczym wysepki w czasie. W trzydziestym ósmym wezwano ich z klas do auli, żeby zakomunikować, że wojska niemieckie wkraczają właśnie do Wiednia i że Austria wraca do macierzy. Dyrektor gimnazjum, który przeżył atak gazowy podczas pierwszej wojny, stał płacząc na podium, obserwowany przez tłum nic nie rozumiejących uczniów.

W trzydziestym dziewiątym był w domu razem / matką, w Hamburgu. W piątek o jedenastej rano nadano bezpośrednią transmisję przemówienia, które Führer wygłosił w Reichstagu. „Od dzisiaj jestem po prostu pierwszym żołnierzem Niemieckiej Rzeszy. Kolejny raz zakładam ten mundur, mundur, który jest mi najbardziej święty i drogi. Nie zdejmę go aż do ostatecznego zwycięstwa i prędzej zginę, niż dopuszczę do klęski". Grzmot oklasków. Tym razem płakała jego matka: łkała żałośnie, kołysząc się miarowo w przód i w tył. Siedemnastoletni Xavier odwracał od niej ze wstydem wzrok, wpatrując się w fotografię ubranego we wspaniały mundur Cesarskiej Marynarki ojca. Dzięki Bogu, myślał. Nareszcie wojna. Może będę mógł teraz wypełnić jego testament.

Następnych kilka oświadczeń zastało go na morzu. Zwycięstwo nad Rosją na wiosnę czterdziestego trzeciego – triumf strategicznego geniuszu Führera! Zapoczątkowana rok wcześniej letnia ofensywa Wehrmachtu odgrodziła Moskwę od Kaukazu. Armia Czerwona została odcięta od pól naftowych Baku. Stalinowska machina wojenna zatrzymała się, bo zabrakło po prostu paliwa.

Pokój z Brytyjczykami w czterdziestym czwartym – triumf kontrwywiadowczego geniuszu Führera! March pamiętał, jak wszystkie U-Booty zaopatrzone zostały w nowe maszyny szyfrujące: zdradzieccy Brytyjczycy, powiedziano im, rozszyfrowywali do tej pory wszystkie niemieckie komunikaty. Namierzanie statków handlowych nie sprawiało im odtąd żadnych trudności. Zagłodzoną Anglię zmuszono do kapitulacji. Churchill razem ze swą bandą wojennych podżegaczy uciekł do Kanady.

Pokój z Amerykanami w czterdziestym szóstym – triumf naukowego geniuszu Führera! Kiedy Ameryka pokonała Japonię, zrzucając na nią bombę atomową, Führer wystrzelił raketę V3, która eksplodowała nad Nowym Jorkiem. Dał dowód, że zaatakowana Rzesza gotowa jest podjąć kroki odwetowe. Wojna ograniczyła się do serii krwawych starć z partyzantami na obrzeżach nowego niemieckiego imperium. Nastął czas nuklearnego pata, który dyplomaci ochrzcili mianem zimnej wojny.

Ale uroczyste oświadczenia nadawano w dalszym ciągu. Zanim w pięćdziesiątym pierwszym ogłoszono wiadomość o śmierci Göringa, radio przez cały dzień nadawało muzykę poważną. Ten sam zaszczyt spotkał Himmlera, kiedy w sześćdziesiątym drugim rozbił się jego samolot. I tak to trwało. Zgony, zwycięstwa i wojny, kolejne wezwania do ofiar i zaciskania pasa, zaciekle zmagania na Uralu, trudne do wymówienia nazwy miejscowości, gdzie dochodziło do bitew i ofensyw: Oktiabrskoje, Połunocnoje, Ałapajewsk...

March spojrzał na otaczające go twarze. Widniały na nich wymuszone uśmiechy, rezygnacja, niepokój. Wiele osób miało na wschodzie swoich braci, synów i mężów. Ludzie nie spuszczaali oczu z telewizorów.

– Niemcy, przygotujcie się na ważne rządowe oświadczenie!

Co ich tym razem czekało?

Kantyna była prawie pełna. March stał przyciśnięty do kolumny. Kilka metrów dalej widział Maxa Jaegera żartującego z piersiastą sekretarką z wydziału prawnego VA(1). Max zerknął w jego stronę przez ramię i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Zawarczały werble. Na sali zapadła cisza.

– Łączymy się teraz z Ministerstwem Spraw Zagranicznych w Berlinie – oznajmił spiker.

W świetle telewizyjnych jupiterów błysnęła brązowa płaskorzeźba: trzymający w szponach ziemię nazistowski orzeł, którego niczym na dziecinnym rysunku wschodzącego słońca otaczał wieniec rozchodzących się na wszystkie strony promieni. Na jego tle pojawiła się twarz rzecznika ministerstwa, Drexlera: czarne krzaczaste brwi i pociemniałe od zarostu policzki. March stłumił ogarniający go śmiech: ktoś mógłby pomyśleć, że mając do dyspozycji całe Niemcy, Goebbels zdoła znaleźć rzecznika, który nie przypomina odsiadującego wyrok kryminalisty.

– Panie i panowie. Mam dla was krótkie oświadczenie wydane przez Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy. – Drexler zwracał się do zgromadzonych dziennikarzy, których nie pokazywała kamera. Założył okulary i zaczął czytać. – W związku z wielokrotnie manifestowanym i wyrażanym przez Führera oraz cały naród Wielkiej Rzeszy Niemieckiej pragnieniem, aby utrzymywać pokojowe i bezpieczne stosunki ze wszystkimi krajami świata, a także po wszechstronnych konsultacjach z naszymi sojusznikami ze Wspólnoty Europejskiej, Ministerstwo Spraw Zagranicznych Rzeszy wystosowało w imieniu Führera zaproszenie do prezydenta Stanów Zjednoczonych Ameryki. Jego wizyta w Wielkiej Rzeszy Niemieckiej pozwoli na osobiste przedyskutowanie warunków, których celem jest doprowadzenie do lepszego zrozumienia między naszymi narodami. Zaproszenie zostało przyjęte. Rząd amerykański poinformował dziś rano, iż Herr Kennedy chciałby spotkać się z Führerem w Berlinie we wrześniu tego roku. Heil Hitler! Niech żyją Niemcy!

Na ekranie ukazała się czarna plansza. Kolejny warkot werbli zasygnalizował, że za chwilę zacznie się hymn. Zgromadzeni w kantynie mężczyźni i kobiety zaczęli śpiewać. March wyobraził sobie ten moment w całych Niemczech – w każdej stoczni i fabryce, w każdym urzędzie i szkole: połączone w jednym chórze niskie i wysokie głosy wznosiły się aż do niebios w potężnym zgodnym krzyku.

*Deutschland, Deutschland über Alles!
Über Alles in der Welt!*

Jego własne usta poruszały się wraz z innymi, ale nie wydobywał się z nich żaden dźwięk.

– To oznacza dla nas tylko więcej pieprzonej roboty – oznajmił Max. Siedzieli z powrotem w swojej klitce. Jaeger położył nogi na biurku i puszczał kłęby dymu z cygara. – Jeśli służby bezpieczeństwa gonią w piątkę już podczas Führertagu, pomyśl, co będzie się działo, kiedy w mieście pojawi się Kennedy.

March uśmiechnął się.

– Wydaje mi się, Max, że nie dociera do ciebie historyczny wymiar całego wydarzenia.

– Mam w dupie historyczny wymiar. Zależy mi na tym, żeby mieć spokojną głowę. Już teraz bomby wybuchają jak fajerwerki. Spójrz tylko na to.

Jaeger zdjął nogi z biurka i pogrzebał w stosie akt.

– Podczas gdy ty plażowałeś na brzegu Haweli, niektórym z nas spadła na głowę dodatkowa robota.

Wziął do ręki dużą kopertę i wysypał na biurko jej zawartość. W tego rodzaju kopertach przechowywano osobiste dokumenty zmarłych. Max wyciągnął spod stosu papierów dwa paszporty i podał je Marchowi. Jeden z nich należał do oficera SS, Paula Hanna; drugi do młodej kobiety, Magdy Voss.

– Ładna sztuka, nie? – zapytał Jaeger. – Dopiero co wzięli ślub. Przyjęcie weselne urządzone w

Spandau. Młodzi zostawili gości i ruszyli w podróż poślubną. On prowadzi. Skręcają w Nawener Strasse. Zajeżdża im drogę ciężarówka. Z tyłu wyskakuje facet z pistoletem. Pan młody wpada w panikę. Wrzuca tylny bieg. Wali prosto w latarnię. Kiedy próbuje z powrotem wrzucić pierwszy bieg, bum, dostaje kulę w głowę. Koniec pana młodego. Mała Magda wyskakuje z samochodu, próbuje uciekać. Bum! Koniec panny młodej. Koniec podróży poślubnej. Koniec wszystkiego. Tyle tylko, że obie rodziny wciąż bawią się na weselu, wznosząc zdrowie nowożeńców, bo przez następne dwie godziny nikt nie pomyślał, żeby powiedzieć im, co się stało.

Max wysmarkał nos w brudną chusteczkę. Xavier zajął ponownie do paszportu dziewczyny. Była całkiem ładna: blond włosy i ciemne oczy. W wieku dwudziestu czterech lat leżała teraz martwa w kostnicy.

– Kto to zrobił? – zapytał, oddając Jaegerowi paszporty.

– Polacy. Łotysze. Estończycy. Ukraińcy. Czesi. Chorwaci. Gruzini. Czerwoni. Anarchiści – wyliczył na palcach Max. – Kto to wie? W dzisiejszych czasach mógł to zrobić każdy. Biedny idiota umieścił zaproszenie na wesele na tablicy ogłoszeń w koszarach. Gestapo uważa, że zobaczyła je jakaś przechodząca sprzątaczką albo kucharka i przekazała wiadomość dalej. Większość personelu pomocniczego w koszarach to cudzoziemcy. Dziś po południu wszystkich aresztowano.

Włożył z powrotem paszporty i dowody osobiste do koperty i wrzucił ją do szuflady.

– A tobie jak poszło?

– Poczęstuj się czekoladką. – March podał bombonierkę Jaegerowi. Ten otworzył ją. W ciasnym wnętrzu zabrzmiały metaliczne tony pozytywki.

– Bardzo smaczne.

– Co o tym możesz powiedzieć?

– O „Wesołej wdówce”? Ulubiona operetka Führera. Uwielbiała ją moja matka.

– Moja też.

Uwielbiały ją wszystkie niemieckie matki. „Wesoła wdówka” Franciszka Lehara. Po raz pierwszy wystawiona w Wiedniu w roku 1905; słodka niczym słynne wiedeńskie kremówki. Na pogrzeb zmarłego w 1948 roku Lehara Führer wysłał swego osobistego przedstawiciela.

– Co jeszcze chcesz wiedzieć? – Max wziął w swoje ogromne łapsko jedną z czekoladek i wrzucił ją do ust. – Od kogo to dostałeś? Od cichej wielbicielki?

– Wyjąłem ją ze skrzynki pocztowej Buhlera. – Xavier ugryzł pół czekoladki i skrzywił się, czując w ustach mdły smak wiśniowego likieru. – Zastanów się: nie masz żadnych przyjaciół, a mimo to ktoś przysłała ci kosztowną bombonierkę ze Szwajcarii. Bez żadnej kartki. Bombonierkę, która wygrywa ulubioną melodię Führera. Kto to mógł zrobić? – zapytał, połykając drugą połowę. – Może truciciel?

– Chryste Przenajświętszy! – Jaeger wypluł wszystko w otwartą dłoń i zaczął wycierać z warg i palców brązowe smugi śliny. – Czasami mam poważne wątpliwości co do twego zdrowia psychicznego.

– Systematycznie niszczyć dowody rzeczowe – oznajmił March, zmuszając się do zjedzenia kolejnej czekoladki. – Nie, właściwie robię coś jeszcze gorszego: konsumuję je, popełniając w ten sposób podwójne przestępstwo. Zakłócam działanie wymiaru sprawiedliwości, osiągając przy tym korzyść osobistą.

– Weź parę dni wolnych, człowieku. Mówię serio. Potrzebny ci wypoczynek. Radzę ci dobrze: zjeżdż na dół i wyrzuć te pieprzone czekoladki do pierwszego napotkanego kosza na śmieci. A potem zjedz kolację razem ze mną i z Hannelore. Wyglądasz, jakbyś od kilku tygodni nie miał w ustach nic przyzwoitego. Sprawę przejęło Gestapo. Raport z sekcji zwłok powędruje prosto na Prinz-Albrecht

Strasse. Postaw na tym krzyżyk. Zapomnij o tym.

– Posłuchaj, Max. – Xavier powtórzył mu to, co usłyszał od Josta. Opowiedział o widzianym przy zwłokach Globusie. Wyciągnął kalendarzyk Buhlera. – Kto to jest Stuckart i Luther?

– Nie mam pojęcia. – Twarz Jaegera stała się nagle zimna i obojętna. – Co więcej, wcale nie chcę wiedzieć.

W dół prowadziły strome, pogrążone w półmroku kamienne schody. March zszedł do podziemi i zawahał się, trzymając w ręku czekoladki. Za drzwiami z lewej strony znajdowało się wybrukowane kocimi łbami podwórko, skąd wywożono składowane w wielkich, zardzewiałych pojemnikach śmieci. Słabo oświetlony korytarz z prawej strony prowadził do archiwum.

Wsadził czekoladki pod pachę i skręcił w prawo.

Archiwum Kripo mieściło się w dawnym magazynie koło kotłowni. Bliskość instalacji centralnego ogrzewania i płatanina rur z ciepłą wodą sprawiała, że było tu bez przerwy gorąco. W powietrzu unosił się charakterystyczny kojący zapach kurzu i suchego papieru; szczyty stojących między filarami metalowych stelaży wydawały się tonąć w mroku.

Archiwistka, tęga kobieta w zatłuszczonym mundurze, była kiedyś strażniczką w więzieniu w Plötzensee. Kazała mu się wylegitymować. Pokazał jej przepustkę, tak jak to czynił przynajmniej raz w tygodniu przez ostatnie dziesięć lat, a ona przyjrzała się jej dokładnie, jakby widziała ją pierwszy raz w życiu. Porównała zdjęcie z twarzą, ponownie rzuciła okiem na przepustkę i dopiero wtedy oddała mu ją z powrotem, kiwając przy tym niedostrzegalnie podbródkiem – coś pośredniego między podziękowaniem a drwiną.

– Nie wolno palić – powiedziała po raz pięćsetny z rzędu, unosząc ostrzegawczo palec.

Ze stojącej przy jej biurku półki z księgozbiorem podręcznym wybrał „Wer Ist's?", niemiecką wersję „Who's Who?", oprawne w czerwoną skórę liczące tysiąc stron tomisko. Wziął także mniejszą partyjną publikację, Spis wyższych urzędników NSDAP. Przy każdym biogramie zamieszczono tam niewielką fotkę wielkości zdjęcia do paszportu. Zaniósł obie książki na stolik i zapalił lampę. Archiwum było prawie puste.

Z dwóch informatorów Xavier wolał przewodnik partyjny. Publikowany był mniej więcej raz w roku od połowy lat trzydziestych. Często przychodził tutaj w długie, ciemne, zimowe popołudnia, żeby posiedzieć w ciepłe i przejrzyć stare wydania. Intrygował go sposób, w jaki zmieniały się twarze. We wcześniejszych wydaniach dominowali członkowie Freikorpsów, posiwiali mężczyźni z karkami szerszymi niż obwód czaszki. Wlepiali wytrzeszczone oczy w obiektyw, wyszorowani do czysta i zażenowani niczym dziewiętnastowieczni parobcy, którzy założyli swoje najlepsze niedzielne ubrania. Ale gdzieś około roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego piwoosze ustąpili miejsca wymuskany technokratom w rodzaju Alberta Speera – wykształconym absolwentom uniwersytetów – ludziom o zimnych oczach i twarzach, na których widniał szeroki uśmiech.

Był tylko jeden Luther. Imię: Martin. Oto mamy, towarzysze, prawdziwe historyczne nazwisko. Ale ten Luther w niczym nie przypominał swego słynnego imiennika. Pyzata twarz, czarne włosy i okulary w kościanej oprawie. March wyjął swój notatnik.

Urodzony 16 grudnia 1895. 1914–1918 służył w wojskach transportowych. Zawód: spedytor meblowy. Wstąpił do NSDAP i SA 1 marca 1933. Zasiadał w berlińskiej Radzie Miejskiej, reprezentując dystrykt Dahlem. W 1936 wstąpił do służby zagranicznej. W 1941 awansowany na podsekretarza stanu. Przed odejściem na emeryturę w roku 1955 pełnił w Ministerstwie Spraw Zagranicznych funkcję szefa Abteilung Deutschland.

Szczegółów było niewiele, ale wystarczyły, żeby March zorientował się, z kim ma do czynienia.

Wiecznie skacowany i agresywny, chaotyczny uliczny polityk. W dodatku oportunistą. Podobnie jak tysiące innych Luther wstąpił do partii parę tygodni po dojściu Hitlera do władzy.

Przerzucił szybko kartki, szukając Stuckarta. Wilhelm Stuckart, doktor prawa. Portret zrobiony w profesjonalnym atelier, twarz skryta w półcieniu niczym na fotosie filmowego gwiazdora. Facet był próżny, nie było co do tego wątpliwości. Dziwna mieszanka: kręcone, szpakowate włosy, przenikliwe oczy, mocno zarysowana szczeka. A jednocześnie pełne, prawie lubieżne usta. March notował dalej.

Urodzony 16 listopada 1902 w Wiesbaden. Studiował prawo i ekonomię na uniwersytetach w Monachium i Frankfurt nad Menem. W czerwcu 1928 ukończył z wyróżnieniem studia. Do partii wstąpił w 1922 w Monachium. Pełnił różne funkcje w SA i SS. W 1933 wybrany na burmistrza Szczecina. 1933–1953 sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Publikacje: „Komentarz na temat niemieckich praw rasowych” (1936). W 1944 otrzymał honorowy stopień Obergruppenführera SS. W 1953 powrócił do prywatnej praktyki adwokackiej.

To był ktoś, kto zupełnie nie przypominał Luthera. Intelktualista; *alter Kämpfer*, podobnie jak Buhler; facet, który mierzył wysoko. Żeby w wieku trzydziestu jeden lat zostać burmistrzem Szczecina, prawie trzystutysięcznego portowego miasta... Nagle March uświadomił sobie, że wszystko to całkiem niedawno gdzieś czytał. Ale gdzie? Nie mógł sobie przypomnieć. Zamknął oczy. Gdzie to było?

Z „Wer Ist's” nie dowiedział się nic więcej oprócz tego, że Stuckart był kawalerem, a Luther żył aktualnie ze swoją trzecią żoną. Znalazł w notesie dwie nie zapisane kartki i podzielił je na trzy kolumny. Umieścił na górze nazwiska Buhlera, Luthera i Stuckarta i zaczął wpisywać do każdej z nich daty. Porównywanie chronologii było jego ulubionym zajęciem, metodą, dzięki której odnajdywał logiczny wzór w tym, co na pierwszy rzut oka wydawało się zbiorem przypadkowych faktów.

Wszyscy urodzili się z grubsza w tym samym czasie. Buhler miał sześćdziesiąt cztery lata, Luther sześćdziesiąt osiem, Stuckart sześćdziesiąt jeden. W latach trzydziestych wszyscy przeszli na państwowe posady – Buhler w 1939, Luther w 1936, Stuckart w 1935. Wszyscy pełnili mniej więcej podobne stanowiska – Buhler i Stuckart byli sekretarzami stanu, Luther podsekretarzem. Wszyscy przeszli na emeryturę w latach pięćdziesiątych – Buhler w 1951, Luther w 1955, Stuckart w 1953. Wszyscy musieli się wzajemnie znać. Wszyscy spotkali się o godzinie dziesiątej rano w zeszły piątek. Gdzie krył się wzór?

March przechylił się do tyłu na krześle i wlepił wzrok w biegnące pod sufitem rury.

Nagle przypomniał sobie.

Poderwał się z krzesła.

Obok wejścia leżały zszywki „Berliner Tageblatt”, „Völkischer Beobachter” oraz wydawanego przez SS „Das Schwarzes Korps”. Przerzucił szybko kartki „Tageblatt”, cofając się do wczorajszego wydania, do działu nekrologów. Po chwili znalazł to, czego szukał. Czytał ten nekrolog nie dalej jak wczoraj.

Towarzysz partyjny Wilhelm Stuckart, były sekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych, zmarł nagle na atak serca w niedzielę, 13 kwietnia. Oddany bojownik Narodowego Socjalizmu, pozostanie na zawsze w naszej pamięci...

Miał wrażenie, że ziemia usuwa mu się spod nóg. A potem zdał sobie sprawę, że przygląda mu się archiwistka.

– Źle się pan czuje, Herr Sturmbannführer?

– Nie, nic mi nie jest. Wyświadczy mi pani przysługę? – Wziął z jej biurka rewers i napisał na nim pełne nazwisko Stuckarta i jego datę urodzenia. – Może pani sprawdzić, czy mamy akta tej osoby?

Przyjrzała się rewersowi i wyciągnęła rękę.

– Przepustka.

Dał jej przepustkę. Polizała językiem czubek ołówka i wpisała do odpowiedniej rubryki dwunastocyfrowy numer służbowy Marcha. Dzięki temu wiadomo będzie, kto poprosił o dostęp do akt i o której to było godzinie. Gestapo mogło dowiedzieć się, czym interesował się inspektor March w osiem godzin po odebraniu mu sprawy Buhlera. Kolejny przejaw braku narodowosocjalistycznej dyscypliny. Nic nie był w stanie na to poradzić.

Archiwistka wyciągnęła długą drewnianą szufladę i przejechała kwadratowymi palcami po kartach katalogowych.

– Stroop... – mruzczała. – Strunck. Struss. Stülpnagel...

– Minęła go pani – powiedział March. Odchrząknęła i wyjęła z szuflady różową kartę.

– Stuckart Wilhelm. – Podniosła wzrok. – Akta wypożyczone.

– Komu?

– Niech pan sam zobaczy.

March pochylił się. Akta Stuckarta wypożyczył Sturmbannführer Fiebes z departamentu VB3. Departamentu przestępstw seksualnych.

Whisky i suche powietrze sprawiły, że zachciało mu się pić.

W korytarzu przed wejściem do archiwum był kranik z zimną wodą. Nalał sobie filiżankę i zastanawiał się, co począć.

Co zrobiłby na jego miejscu każdy rozsądny człowiek? Nietrudno było zgadnąć. Rozsądny człowiek zrobiłby to, co każdego dnia robił Max Jaeger. Nałożyłby na głowę kapelusz i wróciłby do domu, do żony i dzieci. Ale March nie miał takiej możliwości. Puste mieszkanie przy Ansbacher Strasse, kłócący się piętro niżej sąsiedzi i leżąca na podłodze wczorajsza gazeta – to wszystko wcale go nie pociągało. Ograniczył swoje życie do tego stopnia, że pozostała mu tylko praca. Co się stanie, jeśli i ona okaże się nic niewarta?

I było coś jeszcze, coś, co kazało mu każdego ranka zrywać się z łóżka na spotkanie kolejnego ponurego dnia. Tym czymś była ciekawość. W pracy policjanta istnieje zawsze jakieś kolejne skrzyżowanie, kolejny róg, zza którego wyłania się nowy widok. Kim była rodzina Weissów i co się z nią stało? Do kogo należały zwłoki wyłowione z jeziora? Co łączyło śmierć Buhlera i Stuckarta? Ciekawość utrzymywała go przy życiu, była jego błogosławieństwem i przekleństwem. I dlatego tak naprawdę nie miał teraz żadnego wyboru.

Rzucił papierową filiżankę do kosza na śmieci i ruszył po schodach na górę.

6

Walter Fiebes siedział popijając sznapsa w swoim gabinecie. Ze stołu przy oknie spoglądało na niego pięć ludzkich głów – białe gipsowe odlewy z uniesionymi niczym deski klozetowe skalpami, pod którymi widać było pomalowane na czerwono i szaro sekcje mózgu – pięć czaszek, na których opierało się niemieckie imperium.

Umieszczone pod spodem tabliczki opisywały je od lewej do prawej, w kolejności, którą wyznaczał malejący stopień akceptacji władz. Kategoria pierwsza: czysty nordyk. Kategoria druga: osobnik o dominujących cechach nordyckich bądź falickich. Kategoria trzecia: łagodny mieszaniec z

niewielką domieszką alpejsko-dynarską bądź śródziemnomorską. Przedstawiciele tych trzech grup mogli wstępować do SS. Pozostali nie mogli sprawować żadnych publicznych urzędów i gapili się z wyrzutem na Fiebesa. Kategoria czwarta: mieszaniec z dominującą domieszką bałtycką bądź alpejską. Kategoria piąta: mieszaniec pochodzenia pozaeuropejskiego.

March należał do kategorii pierwszej lub drugiej, Fiebes, paradoksalnie, sytuował się na pograniczu trzeciej. Ale prawdziwych fanatyków rasizmu rzadko można było spotkać wśród niebieskookich aryjskich supermenów; zbyt często, mówiąc słowami „Des Schwarzes Korps” „traktowali oni swą przynależność do narodu panów za coś oczywistego”. Bagniste pogranicze niemieckiej rasy patrolowali zamiast nich ci mniej przekonani o czystości własnej krwi. Poczucie braku bezpieczeństwa czyniło z nich dobrych strażników. Komiczny w swoich skórzanych krótkich spodniach, z których wyłaniały się iksowate nogi, dyrektor szkoły z Frankonii; spoglądający na świat przez grube soczewki okularów bawarski sklepikarz; nie potrafiący opanować nerwowego tiknięcia i żywiący skrytą słabość do młodszych członków Hitlerjugend rudy księgowy z Turynii; ludzie kulawi i brzydzy, najbardziej wybrakowane egzemplarze narodowego miotu – ci właśnie byli najgłośniejszymi obrońcami czystości rasy.

Do nich właśnie zaliczał się Fiebes – krótkowidzący, zgarbiony, krzywozębny, zdradzony przez żonę Fiebes – któremu Rzesza powierzyła jedyną pracę, na której mu naprawdę zależało. Najcięższymi wykroczeniami stały się nie gwałt i kazirodztwo, lecz homoseksualizm i krzyżowanie się ras. Aborcja, jako akt sabotażu przeciwko rasowej przyszłości Niemiec, karana była śmiercią. W rozwiązłych latach sześćdziesiątych obserwowano się znaczny wzrost przestępstw seksualnych. Fiebes, uwielbiający grzebać się w cudzych brudach, pracował po dwadzieścia cztery godziny na dobę i wedle słów Maxa Jaegera był szczęśliwy niczym tarzająca się w gnoju świnia.

Ale nie tego wieczoru. Tego wieczoru popijał w pracy, miał wilgotne oczy i przekrzywiony w bok, przypominający skrzydło nietoperza tupecik.

– W gazetach piszą, że Stuckart zmarł na zawał serca – powiedział March.

Fiebes zamrugał oczyma.

– Ale w archiwum odkryłem, że jego akta znajdują się u ciebie.

– Nie mogę tego skomentować.

– Oczywiście, że możesz. Jesteśmy starymi kolegami. – March usiadł i zapalił papierosa. – Zakładam, że chodzi tu jak zwykle o zaoszczędzenie kłopotów rodzinie.

– Żeby tylko rodzinie... – mruknął Fiebes. Zawahał się. – Mogę się poczęstować? – zapytał.

– Jasne. – March dał mu papierosa i pstryknął przed nosem zapalniczką. Fiebes zaciągnął się ostrożnie niczym uczeń w toalecie.

– Jestem tą sprawą bardzo wstrząśnięty, March, nie boję się tego przyznać. Uważałem faceta za prawdziwego bohatera.

– Znałeś go?

– Tylko ze słyszenia. Osobiście nigdy się z nim nie spotkałem. Dlaczego tak się nim interesujesz?

– Sprawa wagi państwowej. Nie mogę powiedzieć nic więcej. Wiesz, jak to jest.

– No tak. Teraz rozumiem. – Fiebes nalał sobie kolejnego solidnego sznapsa. – Jesteśmy do siebie bardzo podobni, March, ty i ja.

– Naprawdę?

– Jasne. Jesteś jedynym oprócz mnie śledczym, który przesiaduje tutaj po nocach. Pozbyliśmy się naszych żon, naszych dzieci... całego tego gówna. Sens naszego życia wyznacza praca. Jeśli idzie dobrze, my też czujemy się dobrze. Jeśli idzie źle... – Głowa opadła mu na piersi. – Czytałeś książkę

Stuckarta? – zapytał po chwili.

– Niestety nie.

Fiebes otworzył szufladę biurka i wyjął z niej sfatygowany, oprawny w skórę tom „Komentarz na temat niemieckich praw rasowych”. March przekartkował go. Kolejne rozdziały poświęcone były każdej z trzech ustaw norymberskich, ustawie o obywatelstwie Rzeszy, ustawie o ochronie niemieckiej krwi i niemieckiego honoru, a także ustawie o ochronie zdrowia genetycznego narodu niemieckiego. Niektóre fragmenty podkreślono czerwonym tuszem. Widniały obok nich duże wykrzykniki. „W celu uniknięcia szkód rasowych pary powinny przed zawarciem małżeństwa poddać się badaniom medycznym. Małżeństwo pomiędzy osobami cierpiącymi na choroby weneryczne, niedorozwój umysłowy, bądź też »skazy genetyczne« (patrz uchwalona w roku 1933 ustawa o sterylizacji) dozwolone są dopiero po okazaniu zaświadczenia o sterylizacji”. Były również wykresy. „Zezwolenia na małżeństwa między Aryjczykami i nie-Aryjczykami”, „Częstotliwość krzyżowania się ras pierwszego stopnia”.

Dla Xaviera Marcha wszystko to był bełkot.

– Większość tych rzeczy już się dzisiaj zdezaktualizowała – oświadczył Fiebes. – Wiele stwierdzeń odnosiło się do Żydów, a Żydzi, jak dobrze wiemy – dodał, mrugając okiem – wyjechali wszyscy na Wschód. Ale dla mnie Stuckart jest nadal czymś w rodzaju Biblii. Kamieniem węgielnym.

March oddał mu książkę, którą Fiebes ujął delikatnie niczym relikwię.

– Chciałbym teraz zobaczyć jego akta – powiedział March. Przygotowany był na dłuższą kłótnię, ale Fiebes machnął zachęcająco dłonią, w której trzymał butelkę z wódką.

– Ależ proszę bardzo.

Dossier było bardzo stare, teczkę założono przed ponad ćwierćwieczem. W roku 1936 Stuckart został członkiem powołanego przy Ministerstwie Spraw Wewnętrznych Komitetu do Spraw Ochrony Niemieckiej Krwi – trybunału zajmującego się rozpatrywaniem spraw urzędników, adwokatów i lekarzy, którzy złożyli podanie o małżeństwo z przedstawicielami ras innych niż aryjskie. Krótco potem policja zaczęła otrzymywać anonimowe listy oskarżające Stuckarta o wypisywanie zezwoleń na małżeństwo w zamian za łapówki w gotówce. Domagał się ponoć także usług seksualnych od zainteresowanych kobiet.

Pierwszym wymienionym z nazwiska skarżącym był krawiec z Dortmundu, niejaki Herr Maser, który zgłosił się do miejscowej siedziby partii, twierdząc, że Stuckart znieważył jego narzeczoną. Nie było śladu żadnego dochodzenia. Zamiast tego Masera i jego przyjaciółkę wysłano do obozu koncentracyjnego. W teście znajdowały się również inne donosy, w tym od Blockleitiera kamienicy, w której Stuckart mieszkał podczas wojny. Nie podjęto żadnych czynności śledczych.

W roku 1953 Stuckart nawiązał stosunki z osiemnastoletnią warszawianką, Marią Dymarski. Chcąc wyjść za kapitana Wehrmachtu twierdziła ona, że pochodzi ze starej osiemnastowiecznej niemieckiej rodziny. Eksperci Ministerstwa Spraw Wewnętrznych uznali przedstawione przez nią dokumenty za sfałszowane. W następnym roku Maria Dymarski otrzymała pozwolenie na pracę w charakterze pomocy domowej w Berlinie. Jej chlebodawcą był Stuckart.

March podniósł wzrok znad biurka.

– Jak to się stało, że przez dziesięć lat nikt nie dobrał mu się do skóry?

– Był Obergruppenführerem SS. Nikt nie składa donosów na takiego człowieka. Nie zapominaj, co stało się z tym Maserem, który pierwszy złożył skargę. Poza tym nikt nie dysponował wtedy solidnymi dowodami.

– A teraz są?

– Zjrzyj do koperty.

Do akt dołączona była brązowa koperta z zadziwiająco dobrej jakości kilkunastoma barwnymi fotografiami przedstawiającymi Stuckarta i Dymarski w łóżku. Białe ciała na tle czerwonej satynowej pościeli. Twarze – na jednych zdjęciach wykrzywione, na innych zrelaksowane – nietrudno było zidentyfikować. Wszystkie fotografie zrobione zostały z tego samego miejsca, obok łóżka. Ciało dziewczyny, blade i niedożywione, wyglądało dziwnie krucho pod Stuckartem. Na jednym ze zdjęć siedziała na nim okrakiem – szczupłe blade ramiona trzymała za głowę, twarz odwróciła do aparatu. Rysy miała szerokie, słowiańskie. Ale z długimi do ramion, tlenionymi blond włosami mogła od biedy uchodzić za Niemkę.

– Zrobiono je dawno temu?

– Mniej więcej przed dziesięcioma laty. Od tego czasu Stuckart posiwiiał, ona utyla. Zrobiła się z niej prawdziwa dziwka.

– Wiadomo, gdzie zrobiono zdjęcia? – W tle widać było rozmazane kolory. Brązowe, drewniane wezgłowie łóżka, biało-czerwona, prążkowana tapeta, lampa z żółtym kloszem; takie wnętrze mogło się znajdować dosłownie wszędzie.

– To nie jest wystrój jego mieszkania... przynajmniej obecnie. Hotel, może burdel. Aparat ukryty był za fałszywym lustrem. Widzisz, jak czasami gapią się prosto w obiektyw? Widziałem takie spojrzenia setki razy. Przyglądają się sobie w lustrze.

March zbadał po raz drugi wszystkie zdjęcia. Były błyszczące i nie pogięte – nowe odbitki starych negatywów. Obrazki, jakie można nabyć od rajfura w bocznej uliczce w Kreuzburgu.

– Gdzie je znalazłeś?

– Obok ciała.

Stuckart najpierw zastrzelił swoją kochankę. Z raportu wynikało, że leżała na brzuchu całkowicie ubrana, na łóżku w apartamencie Stuckarta przy Fritz Todt-Platz. Wpakował jej pocisk w tył głowy ze swego wchodzącego w skład wyposażenia SS lugera (jeśli to wszystko prawda, pomyślał March, stary mól książkowy użył pewnie broni palnej po raz pierwszy w życiu). W ranie znajdowały się strzępy tkaniny, co mogło sugerować, że strzał został oddany przez poduszkę. Potem Stuckart usiadł podobno na skraju łóżka i strzelił sobie w podniebienie. Na fotografiach policyjnych nie sposób było rozpoznać żadnego ciała. W zaciśniętej dłoni samobójcy wciąż tkwił pistolet.

– Na stole w jadalni zostawił krótki list – powiedział Fiebes. – „Mam nadzieję, że zaoszczędzę w ten sposób wstydu mojej rodzinie, Rzeszy i Führerowi. Heil Hitler! Niech żyją Niemcy! Wilhelm Stuckart”.

– Szantaż?

– Prawdopodobnie.

– Kto znalazł ciała?

– Tu dopiero się zdziwisz. Amerykańska dziennikarka. – Fiebes wypluł te dwa słowa niczym truciznę.

W aktach znajdowało się jej zeznanie: Charlotte Maguire, wiek 25 lat, berlińska korespondentka amerykańskiej agencji prasowej, World European Features.

– Prawdziwa mała dziwka. Od razu, jak ją tu przywieźli, zaczęła coś wrzeszczeć o przysługujących jej prawach. O prawach! – Fiebes pociągnął kolejny łyk sznapsa. – Podejrzewam, że teraz powinniśmy być chyba kurewsko mili dla Amerykanów, prawda?

March zanotował sobie jej adres. Jedynym innym przesłuchiwanym świadkiem był portier, który pracował w bloku Stuckarta. Amerykanka twierdziła, że zaraz po odkryciu ciała widziała na

schodach dwóch mężczyzn; portier jednak upierał się, że nie było nikogo.

March podniósł gwałtownie wzrok. Fiebes podskoczył na krześle.

– Co się stało?

– Nic. Wydawało mi się, że widziałem jakiś cień przy drzwiach.

– Mój Boże, co to za miejsce... – Fiebes otworzył na oścież drzwi z matowego szkła i wyjrzał na korytarz. Kiedy był odwrócony plecami, March odpiął przymocowaną do teczki kopertę i wsunął ją do kieszeni.

– Nikogo. – Fiebes zamknął drzwi. – Tracisz nerwy, March.

– Moim przekleństwem była zawsze zbyt aktywna wyobraźnia. March zamknął teczkę i wstał.

Fiebes zatoczył się i zamrugał oczyma.

– Nie chcesz jej zabrać? Nie pracujesz nad tą sprawą razem z Gestapo?

– Nie. To oddzielne dochodzenie.

– Tak? – Fiebes usiadł ciężko. – Kiedy powiedziałeś, że chodzi o „sprawę wagi państwowej”, pomyślałem... Ale to i tak nie ma znaczenia. Ja już się tym nie zajmuję. Śledztwo przejęło, dzięki Bogu, Gestapo. Bezpośredni nadzór sprawuje Obergruppenführer Globocnik. Słyszałeś o nim? Prawdziwy rzeźnik, to prawda, ale na pewno sobie z tym poradzi.

*

W biurze informacyjnym przy Alexander Platz mieli adres Luthera. Według danych policyjnych wciąż mieszkał w Dahlem. March zapalił kolejnego papierosa i wykręcił numer. Czekał dość długo – gdzieś w mieście niosło się ponure nieprzyjemne echo dzwonka. Już miał zrezygnować, kiedy w słuchawce odezwał się głos kobiety.

– Słucham?

– Frau Luther?

– Przy telefonie. – Głos miała młodszy, niż się spodziewał. Lekko ochrypy, jakby przed chwilą płakała.

– Nazywam się Xavier March. Jestem inspektorem berlińskiej Kriminalpolizei. Czy mogę rozmawiać z pani mężem?

– Przykro mi... nie rozumiem. Jeśli jest pan z policji, powinien pan wiedzieć...

– Wiedzieć? Co takiego?

– Mój mąż zaginął. W niedzielę. Zaczęła płakać.

– Bardzo mi przykro. – March balansował papierosem na skraju popielniczki. Wielki Boże, kolejna ofiara.

– Powiedział, że wybiera się w podróż służbową do Monachium i że wróci w poniedziałek. – Wydmuchała nos. – Ale już to wam wyjaśniałam. Z pewnością wie pan, że sprawa załatwiana jest na najwyższym szczeblu. Co...? – Nagle przerwała. March słyszał stłumione odgłosy rozmowy. W tle słyhać było nieprzyjemny i nagabujący głos mężczyzny. Kobieta powiedziała coś, czego nie słyszał, a potem zwróciła się z powrotem do niego. – Jest tu przy mnie Obergruppenführer Globocnik. Chciałby z panem rozmawiać. Jak brzmiało pańskie nazwisko? March odłożył słuchawkę.

*

W drodze powrotnej rozmyślał o porannym telefonie do Buhlera.

Głos starego człowieka: „Buhler? Odezwij się. Kto mówi?”

„Przyjaciół”.

Trzask odkładanej słuchawki.

7

Bülów Strasse ma mniej więcej kilometr długości i biegnie z zachodu na wschód przez jedną z najbardziej ruchliwych dzielnic Berlina, niedaleko Dworca Gotenlandzkiego. Amerykanka mieszkała w bloku w połowie ulicy.

March nie spodziewał się, że zagraniczna korespondentka będzie mieszkała w takiej ruderze: poczerniała od stuletniej sadzy, pięciopiętrowa fasada upstrzona była ptasimi odchodami. Siedzący na chodniku obok wejścia pijak wodził głową za każdym przechodzącym. Drugą stroną ulicy biegł nadziemny odcinek U-Bahnu. Kiedy parkował samochód, ze stacji wytoczyły się czerwone i żółte wagony metra. Z pałaków strzelały jaskrawe niebiesko-białe snopy iskier. Zapadał zmierzch.

Mieszkanie Amerykanki mieściło się na czwartym piętrze. Nie było jej w domu. Do drzwi przypięty był napisany po angielsku liścik: „Henry, jestem w barze przy Potsdamer Strasse. Całusy, Charlie”.

March znał po angielsku tylko kilka słów – dosyć, żeby zrozumieć treść notatki. Znużonym krokiem zszedł z powrotem na dół. Potsdamer Strasse była bardzo długa, mieściło się przy niej wiele barów.

– Szukam Fräulein Maguire – zwrócił się do dozorczyńni na parterze. – Wie pani może, gdzie ją można znaleźć? Zareagowała, jakby przekreślił kontakt.

– Wyszła mniej więcej przed godziną, Herr Sturmbannführer. Jest pan drugim mężczyzną, który o nią pyta. Piętnaście minut po jej wyjściu przyszedł młody facet, elegancko ubrany, z krótko przyciętymi włosami. Cudzoziemiec jak ona. Fräulein Maguire nie wróci przed północą, to mogę panu zaręczyć.

March zastanawiał się, o ilu jeszcze lokatorach dozorczyńni donosi na Gestapo.

– Czy jest jakiś bar, który regularnie odwiedza?

– U Heiniego, tuż za rogiem. Łażą tam wszyscy ci cholerni cudzoziemcy.

– Pani spostrzegawczość zasługuje na podziw.

Kiedy rozstawał się pięć minut później z wracającą do szydełkowania konsjerżką, głowa pękała mu od wiadomości o „Charlie” Maguire. Wiedział, że ma krótko przycięte, ciemne włosy; że jest nieduża i szczupła; że nosi nieprzemakalny płaszcz z błyszczącego plastiku i buty na wysokich obcasach jak jakaś dziwka; że mieszka tutaj od sześciu miesięcy i często wstaje z łóżka dopiero w południe; że zalega z czynszem; że powinien zobaczyć, ile wyrzuci butelek po alkoholu... Nie, dziękuję, naprawdę nie ma ochoty bliżej im się przyjrzeć, to nie będzie konieczne, okazała się pani nadzwyczaj pomocna.

Wychodząc z domu, skręcił w prawo. A potem jeszcze raz w prawo, w Potsdamer Strasse. Bar u Heiniego był pięćdziesiąt metrów dalej, po lewej stronie. Na szyldzie widniał ubrany w fartuch oberżysta z zakręconymi wąsami i kuflem pieniącego się piwa w ręku. Pod spodem paliły się tylko niektóre litery czerwonego neonu: U He ni o.

W barze było cicho – z wyjątkiem ustawionego w kącie stolika, przy którym rozmawiała głośno po angielsku grupka sześciu osób. Maguire była wśród nich jedyną kobietą. Śmiejąc się mierzwiła właśnie włosy starszemu od siebie mężczyźnie. On również zanosił się śmiechem. A potem zobaczył Marcha. Powiedział coś i śmiech umilkł. Wlepili w niego oczy. March podszedł bliżej, świadom wrażenia, jakie wywiera jego mundur. Podkute oficerskie buty stuknęły głośno po wyfroterowanej

drewnianej podłodze.

– Fräulein Maguire, nazywam się Xavier March i jestem pracownikiem berlińskiej Kriminalpolizei – powiedział, wyjmując legitymację. – Chciałbym z panią chwilę porozmawiać.

W jej dużych ciemnych oczach odbijały się światła baru.

– Proszę bardzo.

– Na osobności.

– Nie mam nic więcej do powiedzenia. – Odwróciła się do mężczyzny, którego przed chwilą czochrała, i mruknęła coś, czego March nie zrozumiał. Wszyscy się roześmieli. March nie ruszył się z miejsca. Po jakimś czasie od stolika wstał młodszy mężczyzna w sportowej marynarce i koszuli z przypinanym kołnierzykiem. Wyciągnął z kieszonki na piersi swoją legitymację.

– Nazywam się Henry Nightingale. Jestem drugim sekretarzem ambasady Stanów Zjednoczonych. Przykro mi, Herr March, ale wszystko, co miała do powiedzenia, miss Maguire powiedziała już pańskim kolegom.

March zignorował legitymację.

– Skoro nie ma pan zamiaru odejść – powiedziała Maguire – równie dobrze może się pan do nas przyłączyć. To jest Howard Thompson z „New York Timesa”. – Wskazała starszego mężczyznę, który uniósł w górę kieliszek. – To Bruce Fallon z United Press, Peter Kent z CBS i Arthur Haines z Reutersa. Henry'ego już pan poznał. Mnie najwyraźniej zna pan również. Chcieliśmy uczcić kilkoma szklaneczkami wspaniałą wiadomość. Niech pan nie robi takiej nadętej miny. Jesteśmy teraz przyjaciółmi: Amerykanie i esesmani.

– Uważaj, co mówisz, Charlie – odezwał się młody pracownik ambasady.

– Zamknij się, Henry. Chryste, ten facet nie zamierza się tak łatwo odczepić. Porozmawiam z nim z czystej nudy. Niech pan spojrzy... – Na stoliku przed nią leżała zmięta kartka papieru. Cisnęła nią w Marcha. – Oto, czego się przez to wszystko doczekałam. Cofnięto mi wizę za „zawarcie bez zezwolenia znajomości z niemieckim obywatelem”. Miałam wyjechać już dzisiaj, ale przyjaciele wstawili się za mną w Ministerstwie Propagandy i dostałam odroczenie na tydzień. Nie sprawiłoby to najlepszego wrażenia, prawda? Wydalenie dziennikarki tego samego dnia, kiedy ogłoszono wspaniałą wiadomość.

– To ważne – powiedział March.

Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem. Facet z ambasady położył jej dłoń na ramieniu.

– Nie musisz z nim wcale iść – powiedział. To pomogło jej chyba podjąć decyzję.

– Może byś się tak zamknął, Henry. – Strząsnęła jego rękę i narzuciła na ramiona płaszcz. – Jak na nazistę wygląda całkiem przyzwoicie. Dziękuję za drinka. – Wychyliła do dna zawartość szklanki – sądząc z wyglądu whisky z wodą sodową – i wstała od stolika. – Chodźmy.

Facet, którego przedstawiła jako Thompsona, powiedział coś po angielsku.

– Dobrze, Howard. Nie musisz się martwić – odparła. – Dokąd mnie pan zabiera? – zapytała Marcha, kiedy wyszli na zewnątrz.

– Do mojego samochodu.

– A kiedy się już w nim znajdziemy?

– Do apartamentu doktora Stuckarta.

– Zapowiada się niezła zabawa.

Amerykanka była rzeczywiście dość niska. Nawet na wysokich obcasach nie sięgała Xavierowi do ramienia. Otworzył przed nią drzwi volkswagena i kiedy pochyliła się, żeby wsiąść do środka, owionął go zapach whisky i papierosów – francuskich, nie niemieckich. A także raczej drogich perfum.

Przekręcił kluczyk w stacyjce i za ich plecami zawarczał tysiąctrzystacentymetrowy silnik. March wrzucił bieg i ruszył na zachód. Ostrożnie prowadząc zjechał z Bülow Strasse, okrążył Dworzec Gotenlandzki i skręcił na północ, w aleję Zwycięstwa. Po jej obu stronach stały zdobyte podczas kampanii wschodniej działa. Armatnie lufy mierzyły prosto w niebo. Ta część stolicy była o tej porze zwykle wyludniona; berlińczycy woleli hałaśliwe kafejki na tyłach Kurfürstendammu i kręte uliczki Kreuzbergu. Ale tego wieczoru wszędzie widać było ludzi – spacerowali, oglądali wystawy i stali w małych grupkach, podziwiając armaty i skąpane w świetle reflektorów budynki.

– Jacy ludzie przyglądają się w nocy armatom? – zapytała, kręcąc ze zdumieniem głową.

– Turyści – odparł March. – Dwudziestego kwietnia będzie ich tu ponad trzy miliony.

Zabieranie Amerykanki z powrotem do mieszkania Stuckarta stanowiło niemałe ryzyko – zwłaszcza teraz, kiedy Globus wiedział, że ktoś z Kripo szuka Luthera. Ale March musiał zobaczyć to mieszkanie; musiał usłyszeć w nim opowieść dziewczyny. Nie miał żadnego konkretnego planu, najmniejszego pojęcia, czego powinien szukać. Przypomniał sobie z uśmiechem słowa Führera: „Idę z pewnością lunatyka drogą, którą wskazuje mi Opatrzność”.

Przed nimi jaśniał w świetle reflektorów umieszczony na szczycie Wielkiego Pałacu orzeł. Mogło się zdawać, że wisi w powietrzu: złota, unosząca się nad stolicą, drapieżna bestia.

Dziennikarka zauważyła jego skrzywione w uśmiechu usta.

– Co pana tak śmieszy?

– Nic.

Skręcił w prawo przy Parlamencie Europejskim. Reflektory oświetlały flagi dwunastu krajów członkowskich. Sztandar ze swastyką był dwa razy większy od innych.

– Niech mi pani opowie o Stuckarcie. Jak dobrze go pani знаła?

– Bardzo słabo. Poznałam go poprzez moich rodziców. Mój ojciec pracował przed wojną w tutejszej ambasadzie. Ożenił się z niemiecką aktorką. To moja matka. Nazywa się Monika Koch, może pan o niej słyszał?

– Nie, nie wydaje mi się. – Jej niemiecki był bez zarzutu. Musiała się go nauczyć już w dzieciństwie – bez wątplenia zasługa jej matki.

– Gdyby to usłyszała, na pewno zrobiłoby się jej przykro. Uważa chyba, że była tutaj kimś w rodzaju gwiazdy. Tak czy owak oboje powierzchownie znali Stuckarta. Kiedy w zeszłym roku wyjeżdżałam do Berlina, dali mi listę ludzi, z którymi można porozmawiać. Okazało się, że połowa z nich już nie żyje. Większość pozostałych nie chciała się ze mną w ogóle spotkać. Znajomość z amerykańskim dziennikarzem nie jest tutaj szczególnie dobrze widziana. Rozumie pan chyba, o co mi chodzi. Nie będzie panu przeszkadzało, jeśli zapalę?

– Nie, proszę bardzo. Jak wyglądał Stuckart?

– Paskudny typ. – W ciemności błysnęła zapalniczka; Amerykanka zaciągnęła się głęboko dymem. – Próbował się do mnie dobierać, chociaż w tym samym czasie była w mieszkaniu ta jego kobieta. To było tuż przed Bożym Narodzeniem. Przez kilka miesięcy trzymałam się od niego z daleka. A potem, w zeszłym tygodniu, dostałam cynk z mojej redakcji w Nowym Jorku. Chcieli jakiś kawałek na siedemdziesiąte piąte urodziny Hitlera... jakąś rozmowę z ludźmi, którzy znali go w dawnych czasach.

– I zadzwoniła pani do Stuckarta?

– Tak.

– Umówiła się z nim pani na spotkanie w niedzielę, a kiedy pani tam przyszła, już nie żył?

– Skoro pan to wszystko wie – stwierdziła poirytowana – dlaczego pan mnie wypytuje?

– Wcale nie wiem wszystkiego, Fräulein. I o to właśnie chodzi.

Przez jakiś czas jechali w milczeniu.

Fritz Todt-Platz leżał kilka przecznic od alei Zwycięstwa. Wytoczony w połowie lat pięćdziesiątych, w ramach opracowanego przez Speera planu przebudowy miasta, składał się z kilku ekskluzywnych budynków mieszkalnych wzniesionych wokół niewielkiego pamiątkowego skwerku. Pośrodku stał absurdalnie heroiczny posąg twórcy autostrad, Todta, dzieło profesora Thoraka.

– Gdzie mieszkał Stuckart?

Wskazała blok po przeciwnej stronie placu. March objechał go i zaparkował przy krawężniku.

– Które piętro?

– Czwarte.

Spojrzał w górę. Okna na czwartym piętrze pogrążone były w mroku. To dobrze.

Posąg Todta oświetlały reflektory. Skąpana w odbitym świetle twarz Amerykanki wydawała się bardzo blada. Wyglądała, jakby zaraz miało jej się zrobić niedobrze. March przypomniał sobie fotografie, które pokazywał mu Fiebes – czaszka Stuckarta podobna była na nich do krateru albo ociekającej stearyną świeczki. Zrozumiał, co teraz czuła.

– Nie muszę tam wcale chodzić, prawda? – zapytała.

– Nie. Ale pójdzie pani.

– Dlaczego?

– Ponieważ zależy pani na dowiedzeniu się prawdy równie mocno jak mnie. Dlatego właśnie dała się pani przywieźć aż tutaj.

Ponownie zmierzyła go wzrokiem, a potem zgasiła papierosa i zgmiotła go w popielniczkę.

– Pospieszmy się – powiedziała. – Chcę szybko wrócić do moich przyjaciół.

Klucze wciąż znajdowały się w kopercie, którą *zabrał* z teczki Stuckarta. Było ich razem pięć. Znalazł ten, który pasował do drzwi wejściowych, otworzył je i weszli do środka budynku. Hol urządzony był z wulgarnym przepychem, w nowym imperialnym stylu – białe marmurowe podłogi, kryształowe żyrandole, wyściełane czerwonym pluszem, dziewiętnastowieczne poślacane krzesła. W powietrzu unosił się zapach zwiędłych kwiatów. Nie było na szczęście portiera; musiał zejść ze swego posterunku. Cały budynek wydawał się jakby opuszczony. Być może lokatorzy wyjechali do swoich letnich domków na wsi. W tygodniu poprzedzającym Führertag w zatłoczonym Berlinie trudno było doprawdy wytrzymać. Ci, którzy mieli trochę oleju w głowie, zawsze uciekali na wieś.

– Co teraz?

– Proszę mi po prostu opowiedzieć, co się wydarzyło.

– Portier siedział przy swoim biurku, tutaj – powiedziała. – Zapytałam o Stuckarta. Skierował mnie na czwarte piętro. Nie mogłam pojechać windą, bo była właśnie w remoncie. W środku siedział monter. Poszłam więc po schodach.

– Która była godzina?

– Dokładnie dwunasta w południe. Wspięli się razem po schodach.

– Kiedy byłam na drugim piętrze – ciągnęła dalej – wpadli na mnie biegnący z góry dwaj mężczyźni.

– Proszę ich opisać.

– Wszystko to zdarzyło się zbyt szybko, żebym mogła im się dobrze przyjrzeć. Jeden był w brązowym garniturze, drugi w zielonej kurtce. Mieli krótko przystrzyżone włosy. To wszystko.

– Co zrobili na pani widok?

– Po prostu przecisnęli się obok mnie. Ten w kurtce powiedział coś do drugiego, ale nie usłyszałam ani słowa. Monter w windzie włączył akurat świder. Wdrapałam się na czwarte piętro i nacisnęłam dzwonek przy drzwiach Stuckarta. Nikt nie odpowiadał.

– T co pani wtedy zrobiła?

– Zeszłam na dół, do portiera, i poprosiłam go, żeby otworzył mieszkanie Stuckarta i sprawdził, czy nic mu się nie stało.

– Dlaczego? Zawahała się.

– Nie podobali mi się ci dwaj mężczyźni. Coś mnie tknęło. Wie pan: stoi pan przed zamkniętymi drzwiami, nikt nie odpowiada, a mimo to czuje pan, że ktoś jest w środku.

– I udało się pani przekonać portiera, żeby otworzył drzwi?

– Powiedziałam, że jeśli tego nie zrobi, zadzwonię na policję. Że jeżeli coś się stało doktorowi Stuckartowi, on odpowie za to przed władzami.

Sprytny argument, pomyślał March. Po trzydziestu latach ścisłego wykonywania rozkazów przeciętny niemiecki obywatel wolał nie brać odpowiedzialności za nic, nawet za otwarcie czyichś drzwi.

– I wtedy znalazła pani ciało?

– On zobaczył je pierwszy. Usłyszałam jego krzyk i wpadłam do pokoju.

– Powiedziała mu pani o tych dwóch mężczyznach, których zobaczyła pani na schodach? Co mówił portier?

– Z początku był zbyt zajęty rzyganiem, żeby coś powiedzieć. Potem upierał się, że nikogo nie widział. Stwierdził, że musiało mi się przywidzieć.

– Sądzi pani, że kłamał? Przez chwilę się zastanawiała.

– Nie, nie sądzę. Wydaje mi się, że rzeczywiście ich nie widział. Z drugiej strony nie bardzo rozumiem, jak mogli wyjść nie zauważeni.

Stali wciąż na podeście między pierwszym a drugim piętrem, tam gdzie według niej minęli ją dwaj mężczyźni. March zszedł na pierwsze piętro. Amerykanka przez chwilę czekała na górze, a potem ruszyła w ślad za nim. Uchylił drzwi z klatki na korytarz.

– Mogli ukryć się gdzieś tutaj – mruknął pod nosem. – Gdzie jeszcze?

Zeszli na parter. Tu mieli do wyboru dwoje drzwi. Pierwsze prowadziły do holu wejściowego. March przekręcił klamkę drugich. Nie były zamknięte.

– Mogli też zejść tutaj.

Oświetlone jarzeniówką stopnie z surowego betonu prowadziły do piwnicy. March ruszył długim korytarzem, otwierając po kolei wszystkie drzwi. Pralnia. Magazyn. Generator. Schron przeciwatomowy.

Na mocy wydanego w roku 1948 Regulaminu Obrony Cywilnej

Rzeszy każdy budynek powinien mieć schron przeciwatomowy; te wybudowane pod biurami i blokami mieszkaniowymi musiały być dodatkowo wyposażone w generator i system filtrowania powietrza. Schron w bloku Stuckarta był wyjątkowo dobrze zaopatrzone: prycze do spania, szafka z zapasami, oddzielna kabina z sanitariatami. March podstawił metalowe krzesło pod znajdujący się dwa i pół metra nad podłogą wylot otworu wentylacyjnego. Złapał metalową siatkę i bez żadnej trudności wyjął ją z ramy. Wszystkie śruby zostały usunięte.

– Przepisy Ministerstwa Budownictwa określają, że otwór ma mieć półmetrową średnicę – powiedział. Rozpiął pasek i powiesił go razem z kaburą na oparciu krzesła. – Szkoda, że nie wzięli pod uwagę, ile to nam przysporzy kłopotów.

Zdjął kurtkę od munduru, podał ją Amerykance i wszedł na krzesło. Wsadził ręce do środka szybu, złapał się czegoś twardego i wsunął do środka. W szybie nie było ani filtrów, ani wentylatora. Opierając się ramionami o metalową obudowę posuwał się powoli do przodu. Otaczała go kompletna ciemność, w gardle czuł gryzący pył. Po jakimś czasie trafił wyciągniętymi rękoma na

metalową pokrywę i pchnął ją mocno do góry. Pokrywa ustąpiła i opadła na ziemię. Owionęło go nocne chłodne powietrze. Przez moment poczuł nieprzepartą chęć, żeby wyczołgać się na zewnątrz, ale zamiast tego popęzł z powrotem w stronę schronu. Zeskoczył na podłogę, zakurzony i pobudzony smarem.

Amerykanka celowała do niego z pistoletu.

– Pif paf! – zawołała. – Już po panu. – Uśmiechnęła się, widząc jego przerażoną minę. –

Amerykański żart.

– Mało śmieszny. – Zabrał jej lugera i schował do kabury.

– W porządku – powiedziała. – Mam dla pana coś lepszego. Naoczny świadek widzi, jak dwaj mordercy opuszczają dom, a policji zajmuje cztery dni, żeby odkryć, którędy uciekli. Nie wydaje się to panu śmieszne?

– To zależy od okoliczności. – Otrzeptał koszulę z kurzu. – Jeśli policjanci odnajdują przy jednej z ofiar napisany przez nią własnoręcznie samobójczy list, wtedy nietrudno zrozumieć, dlaczego nie zwracają sobie głowy poszukiwaniami morderców.

– Ale potem pojawia się pan i zaczyna szukać.

– Jestem z tych ciekawskich.

– Najwyraźniej. – Ponownie się uśmiechnęła. – Więc Stuckarta zastrzelono, a mordercy próbowali upozorować samobójstwo?

– Istnieje taka możliwość.

Pożałował tych słów w tej samej chwili, kiedy je wymówił.

Opowiedział jej na temat śmierci Stuckarta więcej, niż to było rozsądne. Widział teraz w jej oczach isierki kpiny. Zły był na samego siebie, że ją zlekceważył. Cechował ją ów specyficzny spryt, którym odznaczają się dziennikarze i kryminaliści. Zastanawiał się, czy może nie odwieźć jej do baru i nie kontynuować śledztwa samemu, ale po chwili odrzucił ten pomysł. To nie miało sensu. Żeby dowiedzieć się, co się stało, musiał zobaczyć to jej oczyma. Zapiął kurtkę munduru.

– Teraz musimy przyjrzeć się bliżej apartamentowi towarzysza Stuckarta.

Z satysfakcją odnotował, że uśmiech natychmiast znikł z jej twarzy. Mimo to wcale nie protestowała. Kiedy wspinali się po schodach na parter, przyszło mu do głowy, że zależy jej na obejrzeniu mieszkania Stuckarta prawie tak samo jak jemu.

Na czwarte piętro pojechali windą. Kiedy wysiadali, usłyszał dochodzący z lewej strony odgłos otwieranych drzwi. Pociągnął Amerykankę za ramię i schował się razem z nią za rogiem. Po paru sekundach wyjrzał na zewnątrz i zobaczył idącą w stronę windy, ubraną w futrzaną czapkę kobietę w średnim wieku. Na ręku niosła małego psa.

– Ściska mi pan ramię.

– Przepraszam.

Bał się własnego cienia. Kobieta powiedziała coś cicho do psa i zniknęła w windzie. March zastanawiał się, czy Globus odebrał już Fiebesowi akta Stuckarta i czy odkrył brak kluczy. Będą się musieli pośpieszyć.

Drzwi apartamentu Stuckarta opieczętowano tuż obok klamki czerwonym lakiem. Data była dzisiejsza. Dołączona notka informowała wszystkich ciekawych, że lokal znajduje się obecnie pod jurysdykcją Geheime Staatspolizei, Gestapo, i że wstęp jest surowo wzbroniony. March założył parę cienkich skórzanych rękawiczek i złamał pieczęć. Klucz lekko obrócił się w zamku.

– Niech pani niczego nie dotyka – polecił.

W środku panował przepych podobny do tego, który uderzył ich w holu: połączane ramy luster, stylowe, stojące na rzeźbionych nogach stoły i krzesła, jasne beże adamaszkowych obić, królewski

błękit perskich dywanów. Wojenne trofea, łupy imperium.

– Teraz proszę mi jeszcze raz opowiedzieć, co się stało.

– Portier otworzył drzwi i weszliśmy razem do przedpokoju. – Zadrżała i zaczęła mówić trochę głośniejszym głosem. – Nikt nie odpowiedział na jego wołanie, więc ruszyliśmy dalej. Te drzwi otworzyłam pierwsze.

Takie łazienki March oglądał tylko w ilustrowanych magazynach. Białe marmur, przydymione lustro, wbudowana w podłogę wanna, dwie bliźniacze umywalki ze złotymi kranami... Znać było tutaj, pomyślał, rękę Marii Dymarski – przerzucającej kartki niemieckiej wersji „Vogue” u fryzjera z Kurfürstendammu, który farbował jej polskie odrosty na aryjski, regulaminowy kolor blond.

– Potem weszłam do salonu...

March zapalił światło. Jedną ścianę w całości zajmowały wysokie okna, z których rozciągał się widok na plac. Na pozostałych trzech wisiały wielkie lustro. Gdzie się nie obejrzał, widział odbicia swoje i dziewczyny: czarny mundur i błyszczący niebieski płaszcz dziwacznie wyglądające na tle antyków. Wszędzie otaczały ich nimfy. Połączone nimfy tuliły się do lusterek, odlane z brązu nimfy podtrzymywały lampy i zegary. Nimfy na obrazach i w formie posągów; nimfy leśne i wodne; Amfitryta i Tetyda.

– Usłyszałam, jak krzyczy. Pobiełam na pomoc.

March otworzył drzwi sypialni. Amerykanka odwróciła głowę. W półmroku krew wydaje się czarna. Ściany i sufit znały podobne do cieni drzew powykręcane i groteskowe ciemne smugi.

– Leżeli na łóżku, tak? Kiwnęła głową.

– Co pani zrobiła?

– Zadzwoiłam na policję.

– Gdzie był wtedy portier?

– W łazience.

– Popatrzyła pani na nich jeszcze raz?

– A jak pan myśli?

Przesłoniła gniewnie rękawem oczy.

– W porządku, Fräulein. Wystarczy. Niech pani zaczeka w salonie.

Ludzkie ciało zawiera pięć litrów krwi; dosyć, żeby wymalować duży apartament. Starając się nie patrzeć na łóżko i ściany zabrał się do roboty – otworzył wszystkie szafy, sprawdził podszejkę każdej sztuki garderoby, zanurzył rękę w każdej kieszeni. W następnej kolejności zabrał się do szafek przy łóżku. Nie były zamknięte na klucz i przeszukano je już wcześniej. Zawartość szuflad została opróżniona i wciśnięta byle jak z powrotem: typowa niechlujna robota gliniarzy z Orpo, którzy na ogół zacierali więcej śladów, niż odnajdywali.

Nic, absolutnie nic. Czyżby niepotrzebnie podjął całe ryzyko?

Kłęczał właśnie na kolanach, sięgając ręką pod łóżko, kiedy doszedł go dźwięk pozytywki. Melodię rozpoznał już po sekundzie.

Usta milczą, dusza śpiewa:

Kochaj mnie!

Dookoła pieśń rozbrzmiewa:

Kochaj mnie!

– Przepraszam – powiedziała, kiedy wyskoczył z sypialni. – Nie powinnam była tego dotykać.

Odebrał jej ostrożnie bombonierkę i zamknął wieko.

– Gdzie to było?

– Na stole.

Ktoś otworzył nadeszła w ciągu ostatnich trzech dni pocztę Stuckarta, elegancko rozcinając koperty i wyjmując z nich listy. Leżały wszystkie obok telefonu. Wchodząc wcale ich nie zauważył. Jak mógł się tak zagapić? Czekoladki były opakowane zupełnie tak samo jak bombonierka Buhlera i nadane z Zurychu w poniedziałek o godzinie szesnastej.

Nagle zobaczył, że Amerykanka trzyma w ręku nóż do papieru.

– Mówiłem, żeby nic pani nie dotykała.

– Powiedziałam: przepraszam.

– Myśli pani, że to zabawa? – Jest jeszcze bardziej szurnięta ode mnie, pomyślał. – Zaraz pani stąd wyjdzie. – Próbował ją złapać, ale wyslizgnęła się.

– Nie ma mowy. – Cofnęła się, celując w niego nożem. – Coś mi się wydaje, że mam takie samo prawo tu przebywać jak pan. Jeśli spróbuje mnie pan wyrzucić, narobię takiego wrzasku, że zbiegnie się tutaj całe berlińskie Gestapo.

– Pani ma nóż, ale ja mam pistolet.

– Ale pan nie ośmieli się go użyć.

Xavier przesunął ręką po włosach. Wydawało ci się, że jesteś taki mądry, pomyślał, odnajdując ją i sprowadzając tutaj z powrotem. A przez cały czas to ona wodziła cię za nos. Chciała tutaj wrócić, chciała coś odnaleźć. Zrobiła z ciebie idiotę.

– Okłamała mnie pani – powiedział.

– A pan mnie. Jesteśmy kwita.

– To jest niebezpieczne. Nie ma pani pojęcia, jak bardzo...

– Wiem tylko tyle, że moja kariera zakończyła się z powodu tego, co wydarzyło się w tym apartamencie. Kiedy wrócę do Nowego Jorku, mogą mnie wylać z roboty. Wydalają mnie z tego cholernego kraju i chcę przynajmniej wiedzieć dlaczego.

– Skąd mam wiedzieć, że mogę pani ufać?

– A ja skąd mam wiedzieć, że mogę ufać panu?

Stali tak naprzeciwko siebie może przez minutę: on z dłonią we włosach, ona z wycelowanym w niego srebrnym nożem do papieru. Na dworze, po drugiej stronie placu, zegar zaczął wybijać godzinę. March spojrzął na zegarek. Była dziesiąta.

– Nie mamy czasu – powiedział szybko. – To są klucze do mieszkania. Ten jest do drzwi na dole. Ten do drzwi wejściowych. Ten pasuje do szafki przy łóżku. Ten – podniósł do góry ostatni klucz – jest, jak sądzę, do sejfu. Gdzie tu może być sejf?

– Nie wiem. Przysięgam – dodała, widząc na jego twarzy niedowierzanie.

Przez dziesięć minut przeszukiwali w milczeniu mieszkanie, przesuważąc meble, podnosząc dywany i zaglądając pod obrazy.

– To lustro nie przylega równo do ściany – powiedziała nagle.

Małe stylowe lustro o boku nie większym niż trzydzieści centymetrów wisiało nad stolikiem, na którym leżały otworzone przez nią listy. Xavier ujął w dwie ręce poślaczoną ramę. Poddała się lekko, ale nie chciała odsunąć się od ściany.

– Niech pan spróbuje tym – powiedziała, podając mu nóż.

Miała rację. Z lewej strony, w dwóch trzecich długości ramy znajdowała się mała dźwignia. March nacisnął ją czubkiem noża i poczuł, jak się poddaje. Lustro osadzone było na zawiasach. Otworzyło się na oścież, odsłaniając ukryty pod spodem sejf.

Przyjrzał mu się dokładnie i zaklął. Zamek sejfu zaopatrzony był w kombinację szyfrową.

– Nie da pan rady? – zapytała.

- „Zaradny oficer – zacytował March – powinien znaleźć wyjście w obliczu każdej trudności”.
- Podeszedł do telefonu i podniósł słuchawkę.

8

Z odległości pięciu tysięcy kilometrów posyłał im swój słynny promienny uśmiech prezydent Kennedy. Otoczony wianuszkami mikrofonów zwracał się do zgromadzonej na futbolowym stadionie publiczności. Za jego plecami powiewały czerwone, białe i błękitne transparenty: „Kennedy na następną kadencję!”, „Wybierz jeszcze raz Kennedy'ego!” Prezydent zawołał coś, czego March nie zrozumiał, i tłum odpowiedział brawami.

– Co on mówi? Ekran telewizora rzucał niebieską poświatę na pogrążony w półmroku apartament Stuckarta.

– „Niemcy mają swój system, a my mamy swój – przetłumaczyła Charlotte Maguire. – Ale jesteśmy obywatelami jednej planety. I szczerze wierzę, że jak długo będą o tym pamiętać nasze oba narody, możemy żyć w pokoju”. A te dupki biją mu brawo.

Zrzuciła z nóg buty i leżała na brzuchu przed telewizorem.

– O, teraz coś bardziej serio. – Zaczekała, aż skończy, i ponownie przetłumaczyła. – Mówi, że podczas swojej wizyty ma zamiar podnieść problem praw człowieka. – Roześmiała się, potrząsając głową. – Jezu, ale on pierdoli. Jedyna rzecz, która go naprawdę obchodzi, to wynik listopadowych wyborów.

– Problem praw człowieka?

– Tysiące dysydentów, których zamykacie w obozach. Miliony Żydów, którzy zniknęli podczas wojny. Tortury. Zabójstwa. Przepraszam, że o tym wspominam, ale mamy pewne burżuazyjne przesady. Uważamy na przykład, że istoty ludzkie mają pewne prawa. Gdzieś ty się podziewał przez ostatnie dwadzieścia lat?

Lekceważenie w jej głosie ubodło go. Nigdy jeszcze nie wdał się w dłuższą rozmowę z Amerykaninem. Czasem tylko spotykał przypadkowych turystów, obwożonych autokarami po stolicy i oglądających to, co chciało im pokazać Ministerstwo Propagandy – zupełnie tak samo jak przeprowadzający inspekcje w kacetach urzędnicy Czerwonego Krzyża. Teraz, kiedy jej słuchał, przyszło mu do głowy, że

Maguire zna prawdopodobnie najnowszą historię jego własnego kraju lepiej od niego. Czuł, że powinien się jakoś bronić, ale nie bardzo wiedział jak.

– Mówisz jak polityk. – To było wszystko, na co się zdobył. Nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Przyjrzał się ponownie postaci na ekranie. Mimo okularów i łysiny Kennedy prezentował obraz młodzieńczego wigoru.

– Wygra wybory? – zapytał.

Dziennikarka nie odpowiedziała. Przez moment myślał, że postanowiła się do niego nie odzywać.

– Teraz wygra – odparła w końcu. – Jak na siedemdziesiąt pięć lat wygląda całkiem nieźle, prawda?

– Na pewno. – March stał metr od okna, paląc papierosa i spoglądając to na plac, to na ekran telewizora. Ruch był niewielki – głównie ludzie wracający z restauracji lub z kina. Pod posągami Todta stała, trzymając się za ręce, młoda para. Mogli być agentami Gestapo; trudno było zgadnąć.

Miliony Żydów, którzy zniknęli podczas wojny... Rozmawiając z nią w ten sposób, ryzykował

sąd wojenny. Mimo to czuł, że jej umysł musi stanowić prawdziwy skarbiec wypełniony informacjami, które banalne dla niej, dla niego mogły okazać się naprawdę bezcenne. Gdyby tylko udało mu się przewyciężyć jej wściekłą niechęć, zasypać wykopaną przez propagandę przepaść...

Nie. To śmieszna myśl. Miał dosyć innych problemów.

Na ekranie ukazała się poważna twarz zapowiadającej program blondynki; na planszy za jej plecami widniały fotografie Führera i Kennedy'ego oraz pojedyncze słowo: „Detente”.

Charlotte Maguire poczęstowała się już wcześniej whisky z barku Stuckarta. Teraz uniosła w górę szklankę w kpiącym toaście.

– Zdrowie Josepha Kennedy'ego, prezydenta Stanów Zjednoczonych, tchórza, antysemitę, gangstera i sukinsyna. Obyś przez całą wieczność smażył się w piekle.

*

Zegar na placu wybił wpół do jedenastej, potem za kwadrans jedenaściami i jedenastą.

– Może ten twój przyjaciel się rozmyślił – powiedziała. March potrząsnął głową.

– Na pewno przyjedzie.

Kilka chwil później na plac wjechała poobijana skoda. Powoli okrążyła pomnik Todta, a potem wróciła i zatrzymała się przy budynku. Drzwiczki od strony kierowcy otworzyły się i z samochodu wysiadł Max Jaeger; z drugiej strony wynurzył się, trzymając w ręku lekarską torbę, niewielki człowieczek w postrzępionej sportowej marynarce i filcowym kapeluszu. Zerknął na czwarte piętro i cofnął się, ale Jaeger wziął go pod ramię i poprowadził w stronę wejścia. W panującej w mieszkaniu ciszy rozległ się głośny dźwięk dzwonka.

– Najlepiej niech pani nic nie mówi – powiedział March. Wzruszyła ramionami.

– Jak pan chce.

Wyszedł do przedpokoju i podniósł słuchawkę domofonu.

– Cześć, Max.

Nacisnął przycisk otwierający drzwi na dole. Korytarz był pusty. Po minucie cichy świst zasygnalizował przyjazd windy. Mały człowieczek, który wysiadł z niej pierwszy, przemknął szybko korytarzem i bez słowa wślizgnął się do przedpokoju. Mógł mieć jakieś pięćdziesiąt lat; niczym nieświeży oddech ciągnął się za nim specyficzny odór półświatka – klimat podwójnych ksiąg podatkowych, szemranych interesów i składanych na pierwszy odgłos cudzych kroków karcianych stolików. Tuż za nim do mieszkania wszedł Max Jaeger.

Kiedy mężczyzna zobaczył, że March nie jest sam, skulił się przestraszony w kącie.

– Kim jest ta kobieta? – zapytał Jaegera. – Nic pan nie mówił o żadnej kobiecie. Kim jest ta kobieta?

– Zamknij się, Willi – powiedział Max, popychając go delikatnie do gabinetu.

– Nie zwracaj na nią uwagi, Willi – dodał Xavier. – Popatrz lepiej na to. – Zapalił lampę i przekręcił w górę klosz. Willi Stiefel objął szybkim spojrzeniem sejf.

– Angielski – powiedział. – Obudowa: półtora centymetra odpornej na rozciąganie stali. Zgrabny mechanizm. Ośmiocyfrowy szyfr. Jeśli będziemy mieli trochę szczęścia, sześciocyfrowy. Błagam pana, Herr Sturbannführer – zwrócił się do Marcha. – Następnym razem czeka mnie gilotyna.

– Gilotyna czeka cię tym razem – powiedział Jaeger – jeśli sobie z tym nie poradzisz.

– Piętnaście minut, Herr Sturbannführer. Potem się stąd zmywam. Zgoda? March kiwnął głową.

– Zgoda.

Stiefel rzucił ostatnie nerwowe spojrzenie w stronę Charlotte, po czym zdjął kapelusz i marynarkę, otworzył swoją torbę i wyciągnął z niej parę cienkich gumowych rękawiczek i stetoskop. March zaciągnął Jaegera do okna.

– Bardzo się opierał? – zapytał szeptem.

– A jak myślisz? Ale poinformowałem go, że wciąż podpada pod artykuł czterdziesty drugi, i dał się przekonać.

Paragraf czterdziesty drugi Kodeksu Karnego Rzeszy stwierdzał, że „recydywiści i sprawcy wykroczeń przeciwko moralności” mogą być aresztowani na podstawie podejrzenia, że mogliby popełnić kolejne przestępstwo. Narodowy Socjalizm uczył, że skłonności kryminalne ma się we krwi; to rzecz, z którą człowiek się po prostu rodzi, podobnie jak z talentem muzycznym albo blond włosami. W związku z tym wyrok zależał bardziej od charakteru przestępcy aniżeli ciężaru popełnionej przez niego zbrodni. Gangster, który ukradł pięć marek po bójce na pięści, mógł zostać skazany na śmierć, jeśli sędzia stwierdził, iż „okazywane przez niego skłonności przestępcze są tak głęboko zakorzenione, że wyklucza to, aby kiedykolwiek stał się użytecznym członkiem społeczeństwa”. Jednak następnego dnia, w tym samym sądzie, lojalny członek partii, który zastrzelił swoją żonę za obraźliwą uwagę, mógł dostać co najwyżej wyrok z zawieszeniem.

Stiefel nie mógł sobie pozwolić na kolejne aresztowanie. Odsiedział dziewięć lat w Spandau za napad na bank. Nie miał innego wyboru: musiał współpracować z policją, o cokolwiek go prosiła: jako donosiciel, prowokator albo specjalista od otwierania sejfów. Ostatnio prowadził warsztat zegarmistrzowski w Wedding i przysięgał, że zerwał z dawnymi nawykami – w co trudno było uwierzyć, kiedy patrzyło się na niego teraz. Przytknął stetoskop do drzwi sejfu i zaczął powoli przesuwając tarczę. Z zamkniętymi oczyma przysłuchiwał się cichemu odgłosowi obracającego się bębna.

Szybciej, Willi. March zatarł dłonie. Palce zdrętwiały mu z przejęcia.

– Jezu Chryste – szepnął bezgłośnie Jaeger. – Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

– Wyjaśnię ci później.

– Możesz sobie darować. Już ci powiedziałem: nie chcę nic wiedzieć.

Stiefel wyprostował się i przeciągle westchnął.

– Jedyńka – powiedział. Jedyńka była pierwszą cyfrą kombinacji.

Max, podobnie jak Stiefel, zerkał co jakiś czas na Charlotte Maguire. Siedziała skromnie na poślaczonym krześle z rękoma skrzyżowanymi na piersiach.

– Żeby sprowadzić tutaj cudzoziemkę! Jezu Chryste!

– Szóstka.

I tak to szło, z szybkością jednej cyfry na parę minut, dopóki o godzinie 11.35 Stiefel nie odwrócił się do Xaviera.

– Kiedy urodził się właściciel? – zapytał.

– Dlaczego pytasz?

– Zaoszczędzi nam to czasu. Wydaje mi się, że szyfr oparty jest na jego dacie urodzenia. Do tej pory ustaliłem jeden, sześć, jeden, jeden, jeden, dziewięć. Szesnastego listopada tysiąc dziewięćset...

March zajrzał do swoich notatek.

– Tysiąc dziewięćset drugiego.

– Zero dwa. – Stiefel obrócił dwa razy tarczę i uśmiechnął się. – Najczęściej są to urodziny właściciela, urodziny Führera albo Dzień Narodowego Przebudzenia – powiedział, otwierając

drzwi.

Sejf był niewielki: sześćian o boku może piętnastu centymetrów. Nie zawierał wcale banknotów ani biżuterii, ale wyłącznie papiery, w większości stare. Xavier wyjął je na stolik i zaczął przerzucać, – Chciałbym już odejść, Herr Sturmbannführer.

March zignorował go. Związane czerwoną wstążką tytuły własności w Wiesbaden, dotyczące – sądząc na pierwszy rzut oka – rodzinnego domu. Certyfikaty giełdowe. Hoesch, Siemens, Thyssen. Firmy były typowe, ale zainwestowane sumy wydawały się astronomiczne. Polisy ubezpieczeniowe. Jedyne akcent osobisty: fotografia Marii Dymarski w kostiumie kąpielowym z lat pięćdziesiątych.

– No i są tutaj! Ty cholerny, cholerny głupcze! – zawołał spod okna Jaeger.

Plac okrężało jadące szybko, nie oznakowane szare BMW, a w ślad za nim wojskowa ciężarówka. Oba pojazdy zatrzymały się, blokując ulicę, przy budynku. Z samochodu wyskoczył mężczyzna w spiętym paskiem skórzanym płaszczu. Opuszczono klapę i ze skrzyni ciężarówki zaczęli wyskakiwać umundurowani, uzbrojeni w automaty esesmani.

– Szybciej! Szybciej! – wrzasnął Max. Zaczął popychać Charlie i Stiefła w stronę drzwi.

Xavier przerzucał drżącymi palcami pozostałe papiery. Nie podpisana, nie zalepiona błękitna koperta. Było w niej coś ciężkiego. Zajrzał do środka, zobaczył wykaliografowany nagłówek banku – Zaugg & Cie, Bankiers – i wetknął kopertę do kieszeni.

Odezwał się brzęczyk przy domofonie. Dzwonił długimi niecierpliwymi seriami.

– Muszą wiedzieć, że tu jesteśmy!

– Co teraz? – zapytał Jaeger.

Stiefel zrobił się cały szary. Amerykanka stała w miejscu. Chyba nie zdawała sobie sprawy z niebezpieczeństwa.

– Do piwnicy! – krzyknął March. – Może nas nie zauważą. Wsiadajcie do windy.

Pozostała trójka wybiegła z mieszkania. Xavier wetknął papiery z powrotem do sejfu, zatrzasnął drzwiczki, przesunął tarczę i umieścił na swoim miejscu lustro. Zabrakło czasu, żeby zrobić coś ze złamaną pieczęcią przy drzwiach. Trzymali dla niego windę. Wślizgnął się do środka i ruszyli w dół.

Trzecie piętro, potem drugie...

March modlił się, żeby winda nie zatrzymała się na parterze. Nie zrobiła tego. Drzwi otworzyły się w piwnicy. Nad głowami słyszeli stukające po marmurowej posadzce obcasy szturmowców.

– Tędy! – Poprowadził ich w stronę schronu. Krata od otworu wentylacyjnego stała oparta o ścianę tam, gdzie ją zostawił.

Stiefłowi nie trzeba było nic mówić. Podbiegł do szybu, podniósł swoją torbę i wrzucił ją do środka. Potem chwycił się cegieł i szurając nogami po gładkiej ścianie, próbował bezskutecznie podciągnąć się do góry.

– Pomóżcie mi – rzucił przez ramię. Xavier i Max złapali go za nogi i podnieśli. Mały człowieczek wsunął się głową naprzód do dziury i zniknął.

Usłyszeli dzwonek i szuranie butów po betonie. Esesmani odnaleźli wejście do piwnicy.

– Ty następna! – zawołał March do Charlie.

– Coś panu powiem. On nigdy się tędy nie przeciśnie – powiedziała, wskazując palcem Jaegera. Max objął się rękoma, w pasie. Amerykanka miała rację. Był zbyt gruby.

– Ja zostanę. Coś wymyślę. Uciekajcie wy dwoje.

– Nie. – To zaczęło zamieniać się w farsę. Xavier wyjął kopertę z kieszeni i wetknął ją Charlie do ręki. – Niech pani to zabierze. Mogą nas rewidować.

– A pan? – Trzymając w ręku swoje głupie szpilki wspięła się na krzesło.

– Niech pani czeka, aż się odezwę. I nikomu nic nie mów. – Złapał ją pod kolana i podrzucił w

górze. Była lekka jak piórko.

Esesmani byli już na dole. Biegli korytarzem – słyszał trzaskanie otwieranych drzwi. Wsadził z powrotem kratę i kopnął na bok krzesło.

CZEŚĆ TRZECIA

CZWARTEK, 16 KWIETNIA

Kiedy Narodowy Socjalizm będzie panował dostatecznie długo, niemożliwe będzie wyobrażenie sobie życia innego niż nasze.

ADOLF HITLER

11 lipca 1941

Szare BMW wiozło ich na południe Saarland Strasse. Mijali pogrążone we śnie hotele i opustoszałe sklepy śródmieścia. Przy ciemnym gmachu Museum für Völkerkunde skręcili w lewo w Prinz-Albrecht Strasse, kierując się w stronę siedziby Gestapo.

W samochodach, jak we wszystkim, też obowiązywała hierarchia. Orpo musiało się zadowolić blaszanymi oplami. Kripo miało do dyspozycji volkswagena – czterodrzwiową wersję oryginalnego robotniczego KdF-wagena, produkowanego w milionach egzemplarzy w zakładach w Fallersleben. Gestapo było jeszcze mądrzejsze. Jego funkcjonariusze używali BMW 1800 – złowrogiej maszyny z podrasowanym silnikiem i matowoszarą karoserią.

Siedząc na tylnym siedzeniu obok Maxa Jaegera, March nie spuszczał oczu z człowieka, który ich aresztował. Kiedy wyszli z piwnicy, dowódca obławy na mieszkanie Stuckarta powitał ich idealnym narodowosocjalistycznym salutem. „Sturmbannführer Karl Krebs, Gestapo!” Marchowi nic to nie mówiło. Dopiero teraz w BMW rozpoznał go z profilu. Krebs był jednym z dwóch oficerów SS, którzy towarzyszyli Globusowi w willi Buhlera.

Miał mniej więcej trzydzieści lat i pociągłą inteligentną twarz. Gdyby nie mundur, nie sposób było zgadnąć, czym się zajmuje: mógł być prawnikiem, bankierem, eugenikiem, katem. Tak właśnie wyglądali teraz młodzi ludzie w jego wieku. Schodzili z linii produkcyjnych Deutsches Jungvolk, Hitlerjugend, Reichsarbeitsdienst* i Kraft durch Freude. Słuchali tych samych przemówień, uczyli się na pamięć tych samych sloganów, jedli te same jednodaniowe posiłki Pomocy Zimowej. Byli końmi pociągowymi reżimu – nie znający innego autorytetu poza partią, banalni i niezawodni jak volkswagen Kripo.

Samochód zatrzymał się. Krebs prawie natychmiast znalazł się na zewnątrz i otworzył przed nimi drzwi.

– Proszę tędy, panowie.

March wygramolił się z samochodu i spojrzał na ulicę. Krebs bawił się w uprzejmości, ale z drugiego BMW, które zatrzymało się dziesięć metrów z tyłu, jeszcze w biegu wyskoczyli uzbrojeni tajniacy. Tak to właśnie wyglądało od chwili, kiedy odnaleziono ich w schronie przy Fritz-Todt Platz. Żadnego bicia kolbami w brzuch, żadnych przekleństw i kajdanków. Zadzwoniono po prostu na komendę i poproszono ich o udanie się na Gestapo w celu „dalszego przedyskutowania sprawy”. Krebs nalegał również, żeby oddali broń. Zachowywał się grzecznie, ale pod tą grzecznością czaiła się groźba.

Siedziba Gestapo znajdowała się w dostojnym pięciopiętrowym wilhelmińskim gmachu, którego fasada wychodziła na północ i nigdy nie oglądała słońca. Dawno temu, w czasach Republiki Weimarskiej, w przypominającym muzeum budynku mieściła się berlińska Akademia Sztuk Pięknych. Kiedy przejęła go tajna policja, studentom kazano spalić na dziedzińcu ich modernistyczne malowidła. We wszystkich oknach wisiały teraz grube firanki: zabezpieczenie przed atakiem terrorystów. Za nimi niczym we mgle jarzyły się kule żyrandoli.

March postawił sobie za punkt honoru nigdy w życiu nie przekroczyć progu tego budynku i do tej pory mu się to udało. Trzy kamienne schodki prowadziły do holu wejściowego. Po pokonaniu kilku kolejnych stopni wchodziło się do obszernego sklepionego westybulu: czerwony dywan na kamiennej posadzce, dudniące niczym w katedrze echo kroków. Panował tu ożywiony ruch. W środku nocy w Gestapo zawsze panował ożywiony ruch. Z głębi budynku dobiegało stłumione echo dzwoniących telefonów, odgłosy kroków, czyjeś gwizdnięcie i krzyk. Otyły mężczyzna w mundurze

Obersturmführera podniósł na chwilę wzrok i przyjrzał się im bez zbytniego zainteresowania.

Ruszyli korytarzem ozdobionym swastykami i marmurowymi popiersiami partyjnych przywódców – Göringa, Goebbelsa, Bormana, Franka, Leya i całej reszty. Wszyscy upozowani byli na rzymskich senatorów. March słyszał za sobą stąpanie uzbrojonych tajniaków. Spojrzał na Jaegera, ale Max zacisnął szczęki i wpatrywał się prosto przed siebie.

Kolejne schody, następny korytarz. Dywan ustąpił miejsca linoleum. Ściany były obdrapane. March domyślił się, że są teraz na drugim piętrze, gdzieś na tyłach budynku.

– Zechcą panowie chwilę poczekać – powiedział Krebs. Otworzył masywne drewniane drzwi i ustąpił, żeby ich przepuścić. Zamigotała jarzeniówka. – Kawy?

– Nie, dziękuję.

Za chwilę już go nie było. Kiedy zamykał drzwi, March zobaczył, jak jeden ze strażników staje ze skrzyżowanymi na piersi rękoma na posterunku na korytarzu. Spodziewał się usłyszeć zgrzyt obracającego się w zamku klucza, ale nie dobiegł go żaden dźwięk.

Umieszczono ich w jednym z pokojów przesłuchań. Pośrodku stał prosty drewniany stół, po jego obu stronach dwa krzesła. Sześć innych ustawiono pod ścianami. Naprzeciwko małego okna wisiała oprawiona w tanią plastikową ramę reprodukcja portretu Reinharda Heydricha pędzla Josefa Vietze'a. Na podłodze widać było małe brązowe plamy. Przypominały Marchowi zaschniętą krew.

Przy Prinz-Albrecht Strasse biło czarne serce Niemiec; ulica była tak samo sławna jak aleja Zwycięstwa i Wielki Pałac, choć nie kursowały nią turystyczne autobusy. Pod numerem ósmym: Gestapo. Pod dziewiątym: osobista kwatera Heydricha. Za rogiem: Prinz-Albrecht Palast, w którym mieściła się siedziba SD, wewnętrznego wywiadu partii. Wszystkie gmachy połączone były ze sobą siecią podziemnych przejść.

Jaeger mruknął coś i opadł ciężko na krzesło. March nie bardzo wiedział, co powiedzieć, wyjrzał więc przez okno. Roztaczał się z niego widok na ciągnące się za gmachem Gestapo tereny parkowe – ciemne kępy krzaków, atramentowe plamy trawników, bezlistne, skierowane ku niebu gałęzie lip. Po prawej stronie widać było za nagimi drzewami wzniesiony z betonu i szkła, zaprojektowany przez żydowskiego architekta Mendelsohna budynek Europa-Haus. Partia oszczędziła go, aby świadczył o „pigmejskiej wyobraźni” autora; rzucony pomiędzy granitowe monolity Speera sprawiał wrażenie zabawki. Xavier przypomniał sobie niedzielny podwieczorek z Pilim w położonej na dachu Europa-Haus kawiarni. Piwo imbirowe i Obsttorte mit Sahne, mała orkiestra dęta, grająca – cóż by innego – wiązaną melodię z „Wesołej wdówki”, starsze kobiety w swoich wymyślnych niedzielnych kapeluszach, ich małe zakrzywione palce zaciśnięte na kruchej porcelanie.

Większość obecnych z rozmysłem odwracała wtedy wzrok od widocznych za drzewami czarnych gmachów. Dla innych bliskość Prinz-Albrecht Strasse dostarczała dreszczyku emocji niczym piknik nie opodal więzienia. Na dole, w kazamatach Gestapo praktykowano to, co w żargonie Ministerstwa Sprawiedliwości nazywało się „przesłuchaniem przy użyciu środków zaostzonych”. Cywilizowani urzędnicy w swoich ciepłych gabinetach wprowadzili pewne ograniczenia: od jakiegoś czasu w przesłuchaniu musiał uczestniczyć lekarz. Przed kilkoma tygodniami rozmawiali o tym na Werderscher Markt. Ktoś słyszał plotki o najnowszym pomysle katów: do penisa przesłuchiwanego wsuwali cienki szklany cewnik, który następnie rozgniatali na miążgę.

Usta milczą, dusza śpiewa:
Kochaj mnie!

March potrzęsnał głową i ścisnął palcami grzbiet nosa. Próbował zebrać myśli.

Zostawił za sobą wyraźne ślady. Właściwie każdy z nich mógł sprowadzić Gestapo do apartamentu Stuckarta. Poprosił w archiwum o jego dossier. Dyskutował na temat sprawy z Fiebesem. Zadzwoił do domu Luthera. Wyszedł na poszukiwanie Charlotte Maguire.

Niepokoił się o Amerykankę. Nawet jeśli udało jej się wymknąć z Fritz-Todt Platz, Gestapo mogło w każdej chwili zgarnąć ją w domu. „Kilka rutynowych pytań, Fräulein Maguire. Co jest w tej kopercie? Jak weszła pani w jej posiadanie? Proszę opisać człowieka, który otworzył sejf...” Była twarda, cechowała ją specyficzna aktorska pewność siebie, ale w ich rękach nie wytrzymałaby nawet pięciu minut.

Oparł czoło o chłodną szybę. Okna były zamknięte na głucho. Od podwórka dzieliło go marne piętnaście metrów.

Za jego plecami otworzyły się drzwi i do środka wszedł smagły mężczyzna w koszuli z krótkimi rękawami. Postawił na stole dwa kubki z kawą.

– Ile to jeszcze potrwa? – zapytał go Max, który siedział ze skrzyżowanymi rękoma na krześle, wpatrując się w czubki własnych butów.

Mężczyzna wzruszył ramionami – godzinę? całą noc? tydzień? – i wyszedł. Jaeger spróbował kawy i wykrzywił twarz.

– Kocie siki – powiedział. Zapalił cygaro, zatrzymał przez chwilę dym w ustach, a potem wypuścił go na środek pokoju. Przez moment mierzyli się wzrokiem.

– Mogłeś uciec, wiesz o tym – powiedział w końcu Max.

– I zostawić cię samego? To nie byłoby zbyt eleganckie. – Xavier spróbował kawy. Była letnia. Od mrugania i syku jarzeniówki zaczęła go boleć głowa. Taka była właśnie ich taktyka. Kazali człowiekowi czekać do godziny drugiej albo trzeciej w nocy, aż do chwili gdy całkiem się rozklejał, stawał się zupełnie bezbronny. Znał tę grę równie dobrze jak oni.

Przełknął podłą kawę i zapalił papierosa. Cokolwiek, aby nie zasnąć. Czuł, że zawinił wobec tej kobiety, zawinił wobec przyjaciela.

– Jestem głupcem. Nie powinienem cię w to mieszać. Przepraszam.

– Zapomnij o tym. – Jaeger odpędził na bok dym i pochylił się do przodu. – Musisz choć raz pozwolić mi dźwigać brzemię wstydu, Zavi – powiedział cicho. – Dobry towarzysz Jaeger. Brązowa koszula. Czarna koszula. Wszystkie cholerne możliwe koszule. Dwadzieścia lat ciężkiej harówki po to, żeby nigdy nikomu nie podpaść. – Złapał Marcha za kolano. – Mają wobec mnie dług wdzięczności. Są mi coś winni.

Pochylił w dół głowę.

– Namierzyli cię już dawno, przyjacielu – szepnął. – Samotnik. Rozwiedziony. Obedrą cię żywcem ze skóry. A z drugiej strony ja. Wielki konformista Jaeger. Żona odznaczona Brązowym Krzyżem Niemieckiego Macierzyństwa. Być może niezbyt przykłada się w pracy, ale...

– To nieprawda.

– ...ale to pewny towarzysz. Przypuśćmy, że nie powiedziałem ci wczoraj rano o przejęciu przez Gestapo sprawy Buhlera. A potem, kiedy wróciłeś, zaproponowałem, żebyśmy sprawdzili mieszkanie Stuckarta. Zajrzą do mojego zapisu służby. Ode mnie mogą to kupić.

– To miło z twojej strony, ale...

– Chryste, człowieku, zapomnij o tym...

– Ale to nic nie da.

– Dlaczego?

- Bo to wykracza poza dług wdzięczności i twoje zasługi. Nie rozumiesz? Nie widzisz, co spotkało Buhlera i Stuckarta? Byli członkami partii, jeszcze zanim się urodziłeś. I co im to pomogło?
- Naprawdę myślisz, że zabiło ich Gestapo? – zapytał przestraszony Max.
- Xavier przystawił palec do ust i wskazał głową wiszący na ścianie portret.
- Nie mów nic, czego nie mógłbyś powiedzieć w cztery oczy Heydrichowi – szepnął.

Noc upływała w milczeniu. Mniej więcej o trzeciej Jaeger zsunął razem kilka krzeseł, niezgrabnie się na nich ułożył i zamknął oczy. Po kilku minutach głośno chrapał. March wrócił na swój posterunek przy oknie.

Czuł świdrujący mu plecy wzrok Heydricha. Próbował nie zwracać na to uwagi, ale nie udało mu się i w końcu odwrócił się twarzą do obrazu. Odziany w czarny mundur, z białą wychudłą twarzą i srebrzystymi włosami, Heydrich w ogóle nie przypominał żywego człowieka, raczej fotograficzny negatyw czaszki, zdjęcie rentgenowskie. Jedyne w samym środku tej śmiertelnej maski jarzyły się niczym odpryski zimowego nieba bladoniebieskie oczy. March nigdy nie zetknął się z Heydrichem osobiście ani nie widział go na własne oczy; słyszał tylko opowiadane o nim historie. Gazety przedstawiały go jako żywe wcielenie nietzscheańskiego nadczłowieka. Heydrich w kombinezonie pilota (odbywał loty bojowe na froncie wschodnim). Heydrich w białym kostiumie szermierza (walczył, broniąc barw Niemiec, na olimpiadzie). Heydrich trzymający w rękach skrzypce (patosem swojej gry potrafił doprowadzić do łez każdą publiczność). Kiedy dwa lata temu na pokładzie samolotu wiozącego Heinricha Himmlera wybuchła bomba, Heydrich mianowany został Reichsführerem SS. Teraz mówiło się, że ma objąć schedę po samym Führerze. W Kripo krążyły plotki, że pierwszy policjant Rzeszy lubi bić pejczem prostytutki.

March usiadł. Ogarnęło go podobne do paraliżu odrętwiające zmęczenie: najpierw nogi, potem resztę ciała, na samym końcu umysł. Mimo woli zapadł w płytki sen. Raz tylko, gdzieś daleko, wydawało mu się, że słyszy samotny ludzki krzyk – ale to mógł być tylko sen. W jego umyśle odbijały się echem czyjeś kroki. Obracały w zamku klucze. Trzaskały drzwi celi.

Obudziło go gwałtowne szarpnięcie.

– Dzień dobry, panowie. Mam nadzieję, że udało wam się trochę odpocząć?

To był Krebs.

March czuł się paskudnie, oczy piekły go od niezdrowego światła jarzeniówki. Niebo za oknem zrobiło się perłowoszare.

Jaeger odchrząknął i opuścił nogi na podłogę.

– Co teraz?

– Teraz porozmawiamy – odparł Krebs. – Proszę za mną.

– Kim jest ten gówniarz – mruknął Max, zwracając się do Xaviera – żeby tak nami pomiatać? – Ale uważał, żeby nie podnieść głosu.

Wyszli na korytarz i March zaczął ponownie zastanawiać się, co jest grane. Sztuka przesłuchania jest sztuką nocy. Po co czekali z tym aż do rana? Dlaczego dali im czas na odzyskanie sił, na wymyślenie jakiejś historyjki? :

Krebs niedawno się golił. Jego twarz usiana była drobnymi kropelkami krwi.

– Łazienka jest na prawo – powiedział. – Będziecie panowie chcieli się umyć. – Wypowiedziane to było raczej jak polecenie, nie pytanie.

W lustrze, z zaczerwienionymi oczyma i nie ogolony, Xavier bardziej przypominał więźnia niż

policjanta. Zatkął umywalkę i odkręcił kran, po czym zakasał rękawy, rozluźnił krawat i spryskał lodowatą wodą twarz, ręce i kark, pozwalając, żeby krople spłynęły mu na plecy. Kłujące szpilki zimna przywróciły go życiu.

Max stanął tuż obok niego.

– Pamiętaj, co ci mówiłem.

March szybko odkręcił z powrotem kran.

– Uważaj.

– Myślisz, że założyli podsłuch w łazience?

– Zakładają podsłuch wszędzie.

Kerbs sprowadził ich na dół. Jak spod ziemi pojawili się za ich plecami strażnicy. Zabierają ich do podziemi? Stukając obcasami minęli westybul – cichszy teraz i spokojniejszy, niż kiedy przyjechali – i wyszli na zewnątrz, witani skąpym światłem poranka.

Nie do podziemi.

W BMW czekał na nich ten sam kierowca, z którym jechali w nocy. Konwój ruszył z miejsca, kierując się na północ. Zaczynała się godzina szczytu, w okolicy Potsdamer Platz panował już duży ruch. W witrynach wielkich magazynów widniały oprawione nabożnie w złote ramy duże fotografie Führera – oficjalny portret z połowy lat pięćdziesiątych autorstwa angielskiego fotografa Beatona. Ramy ozdobione były girlandami kwiatów i gałązkami, tradycyjnym elementem dekoracyjnym, towarzyszącym od lat urodzinom Führera. Zostały jeszcze cztery dni; każdego z nich miały wyrastać nowe sztandary ze swastykami. Wkrótce miasta nie będzie widać spoza czerwonych, białych i czarnych flag.

Jaeger ścisnął nerwowo oparcie fotela; wyglądał, jakby miał się zaraz porzygać.

– Daj spokój, Krebs – odezwał się przymilnym głosem. – Mamy ten sam stopień. Możesz nam powiedzieć, dokąd jedziemy.

Krebs nie odpowiedział. Z przodu zamajaczyła kopuła Wielkiego Pałacu. Dziesięć minut później, kiedy skręcili w Oś Wschód - Zachód, March domyślił się, dokąd jadą.

*

Dochodziła ósma, kiedy znaleźli się na miejscu. Żelazna, prowadząca do posiadłości Buhlera brama była szeroko otwarta, w środku stały różne pojazdy. Wszędzie rzucały się w oczy czarne mundury. Szturmowiec SS chodził po trawniku, wodząc po ziemi magnetometrem protonowym. Za nim ciągnął się rząd czerwonych chorągiewek. Trzej inni żołnierze kopali w ziemi dziury. Na wysypanej żwirem alei stało należące do Gestapo BMW, a obok wojskowa ciężarówka i duża opancerzona furgonetka, taka, jakiej używa się do transportu sztab złota.

March poczuł, jak Jaeger trąca go w bok łokciem. W cieniu willi, obok opartego o jej karoserię kierowcy, stała potężna kuloodporna limuzyna marki Mercedes. Na umocowanym nad kratą chłodnicy metalowym proporczyku widniały umieszczone na czarnym tle srebrne błyskawice SS; w rogu niczym kabalistyczny symbol tkwiła gotycka litera „K”.

2

Policją kryminalną Rzeszy kierował bardzo stary człowiek. Nazywał się Artur Nebe i stanowił żywą legendę.

Sprawował funkcję szefa berlińskiej policji jeszcze przed dojściem partii do władzy. Miał małą

głowę i żółtawą, łuszczącą się, żółtą cerę. W roku 1954 partia podarowała mu na sześćdziesiąte urodziny dużą, składającą się z czterech wiosek posiadłość niedaleko Mińska w Ostlandzie, ale Nebe nigdy nawet tam nie pojechał. Mieszkał samotnie razem ze swą przykutą do łóżka żoną w Charlottenburgu, w dużym domu, w którym unosił się zapach środków dezynfekcyjnych i nigdy nie cichł syk czystego tlenu. Mówiło się czasem, że Heydrich ma ochotę się go pozbyć i umieścić w Kripo własnego człowieka, ale brakuje mu odwagi. Na Werderscher Markt nazywali go *Onkel* Artur. Wujek Artur. Wiedział o wszystkim.

March widywał Nebego z daleka, ale nigdy się z nim nie spotkał. A teraz szef Kripo siedział przy należącym do Buhlera fortepianie, stukając zakrzywionym żółtym palcem w klawisz. Instrument był rozstrojony, wysoki ton rozbrzmiewał przykrym piskliwym echem w przesyconym kurzem wnętrzu.

Przy oknie, obrócony do nich szerokimi plecami stał Odilo Globocnik.

Krebs stanął na baczność i zasalutował.

– Heil Hitler! Inspektorzy March i Jaeger. Nebe nadal stukał w klawisz.

– O! – Globus odwrócił się. – Wielcy detektywi. Z bliska przypominał byka w mundurze. Kark wylewał mu się z kołnierzyka, po bokach zwisały zaciśnięte wściekle, czerwone pięści. Na lewym policzku miał szeroką, pulsującą szkarłatem bliznę. Otaczała go niemal iskrząca w suchym powietrzu aura przemocy. Za każdym razem, kiedy Nebe uderzał w klawisz, twarz Globusa wykrzywiała się w mimowolnym grymasie. Ma ochotę uderzyć starego, pomyślał March, ale brakuje mu odwagi. Nebe przewyższał go rangą.

– Jeśli Herr Oberstgruppenführer skończył już swój recital, możemy zaczynać – wycedził przez zaciśnięte zęby Globus.

Ręka Nebego znieruchomiała nad klawiaturą.

– Po co komu bechstein, jeśli go dobrze nie nastroił? – Spojrzał na Marcha. – Po co go kupił?

– Jego żona była pianistką, Herr Oberstgruppenführer – odparł March. – Umarła przed jedenastu laty.

– I nikt na nim nie grał od tamtej pory? – Nebe zamknął delikatnie wieko i przesunął palcami po leżącym na nim kurzu. – Dziwne.

– Mamy dużo roboty – wtrącił Globus. – Dziś rano złożyłem raport Reichsführerowi. Jak pan wie, Herr Oberstgruppenführer, nasze spotkanie odbywa się na jego osobisty rozkaz. Krebs zreferuje stanowisko Gestapo.

March wymienił spojrzenie z Jaegerem. Sprawą interesował się sam Heydrich.

Krebs wyjął napisany na maszynie raport i zaczął go czytać precyzyjnym beznamiętnym głosem.

– Piętnastego kwietnia o godzinie drugiej piętnaście w nocy oficer dyżurny berlińskiej Kriminalpolizei przesłał do kwatery głównej Gestapo teleks z zawiadomieniem o śmierci doktora Josefa Buhlera. O godzinie ósmej trzydzieści ze względu na posiadany przez towarzysza Buhlera honorowy stopień Brigadeführera o jego zgonie został osobiście poinformowany Reichsführer SS.

March zacisnął skrzyżowane z tyłu dłonie, wbijając paznokcie w ciało. Na policzku Maxa zadrżał pojedynczy mięsień.

– W chwili śmierci towarzysza Buhlera Gestapo kończyło właśnie dochodzenie dotyczące jego działalności. Ze względu na to, a także na stanowisko, jakie zajmował zmarły w Generalnej Guberni, uznano, że sprawa ma bezpośrednie znaczenie dla bezpieczeństwa państwa i przekazano ją pod kontrolę Gestapo. Niestety wskutek uchybień proceduralnych decyzji tej nie przekazano inspektorowi Xavierowi Marchowi, który dokonał w rezultacie tego bezprawnego wejścia na teren posesji zmarłego.

Gestapo prowadziło śledztwo przeciwko Buhlerowi? March starał się za wszelką cenę trzymać wzrok wlepiony w Krebsa i nie zmieniać wyrazu twarzy.

– Następną sprawą: śmierć towarzysza Wilhelma Stuckarta. Prowadzone przez Gestapo śledztwo wykazało, że sprawy Stuckarta i Buhlera są ze sobą powiązane. Po raz kolejny poinformowano Reichsführera. Po raz kolejny przekazano sprawę Gestapo. I po raz kolejny inspektor March, tym razem w towarzystwie Maxa Jaegera, prowadził własne dochodzenie w mieszkaniu zmarłego. Szesnastego kwietnia, dwanaście minut po północy inspektorzy March i Jaeger zostali zatrzymani przez mnie w bloku, w którym mieszkał towarzysz Stuckart. Obaj zgodzili się udać wraz ze mną do siedziby Gestapo i pozostać tam do czasu wyjaśnienia całej kwestii na wyższym szczeblu. Podpisano: Karl Krebs, Sturmbannführer. Berlin, szesnastego kwietnia, godzina szósta.

Krebs złożył na pół kartkę papieru i wręczył ją szefowi Kripo. W ogrodzie zazgrzytało o żwir ostrze szpadla.

Nebe wsunął raport do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– To tyle, jeśli chodzi o wersję oficjalną. Naturalnie my również przygotujemy sprawozdanie na piśmie. A teraz, Globus, powiedz, o co tu naprawdę chodzi. Wiem, że nie możesz się doczekać.

– Heydrich chciał, żebyście obejrzeliby to na własne oczy.

– Co takiego?

– To, czego nie odkrył twój człowiek podczas wczorajszej, podjętej na własną rękę eskapady. Proszę za mną, panowie.

Do ukrytego pomieszczenia wchodziło się z piwnicy, ale nawet gdyby March wyłamał kłódkę i zszedł na dół, nie wiadomo, czy udałoby mu się tam trafić. Przy obitej drewnianymi deskami ścianie stały stare domowe graty: połamane meble, zdezelowane narzędzia, związane sznurkiem dywany. Fragment ściany dawał się odsunąć.

– Wiedzieliśmy dobrze, czego szukać – oświadczył, zacierając ręce, Globus. – Gwarantuję wam, panowie, że czegoś takiego nie oglądaliście w całym swoim życiu.

Stanęli na progu. Kiedy Globus zapalił światło, naprawdę rozboleły ich oczy; to było sanktuarium, prawdziwy skarbiec. Aniołowie i święci, chmury i świątynie, patrzący hardo, odziani w białe futra i czerwony adamaszek wielmoże, leżące na perfumowanym żółtym jedwabiu nagie różowe kobiety; kwiaty, wschody słońca i weneckie kanały.

– Wejdźcie do środka – zachęcał ich Globus. – Reichsführerowi bardzo zależy na tym, żebyście wszystkiemu się dokładnie przyjrzeliby.

Kwadratowe pomieszczenie nie było duże, miało nie więcej niż pięć na pięć metrów. Zawieszane pod sufitem baterie reflektorów skierowane były na wiszące na wszystkich ścianach obrazy. Pośrodku stało staroświeckie obrotowe krzesło, takie, jakie mógł mieć w swoim kantorze dziewiętnastowieczny urzędnik. Globus oparł błyszczący but o poręcz i pchnął mocno mebel, puszczając go w ruch.

– Wyobraźcie sobie, jak tu siedzi. Za zamkniętymi drzwiami. Niczym obleśny starzec w burdelu. Odkryliśmy to wszystko wczoraj wieczorem. Krebs?

– W drodze jest ekspert z Führermuseum w Linzu – poinformował ich skwapliwie Sturmbannführer. – Wyjechał dzisiaj rano. Wstępną ocenę zasobów sporządził dla nas wczoraj wieczorem profesor Braun z berlińskiego Kaiser Friedrich Museum.

Zajrzał do notatek.

– Według posiadanej przez nas aktualnie wiedzy mamy tu „Portret młodego mężczyzny” Rafaela, „Portret młodego mężczyzny” Rembrandta, „Drogę krzyżową” Rubensa, „Wenecki Pałac”

Guardiego, „Krakowskie Przedmieście” Belotta, osiem obrazów Canaletta, przynajmniej trzydzieści pięć miedziorytów Durera i Kulmbacha oraz jeden gobelin. Reszty możemy się tylko domyślać.

Wyliczał obrazy, jakby to były dania z karty. Przerwał na chwilę i dotknął bladymi palcami stojącego w rogu na drewnianych podporach, bajecznie kolorowego ołtarza.

– To ołtarz dłuta norymberskiego artysty Wita Stwosza, zamówiony w roku tysiąc czterysta siedemdziesiątym siódmym przez polskiego króla. Praca nad nim trwała dziesięć lat. Centralna część tryptyku przedstawia Najświętszą Panią śpiącą w otoczeniu aniołów. Na skrzydłach bocznych widzimy sceny z życia Jezusa i Marii. Predella – powiedział, wskazując podstawę ołtarza – przedstawia genealogię Chrystusa.

– Sturmbannführer Krebs zna się na tych rzeczach – wtrącił Globus. – To jeden z naszych najzdolniejszych oficerów.

– Nie wątpię – stwierdził Nebe. – To wszystko jest szalenie interesujące. Ale skąd się tutaj wzięło?

– Ołtarz Wita Stwosza – zaczął Krebs – zabrano z katedry Najświętszej Marii Panny w Krakowie w listopadzie tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiątego.

– Wszystko pochodzi z Generalnej Guberni – przerwał mu Globus. – Głównie, jak sądzimy, z Warszawy. Buhler odnotowywał te dzieła sztuki jako zaginione lub zniszczone. Bóg jeden wie, co jeszcze udało się ukraść temu skorumpowanemu łajdakowi. Pomyślcie tylko, ile musiał sprzedać, żeby kupić tę willę!

Nebe dotknął jednego z płócien: przedstawiało przywiązanego do doryckiej kolumny świętego Sebastiana. Złocistą skórę męczennika przebijały strzały pogan. Popękany werniks przypominał wyschnięte koryto rzeki, ale nałożone pod spodem kolory – czerwień, biel, purpura i błękit – były wciąż żywe. Obraz wydzieliał z siebie słaby zapach pleśni i kadzidła – zapach przedwojennej Polski, zapach narodu, który zniknął z mapy Europy. Tu i ówdzie, zauważył March, na ramach widniały ślady cegieł i zaprawy – pozostałości klasztornych murów, z których zostały wyrwane.

– Coś w jego twarzy przypomina mi ciebie, March. – Przejechał czubkami palców po zarysie ciała świętego i chrapliwie się zaśmiał. – Męczennik z wyboru. Co ty na to, Globus?

Globus odchrząknął.

– Nie wierzę w świętych. Ani w męczenników – odparł, patrząc spode łba na Marcha.

– Nadzwyczajne – mruknął Nebe. – Pomyśleć, że z nich wszystkich właśnie Buhler...

– Pan go znał? – zapytał dziwnie ośmielony March.

– Słabo, przed wojną. Przekonany narodowy socjalista, a przy tym dobry adwokat. Ciekawe połączenie. Niezwykły pedant. Podobnie jak obecny tutaj nasz kolega z Gestapo.

Krebs skłonił lekko głowę.

– Herr Oberstgruppenführer jest bardzo uprzejmy.

– Sedno sprawy leży w tym – wtrącił poirytowany Globus – że już od pewnego czasu wiedzieliśmy o nielegalnej działalności towarzysza Buhlera. Wiedzieliśmy o tym, czym zajmował się w Generalnej Guberni. Wiedzieliśmy o jego współnikach. Niestety, w zeszłym tygodniu sukinsyn zorientował się, że jesteśmy na jego tropie.

– I zabił się? – zapytał Nebe. – A Stuckart?

– To samo. Stuckart był kompletnym degeneratem. Lubił napawać się pięknem nie tylko na płótnie, ale i w naturze. Buhler zgarnął ze Wschodu to, co tam mieli najlepszego. Jak wyglądają te dane, Krebs?

– W roku tysiąc dziewięćset czterdziestym polskie władze muzealne sporządziły tajny inwentarz. Jest teraz w naszym posiadaniu. Z samej Warszawy zabrano dwa tysiące siedemset

obrazów mistrzów europejskich, dziesięć tysięcy płócien artystów polskich i tysiąc czterysta rzeźb.

– Część rzeźb odkopujemy teraz w ogrodzie – oznajmił Globus. – Większość tych rzeczy przewieziono tam, gdzie powinny się znaleźć: do Führermuseum w Linzu, Reichsmarschall Göring Museum w Carinhall, a także do różnych galerii w Wiedniu i Berlinie. Ale istnieją duże rozbieżności między polską listą tego, co zostało zabrane, a naszą listą tego, co otrzymaliśmy. Wyglądało to mniej więcej tak: jako sekretarz stanu Buhler miał dostęp do wszystkiego. Wysyłał pod eskortą transport do Stuckarta, do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Na pozór wszystko było legalne. Stuckart magazynował dzieła sztuki albo od razu szmuglował je za granicę, wymieniając na gotówkę, kosztowności lub złoto – wszystko, co można łatwo ukryć i trudno wyśledzić.

March zauważył, że Nebe jest pod wrażeniem, mimo że stara się tego nie okazywać. Jego małe oczka syciły się sztuką.

– Czy zamieszany był w to jeszcze jakiś dygnitarz? – zapytał.

– Mówi panu coś nazwisko byłego podsekretarza Ministerstwa Spraw Zagranicznych, Martina Luthera?

– Oczywiście.

– Właśnie go poszukujemy.

– Poszukujecie? Czyżby zaginął?

– Trzy dni temu nie wrócił z podróży służbowej.

– Zakładam, że macie niezbite dowody na to, że również maczał w tym palce.

– Podczas wojny Luther był w ministerstwie szefem departamentu niemieckiego.

– Pamiętam. Był odpowiedzialny za kontakty MSZ z SS, a także z Kripo. Kolejny fanatyczny narodowy socjalista – dodał Nebe, zwracając się do Krebsa. – Z pewnością spodobałby się panu jego hm... entuzjizm. Twardy facet. Nawiasem mówiąc, chciałbym w tym punkcie wyrazić oficjalne zdumienie, jakie budzi we mnie wiadomość o jego zaangażowaniu w działalność przestępczą.

Krebs wyjął z kieszeni pióro.

– Buhler kradł dzieła sztuki – kontynuował Globus. – Stuckart odbierał je. Zajmowane przez Luthera stanowisko w MSZ zapewniało mu możliwość swobodnego podróżowania za granicę. Uważamy, że przemycił pewne rzeczy z Rzeszy i sprzedawał je.

– Gdzie?

– Głównie w Szwajcarii. Także w Hiszpanii. Możliwe, że na Węgrzech.

– A kiedy Buhler wrócił z Generalnej Guberni... kiedy to było dokładnie? – zapytał Nebe, spoglądając na Marcha.

– W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym pierwszym.

– To pomieszczenie stało się ich skarbcem. – Nebe usiadł na obrotowym krześle i zaczął się powoli kręcić, przypatrując się obrazom. – Nadzwyczajne. To musi być jedna z najwspanialszych prywatnych kolekcji na świecie.

– Kolekcji pozostających w rękach kryminalistów – wtrącił Globus.

– Och – westchnął Nebe, przymykając oczy. – Tyle perfekcji w jednym miejscu potrafi stępić zmysły. Potrzebuję świeżego powietrza. Podaj mi ramię, March.

Kiedy podnosił się z krzesła, March usłyszał skrzypienie starych kości. Ale uścisk na jego przedramieniu był mocny jak stal.

*

Nebe podpierał się laską – klap, klap, klap – spacerując po werandzie z tyłu domu.

– Buhler utopił się. Stuckart strzelił sobie w łeb. Twoje dochodzenie, Globus, zmierza raczej szybko do końca i to w sposób, który eliminuje konieczność wszczynania kłopotliwego procesu. Statystycznie rzecz biorąc szansę przeżycia Luthera wydają mi się raczej niewielkie.

– Tak się składa, że Herr Luther ma chore serce. Według żony, rozchorował się podczas wojny wskutek przeżytego wówczas załamania nerwowego.

– Zdziwiasz mnie.

– Według żony potrzebuje odpoczynku, lekarstw i spokoju; wszystkich tych rzeczy jest obecnie pozbawiony, gdziekolwiek się znajduje.

– Ta podróż służbowa...

– Miał wrócić z Monachium w poniedziałek. Sprawdziliśmy w rejestrze Lufthansy. Tego dnia z Monachium nie wyleciał nikt o nazwisku Luther.

– Może uciekł za granicę?

– Nie wydaje mi się. Gdziekolwiek się ukrył, prędzej czy później dostaniemy go w nasze ręce.

Klap, klap. March podziwiał sprawność umysłu Nebego. W latach dwudziestych jako komisarz berlińskiej policji napisał podręcznik kryminalistyki. Pamiętał, że we wtorek wieczorem widział go na półce u Kotha, w dziale odcisków palców. Wciąż uczyły się z niego nowe pokolenia policjantów.

– A ty, March? – Nebe zatrzymał się i obrócił w jego stronę. – Jaka jest twoja opinia na temat śmierci Buhlera?

– Jeśli wolno mi coś powiedzieć, Herr Oberstgruppenführer, byliśmy dopiero na etapie zbierania wstępnych danych... – wtrącił się nagle Jaeger, który nie powiedział ani słowa od chwili ich przyjazdu do willi.

Nebe uderzył laską o kamień.

– Nie zwracałem się do ciebie. Marchowi strasznie zachciało się papierosa.

– Poczyłem tylko kilka ogólnych spostrzeżeń – powiedział, przeczesując dłonią włosy. Czuł, że stąpa po niepewnym gruncie; po bardzo niepewnym gruncie. Nie chodziło o to, od czego zacząć, pomyślał, ale na czym skończyć. Globus skrzyżował ręce na piersi i wbijał w niego ponure spojrzenie.

– Towarzysz Buhler – zaczął March – zmarł pomiędzy godziną szóstą wieczorem w poniedziałek a szóstą rano następnego dnia. Czekamy jeszcze na raport sekcji zwłok, ale przyczyną śmierci było prawie na pewno utonienie: płuca miał wypełnione płynem, co wskazuje na to, że oddychał, kiedy dostał się pod wodę. Wiemy również od pełniącego wartę na grobli strażnika, że w ciągu tych kluczowych dwunastu godzin Buhler nie przyjmował żadnych gości.

Globus pokiwał głową.

– A więc samobójstwo.

– Niekoniecznie, Herr Oberstgruppenführer. Buhlera nie odwiedził nikt od strony lądu. Ale deski pomostu noszą świeże ślady zadrapań, co sugeruje, że mogła tam cumować łódź.

– Łódź Buhlera – stwierdził Globus.

– Łodzią Buhlera nikt nie pływał od kilku miesięcy; być może nawet od kilku lat.

Teraz skupił na sobie uwagę wszystkich. Poczł, jak ogarnia go podniecenie i dziwne poczucie wyzwolenia. Zaczł mówić szybciej. Zwolnij trochę, powtarzał w duchu. Uważaj.

– Kiedy wszedłem wczoraj rano do willi, pies obronny Buhlera zamknięty był w spiżarni, z założonym na pysk kagańcem. Miał zakrwawiony cały bok. Zadałem sobie pytanie: dlaczego ktoś popełniający samobójstwo miałby potraktować w ten sposób własnego psa?

– Gdzie jest teraz to zwierzę? – zapytał Nebe.

– Moi ludzie musieli go zastrzelić – odparł Globus. – Zupełnie oszalał.

– No tak. Oczywiście. Kontynuuj, March.

– Uważam, że zabójcy Buhlera wylądowali w nocy, w ciemności. Jeśli panowie sobie przypominają, w poniedziałek w nocy była burza. Jezioro musiało być niespokojne: to wyjaśnia, skąd wzięły się zadrapania na pomoście. Myślę, że pies wyczuł napastników, ale ci pobili go do nieprzytomności, założyli mu na pysk kaganiec i zaatakowali niczego się nie spodziewającego Buhlera.

– A potem wrzucili go do jeziora?

– Nie od razu. Mimo swego kalectwa Buhler był, co potwierdza jego siostra, całkiem dobrym pływakiem. Łatwo to poznać po jego wyglądzie: miał dobrze umięśnione ramiona. Po umyciu go w kostnicy przyjrzałem się dokładnie jeszcze raz ciału. Miał zadrapania tutaj – Xavier dotknął ręką policzków – i na przednich dziąsłach. Na kuchennym stole stała prawie pusta butelka wódki. Podejrzewam, że sekcja wykaże, że w krwi Buhlera znajdował się alkohol. Moim zdaniem zmusili go do wypicia wódki, rozebrali, zabrali na swoją łódź i wyrzucili za burtę.

– Intelktualne brednie – parsknął Globus. – Buhler napił się prawdopodobnie wódki dla kurażu, żeby łatwiej mu było popełnić samobójstwo.

– Zgodnie z tym, co mówi jego siostra, towarzysz Buhler był totalnym abstynentem.

Zapadło długie milczenie. March słyszał obok siebie ciężki oddech Maxa. Nebe wpatrywał się w jezioro.

– Ta wymyślna teoria nie wyjaśnia jednej rzeczy – mruknął w końcu Globus. – Dlaczego ci tajemniczy zabójcy zadali sobie tyle trudu, zamiast wpakować po prostu Buhlerowi kulę w tył głowy?

– Myślałem, że to oczywiste – stwierdził March. – Chcieli upozorować samobójstwo. Ale spartolili robotę.

– Interesujące – mruknął Nebe. – Jeżeli samobójstwo Buhlera zostało upozorowane, to samo prawdopodobnie można powiedzieć o samobójstwie Stuckarta.

Ponieważ wciąż wpatrywał się w Hawelę, March dopiero po chwili zorientował się, że uwaga była skierowana do niego.

– Doszedłem do tego samego wniosku. Dlatego właśnie odwiedziłem wczoraj wieczorem apartament Stuckarta. W morderstwie Stuckarta brały, moim zdaniem, trzy osoby: dwóch zajęło się nim w mieszkaniu, a trzeci pozostał w holu wejściowym, udając, że naprawia windę. Hałas elektrycznego świdra miał zagłuszyć odgłos wystrzałów, dając zabójcom niezbędny czas na ucieczkę z miejsca zbrodni.

– A list samobójcy?

– Prawdopodobnie został sfalszowany. Albo napisany pod groźbą pistoletu. Albo...

March przerwał. Zdał sobie sprawę, że zaczyna głośno myśleć – co mogło mieć potencjalnie fatalne konsekwencje. Krebs nie spuszczał z niego oczu.

– Naprawdę? – zapytał Globus. – Może dość już na dzisiaj tych baśni braci Grimm. Niektórzy z nas mają dużo roboty. Kluczem do tej tajemnicy, moi panowie, jest Luther. Kiedy go zatrzymamy, wszystko się wyjaśni.

– Jeśli rzeczywiście jest tak ciężko chory na serce, jak pan mówi – stwierdził Nebe – musimy działać raczej szybko. Zwrócę się do Ministerstwa Propagandy, żeby pokazano jego zdjęcie w telewizji i w gazetach.

– Nie, nie. Absolutnie nie. – Globus wyraźnie się zaniepokoił. – Reichsführer wyraźnie zakazał nagłaśniania tej sprawy. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebujemy, zwłaszcza teraz, przed przyjazdem Kennedy'ego, jest skandal, w który zamieszane są osoby z kierownictwa partii. Boże Wszechmogący!

Potraficie sobie wyobrazić, jakiego szumu narobiłaby zaraz zagraniczna prasa? Nie. Zapewniam was, że potrafimy go złapać bez angażowania środków przekazu. Wystarczy nam dyskretne powiadomienie wszystkich patroli Orpo: niech szukają go na głównych dworcach kolejowych i lotniczych, a także w portach i na przejściach granicznych... Może się tym zająć Krebs.

– W takim razie proponuje, żeby od razu przystąpił do rzeczy.

– Tak jest, Herr Oberstgruppenführer. – Krebs uklonił się lekko Nebemu i wbiegł truchtem do domu.

– Mam do załatwienia sprawy w Berlinie – powiedział Nebe. – Do chwili aresztowania Luthera obecny tutaj March będzie pełnił funkcję oficera łącznikowego Kripo.

– To nie będzie konieczne – odparł z drwiącym uśmiechem Globus.

– Ależ tak. Skorzystaj z jego usług, Globus. Facet ma głowę na karku. Informuj go o wszystkim. Jaeger, możesz wracać do swych normalnych obowiązków.

Max odetchnął z ulgą. Globus wyglądał, jakby miał zamiar coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnował.

– Odprowadź mnie do samochodu, March. Miłego dnia, Globus.

– Nie powiedziałaś im prawdy. A przynajmniej niecałą? – zapytał Nebe, kiedy znaleźli się za węgłem domu. – To dobrze. Wsiadaj do samochodu. Musimy porozmawiać.

Kierowca zasalutował i otworzył drzwi. Nebe skrzywił się z bólu, siadając ostrożnie na tylnym siedzeniu. March wsiadł z drugiej strony.

– Oto, co dostarczono mi dzisiaj o szóstej rano przez specjalnego kuriera. – Nebe otworzył teczkę i wyciągnął z niej opasłe, mające kilka centymetrów grubości akta. – Wszystko to jest na twój temat. Nie pochlebia ci takie zainteresowanie?

Szyby mercedesa zabarwione były na zielono. W panującym w samochodzie półmroku Nebe przypominał jaszczurkę w terrarium.

– Urodzony w 1922 w Hamburgu; w 1929 śmierć ojca w wyniku ran odniesionych podczas wojny; w 1942 śmierć matki podczas brytyjskiego nalotu; w 1939 wstępuje do marynarki; w 1940 przechodzi do służby podwodnej; w 1943 odznaczony za odwagę i awansowany; w 1946 zostaje dowódcą własnego U-Boota – jako jeden z najmłodszych kapitanów w całej Rzeszy. Wspaniała kariera. A potem coś zaczyna się psuć.

Nebe kartkował akta dalej. March wodził oczyma po zielonym trawniku i błękitnym niebie.

– Przez dziesięć lat ani jednego awansu w policji. W 1957 rozwód. A potem zaczynają się donosy. Blockleiter: Sturmbannführer March ustawicznie odmawia składek na Pomoc Zimową. Partyjni aktywiści z Werderscher Markt: uparcie odmawia wstąpienia do NSDAP. Podśluchany w kantynie na wygłaszaniu uwłaczających uwag na temat Himmlera. Podśluchany w barze, podśluchany w restauracji, podśluchany na korytarzu...

Nebe wyciągnął z teczki kilka kartek.

– Boże Narodzenie 1963: zaczynasz wypytywać wszystkich o jakichś Żydów, którzy mieszkali kiedyś w twoim mieszkaniu. O Żydów! Czyś ty oszalał? Mam tutaj skargę od twojej byłej żony; nawet jedną od twojego syna...

– Mojego syna? Mój syn ma dziesięć lat...

– Wystarczy, żeby sformułować własny pogląd i zostać wysłuchanym. Powinieneś o tym wiedzieć.

– Czy mogę zapytać, co mi zarzuca?

– Nie odnosisz się z odpowiednim entuzjazmem do jego działalności w Deutsches Jungvolk.

Ważne jest to, Herr Sturmbannführer, że ta teczka już od dziesięciu lat spoczywa w archiwum Gestapo... trochę tego, trochę tamtego, jeden rok lepszy, drugi gorszy... cały czas pęczniejąc i rosnąc niczym złośliwy guz. A teraz zyskałeś potężnego wroga, który chce ją wykorzystać.

Nebe włożył akta z powrotem do swojej teczki.

– Globusa?

– Tak, Globusa. Kogóż innego? Wczoraj wieczorem chciał cię przewieźć do Colombia Haus, gdzie miałeś stanąć przed wojennym trybunałem SS. – W Colombia Haus przy General-Pape Strasse mieściło się prywatne więzienie SS. – Muszę ci powiedzieć, March, że same te akta wystarczą, żeby wysłać cię do kacetu. A wtedy nie pomogę ci ani ja, ani nikt inny.

– Co go powstrzymało?

– Na postawienie przed sądem wojennym pozostającego w czynnej służbie oficera Kripo musi wyrazić zgodę sam Heydrich. A Heydrich porozumiał się ze mną. I wiesz, co oznajmiłem naszemu ukochanemu Reichsführerowi? Ten cały Globus, powiedziałem, najwyraźniej boi się, że March coś na niego ma. I dlatego chce się go pozbyć. Rozumiem, mówi Reichsführer, więc co sugerujesz? Dlaczego, mówię, nie dać mu trochę czasu, powiedzmy do urodzin Führera, żeby zebrał dowody przeciwko Globusowi. To tylko cztery dni. W porządku, mówi Heydrich, ale potem Globus może z nim robić, co chce. – Nebe uśmiechnął się zadowolony. – Tak właśnie załatwia się między starymi kolegami sprawy Rzeszy.

– Chyba powinienem panu podziękować, Herr Oberstgruppenführer.

– Och nie, nie dziękuj – odparł wesoło Nebe. – Heydrich naprawdę zastanawia się, czy przypadkiem nie masz czegoś na Globusa. Chce się dowiedzieć. Ja też. Być może z innego powodu. Te sukinsyny coś knują – syknął, łapiąc ramię Marcha w ten sam stalowy uścisk. – Co to jest? Odkryjesz to i powiesz mi. Nie ufaj nikomu. To główna zasada, dzięki której udało się tak długo przetrwać Wujkowi Arturowi. Wiesz, dlaczego niektórzy starzy towarzysze nazywają Globusa „łodzią podwodną”?

– Nie, Herr Oberstgruppenführer.

– Bo będąc w Polsce podczas wojny zamontował w swojej piwnicy silnik łodzi podwodnej i zabijał spalinami ludzi. Globus lubi zabijać ludzi. Z miłą chęcią zabiłby i ciebie. Nie zapominaj o tym. – Nebe puścił ramię Marcha. – Teraz musimy się pożegnać.

Postukał gałką laski w dzielącą go od kierowcy szybę. Szofer obszedł samochód i otworzył drzwi od strony Xaviera.

– Podrzuciłbym cię do śródmieścia, ale wolę podróżować sam. Informuj mnie. Znajdź Luthera, March. Znajdź go, zanim dobierze mu się do skóry Globus.

Trzasnęły zamykane drzwi, zawarczał silnik. Kiedy limuzyna, chrzęszcząc oponami po żwirze, ruszyła do przodu, March ledwo mógł rozpoznać siedzącego w środku Nebego – za kuloodporną szybą widział tylko niewyraźny zarys postaci.

Odwrócił się i zobaczył przyglądającego mu się bacznie Globusa.

Generał SS ruszył w jego stronę. W wyciągniętej dłoni trzymał lugera.

On jest szalony, przemknęło przez głowę Marchowi. Wystarczająco szalony, żeby zastrzelić mnie tutaj na miejscu, podobnie jak psa Buhlera.

Ale Globus chciał mu po prostu oddać broń.

– Pański pistolet, Sturmbannführer. Będzie pan go potrzebował – powiedział. A potem przysunął się bardzo blisko – tak blisko, że March poczuł w jego gorącym oddechu odór czosnkowanej kiełbasy. – Nie masz już świadka – szepnął. – Nie masz żadnego świadka. Już nie.

March biegł.

Biegł drogą wzdłuż grobli, a potem w górę i na przełaj przez las, aż dotarł do autostrady, która stanowiła wschodnią granicę Grunewaldu.

Tam zatrzymał się na chwilę, oparłszy dłonie o kolana i łapiąc kurczowo oddech. Niżej sunęły zmiernające w stronę Berlina samochody.

Mimo rwącej w boku kolki ruszył dalej, bardziej truchtem niż biegiem, przez kładkę nad autostradą, obok stacji S-Bahnu Nikolassee i wzdłuż Spanische Allee w stronę koszar.

Jego legitymacja zamknęła usta wartownikom, jego wygląd – zaczerwienione oczy, zdyszany oddech i dwudniowy zarost – sugerował, że sprawa jest nieprzyjemna i pilna, co z miejsca przecinało wszelką dyskusję. Odnalazł sypialnię. Odnalazł łóżko Josta. Poduszka zniknęła, zabrano całą pościel. Zostały tylko sprężyny i twardy brązowy materac. Szafka była pusta.

Samotny kadet, pucujący kilka łóżek dalej buty, opowiedział mu, co się stało. Przyszli po Josta w nocy. Było ich dwóch. Pojedzie na Wschód, powiedzieli, na „specjalne szkolenie”. Odszedł bez słowa – wyglądało, jakby się tego spodziewał. Kadet potrząsał ze zdumieniem głową: że też z nich wszystkich wysłano akurat Josta. Był wyraźnie zazdrosny. Podobnie jak wszyscy. Ich kolega będzie miał okazję zobaczyć, jak wygląda prawdziwa walka.

3

Budka telefoniczna śmierdziała moczem i starym dymem papierosowym; na podłodze leżał wdeptany w błoto zużyty kondom.

– No szybciej, szybciej! – szeptał March. Stuknął jednomarkową monetą w zaparowaną szybę, wsłuchując się w elektroniczny sygnał. Nikt nie odbierał. Czekał bardzo długo, zanim odwiesił słuchawkę.

Po drugiej stronie ulicy właściciel otwierał właśnie sklep spożywczy. Xavier przeszedł przez jezdnię i kupił butelkę mleka oraz ćwiartkę ciepłego jeszcze chleba. Zjadł śniadanie na ulicy, zdając sobie sprawę, że właściciel przygląda mu się podejrzliwie przez okno sklepu. Przyszło mu do głowy, że już teraz zachowuje się jak uciekinier – zatrzymując się, żeby coś zjeść, tylko jeżeli trafia się okazja, przełykając pośpiesznie kęsy na ulicy, zawsze w ruchu. Mleko ściekało mu po podbródku. Otarł je wierzchem dłoni. Spierzchnięta skóra przypominała w dotyku papier ścierny.

Ponownie sprawdził, czy nikt go nie śledzi. Jego stroną ulicy szła, pchając przed sobą dziecinny wózek, odziana w mundur niania. Po przeciwnej jakaś starsza kobieta weszła do budki telefonicznej. Spóźniony uczeń śpieszył się do szkoły, kręcąc w powietrzu tornistrem. Wszystko było normalne, normalne...

„Nie masz żadnego świadka. Już nie...”

Poczuł, jak ogarnia go wielki gniew na Globusa. Gniew tym większy, że nakładało się nań poczucie winy. Gestapo musiało trafić na zeznanie Josta w aktach dotyczących śmierci Buhlera. Zadzwonili do Akademii i odkryli, że March złożył kadetowi ponowną wizytę wczoraj po południu. To wprawiło ich w popłoch. Odwiedzając Josta podpisał na niego wyrok śmierci. Zaspokoił swoją ciekawość – i zabił człowieka.

A teraz na dodatek nie odbierała telefonu ta Amerykanka. Co mogli jej zrobić? Wyprzedziła go wojskowa ciężarówka i czując na twarzy powiew powietrza wyobraził sobie martwe, leżące w rowie ciało Charlotte Maguire. Władze Berlina wyrażają głębokie ubolewanie z powodu tragicznego wypadku. Wciąż poszukuje się kierowcy ciężarówki... Czuł się jak ktoś, kto zaraża ludzi niebezpieczną chorobą. Powinien przyczepić sobie do piersi tabliczkę: trzymajcie się ode mnie z

daleka, roznosząc zarazki.

W jego głowie bez przerwy krążyły fragmenty rozmów.

Artur Nebe: „Znajdź Luthera, March. Znajdź go, zanim dobierze mu się do skóry Globus...”

Rudi Halder: „Kilku facetów z Sipo pytało o ciebie w zeszłym tygodniu w archiwum...”

Ponownie Nebe: „Mam tutaj skargę od twojej byłej żony; nawet jedną od twojego syna...”

Szedł przez jakieś pół godziny ukwieconymi ulicami, mijając wysokie żywo płoty i parkany zamożnej podmiejskiej dzielnicy. Znalazłszy się w Dahlem zaczął studenta, pytając go o drogę. Na widok munduru młody człowiek wtulił głowę w ramiona. Dahlem było dzielnicą studencką. Młodzi chłopcy zapuszczali włosy kilka centymetrów za kołnierzyk; niektóre dziewczyny nosiły dzinsy – Bóg jeden wie, skąd je brały. Biała Róża – studencki ruch oporu, który zanim stracono jego przywódców, działał krótko w latach czterdziestych, teraz niespodziewanie odzyskiwał wpływy. *Ihr Geist lebt weiter* głosiło wymalowane na ścianie graffiti: ich duch żyje nadal. Prześladowani przez Gestapo członkowie Białej Róży protestowali przeciwko przymusowemu poborowi do wojska, słuchali zakazanej muzyki i kolportowali wywrotowe pisma.

Obładowany książkami student wskazał mu niewyraźnie drogę i zadowolony, że na tym się skończyło, szybko się oddalił.

Luther mieszkał niedaleko Botanischer Garten, w cofniętym od ulicy, dziewiętnastowiecznym wiejskim dworcu, do którego biegła kolista, wysypana białym żwirem aleja. W zaparkowanym po drugiej stronie podjazdu nie oznakowanym szarym BMW siedziało dwóch mężczyzn. Zdradzały ich marka i kolor samochodu. Dwóch następnych pilnowało z pewnością domu od tyłu, a co najmniej jeden patrolował pobliskie ulice. March przeszedł obok nich i zobaczył, jak jeden z agentów Gestapo odwraca się i mówi coś do swego kolegi.

Gdzieś w pobliżu był silnik kosiarki; nad aleją unosił się zapach świeżo ściętej trawy. Dom i otaczające go tereny musiały kosztować fortunę – nie tyle może, co willa Buhlera, ale niewiele mniej. Spod okapu wystawało czerwone pudełko zainstalowanego niedawno alarmu przeciwwłamaniowego.

Zadzwoił do drzwi i poczuł, jak ktoś przygląda mu się bacznie przez zamontowany w solidnych drzwiach wizjer. Po pół minucie drzwi otworzyły się i ukazała się za nimi angielska pokojówka w czarno-białym fartuszkach. Kiedy podał jej legitymację, odeszła, żeby zameldować go swojej pani. Po chwili wróciła i stukając obcasami po wyfroterowanym parkiecie, wprowadziła go do pogrążonego w mroku salonu. W powietrzu unosił się słodkawy zapach wody kolońskiej. Frau Marthe Luther siedziała na sofie, ściskając w ręku chusteczkę. Kiedy podszedł bliżej, podniosła ku niemu posiatkowane drobnymi żyłkami, zażawione błękitne oczy.

– Ma pan jakieś wiadomości?

– Żadnych, proszę pani. Bardzo mi przykro. Ale może pani być pewna, że nie szczędzimy wysiłków, żeby odnaleźć pani męża. – To, co mówił, bliższe było prawdy, niż sądziła.

Weszła w wiek, kiedy kobieta z dnia na dzień staje się coraz mniej atrakcyjna. Dzielnie zmagając się z losem, ale jej taktyka nie była zbyt fortunna: nienaturalnie jasne blond włosy, krótka spódniczka, rozpięta o jeden guzik za dużo jedwabna bluzka odsłaniająca mlecznobiały, obfity biust. Na haftowanej poduszce leżał grzbietem do góry otwarty romans. „Bal u Kaisera” Barbary Cartland.

Oddała mu legitymację i wydmuchała nos.

– Może pan usiądzie? Wygląda pan na zmęczonego. Nie miał pan nawet czasu się ogolić. Napije się pan kawy? Może sherry? Nie? Rosę, przynieś Herr Sturmbannführerowi kawy. A ja może wzmocnię się trochę malutkim sherry.

Przycupnąwszy z opartym o kolano notatnikiem na skraju głębokiego, krytego perkalem fotelu, March wysłuchał żalostnej opowieści Frau Luther. Jej mąż? Bardzo dobry człowiek, tak, może trochę porywczy, ale wszystko przez te nerwy, biedaczek. Biedny, biedny Martin. Stale łzawiły mu oczy, czy March o tym nie wiedział?

Pokazała mu fotografię: Luther w jakimś śródziemnomorskim kurorcie, odziany w absurdalne krótkie szorty, spoglądający ponuro w obiektyw powiększonymi przez grube szkła oczyma.

Ma już swój wiek, w grudniu skończy sześćdziesiąt dziewięć lat... Na jego urodziny mieli pojechać do Hiszpanii. Martin przyjaźnił się z generałem Franco – uroczy człowiek, czy March miał kiedyś okazję się z nim spotkać?

Nie? Co za szkoda.

No tak. Boi się pomyśleć, co mogło się wydarzyć, zawsze pamiętał, żeby powiedzieć jej, dokąd jedzie, nigdy przedtem nie zrobił czegoś takiego. Dobrze, że może z kimś o tym porozmawiać, to bardzo pomaga.

Zaszeleścił jedwab. Frau Luther skrzyżowała nogi. Na pulchnym kolanie uniosła się prowokacyjnie spódniczka. Pojawiła się z powrotem pokojówka; postawiła przed Marchem filiżankę kawy, dzbanuszek ze śmietanką i cukiernicę. Dla swojej pani przyniosła kieliszek sherry i opróżnioną do trzech czwartych kryształową karafkę.

– Czy słyszała pani kiedykolwiek, żeby mąż wymieniał nazwiska Josefa Buhlera albo Wilhelma Stuckarta? Na chwilę ją to zdekoncentrowało.

– Nie, nie przypominam sobie. Nie, na pewno nie.

– Czy wychodził gdzieś w zeszły piątek?

– W zeszły piątek? Chyba tak. Wyszedł wcześniej rano. – Wypiła trochę sherry. March zanotował jej odpowiedź w notesie.

– A kiedy powiedział pani, że będzie musiał wyjechać?

– Tego samego popołudnia. Wrócił koło drugiej. Ozmajmił, że coś się wydarzyło i że musi spędzić cały poniedziałek w Monachium. Wyleciał w niedzielę po południu, żeby przenocować i wstać wcześniej rano.

– Nie powiedział pani, o co chodzi?

– W tych kwestiach był bardzo staroświecki. Jego sprawy to były jego sprawy, jeśli rozumie pan, co mam na myśli.

– Jak zachowywał się przed podróżą?

– Och, był poirytowany, jak zwykle. – Zachichotała jak młoda dziewczyna. – No nie wiem, może bardziej niż zwykle. Telewizyjne wiadomości zawsze wprawiały go w depresję – ataki terrorystów, walki na Wschodzie. Mówiłam mu, żeby się nie martwił, zadreżczenie się nic ci nie pomoże, powtarzałam, ale to wszystko... tak, to wszystko nie dawało mu spokoju. Podczas wojny – dodała, ścisząc głos – przeżył załamanie. Biedaczek. Nie wytrzymał nerwowo...

Znowu zbierało się jej na płacz.

– W którym roku przeżył to załamanie? – przerwał jej March.

– Chyba w 1943. To było, oczywiście, zanim go poznałam.

– No tak. – March uśmiechnął się i pochylił głowę. – Musiała pani wtedy chodzić do szkoły.

– Może niezupełnie do szkoły... – Spódniczka powędrowała trochę wyżej.

– Kiedy zaczęła się pani obawiać, że coś mu się stało?

– Kiedy nie wrócił do domu w poniedziałek. Nie spałam przez całą noc.

– I zgłosiła pani jego zaginięcie we wtorek rano?

– Właśnie miałam zamiar to zrobić, kiedy zjawił się Obergruppenführer Globocnik.

March starał się ukryć zdziwienie w głosie.

– Zjawił się, zanim jeszcze zawiadomiła pani policję? O której to było godzinie?

– Kilka minut po dziewiątej. Powiedział, że chce rozmawiać z moim mężem. Przedstawiłam mu sytuację. Obergruppenführer potraktował sprawę bardzo poważnie.

– Jestem o tym przekonany. Czy powiedział pani, w jakiej sprawie chciał rozmawiać z pani mężem?

– Nie. Pomyślałam, że to jakaś sprawa partyjna. Dlaczego pan pyta? – Jej głos nagle stwardniał.

– Sugeruje pan, że mój mąż zrobił coś złego?

– Nie, nie...

Wygładziła upięścienioną dłonią spódniczkę.

– Dlaczego zadaje mi pan te wszystkie pytania, Herr Sturmbannführer? – zapytała po krótkim milczeniu.

– Czy pani mąż odwiedził kiedykolwiek Szwajcarię?

– Jeździł tam parę razy, kilka lat temu. W interesach. Dlaczego?

– Gdzie jest jego paszport?

– Nie ma go w gabinecie. Ale wyjaśniłam to już Obergruppenführerowi Globocnikowi. Martin zawsze nosił paszport przy sobie. Mówił, że nigdy nie wiadomo, kiedy będzie go potrzebował. Nauczono go tego w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Nie ma w tym nic niezwykłego, naprawdę...

– Pani wybaczy – przerwał jej. – Zauważyłem przy wejściu alarm przeciwwłamaniowy. Wygląda na nowy. Spuściła wzrok.

– Martin kazał go zainstalować w zeszłym roku. Mieliśmy nieproszonego gości.

– Dwóch mężczyzn? Spojrzała na niego zdumiona.

– Skąd pan o tym wie?

To był błąd.

– Musiałem przeczytać raport w aktach pani męża.

– Niemożliwe. – Zamiast zdumienia w jej głosie zabrzmiała teraz nieufność. – Nigdy nie zawiadomił o tym policji.

– Dlaczego?

Miała zamiar udzielić mu niegrzecznej odpowiedzi – „a co to pana obchodzi?” albo coś w tym rodzaju – ale potem spojrzała mu prosto w oczy i zmieniła zdanie.

– Prosiłam, żeby to zrobił – odparła zrezygnowanym głosem. – Ale nie zgodził się. I nie chciał powiedzieć dlaczego.

– Co się dokładnie wydarzyło?

– To było zeszłej zimy. Mieliśmy zamiar spędzić wieczór w domu. Ale potem w ostatniej chwili zadzwonili do nas przyjaciele i wyszliśmy na kolację, do Horchera. Kiedy wróciliśmy, w tym pokoju było dwóch mężczyzn. – Rozejrzała się wokół, tak jakby wciąż mogli się gdzieś kryć. – Chwała Bogu, że odprowadzili nas przyjaciele. Gdybyśmy byli sami... Kiedy zobaczyli, że jest nas cała czwórka, wyskoczyli przez to okno. – Wskazała ręką okno za plecami Marcha.

– I wtedy pani mąż założył alarm. Czy podjął jakieś inne środki ostrożności?

– Wynajął ochroniarza. Właściwie czterech. Pracowali na zmianę. Trzymał ich aż do Bożego Narodzenia. Potem uznał, że nie może im dłużej ufać. Bez przerwy się bał...

– Czego?

– Nie chciał mi powiedzieć.

W jej rękupojawiła się chusteczka. Z karafki znów ubyło trochę sherry; na brzegu kieliszka

zostały różowe plamy szminki. Frau Luther po raz kolejny znalazła się na skraju łez. March źle ją początkowo ocenił. Bała się o swego męża, to prawda. Ale jeszcze bardziej bała się tego, że mógł ją oszukiwać. Przez głowę przelatywały jej złe myśli, widać to było po oczach. Czy miał jakąś inną kobietę? Znalazł się w konflikcie z prawem? Coś przed nią ukrywał? Wyjechał z kraju? Uciekł na dobre? Zrobiło mu się jej bardzo żal i przez chwilę zastanawiał się, czy nie powiedzieć jej o dochodzeniu, jakie prowadzi przeciw jej mężowi Gestapo. Ale po co ją dobijać? Wkrótce i tak się dowie. Miał nadzieję, że państwo nie skonfiskuje domu.

– Zająłem pani już dosyć czasu. – Zamknął notes i wstał. Złapała go za rękę i spojrzała prosto w oczy.

– Czy go jeszcze kiedyś zobaczę?

– Tak – odparł. Nie, pomyślał.

Z ulgą opuścił mroczny, niezdrowy pokój i wyszedł na świeże powietrze. Siedzący w BMW gestapowcy patrzyli, jak odchodzi. Minąwszy bramę, March zawahał się, a potem skręcił w prawo, w stronę stacji kolejowej Botanischer Garten.

Czterech ochroniarzy!

Zaczynał wszystko rozumieć. Spotkanie wyznaczono na piątek rano w willi Buhlera. Wzięli w nim udział Buhler, Stuckart i Luther. Wszyscy spanikowani, spoceni ze strachu – i nie bez powodu. Być może każdy z nich otrzymał oddzielne zadanie. Tak czy owak w niedzielę Luther poleciał do Zurychu. March był przekonany, że to właśnie on musiał w poniedziałek po południu wysłać bombonierki z zuryskiego lotniska, być może tuż przed wejściem na pokład samolotu. Czym były te czekoladki? Na pewno nie prezentem; raczej sygnałem. Czy oznaczały, że udało mu się wypełnić zadanie? Czy też, że wszystko wzięło w łeb?

March obejrzał się przez ramię. Tak, teraz go śledzili, był tego prawie całkiem pewien. Mieli czas się zorganizować, kiedy siedział w domu Luthera. Czy agentką jest kobieta w zielonym płaszczu? Czy student na rowerze? Beznadziejne. Gestapo za dobrze się maskowało, żeby mógł to odkryć. Agentów musiało być co najmniej trzech albo czterech. Wydłużył krok. Zbliżał się do stacji.

Pytanie: czy Luther powrócił w poniedziałek z Zurychu do Berlina, czy też znajdował się wciąż poza krajem? Po rozważeniu wszystkich za i przeciw March skłaniał się ku pogładowi, że jednak wrócił. Wczorajszy ranny telefon do willi Buhlera – „Buhler? Odezwij się. Kto mówi?” – to musiał być Luther, nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Załóżmy, że Luther wysłał paczki tuż przed wejściem na pokład samolotu, powiedzmy o czwartej po południu. Wylądował zatem w Berlinie o siódmej wieczorem. I zniknął.

Na stacji Botanischer Garten zatrzymywały się elektryczne pociągi podmiejskie. March kupił bilet za jedną markę i marudził przy barierce aż do przyjazdu pociągu. Szybko wsiadł do wagonu, a potem tuż przed zamknięciem drzwi wyskoczył na zewnątrz i przebiegł metalową kładką na sąsiedni peron. Dwie minuty później wsiadł do jadącego na południe pociągu, po czym wysiadł na stacji Lichterfelde i znowu zmienił perony. Stacja była pusta. Przepuścił pierwszy pociąg na północ i wsiadł dopiero do drugiego. Oprócz niego w wagonie siedziała tylko kobieta w ciąży. Kiedy się do niej uśmiechnął, odwróciła wzrok. Uznał to za dobry znak.

Luther, Luther. Xavier zapalił papierosa. Zbliżający się do siedemdziesiątki starzec z nerwicą serca i kaprawymi oczyma. Paranoja kazała mu nie ufać nawet własnej żonie. Przyszli po niego już przed sześciu miesiącami, ale wtedy udało mu się jakoś wywinąć. Dlaczego zniknął dopiero w Berlinie? Czy po przejściu przez odprawę celną postanowił zadzwonić do swoich współników? W apartamencie Stuckarta nikt nie podniósł słuchawki – telefon dzwonił obok cichej, skąpanej we krwi

sypialni. W Schwanenwerder, jeśli Eisler trafnie ustalił czas śmierci, napastnicy musieli już zaskoczyć Buhlera. Czy nie zwrócili uwagi na dzwoniący telefon? Czy też jeden z nich podniósł słuchawkę, podczas gdy drugi przytrzymywał ofiarę?

Luther, Luther: coś musiało sprawić, że w tę poniedziałkową noc wybiegłeś w lodowaty deszcz, żeby ratować własne życie.

Wysiadł na Dworcu Gotenlandzkim. Stacja stanowiła kolejny przykład spełnionego snu architekta: mozaikowe posadzki, polerowany kamień, wysokie na trzydzieści metrów witraże. Reżim zamykał kościoły i w ramach rekompensaty budował podobne do katedr dworce.

Patrząc z biegnącego górą przejścia na tysiące spieszących się pasażerów, March poczuł, jak ogarnia go desperacja. Tam na dole mijało się tysiące ludzi – każdy z nich hołubił własne sekrety, plany i marzenia, każdy dźwigał indywidualny bagaż winy – i żaden nawet przez chwilę nie ocierał się o drugiego. Tysiące oddzielnych istnień. Pomyśl, że zdoła w pojedynkę odnaleźć wśród nich samotnego starca, po raz pierwszy wydał mu się całkowicie fantastyczny, absurdalny.

Ale Globusowi mogło się to udać. Już teraz March widział zwiększoną obecność policyjnych patroli. Zmiana musiała zajść podczas ostatniej półgodziny. Funkcjonariusze Orpo sprawdzali każdego mężczyznę po sześćdziesiątce. Prowadzili właśnie skarżące się głośno włóczęgę, który nie miał przy sobie dokumentów.

Globus! March odwrócił się od poręczy i zjechał ruchomymi schodami w dół, ruszając na poszukiwanie jedynej osoby w Berlinie, która mogła uratować mu życie.

4

Przejażdżka centralną linią U-Bahnu stanowiła, mówiąc słowami Ministerstwa Propagandy i Kulturalnego Oświecenia Rzeszy, prawdziwą podróż przez niemiecką historię. Mijane stacje następowały po sobie niczym perły w koronie: Berlin-Gotenland, Bülow Strasse, Nollendorf Platz, Wittenberg Platz, Nürnberger Platz, Hohenzollern Platz.

Obsługujące linię wagony pochodziły jeszcze sprzed wojny. Czerwone dla palących, żółte dla niepalących. Twarde drewniane ławki wypolerowały na glans siedzenia trzech pokoleń berlińczyków. Większość pasażerów stała, trzymając się sfatygowanych skórzanych uchwytów i kołysząc w rytmie pociągu. Tabliczki nakłaniały ich do złożenia donosu. „Każdy gapowicz przynosi szkodę miastu! Zawiadom władze o wszelkich wykroczeniach!”, „Czy twój współpasażer ustąpił miejsca kobiecie lub weteranowi? Jeśli nie, podlega karze grzywny w wysokości 25 marek!”

Oparty o drzwi wagonu March przeglądał kupiony w kiosku na peronie egzemplarz „Berliner Tageblatt”. Kennedy i Führer, Führer i Kennedy – to wszystko, co można było przeczytać. Reżimowi najwyraźniej bardzo zależało na sukcesie rozmów. To mogło oznaczać tylko jedno: sytuacja na Wschodzie jest gorsza, niż powszechnie sądzono. „Permanentny stan wojny na froncie wschodnim pomoże nam stworzyć zdrową rasę ludzi – powiedział kiedyś Führer – i uchroni przed popadnięciem w wygodnictwo, tak typowe dla zapatrzonych we własny pępek Europy”. Ale ludzie robili się wygodni. Czy nie po to właśnie zwyciężyli, czy nie taki był sens całej walki? Polacy pielili ich ogrody, Ukraińcy zamiatali ulice, francuscy kucharze przygotowywali posiłki, angielskie pokojówki sprawowały pieczę nad domem. Zakosztowawszy luksusów pokoju, Niemcy stracili apetyt na wojnę.

W środku gazety, czcionką tak małą, że trudno było coś przeczytać, umieszczono na samym dole nekrolog Buhlera. Śmierć, jak pisano, nastąpiła „podczas kąpieli w jeziorze”.

March wsunął gazetę do kieszeni i wysiadł na stacji Bülow Strasse. Z otwartego peronu widział okno mieszkania Charlotte Maguire. Za zasłoną poruszył się jakiś cień. Była w domu. Ona albo ktoś

inny.

Krzesło dozorczyńni było puste. Kiedy zapukał do drzwi mieszkania, nikt nie odpowiedział. Zapukał jeszcze raz, głośniej.

Bez odpowiedzi.

Odszedł od drzwi i stukając głośno obcasami zbiegł po schodach. Potem zatrzymał się, policzył do dziesięciu i z plecami przyciśniętymi do ściany wspiał się z powrotem – jeden krok i przerwa, kolejny krok i przerwa – krzywiąc się przy każdym spowodowanym przez siebie szmerze. Znalazłszy się z powrotem przy drzwiach, wyciągnął pistolet.

Mijały minuty. Szczekały psy, przejeżdżały samochody, stukwały po szynach pociągi. Przelatywały samoloty, płakały dzieci, śpiewały ptaki: kakofonia ciszy. W pewnej chwili wewnątrz apartamentu zaskrzypiała podłoga.

Drzwi uchyliły się na parę centymetrów.

March skoczył do przodu, waląc w nie ramieniem. Ktokolwiek był po drugiej stronie, siła uderzenia musiała odrzucić go do tyłu. Xavier w ciągu ułamka sekundy znalazł się w środku i dopadł przeciwnika. Popchnął go przez niewielki przedpokój w stronę salonu. Po drodze przewrócili na podłogę lampę. March próbował wycelować do mężczyzny z pistoletu, ale ten złapał go za rękę. I teraz to Xavier cofał się, popychany do tyłu. Zahaczył nogami o niski stolik i przewrócił się na plecy, rozbijając głowę o coś twardego. Luger upadł na podłogę.

Cóż, wszystko to było dość zabawne i w innych okolicznościach March z pewnością wybuchnąłby śmiechem. Nigdy nie był zbyt dobry w walce wręcz, a teraz – choć jeszcze przed chwilą miał przewagę wynikającą z zaskoczenia – leżał bezbronny na plecach, z głową w kominku, opierając nogi na niskim stoliku do kawy: w pozycji ciężarnej kobiety, którą bada ginekolog.

Napastnik usiadł na nim okrakiem. Jedna dłoń w rękawiczce zacisnęła się na jego twarzy, druga na gardle. Xavier nic nie widział i nie mógł oddychać. Szarpał na wszystkie strony głową, próbując ugryźć dłoń w rękawiczce. Bił pięściami w głowę przeciwnika, ale jego ciosy pozbawione były siły. To, co siedziało na nim, nie było człowiekiem. Miało w sobie bezlitosną moc maszyny. Miażdżyło go. Stalowe palce odnalazły arterię – tę właśnie, której nazwy March nigdy nie mógł zapamiętać, nie mówiąc już o jej zlokalizowaniu – i nagle poczuł, że zaczyna się poddawać. Zalewająca oczy ciemność łagodziła ból. Tak właśnie zatem, pomyślał, ma wyglądać kres.

Usłyszał głośne łupnięcie. Uścisk na jego szyi zelżał, ręce cofnęły się. Powoli wynurzał się z ciemności. Walka trwała dalej, choć on uczestniczył w niej już tylko w charakterze widza. Uderzony stalowym krzesłem w czoło mężczyzna przewrócił się na bok. Twarz zalewała mu płynąca z rany nad okiem krew. Krzesło znowu śmignęło w powietrzu. Kolejne łupnięcie. Mężczyzna próbował jednym ramieniem zasłonić się przed ciosem, drugim ścierał gorączkowo krew z oczu. Podniósł się na czworaki i zaczął sunąć w stronę drzwi; na plecach siedział mu okrakiem wcielony diabeł, sięgająca pazurami do oczu, sycząca i parskająca furia. Powoli, jakby dźwigał olbrzymi ciężar, intruz postawił na podłodze najpierw jedną, potem drugą nogę. Pragnął teraz tylko jednego: wydostać się na zewnątrz. Obrócił się na chwiejnych nogach tyłem do framugi i dwukrotnie grzmotnął o nią siedzącą mu na plecach napastniczkę.

Dopiero wtedy Charlotte Maguire pozwoliła mu uciec.

Łamiące się niczym fajerwerki fale bólu; w głowie, nogach, żebrach i w gardle. – Gdzie nauczyłaś się tak walczyć?

Stał w małej kuchni, pochylony nad zlewem. Ścierała mu tamponem krew z rany na potylicy.

– Gdybyś miał za rodzeństwo trzech braci, też nauczyłbyś się walczyć. Nie ruszaj się.

– Współczuję twoim braciom. Auu! – Najbardziej bolała go głowa. Zakrwawiona woda kapiała na zatłuszczone talerze zaledwie kilka centymetrów od jego twarzy. Robiło mu się niedobrze. – Wydaje mi się, że w Hollywood mężczyźni ratują na ogół kobiety.

– Hollywood to jedna wielka bzdura. – Sięgnęła po czystą ściereczkę. – Rana jest całkiem głęboka. Jesteś pewien, że nie chcesz iść do szpitala? – Nie ma na to czasu.

– Czy ten człowiek tutaj nie wróci?

– Nie. Przynajmniej nie tak prędko. Cała operacja jest najprawdopodobniej wciąż tajna. Dziękuję.

Przycisnął ściereczkę do potylicy i wyprostował się. Robiąc to odkrył nowy ból: u podstawy krzyża.

– Tajna operacja? – powtórzyła. – Nie sądzisz, że to mógł być zwykły złodziej?

– Nie. To był profesjonalista. Autentyczny, wyszkolony przez Gestapo profesjonalista.

– A ja dałam mu radę. – Adrenalina dodała blasku jej skórze; w oczach zapaliły się jasne iskierki. Jedynym obrażeniem, jakie odniosła, było zadrapanie na ramieniu. Wydawała mu się teraz bardziej atrakcyjna niż za pierwszym razem. Delikatne kości policzkowe, silny nos, pełne usta, duże piwne oczy. Brązowe, sięgające karku i zaczesane za uszy włosy.

– Gdyby kazano mu cię zabić, z pewnością by to zrobił.

– Naprawdę? W takim razie dlaczego wciąż jeszcze żyję? – W jej głosie zabrzmiała nagła złość.

– Jesteś Amerykanką. Znajdujesz się pod specjalną ochroną, zwłaszcza teraz. – Przyjrzał się ściereczce. Krew przestała płynąć. – Nie lekceważ przeciwnika.

– Nie lekceważ mnie. Gdybym nie wróciła do domu, już byś nie żył.

Wolał zostawić to bez odpowiedzi. Najwyraźniej łatwo było wyprowadzić ją z równowagi.

Apartament przetrząsnęto do góry nogami. Z pootwieranych szuflad zwisały ubrania, na biurku leżały porozrzucone papiery, na podłodze opróżnione walizki. W gruncie rzeczy jednak, pomyślał, bałagan nie był dużo większy niż przedtem: w zlewie poniewierały się brudne naczynia, a w łazience stała bateria w większości pustych butelek. Pod ścianami chwiały się niebezpiecznie stosy pożółkłych egzemplarzy „New York Timesa” i „Time'a”, z kartkami pociętymi przez niemieckich cenzorów. Rewizja w takim mieszkaniu musiała być istnym koszmarem. Przez brudne firanki przeświecało słabe światło. Co parę minut ulicą przejeżdżało metro i wtedy trzęsły się wszystkie ściany.

– To chyba twoje? – Podniosła leżącego pod krzesłem lugera. Trzymając go między palcem wskazującym i kciukiem wyciągnęła w jego stronę.

– Tak, dziękuję. – Schował broń do kabury. Miała wyjątkowy talent do robienia z niego głupka. – Czy coś zginęło?

– Wątpię. – Rozejrzała się po pokoju. – A gdyby nawet, nie jestem pewna, czybym się zorientowała.

– Ta rzecz, którą dałem ci wczoraj w nocy...?

– O to ci chodzi? Postawiłam ją tam. – Wyciągnęła rękę w stronę kominka i nagle zastygła w bezruchu. – Była tam...

March zamknął oczy. Kiedy je otworzył, szczyrzyła zęby w uśmiechu.

– Nie przejmuj się. Trzymałam ją przy samym sercu. Niczym miłosny list.

Stała do niego tyłem i rozpięła bluzkę. Kiedy odwróciła się z powrotem, w jej ręku tkwiła koperta. Wziął ją i podszedł do okna.

Była ciepła w dotyku.

Długą i wąską kopertę z ręcznie czerpanego, luksusowego kremowobłękitnego papieru

pokrywały przypominające plamy wątrobowe drobne cętki. Pachniała inną epoką. Nie widniało na niej żadne nazwisko ani adres.

Wewnątrz znajdował się mały mosiężny kluczyk i gruby niczym tektura, utrzymany w tym samym błękitnym odcieniu arkusz papieru. W prawym górnym rogu mieściła się wydrukowana kwiecistymi literami nazwa banku: Zaugg & Cie, Bankiers. Bahnhof Strasse 44, Zurych. Pojedyncze, wystukane pod spodem na maszynie zdanie identyfikowało okaziciela niniejszego dokumentu jako jednego ze współwłaścicieli konta numer 2402. List nosił datę 8 lipca 1942. Podpisał go Hermann Zaugg, dyrektor.

March jeszcze raz dokładnie przeczytał dokument. Nic dziwnego, że Stuckart trzymał go w sejfie; bez specjalnego zezwolenia Reichsbanku niemieckiemu obywatelowi nie wolno było posiadać konta w zagranicznym banku. Naruszającym ten zakaz groziła kara śmierci.

– Martwiłem się o ciebie. Dzwoniłem tutaj kilka godzin temu, ale nikt nie odpowiadał – powiedział.

– Nie było mnie w domu. Wyszłam, żeby zebrać materiały.

– Materiały?

Jej twarz ponownie rozjaśniła się w uśmiechu.

Zgodnie z sugestią Marcha wybrali się na spacer do Tiergarten: tradycyjnego miejsca spotkań berlińczyków, którzy mają do omówienia jakieś sekrety. Nawet Gestapo nie wynalazło jeszcze odpowiednich urządzeń, pozwalających na zainstalowanie podsłuchu w całym parku. W wysokiej, rosnącej pod drzewami trawie sterczały żółte żonkile. Przy Neuer See dzieci karmiły kaczki.

Wydostanie się z domu Stuckarta nie było jej zdaniem zbyt trudne. Wylot przewodu wentylacyjnego wychodził na alejkę prawie na poziomie ziemi. W pobliżu nie było ani jednego esesmana. Wszyscy kręcili się przed głównym wejściem. Pobieгла więc po prostu w stronę tylnej uliczki, gdzie złapała taksówkę do domu. Przez pół nocy nie kładła się spać, czekając na jego telefon i czytając w kółko list, aż nauczyła się go na pamięć. Kiedy nie odezwał się do dziewiątej rano, postanowiła dłużej nie zwlekać.

Chciała wiedzieć, co przydarzyło się jemu i Jaegerowi. Powiedział jej tylko, że przewieziono ich do siedziby Gestapo i zatrzymano aż do rana.

– Masz kłopoty?

– Tak. Teraz powiedz, czego się dowiedziałas.

Najpierw poszła do biblioteki publicznej przy Nollendorf Platz – teraz, kiedy wycofano jej akredytację, nie miała nic lepszego do roboty. W bibliotece był spis europejskich banków. Firma Zaugg & Cie wciąż istniała. Siedziba banku nadal mieściła się przy Bahnhof Strasse. Z biblioteki poszła prosto do amerykańskiej ambasady, żeby zobaczyć się Henrym Nightingale'em.

– Z Nightingale'em?

– Spotkałeś go wczoraj wieczorem.

Xavier przypominał sobie: opierający dłoń na jej ramieniu młody człowiek w sportowej marynarce i koszuli z przypinanym kołnierzykiem.

– Chyba mu nic nie powiedziałaś?

– Oczywiście, że nie. Ale Nightingale i tak jest dyskretny. Możemy mu zaufać.

– Wolę sam decydować, komu mogę ufać. – Trochę go rozczarowała. – Czy jest twoim kochankiem? Zatrzymała się jak wryta.

– A to co znowu za pytanie?

– Rzykuję więcej od ciebie. O wiele więcej. Mam prawo wiedzieć.

– Nie masz żadnego prawa. – Była teraz naprawdę wściekła.

– W porządku – odparł, unosząc ręce. Ta kobieta była niemożliwa. – Twoja sprawa.

Ruszyli dalej.

Nightingale, wyjaśniła, zna od podszewki szwajcarski system bankowy. W Stanach Zjednoczonych pomagał kilku niemieckim uciekinierom, którzy próbowali wydobyć swoje pieniądze z banków w Zurychu i Genewie.

Okazało się to prawie niemożliwe.

W roku 1934 Reinhard Heydrich wysłał do Szwajcarii agenta Gestapo o nazwisku Georg Hannes Thomae. Polecono mu odkryć nazwiska Niemców, którzy posiadali konta w tamtejszych bankach. Thomae wynajął dom w Zurychu, nawiązał romanse z kilkoma samotnymi kasjerkami i zaprzyjaźnił się z paroma niższymi urzędnikami. Kiedy Gestapo podejrzewało kogoś o posiadanie nielegalnego konta, Thomae składał wizytę w banku i udając pośrednika próbował wpłacić w imieniu tej osoby pieniądze. W momencie przyjęcia wpłaty

Heydrich zyskiwał pewność, że konto istnieje. Aresztowanego posiadacza zmuszano torturami do wyjawienia wszystkich szczegółów i wkrótce bank otrzymywał depezę, w której zgodnie z wszelkimi stosownymi przepisami proszono o transfer pieniędzy z powrotem do Rzeszy.

Wojna Gestapo ze szwajcarskimi bankami prowadzona była na coraz szerszą skalę. Podśluchiwano rozmowy telefoniczne między Szwajcarią i Niemcami. Sprawdzano depeze i listy. Posiadaczy kont skazywano na śmierć albo wysyłano do obozów koncentracyjnych. W Szwajcarii zaczęły się w końcu głośne protesty. Wreszcie szwajcarskie Zgromadzenie Narodowe uchwaliło nowe prawo bankowe, które pod groźbą kary więzienia zakazywało ujawniania przez banki jakichkolwiek informacji na temat wkładów klientów. Georg Thomae został zdemaskowany i wydalony.

Szwajcarskie banki doszły jednak do przekonania, że prowadzenie interesów z obywatelami Niemiec jest zbyt niebezpieczne i zabiera za dużo czasu. Setki przerażonych właścicieli porzuciły po prostu swoje konta. Szacowni bankierzy nie mieli ochoty angażować się dalej w te śmiertelne transakcje. Ich ujawnianie przynosiło same szkody. Do roku 1939 niegdyś lukratywny interes z niemieckimi kontami całkowicie się załamał.

– A potem wybuchła wojna – kontynuowała Charlie.

Doszli do końca Neuer See i ruszyli z powrotem. Zza drzew dobiegał szum jadących Osią Wschód - Zachód samochodów. Wyżej widać było kopułę Wielkiego Pałacu. Berlińczycy żartowali, że tylko osiedlając się w środku, można było oszczędzić sobie jego widoku.

– Po roku 1939 zapotrzebowanie na szwajcarskie konta z oczywistych przyczyn dramatycznie wzrosło. Ludzie starali się desperacko wycofać swoje zasoby z Niemiec. W związku z tym banki takie jak Zaugga wprowadziły nową formę kont depozytowych. Za opłatą dwustu franków otrzymywało się skrytkę, numer, kluczyczek oraz upoważnienie.

– Dokładnie tak jak Stuckart.

– Zgadza się. Musiałeś po prostu pojawić się z kluczyczkiem i upoważnieniem i wszystko należało do ciebie. Żadnych pytań. Do każdej skrytki można było wydać tyle kluczy i upoważnień, za ile był skłonny zapłacić właściciel. Któregoś dnia bank mogła odwiedzić, jeśli tylko zdołała załatwić sobie pozwolenie na wyjazd, przywożąca oszczędności całego życia siwa staruszka. Dziesięć lat później pojawiał się z kluczyczkiem i upoważnieniem jej syn i wynosił spadek pod pachą.

– Albo pojawiało się Gestapo...

– I jeżeli mieli klucz i upoważnienie, bank oddawał im wszystko. Żadnych kłopotów. Wszystko załatwione po cichu. Zgodnie z prawem bankowym.

– Te konta... wciąż jeszcze istnieją?

– Pod koniec wojny w wyniku nacisków z Berlina rząd szwajcarski zakazał ich otwierania i nikt nie mógł od tej pory założyć nowych. Ale stare istnieją dalej, ponieważ muszą być honorowane oryginalne warunki umowy. Upoważnienia stały się czymś w rodzaju papierów wartościowych. Ludzie sprzedawali je i kupowali. Według Henry'ego Zaugg wyspecjalizował się w tego rodzaju transakcjach. Bóg jeden wie, co trzyma pozamykane w tych skrytkach.

– Czy w rozmowie z Nightingale'em wymieniałaś nazwisko Stuckarta?

– Oczywiście, że nie. Powiedziałałam mu, że piszę artykuł do „Fortune” na temat „spadków, które przepadły podczas wojny”.

– Podobnie jak mnie powiedziałaś, że miałaś zamiar porozmawiać ze Stuckartem, żeby napisać artykuł o „młodości Führera”. Przez chwilę się zawahała.

– O co ci właściwie chodzi? – zapytała cicho. Rwała go głowa i wciąż bolały zębra. O co mu chodziło? Zapalił papierosa, żeby zyskać na czasie.

– Ludzie, którzy stykają się z gwałtowną śmiercią... próbują o niej zapomnieć, uciekają. Ale nie ty. Zeszłej nocy bardzo szybko dałaś się przekonać, żeby wrócić ze mną do apartamentu Stuckarta. Otworzyłaś jego listy. Dziś rano błyskawicznie zebrałaś informacje o szwajcarskich bankach...

Przerwał na chwilę. Z naprzeciwka nadchodziła, przypatrując się im uważnie, starsza para. Uświadomił sobie, jak dziwnie razem wyglądają: nie ogolony, posiniaczony Sturmbannführer SS i kobieta, która z całą pewnością była cudzoziemką. Mogła mieć doskonały akcent, ale coś w wyrazie jej twarzy, w sposobie, w jaki się ubierała i chodziła, od razu zdradzało, że nie jest Niemką.

– Chodźmy tędy – powiedział, skręcając ze ścieżki w stronę drzew.

– Czy możesz mnie poczęstować?

Kiedy w cieniu drzew zapalał jej papierosa, zasłoniła dłonią płomień. W jej oczach tańczyły odbite ogniki.

– W porządku. – Dała krok do tyłu i objęła się ramionami, tak jakby nagle zrobiło się jej zimno.

– To prawda, że moi rodzice znali Stuckarta przed wojną. To prawda, że poszłam go odwiedzić przed

Bożym Narodzeniem. Ale potem to nie ja do niego zadzwoniłam. On zadzwonił do mnie.

– Kiedy?

– W sobotę. Późnym wieczorem.

– Co powiedział? Roześmiała się.

– O nie, Herr Sturmbannführer. W moim zawodzie informacja ma swoją wymierną cenę, można ją sprzedać lub kupić na wolnym rynku. Chcę pohandlować.

– Co chcesz wiedzieć?

– Wszystko. Dlaczego wczoraj wieczorem włamałeś się do tego mieszkania? Dlaczego trzymasz coś w tajemnicy przed własnymi ludźmi? Dlaczego godzinę temu omal cię nie zamordował agent Gestapo?

– O to ci chodzi... – odparł z uśmiechem. Oparł się plecami o szorstką korę drzewa i popatrzył na park. Przyszło mu do głowy, że właściwie nie ma nic do stracenia.

– Dwa dni temu – zaczął – wyłowilem ciało z Haweli.

Opowiedział jej wszystko. O śmierci Buhlera i o zniknięciu Luthera. O tym, co widział Jost i co się z nim stało. O Nebem i Globusie, o podziemnym skarbcu i o jego własnym dossier na Gestapo. Opowiedział jej nawet o donosie Pilego. I ciekawe – coś, co zauważył u przyznających się do winy kryminalistów, nawet u tych, których to zeznanie miało zaprowadzić któregoś dnia na szubienicę – kiedy skończył, poczuł się wyraźnie lepiej.

Przez dłuższy czas milczała.

– W porządku – powiedziała w końcu. – Nie wiem, czy to się na coś przyda, ale oto, co mi się przytrafiło.

W sobotę wieczór położyła się wcześniej do łóżka. Pogoda była paskudna – zaczął padać deszcz, który lał z przerwami przez trzy następne dni. Już od kilku tygodni nie miała ochoty się z nikim spotykać. Wiadomo, Berlin może wprowadzić w taki nastrój. Wielkie szare budowle, wszechobecne mundury, ponurzy biurokraci – to wszystko sprawia, że człowiek czuje się mały i bezbronny.

Telefon zadzwonił koło wpół do dwunastej, kiedy właśnie zapadała w sen. Głos mężczyzny, napięty i precyzyjny.

– Naprzeciwko pani bloku jest budka telefoniczna. Niech pani tam idzie. Zadzwonię za pięć minut. Jeśli budka będzie zajęta, proszę zaczekać.

Nie rozpoznała Stuckarta, ale coś w głosie mężczyzny powiedziało jej, że to nie żart. Ubrała się, złapała płaszcz i zakładając w biegu buty popędziła schodami w dół i na ulicę. Na dworze uderzyły ją w twarz strugi deszczu. Po drugiej stronie ulicy, obok stacji U-Bahnu, stała stara drewniana budka – dzięki Bogu, pusta.

Dopiero czekając na telefon przypomniała sobie, kiedy po raz pierwszy usłyszała ten głos.

– Cofnij się trochę – powiedział March. – Jak wyglądało twoje pierwsze spotkanie ze Stuckartem?

To było przed Bożym Narodzeniem. Zadzwoniła do niego i wyjaśniła, kim jest. Opierał się trochę, ale nalegała i w końcu zaprosił ją na herbatę. Miał strzechę białych kręconych włosów i intensywną pomarańczową opaleniznę, tak jakby spędził ostatnio dużo czasu na słońcu albo pod lampą kwarcową. Ta kobieta, Maria, też była w apartamencie, ale zachowywała się jak pokojówka. Podała herbatę i zostawiła ich samych. Zwyczajna pogawędka: jak się miewa pani matka, dziękuję, znakomicie.

To była oczywiście nieprawda.

Strząsnęła popiół z papierosa.

– Kariera mojej matki zakończyła się wraz z wyjazdem z Berlina. Moje narodziny ostatecznie pogrzebały jej nadzieje. Jak pewnie się domyślasz, podczas wojny w Hollywood nie było specjalnego zapotrzebowania na niemieckie aktorki.

A potem, zgrzytając lekko zębami, zapytał o jej ojca. I odczuła wielką przyjemność, mogąc mu odpowiedzieć: dziękuję, ma się świetnie. Odszedł na emeryturę w sześćdziesiątym pierwszym, po dojściu Kennedy'ego do władzy. Zastępca podsekretarza stanu, Michael Maguire. Niech Bóg błogosławi Stany Zjednoczone Ameryki. Stuckart poznał go przez mamę i widywali się czasami, kiedy ojciec pracował w tutejszej ambasadzie.

– Kiedy to było? – przerwał jej Xavier.

– Między trzydziestym siódmym a trzydziestym dziewiątym.

Stuckart chciał się dowiedzieć czegoś o jej pracy i zaspokoila jego ciekawość. World European Features, nigdy nie słyszał o takiej agencji. Nic dziwnego, odparła, nie słyszał o niej prawie nikt. Tak to wyglądało. Grzeczne zainteresowanie, nic więcej. Wychodząc dała mu swoją wizytówkę i wtedy pochylił się, żeby pocałować ją w rękę. Dosłownie wpił się w nią ustami, aż zrobiło się jej niedobrze. W drodze do drzwi klepnął ją w pośladek. I na tym się skończyło, na szczęście. Przez następne pięć miesięcy: cisza.

– Aż do sobotniej nocy?

Aż do sobotniej nocy. Czekala w budce telefonicznej nie dluzej niz trzydzieci sekund. Z jego glosu zniknela teraz cala arogancja.

– Charlotte? – Z ciezkiem akcentem na drugiej sylabie. Char-lott-e. – Wybacz te teatralne chwytly. Twój telefon jest na podslychu.

– Podobno podslychujaja wszystkich cudzoziemcow.

– To prawda. Kiedy pracowalem w ministerstwie, czytalem zapisy. Ale publiczne telefony sa bezpieczne. Dzwonie teraz z budki. Bylem w czwartek na twojej ulicy i zapisalem numer aparatu, z ktorego teraz rozmawiasz. To powazna sprawa. Chce sie skontaktowac z wladzami twojego kraju.

– Dlaczego nie zalatwic tego za posrednictwem ambasady?

– Ambasada nie jest pewna.

Mial przerazony glós. I napiety. Z cala pewnoscia cos przedtem pil.

– Chce pan powiedziec, ze zamierza pan uciec do Ameryki?

W sluchawce zapadlo dlugie milczenie. A potem uslyszala za soba jakis halas. Odglós stukajacego o szybę metalu. Obróciła się i zobaczyła stojacego na deszczu mezczyzne, który oslaniajac dloniami oczy zagladal do srodka budki niczym glębokowodny nurek. Musiala krzyknac albo cos w tym rodzaju, bo Stuckart bardzo sie wystraszył.

– Co to bylo? Co sie stalo?

– Nic. Po prostu któs chce zadzwonic.

– Musimy sie spieszyc. Chce zalatwic wszystko za posrednictwem twojego ojca, nie przez ambasade.

– Co mam zrobic?

– Przyjdź do mnie jutro, Charlotte. Wszystko ci opowiem. Uczynię z ciebie najslynniejsza na swiecie reporterke.

– Gdzie? O ktorej godzinie?

– Do mnie do domu. W poludnie.

– Czy bedziemy bezpieczni?

– Nigdzie nie bedziemy bezpieczni.

Odwiesil sluchawke. To byly ostatnie slowa Stuckarta, jakie slyszala.

Zaciagnela sie po raz ostatni papierosem, rzucila go na ziemie i przydeptala stopa.

Reszte mniej wiecej wie. Znalazla ciała, wezwala policje. Zawiezli ja na duza komende przy Alexander Platz, gdzie przez ponad trzy godziny siedziala w pustym pokoju, odchodzajac od zmyslow. Potem zabrali ja do innego budynku, gdzie jej zeznanie spisal jakis obleśny esesman w taniej peruce. Jego gabinet przypominal bardziej pokój lekarza sadowego niz detektywa.

March usmiechnal sie mimo woli, slyszajac opis Fiebesa.

Z oczywistych przyczyn postanowila nie mowic policji o sobotnim telefonie Stuckarta. Gdyby dala im do zrozumienia, ze chciala pomoc Stuckartowi uciec, natychmiast oskarzono by ja o „dzialalnosc niezgodna ze statusem dziennikarza" i aresztowano. Ale i tak postanowili ja deportowac.

W ramach zblizajacych sie obchodow wladze zaplanowaly w Tiergarten pokaz ogni sztucznych. Cala czesc parku zostala ogrodzona; obserwowani przez tłum gapiow, ubrani w niebieskie kombinezony pirotechnicy montowali swoje niespodzianki. Dlugie rury, otoczone workami piasku wyrzutnie, wykopy, kilometry kabla – wszystko to przypominalo bardziej przygotowania do ostrzalu artyleryjskiego niz do swiatecznych obchodow. Nikt nie zwracal uwagi na Sturbannfuhrera SS i kobiety w plastikowym niebieskim plaszczu.

March zapisał kilka cyfr w notesie.

– To są moje telefony: do domu i do pracy – powiedział, wrywając kartkę. – Masz tutaj również numery mojego przyjaciela. Nazywa się Max Jaeger. Jeśli nie uda ci się ze mną skontaktować, zadzwoń do niego. Jeśli zdarzy się coś podejrzanego, coś, co cię zaniepokoi, dzwoń bez względu na porę.

– A co z tobą? Co masz zamiar robić?

– Spróbuję dziś wieczorem polecieć do Zurychu, żeby jutro z samego rana sprawdzić to konto.

Wiedział, co powie, zanim jeszcze otworzyła usta.

– Lecę razem z tobą.

– Będiesz o wiele bezpieczniejsza tutaj.

– Ale to również moja historia. Zachowywała się jak rozkapryszone dziecko.

– To nie jest żadna historia, na litość boską. Słuchaj – dodał, powściągając gniew. – Zawrzyjmy umowę. Przysięgam, że powtórzę ci wszystko, czego uda mi się tam dowiedzieć. Będziesz miała wszystko.

– To nie to samo, co być tam na miejscu.

– To lepsze od kuli w głowie.

– Nie odważyliby się zrobić niczego takiego za granicą.

– Wprost przeciwnie, to jest dokładnie to, co mogą zrobić. Jeśli coś się zdarzy tutaj, oni ponoszą za to odpowiedzialność. A za granicą... – Wzruszył ramionami. – Za granicą niczego im nie udowodnisz.

*

Rozstali się w środku parku. March ruszył szybko przez trawnik, zmierzając w stronę szumiącego za murem miasta. Idąc wyjął z kieszeni kopertę. Sprawdził, czy w środku wciąż znajduje się klucz, a potem pod wpływem nagłego impulsu podniósł ją do nosa. Jej zapach. Obejrzał się przez ramię. Szła między drzewami odwrócona do niego tyłem. Na chwilę zniknęła mu z oczu, a potem pojawiła się z powrotem; zniknęła i pojawiła się – mała, podobna do ptaka figurka – jaskrawa niebieska plamka na tle szarych zarośli.

5

Drzwi do jego mieszkania wisiały na zawiasach niczym złamana szczęka. March przystanął z wyciągniętym pistoletem na podeście schodów. Ze środka nie dobiegał żaden dźwięk.

Mieszkanie zostało potraktowane z o wiele większą złośliwością niż apartament Charlotte Maguire. Wszystko leżało zwalone na stos pośrodku salonu – ubrania i książki, buty i stare listy, fotografie, naczynia i meble – zwiędziona codzienność życia. Wyglądało to tak, jakby ktoś chciał rozpalić ognisko, ale przeszkodzono mu w ostatniej chwili i nie zdążył przytknąć pochodni.

Na samym szczycie stosu ktoś położył oprawioną w drewniane ramy fotografię dwudziestoletniego Xaviera, ściskającego dłoń dowódcy U-Boot Waffe, admirała Doenitza. Dlaczego pozostawiono ją w ten sposób? Co to miało oznaczać? Wziął do ręki zdjęcie, zdmuchnął z niego kurz i podszedł do okna. W ogóle o nim zapomniał. Doenitz lubił wchodzić na pokład każdej wypływającej z Wilhelmshaven łodzi: ponury starzec, burkliwy, wymagający i obdarzony stalowym uściskiem dłoni. „Udane polowanie”, warknął, zwracając się do Marcha. To samo mówił wszystkim. Fotografia pokazywała pięciu młodych marynarzy czekających w szeregu obok wieży na uścisk dłoni

admirała. Po prawej stronie Xaviera stał Rudi Halder. Pozostali trzej zginęli w tym samym roku, uwięzieni w stalowym kadłubie U-175.

Udane polowanie.

Rzucił zdjęcie z powrotem na stos.

To wszystko wymagało czasu. Dużo czasu, dużo złej woli, a także pewności, że nikt nie przeszkodzi intruzom. Musieli tu wtargnąć, kiedy był pod strażą na Prinz-Albrecht Strasse. To mogła być robota tylko Gestapo. Przypomniawszy sobie napis, który nabazgrali na murze niedaleko Werderscher Markt ludzie z Białej Róży: „Państwo policyjne jest państwem rządzone przez kryminalistów”.

Otworzyli jego pocztę. Kilka dawno przeterminowanych rachunków – szkoda, że ich nie uregulowali – i opatrzony wtorkową datą

list od byłej żony. Nie chciała, żeby w przyszłości widywał się z Pilim. Spotkania z ojcem za bardzo wytręcały chłopca z równowagi. Miała nadzieję, że nie będzie kwestionował tej decyzji. Jeśli okaże się to konieczne, gotowa jest złożyć wyjaśnienia przed Sądem Rodzinnym Rzeszy, ufa jednak, że nie będzie musiała tego robić – ze względu na dobro chłopca i Marcha. Podpisano: Klara Eckart. A więc powróciła do swego panińskiego nazwiska. Zmiał list i rzucił go obok fotografii, na resztę śmieci.

Zostawili przynajmniej nietkniętą łazienkę. Wziął prysznic, ogolił się, a potem obejrzał w lustrze poniesione obrażenia. Nie wyglądały tak źle: wielki, rosnący szybko siniak na piersi, kilka innych z tyłu nóg i u podstawy krzyża; wyraźny ślad na szyi. Nic poważnego. Co takiego mówił zawsze jego ojciec – jak brzmiał jego balsam na wszystkie dziecięce zadrapania? „Przeżyjesz, chłopcze”. No właśnie. „Przeżyjesz!”

Wrócił nagi do salonu i wydobył ze stosu czyste ubranie, buty, walizkę i skórzaną torbę. Przez chwilę bał się, że zabrali mu paszport, ale w końcu znalazł go na samym dnie. Dostał go w roku 1961, kiedy kazano mu pojechać do Włoch po aresztowanego w Mediolanie gangstera. Z fotografii wpatrywał się weń jego młodszy sobowtór, bardziej pyzaty i lekko uśmiechnięty. Mój Boże, pomyślał, w trzy lata postarzałem się o dziesięć.

Wyszczotkował mundur, założył go na czystą koszulę, po czym spakował walizkę. Kiedy pochylił się, żeby ją zamknąć, zobaczył, że na kracie kominka leży jakiś przedmiot. Była to odwrócona na drugą stronę fotografia Weissów. Zawahał się, a potem podniósł ją, złożył w mały kwadrat – dokładnie tak samo, jak była złożona, kiedy znalazł ją przed pięciu laty – i schował do portfela. W przypadku gdyby go zatrzymano i przeszukano, mógł powiedzieć, że to jego rodzina.

A potem po raz ostatni rozejrzał się po mieszkaniu i wyszedł, zamykając za sobą, jak mógł najlepiej, wyłamane drzwi.

*

W głównym oddziale Deutschebank, przy Wittenberg Platz, zapytał, ile ma na koncie.

– Cztery tysiące dwieście siedemdziesiąt siedem Reichsmarek i trzydzieści osiem fenigów.

– Chcę, żeby mi je pan wypłacił.

– Wszystko, Herr Sturbannführer? – Kasjer zamrugnął skrytymi za drucianymi oprawkami oczyma. – Zamyka pan konto?

– Wszystko.

March obserwował uważnie, jak kasjer przelicza czterdzieści dwa stumarkowe banknoty. Wsadził je do portfela, obok fotografii. Niewiele jak na oszczędności całego życia.

Wszystko przez brak awansów i wypłacane przez siedem lat alimenty.

Kasjer wpatrywał się w niego szeroko otwartymi oczyma.

– Herr Sturmbannführer coś mówił?

Zaczynał myśleć na głos. Coś było nie w porządku z jego głową.

– Nie. Przepraszam. Dziękuję.

Podniósł walizkę, wyszedł z banku i złapał taksówkę, która zawiozła go na Werderscher Markt.

Siedząc samotnie w swoim gabinecie, Xavier zrobił dwie rzeczy. Zadzwoił do dyrekcji Lufthansy i poprosił szefa służby bezpieczeństwa – znanego mu osobiście byłego inspektora Kripo, niejakiego Friedmana – żeby sprawdził, czy na listach pasażerów lecących z Berlina do Zurychu w niedzielę i poniedziałek nie ma przypadkiem Martina Luthera.

– Martina Luthera, tak? – Friedman wydawał się *szczerze* ubawiony. – Interesują cię jeszcze jakieś inne nazwiska, March? Może cesarza Karola Wielkiego? Pana von Goethego?

– To ważne.

– Zawsze jest ważne. Jasne, wiem. – Friedman obiecał, że zaraz przekaze mu informację. – Gdyby zmęczyło cię bawienie się w berka z ambulansami, wiedz, że jeśli zechcesz, możesz zawsze pracować u mnie.

– Dziękuję. Może skorzystam.

Odłożywszy słuchawkę, zdjął zwiędłą roślinę z szafki. Wyjął ją z doniczki, wsadził na samo dno mosiężny kluczyk, umieścił roślinę z powrotem i postawił doniczkę na stare miejsce.

Pięć minut później zadzwonił Friedman.

Gabinet Artura Nebego mieścił się na czwartym piętrze: cały w przyćmionym świetle, kremowych dywanach, czarnych skórzanych obiciach. Na kremowych ścianach wisiały fotografie rzeźb Thoraka.

Atletyczne postaci o gargantuicznych torsach toczyły pod górę olbrzymie głazy, upamiętniając w ten sposób wysiłek budowniczych autostrad; potężne Walkirie zmagaly się z potrójnym demonem Ignorancji, Bolszewizmu i Słowiańszczyzny. Monumentalne rozmiary prac Thoraka były tematem nieustannych żartów. Przezywano go Thorax*. „Herr Professor nie przyjmuje dzisiaj żadnych gości – pracuje właśnie nad lewym uchem konia”.

Adiutant Nebego, Otto Beck, gładko wygolony absolwent Heidelbergu i Oksfordu, zmierzył ostrym wzrokiem wchodzącego do sekretariatu Marcha.

– Chcę mówić z Oberstgruppenführerem.

– Nie przyjmuje nikogo.

– Mnie przyjmie.

– Nie przyjmuje nikogo.

March oparł pięści o biurko i pochylił się, zbliżając twarz do twarzy Becka.

– Zapytaj.

– Czy mam wezwać straż? – usłyszał za sobą głos sekretarki.

– Chwileczkę, Ingrid. – Wśród absolwentów akademii SS w Oksfordzie do dobrego tonu należało popisywanie się angielską flegmą. Adiutant strzepnęła niewidzialny pyłek z rękawa munduru.

– Jakie mam podać nazwisko?

– March.

– Ach, ten słynny March... – Beck podniósł słuchawkę. – Mam tutaj Sturmbannführera Marcha. Domaga się, aby pan go przyjął, Herr Oberstgruppenführer. – Spojrzał na Xaviera i kiwnął głową. – Tak jest.

Nacisnął ukryty pod biurkiem guzik, otwierający elektroniczne rygle.

– Pięć minut, March. Potem ma spotkanie z Reichsführerem.

Dębowe drzwi do gabinetu miały sześć centymetrów grubości. Szczelnie zasunięte żaluzje nie wpuszczały do środka dziennego światła. Pochylony nad biurkiem Nebe tkwił w żółtym kręgu lampy, studiując przez powiększające szkło jakiś maszynopis. Skierował w stronę gościa olbrzymie rozmazane rybie oko.

– Kogo tutaj mamy? – zapytał, opuszczając lupę. – Sturmbannführer March. Obawiam się, że z pustymi rękoma?

– Niestety.

Oberstgruppenführer kiwnął głową.

– Dowiedziałem się od oficera dyżurnego, że komisariaty w całej Rzeszy zaczynają pękać w szwach. Wypełniają je żebrzący starcy, uciekinierzy z oddziałów geriatrycznych i starzy pijacy, którzy zgubili dokumenty... Globus nie upora się z nimi wszystkimi do Bożego Narodzenia. – Oparł się plecami o krzesło. – Jeśli znam Luthera, jest o wiele za sprytny, żeby wystawić teraz nos na ulicę. Poczeka kilka dni. To nasza jedyna nadzieja.

– Chciałem o coś prosić.

– Słucham.

– Chciałbym wyjechać z kraju.

Nebe uderzył obiema rękami w blat biurka, wybuchając gromkim śmiechem.

– Twoje dossier jest bardzo obszerne, ale nigdzie nie wspomina się tam o poczuciu humoru. To było wyborne! Kto wie? Może nawet uda ci się przetrwać. Zostaniesz ulubieńcem komendanta kacetu.

– Chciałbym wyjechać do Szwajcarii.

– Oczywiście. Bardzo malowniczy kraj.

– Miałem wiadomość z Lufthansy. W niedzielę po południu Luther poleciał do Zurychu. Wrócił ostatnim wieczornym lotem w poniedziałek. Uważam, że korzystał w tym czasie z bankowej skrytki depozytowej.

Śmiech Oberstgruppenführera zmienił się w stłumione parsknięcie.

– Jakie masz na to dowody? March położył na biurku kopertę.

– Zabrałem to wczoraj w nocy z apartamentu Stuckarta. Nebe wyjął ze środka list i przyjrzał mu się przez szkło powiększające.

– Czy nie powinien być do tego przypadkiem dołączony kluczyk? – zapytał, podnosząc wzrok.

Xavier wpatrywał się w obrazy za głową Oberstgruppenführera: wisiały tam „Powracające z pola wiejskie dziewczęta” Schmutzlera i „Przemawiający Führer” Paduy – upiorna, ortodoksyjna szmira.

– Ach, rozumiem. – Nebe ponownie oparł się o krzesło i postukał lupą o policzek. – Jeśli nie pozwolę ci wyjechać, nie dostanę kluczyka. Mógłbym cię oczywiście oddać w ręce Gestapo, a oni z pewnością potrafiliby cię przekonać, że nie masz racji... i to prawdopodobnie dość szybko. Ale wtedy o zawartości skrytki dowiedzieliby się Globus i Heydrich, a nie ja.

Przez chwilę milczał. Potem z wysiłkiem wstał i pokuśtykał do okna. Uchylił na parę milimetrów żaluzje i wyjrzał na zewnątrz. March widział, jak jego oczy przesuwają się powoli po ulicy.

– Kusząca propozycja – powiedział w końcu. – Nie wiem jednak dlaczego, ciągle wyobrażani sobie siebie machającego białą chusteczką z okna samolotu i nigdy już nie wracającego do Niemiec.

– Przypuszczam, że nie ma sensu dawać panu słowa, że wrócę?

– Ta sugestia obraża naszą inteligencję.

Nebe podszedł z powrotem do biurka, przeczytał ponownie list i nacisnął guzik na blacie.

– Beck.

Pojawił się adiutant.

– March, daj mu swój paszport. Beck, zanieś go do Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i każ im natychmiast wydać dwudziestoczęterogodzinną wizę wyjazdową, ważną od dzisiaj od godziny osiemnastej i wygasającą o tej samej godzinie w dniu jutrzejszym.

Adiutant rzucił okiem na Marcha i wyślizgnął się z gabinetu.

– Wyjaśnię ci, na czym polega moja propozycja – oznajmił Nebe. – Szef szwajcarskiej policji kryminalnej, Herr Streuli, jest moim dobrym przyjacielem. Jego ludzie będą cię obserwować od chwili, kiedy zejdziesz po schodkach z samolotu, do chwili, kiedy ponownie znajdziesz się na jego pokładzie. Nie próbuj im się urwać. Jeśli nie wrócisz jutro, zostaniesz aresztowany i deportowany. Jeśli spróbujesz uciec do Berna, żeby dostać się na teren jakiejś zagranicznej ambasady, zostaniesz zatrzymany. Po wczorajszym radosnym komunikacie Amerykanie przerzucą cię po prostu przez granicę z powrotem do nas. Brytyjczycy, Francuzi i Włosi zrobią to, co im każemy. Australia i Kanada będą słuchać Amerykanów. Są jeszcze zdaje się Chińczycy, ale na twoim miejscu wybrałbym kacet. Po powrocie do Berlina natychmiast opowiesz mi, co odkryłeś. Zgoda?

March kiwnął głową.

– Dobrze. Führer nazywa Szwajcarów „narodem hotelarzy”. Polecam ci Baur au Lac przy Tal Strasse. Wyjątkowo luksusowy hotel, ze wspaniałym widokiem na jezioro. Wymarzone miejsce na ostatnią noc skazańca.

Wróciwszy do swojej klitki, March – parodia turysty – zarezerwował sobie pokój w hotelu i miejsce w samolocie. Po godzinie dostarczono mu paszport. W środku wbita była wiza: wszechobecny orzeł i otoczona girlandami swastyka, pod którą jakiś biurokrata wpisał koślawym piśmem stosowne daty.

Ważność wizen wyjazdowych pozostawała w bezpośrednim stosunku do zajmowanego przez posiadacza paszportu stanowiska. Partyjni dygnitarze dostawali wizę na dziesięć lat; członkowie NSDAP na pięć, obywatele o nieposzlakowanej przeszłości na rok. Ci, którym udało się cało wyjść z obozów, nie dostawali naturalnie wizen w ogóle. Okres ważności tej, którą otrzymał March, wynosił jeden dzień. Znalazł się na samym dole, wśród społecznych pariasów: pasożytów, malkontentów, uchylających się od pracy leserów i kryptokryminalistów.

Zadzwoił do wydziału dochodzeń gospodarczych i zapytał o eksperta od szwajcarskich finansistów. Kiedy wymienił nazwisko Zaugga i zapytał, czy w wydziale mają na jego temat jakieś informacje, człowiek, z którym rozmawiał, roześmiał się.

– Od czego mam zacząć?

– Najlepiej od początku.

– Niech pan chwilę zaczeka. – Jego rozmówca odłożył słuchawkę i poszedł przynieść akta.

Firma Zaugg & Cie założona została w roku 1877 przez francusko-niemieckiego finansistę, Louisa Zaugga. Hermann Zaugg, bankier, którego podpis widniał na upoważnieniu Stuckarta, był wnukiem założyciela. Wciąż pełnił funkcję dyrektora generalnego. Berlin śledził jego działalność od ponad dwóch dekad. W latach czterdziestych Zaugg prowadził rozległe interesy z podejrzanymi obywatelami narodowości niemieckiej. Podejrzewano, że przyjął od nich gotówkę, dzieła sztuki, sztaby złota, kosztowności i drogocenne kamienie o wartości wielu milionów Reichsmarek. Wszystkie te rzeczy zgodnie z prawem powinny ulec konfiskacie, niestety do żadnej z nich

Ministerstwo Finansów nie miało dostępu. Od wielu lat bezskutecznie próbowano dobrać mu się do skóry.

– Co mamy na temat samego Zaugga?

– Niewiele. Pięćdziesiąt cztery lata. Żonaty, ma jednego syna i pałacyk nad Zürich See. Bardzo szanowany. Bardzo niedostępny. Ma wielu wpływowych przyjaciół w szwajcarskim rządzie.

March zapalił papierosa i przysunął do siebie kartkę papieru.

– Podyktuj mi jeszcze raz ten adres.

Max Jaeger pojawił się, kiedy March pisał do niego notkę. Pchnął drzwi plecami i spocony wszedł do środka, dźwigając przed sobą stos akt. Prawie dwudniowy zarost nadawał mu groźny wygląd.

– Zavi, dzięki Bogu – zawołał, zerkając znad szczytu papierów. – Próbowałem cię złapać przez cały dzień. Gdzieś ty się podziewał?

– Tu i tam. A to co? Twoje pamiętniki?

– Strzelanina w Spandau. Słyszałeś, co powiedział rano Wujek Artur. „Jaeger, możesz wracać do swoich obowiązków” – dodał, naśladowując piskliwy głos Nebego.

Rzucił akta na swoje biurko. Zabrzączały szyby. W pokoju zawirował kurz.

– Zeznania świadków i gości weselnych. Raport z sekcji zwłok: wydlubali z tego biednego sukinsyna piętnaście pocisków. – Max przeciągnął się i przetarł pięściami oczy. – Mógłbym spać przez cały tydzień. Mówię ci: za stary już jestem na takie numery jak ten zeszłej nocy. Nie wytrzyma tego moje serce. – Przerwał nagle. – Co ty wyprawiasz?

Xavier wyciągnął zeszlą roślinę z doniczki i wyjął klucz do sejfu.

– Za dwie godziny mam samolot. Jaeger spojrzał na jego walizkę.

– Nie mów... wybierasz się na wakacje? Już słyszę tęskne tony bałałajki na czarnomorskim wybrzeżu... – Skrzyżował ręce na piersi i zaczął wyrzucać nogi do przodu w imitacji rosyjskiego tańca.

March uśmiechnął się i potrząsnął głową.

– Masz ochotę na piwo? '

– Czy ja mam ochotę na piwo? – Roztańczony Max wybiegł za drzwi, zanim March zdążył się obrócić.

Mały bar przy Ob-wall Strasse prowadził emerytowany funkcjonariusz Orpo o nazwisku Fischer. We wnętrzu unosiła się woń dymu, potu, rozlanego piwa i smażonej cebuli. Większość klienteli stanowili policjanci. Ludzie w zielonych i czarnych mundurach tłoczyli się przy barze bądź kryli w pogrążonych w półmroku, przedzielonych drewnianymi przepierzeniami łóżach.

Lisa i Niedźwiedzia powitano bardzo serdecznie.

– Wybierasz się na wakacje, March?

– Hej, Jaeger. Następnym razem postaraj się stanąć bliżej brzytwy!

Max koniecznie chciał postawić. Xavier zajął łóżę w narożniku, wsunął pod stół walizkę i zapalił papierosa. Wokół siedzieli ludzie, których znał od dziesięciu lat. Rżnący w pokera i wiecznie opowiadający pieprzne historyjki kierowcy z Rahnsdorfu. Nałogowi pijacy

z wydziału ciężkich przestępstw przy Worth Strasse. Nie będzie mu ich brakować. Przy barze siedział samotnie, sącząc butelką sznapsa, Walter Fiebes.

Jaeger wrócił i uniósł w górę kufel.

– *Prost!*

– Prost!

Max otarł z ust pianę.

– Dobra kielbasa, dobre silniki, dobre piwo: trzy rzeczy, którymi Niemcy obdarowały świat. – Zawsze powtarzał to, kiedy coś pili, a Xavierowi zawsze brakowało odwagi, żeby dopowiedzieć pointę. – Co to za historia z samolotem? – Słowo „samolot” kojarzyło się najwyraźniej Jaegerowi ze wszystkim, co egzotyczne. Najdalszym miejscem, do którego dotarł z Berlina, było wybrzeże Morza Czarnego – latem zeszłego roku pojechał na organizowany przez Kraft durch Freude rodzinny obóz koło Gotenburga.

March obrócił lekko głowę, rozglądając się na boki. Niemieckie spojrzenie. Łoże po obu stronach były puste. Od strony baru dochodziły głośnie krzyki.

– Muszę jechać do Szwajcarii. Nebe dał mi wizę na dwadzieścia cztery godziny. Ten kluczyk, który widziałeś w biurze, wyjąłem wczoraj w nocy z sejfu Stuckarta. Otwiera skrytkę depozytową w Zurychu.

Max otworzył szeroko oczy.

– Tam właśnie muszą trzymać te wszystkie dzieła sztuki. Pamiętasz, co powiedział rano Globus? Szmuglowali je i sprzedawali w Szwajcarii. Ale to nie wszystko. Rozmawiałem jeszcze raz z Amerykanką. Wygląda na to, że Stuckart zadzwonił do niej w sobotę w nocy i powiedział, że chce uciec do Ameryki.

Uciec do Ameryki. Rzecz nie do wyobrażenia. Te trzy słowa zawisły między nimi.

– Ale Gestapo musi o tym dawno wiedzieć, Zavi – przerwał mu Jaeger. – Jej telefon jest przecież na podsłuchu? Xavier potrząsnął głową.

– Stuckart nie był taki głupi. Posłużył się budką telefoniczną niedaleko jej bloku. – Pociągnął łyk piwa. – Zdajesz sobie sprawę, co się dzieje, Max? Czuję się jak facet, który schodzi po ciemku po schodach. Najpierw w wyłowionym z jeziora topielcu rozpoznajemy wielką partyjną szychę. Potem okazuje się, że jego śmierć powiązana jest ze śmiercią Stuckarta. Zeszłej nocy Gestapo zabiera Josta: znika jedyny świadek, który mógł zeznać, że w sprawie maczał palce Globus. Teraz okazuje się, że Stuckart chciał uciec do Ameryki. Co jeszcze może się wydarzyć?

– Spadniesz z tych schodów i złamiesz sobie kark. Oto, co się wydarzy, przyjacielu.

– Chyba masz rację. I nie wiesz jeszcze najgorszego. March opowiedział mu o swoim dossier na Gestapo. Jaeger wydawał się wstrząśnięty.

– Jezu Chryste. Co teraz zrobisz?

– Myślałem, żeby nie wracać do Rzeszy. Wycofałem nawet wszystkie pieniądze z banku. Ale Nebe ma rację: nie zechce mnie żadne inne państwo. – Xavier skończył piwo. – Mógłbyś coś dla mnie zrobić?

– Wal śmiało.

– Dziś rano włamano się do mieszkania Amerykanki. Mógłbyś poprosić Orpo z Schöneberga, żeby od czasu do czasu rzucili tam okiem? Adres zostawiłem na biurku. Dałem jej również na wypadek jakichś kłopotów twój numer telefonu.

– Żaden problem.

– I jeszcze coś. Czy mógłbyś przechować to dla Pilego? – Wręczył Jaegerowi kopertę zawierającą połowę tego, co podjął w banku. – Nie jest tego wiele, ale reszta może być mi potrzebna. Przechowaj to, aż będzie dostatecznie dorosły, żeby wiedzieć, co z tym zrobić.

– Daj spokój, człowieku! – Max pochylił się i klepnął go po ramieniu. – Chyba nie jest aż tak źle? Co? Naprawdę?

March wytrzymał jego spojrzenie. Po sekundzie albo dwóch Max chrząknął i odwrócił wzrok.

– No dobrze... – mruknął i wetknął kopertę do kieszeni. – Mój Boże – odezwał się nagle ze złością – gdyby mój mały doniósł na mnie na Gestapo, wiedziałbym dobrze, czego mu potrzeba... i nie byłyby to wcale pieniądze.

– To wcale nie jest wina chłopca, Max.

Wina, pomyślał Xavier. Jak można winić dziesięciolatka? Chłopak potrzebował ojca. To właśnie zapewniała mu partia – poczucie stabilności, koleżeństwa, coś, w co mógł wierzyć – wszystkie te rzeczy, które powinien mu dawać i nie dawał March. Poza tym od członków Jungvolku wymagano, żeby wierność wobec rodziny zastąpili wiernością wobec państwa. Nie, nie powinien – po prostu nie mógł – winić swego syna.

Ponury nastrój udzielił się Jaegerowi.

– Jeszcze jedno piwo?

– Wybacz. – Xavier wstał. – Muszę już iść. Następnym razem ja stawiam.

Max także zerwał się na nogi.

– Kiedy wrócisz, Zavi, zamieszkaż u nas przez kilka dni. Młodsze dziewczyny wyjechały na cały tydzień na obóz Deutscher Mädel. Możesz spać w ich pokoju. Musimy coś wymyślić w związku z tym sądem wojennym.

– Udzielanie gościny takiemu jak ja aspołecznemu typowi na pewno nie spodoba się twojemu Blockleiterowi.

– Mam w dupie mojego Blockleitiera.

Powiedziane to było z uczuciem. Jaeger wyciągnął dłoń i March uściśnął ją – wielkie niezgrabne łapsko.

– Uważaj na siebie, Zavi.

– Uważaj na siebie, Max.

6

Na pasach startowych lotniska Hermanna Göringa stały, połyskując w oparach benzyny, pasażerskie odrzutowce nowej generacji: niebiesko-białe boeingi Pan-American i czerwono-biało-czarne, ozdobione swastyką junkersy Lufthansy.

Berlin miał dwa lotniska. Stare, położone niedaleko śródmieścia, Tempelhof obsługiwało krótkodystansowe loty krajowe. Ruch międzynarodowy odbywał się poprzez położone na północno-zachodnich przedmieściach miasta Flughafen Hermann Göring. Niskie, drugie, wzniesione ze szkła i marmuru budynki terminalu projektował oczywiście sam Speer. Przed halą przylotów stał odlany ze stopionych spitfire'ów i lancasterów posąg Hanny Reitsch, czołowej pilotki Niemiec. Obserwowała pilnie niebo, wypatrując na nim intruzów. WITAJCIE W BERLINIE, STOLICY WIELKIEJ NIEMIECKIEJ RZESZY, głosiła w pięciu językach umieszczona za jej plecami tablica.

March zapłacił taksówkarzowi, dał mu napiwek i ruszył w stronę automatycznych drzwi. W chłodnym, przesyconym wonią lotniczego paliwa powietrzu rozbrzmiewał głośny ryk silników. A potem drzwi zamknęły się z sykiem za jego plecami i znalazł się wewnątrz dźwiękoszczelnej kapsuły hali odlotów.

– Lot Lufthansy numer czterysta jeden do Nowego Jorku. Pasażerowie proszeni są do wyjścia numer osiem...

– Kończymy odprawę pasażerów odlatujących rejssem Lufthansy numer zero czternaście do Theoderichschafen...

March odebrał w biurze Lufthansy swój bilet i podszedł do stanowiska odprawy. Blondynka z

wpiętą w klapę swastyką i umieszczonym na lewej piersi napisem GINA dokładnie sprawdziła jego paszport.

– Czy Herr Sturmbannführer zgłasza jakiś bagaż? – zapytała.

– Nie, dziękuję, mam tylko to – powiedział, podnosząc w górę małą walizkę.

Oddała mu paszport, wkładając do środka kartę pokładową. Towarzyszący tej czynności uśmiech był jasny i pogodny jak neon.

– Samolot odlatuje za trzydzieści minut. Życzę udanego lotu, Herr Sturmbannführer.

– Dziękuję, Gino.

– Zapraszamy na pokład naszych samolotów.

– Dziękuję.

Kłaniali się sobie niczym para japońskich biznesmenów. Podróże lotnicze były dla Marcha nowym światem, dziwną krainą, w której panowały odrębne, tajemnicze rytuały.

Kierując się piktogramami odnalazł toaletę i wybrałabinę położoną najdalej od umywalk. Zaryglował drzwi, otworzył walizkę i wyjął z niej swoją skórzaną torbę. Potem usiadł na sedesie i ściągnął z nóg wysokie buty. Od chromowanej armatury i glazury odbijało się białe światło.

Rozebrawszy się do szortów, zapakował buty i mundur do torby, włożył do niej broń i zasunął zamek błyskawiczny.

Pięć minut później wyszedł z kabiny jako zupełnie inny człowiek. Odziany w jasnoszary garnitur, białą koszulę, bladoniebieski krawat i miękkie brązowe półbuty aryjski Übermensch przeobraził się z powrotem w normalnego obywatela. Zmiana odbijała się w oczach otaczających go ludzi. Zniknęły gdzieś przestraszone spojrzenia. Pracownik przechowalni bagażu, któremu March oddał skórzaną torbę, potraktował go dosyć nonszalancko.

– Nie zgub pan tego. Bez tego papierka nie masz pan co wracać – oznajmił, wręczając Marchowi kwit i wskazując głową wiszącą za nim tabliczkę: UWAGA! BAGAŻ ZWRACA SIĘ TYLKO PO OKAZANIU DOWODU PRZECHOWANIA.

Przed stanowiskiem kontroli paszportowej March trochę się ociągał, notując w pamięci przedsięwzięte na lotnisku środki bezpieczeństwa. Bariera pierwsza: sprawdzanie kart pokładowych, których nie można było otrzymać bez ważnej wizy. Bariera druga: sprawdzanie samych wiz. Po obu stronach przejścia stało trzech uzbrojonych w pistolety maszynowe żołnierzy Zollgrenzschutz, służby ochrony granicy. Starszego stojącego przed Marchem mężczyznę poddano wyjątkowo dokładnej kontroli, zanim go przepuszczono, oficer zadzwonił gdzieś ze swej budki. Wciąż szukali Luthera.

Jego własny paszport wprowadził urzędnika w niemałe zakłopotanie. Sturmbannführer SS z wizą wystawioną tylko na dwadzieścia cztery godziny? Tak wyraźne na ogół wyznaczniki rangi i przywilejów tym razem były wyjątkowo zamazane. Na twarzy urzędnika służalczość walczyła z ciekawością. Jak zwykle zwyciężyła służalczość.

– Życzę udanej podróży, Herr Sturmbannführer.

Przeszedłszy na drugą stronę, March podjął na nowo swoje studia nad systemem zabezpieczeń. Cały bagaż prześwietlano promieniami rentgena. Marcha przeszukano i poproszono o otworzenie walizki. Celnik sprawdził każdy przedmiot, odsunął zamek błyskawiczny saszetki z kosmetykami, otworzył i obwąchał tubkę z kremem do golenia. Pracował z gorliwością człowieka doskonale zdającego sobie sprawę, iż gdyby odprawiony podczas jego zmiany samolot wybuchł w powietrzu albo został opanowany przez porywaczy, następne pięć lat spędzi w kacie.

W końcu przeszedł przez wszystkie kontrole. Obrócił w dłoni mosiężny kluczyk i poklepał się po wewnętrznej kieszeni marynarki, żeby sprawdzić, czy wciąż ma przy sobie upoważnienie Stuckarta. A potem poszedł do baru, zamówił dużą whisky i zapalił papierosa.

Wszedł na pokład junkersa dziesięć minut przed odlotem.

To był ostatni wieczorny lot z Berlina do Zurychu i kabinę wypełniali szeleszczący różowymi płachtami gazet biznesmeni i odziani w trzyczęściowe garnitury bankierzy. March miał miejsce przy oknie. Fotel obok był pusty. Wsadził walizkę do schowka nad głową, odchylił się do tyłu w fotelu i zamknął oczy. W kabinie rozbrzmiewała kantata Bacha. Na zewnątrz zaczęły grać silniki. Jeden po drugim niczym w chórze wspinały się w górę skali od niskiego szumu aż po wysoki gwizd. Samolot drgnął lekko i zaczął kołować po pasie.

Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin trzydzieści trzy był na nogach. Teraz rozbroiła go muzyka, ukołysały wibracje. Zasnął.

Przespał pokaz czynności, które należało wykonać w razie awarii. Sam moment startu ledwie pamiętał przez sen. Nie zauważył też, kiedy na sąsiednim fotelu usiadła pasażerka.

Otworzył oczy dopiero, gdy znaleźli się na wysokości dziesięciu tysięcy metrów i pilot oznajmił, że właśnie mijają Lipsk. Pochyliła się ku niemu stewardesa, pytając, czy chce się czegoś napić.

– Proszę whi... – zaczął, ale nagle słowa uwieźły mu w gardle. W fotelu obok, udając, że czyta kolorowy magazyn, siedziała Charlotte Maguire.

Błysnął pod nimi Ren: szeroka, świecąca w zachodzącym słońcu wstęga roztopionego metalu. March nigdy nie widział go z lotu ptaka. „Droga ojczyzno, nic ci nie grozi. Pewnie stoi na Renie twa warta”. Dwie wbijane do głowy przy akompaniamencie rozstrojonego pianina, zapamiętane z chłopięcych lat liniiki. Stare gimnazjum, po którego korytarzach hulały przeciągi. Kto to napisał? Nie mógł sobie przypomnieć.

Rzeka była sygnałem, że przekroczyli granicę Rzeszy i znaleźli się nad Szwajcarią. W oddali tonęły we mgle szarobłękitne góry, niżej widać było prostokątne pola i ciemne kępy sosnowych lasów; spadziste czerwone dachy i małe białe kościółki.

Kiedy się obudził, roześmiała mu się prosto w twarz. Być może potrafisz sobie radzić z zaprawionymi w bojach przestępcami, stwierdziła, być może nawet z Gestapo i SS. Ale nie masz żadnych szans w starciu ze starą, dobrą, amerykańską prasą.

Zaczął kłąć, na co – niczym jedna z córek Jaegera – odpowiedziała szeroko otwartymi oczyma i miną niewiniątka. Udawała umyślnie źle, przez co udawała jeszcze lepiej, obracając jego gniew przeciwko samemu sobie i wciągając go w całą grę.

Potem nie pytając, czy tego chce, czy nie chce, uparła się, żeby mu wszystko wyjaśnić, i zrobiła to, wymachując trzymanym w rękę plastikowym kubeczkim z whisky. To było całkiem łatwe, stwierdziła. Powiedział jej, że wieczorem leci do Zurychu. Wieczorem odlatywał tylko jeden samolot. Na lotnisku oznajmiła panience z Lufthansy, że podróżuje razem ze Sturmbannführerem Marchem. Spóźniła się; czy mogłaby dostać miejsce obok niego? Dzięki temu upewniła się, że jest na pokładzie.

– I rzeczywiście byłeś – podsumowała. – Spałeś smacznie jak niemowlę.

– A gdyby powiedzieli ci, że nie mają pasażera o nazwisku March?

– Poleciałabym tak czy owak. – Niecierpliwiło ją jego rozdrażnienie. – Słuchaj, ja mam już prawie wszystkie materiały. Kradzież dzieł sztuki. Śmierć dwóch wyższych dygnitarzy. Zaginięcie trzeciego. Próba ucieczki za granicę. Tajna skrytka w Szwajcarii. Jadąc sama, w najgorszym razie zebrałabym trochę lokalnego zuryskiego kolorytu. W najlepszym, oczarowałabym pana Zaugga do tego stopnia, że udzieliłby mi wywiadu.

– W to akurat nie wątpię.

– Nie rób takiej zmartwionej miny. Nie wymienię ani razu twojego nazwiska.

Zurych leży tylko dwadzieścia kilometrów na południe od Renu. Szybko schodzili w dół. Xavier wypił do dna szkocką i odstawił kubek na podsuniętą przez stewardesę tacę.

Charlotte opróżniła jednym łykiem swój kubeczek i postawiła go obok.

– Jedno przynajmniej nas łączy, Herr March. Upodobanie do whisky – powiedziała z uśmiechem.

Odwrócił się do okna. Do tego jednego miała wyjątkowy talent, pomyślał: zawsze robiła z niego głupka, teutońskiego platfusa. Najpierw nie powiedziała mu o telefonie od Stuckarta. Potem wmanewrowała we wspólną wycieczkę do jego mieszkania. Dziś rano, zamiast czekać, aż się z nią skontaktuje, wypytywała tego amerykańskiego dyplomata, Nigh-tingale'a, o szwajcarskie banki. A teraz to. Czuł się, jakby po piętach deptało mu bez przerwy dziecko – uparte, inteligentne, kłopotliwe, kłamliwe, niebezpieczne dziecko. Tknięty nagłą obawą sprawdził, czy wciąż ma przy sobie list i klucz. Była zdolna ukraść mu je podczas snu.

Junkers podchodził do lądowania. Niczym puszczonego coraz szybciej film za szybą przesuwał się szwajcarski krajobraz: traktor na polu, świecące się w wieczornej mgle reflektory jadących drogą samochodów, a potem – najpierw jedno uderzenie, później drugie – dotknęli kołami pasa startowego.

Nie tak wyobrażał sobie, zuryskie lotnisko. Samoloty i hangary stały pośród zalesionych wzgórz, nie było widać ani śladu miasta. Przez chwilę pomyślał, że Globus dowiedział się o jego misji i kazał zmienić kurs samolotu. Być może wylądowali w jakiejś odległej bazie lotniczej na południu Niemiec. Ale potem zobaczył napis ZURYCH na budynku lotniska.

Samolot zatrzymał się i pasażerowie – w większości doświadczeni podróżnicy – jak jeden mąż wstali z miejsc. Maguire podniosła się także i wyjęła ze schowka swój bagaż i śmieszny niebieski płaszcz. March sięgnął po swoją walizkę.

– Przepraszam. Założyła płaszcz.

– Gdzie teraz?

– Ja jadę do hotelu, Fräulein. To, co pani robi, to pani sprawa.

Udało mu się wcisnąć przed grubego Szwajcara, wpychającego dokumenty do skórzanej teczki. Ten manewr pozwolił mu ją nieco wyprzedzić. Nie odwracając głowy podreptał przejściem między fotelami i wysiadł z samolotu.

W hali przylotów ruszył szybkim krokiem do kontroli paszportowej i zajął jedno z pierwszych miejsc w kolejce. Za plecami słyszał odgłosy sprzeczki. Amerykanka próbowała go dogonić.

Szwajcarski oficer graniczny, poważny młody człowiek z opadającym wąsikiem, przekartkował jego paszport.

– Podróżuje pan w sprawach służbowych czy dla przyjemności, Herr March?

– W sprawach służbowych. Zdecydowanie nie dla przyjemności.

– Chwileczkę. – Młody człowiek podniósł słuchawkę telefonu, wykręcił trzy cyfry i odwróciwszy się bokiem do Marcha, szepnął coś do mikrofonu. – Tak – odparł. – Tak. Oczywiście. – Odłożył słuchawkę i oddał paszport Xavierowi.

Było ich dwóch; czekali na niego przy karuzeli podającej bagaż. Zauważył ich z odległości pięćdziesięciu metrów: zwalisci mężczyźni z krótko przyciętymi włosami, ubrani w spięte paskami żółtawoszare płaszcze i masywne czarne buty. Policjanci są na całym świecie tacy sami. Minął ich bez jednego spojrzenia i raczej wyczuł, niż zobaczył, że ruszają w ślad za nim.

Nie zaczepiany minął, wybierając zielone przejście, odprawę celną i po chwili znalazł się w

główniej hali dworca. Taksówki. Gdzie były taksówki?

Klap klap. Dochodzące z tyłu stukanie obcasów.

Temperatura na zewnątrz była o kilka stopni niższa niż w Berlinie. Klap klap, klap klap. Obrócił się. Biegła za nim w swoim płaszczu, zaciskając w ręku uchwyt walizki, kołysząc się na wysokich obcasach.

– Odejdź ode mnie, Fräulein. Rozumiesz? Potrzebujesz tego na piśmie? Wracaj do Ameryki i opublikuj tam swój głupi artykuł. Ja mam do załatwienia ważne sprawy.

Nie czekając na jej odpowiedź otworzył tylne drzwi taksówki, rzucił na siedzenie swoją walizkę i wsiadł do środka.

– Baur au Lac – powiedział kierowcy.

Wyjechali z terenu lotniska, kierując się na południe, w stronę miasta. Dzień miał się ku końcowi. Wykręcając szyję, żeby rzucić okiem do tyłu, March zobaczył siedzącą im na ogonie taksówkę, za którą jechał nie oznakowany biały mercedes. Chryste, to wszystko zaczynało się zamieniać w prawdziwą komedię. Globus ścigał Luthera, on ścigał Globusa, Charlie Maguire ścigała jego, a teraz obojgu im deptała po piętach szwajcarska policja. Zapalił papierosa.

– Nie umie pan czytać? – zapytał kierowca, wskazując głową napis: DZIĘKUJĘ ZA NIEPALENIE.

– Witamy w Szwajcarii – mruknął pod nosem Xavier i uchylił na kilka centymetrów szybę. Chłodne powietrze wyszło na zewnątrz niebieski obłoczek dymu.

Zurych był piękniejszy, niż się spodziewał. Śródmieście przypominało mu Hamburg. Stare budynki skupione wokół brzegu szerokiego jeziora. Pomalowane na zielono i biało tramwaje turkocząc mijaly rozświetlone sklepy i kawiarnie. Kierowca słuchał „Głosu Ameryki”. W Berlinie słyhać było same szumy i trzaski, tutaj odbiór był czysty. *I wanna hold your hand*, śpiewał młody angielski głos. *I wanna hold your ha-a-and!* W tle słyhać było wrzask tysiąca nastolatka.

Baur au Lac dzieliła od jeziora tylko szerokość ulicy. March zapłacił kierowcy w markach – we wszystkich krajach kontynentu przyjmowano Reichsmarki, była to wspólna europejska waluta – i wszedł do środka. Nebe nie oszukał go, hotel był rzeczywiście luksusowy. Cena pokoju równała się jego półmiesięcznemu wynagrodzeniu. „Wymarzone miejsce na ostatnią noc skazańca”. Składając podpis w księdze zauważył w drzwiach niebieską plamę, za którą szybko pojawiły się żółtawoszare płaszcze. Stałem się istnym gwiazdorem, pomyślał, wchodząc do windy. Gdziekolwiek idę, podążają za mną dwaj detektywi i piękna brunetka.

Rozłożył na łóżku plan miasta i usiadł obok, czując, jak ugina się pod nim miękki materac z gąbki. Miał tak mało czasu. Szeroka plama Zürich See wrzynała się niczym niebieskie ostrze w szachownicę ulic. Według posiadanych przez Kripo informacji Hermann Zaugg mieszkał przy See Strasse. March odnalazł ją. Biegła wzdłuż wschodniego brzegu jeziora, mniej więcej cztery kilometry od hotelu.

Ktoś zapukał cicho do drzwi. Usłyszał wypowiedziane męskim głosem swoje nazwisko.

A to co znowu? Ruszył przez pokój i otworzył drzwi na oścież. Na korytarzu stał z tacą w ręku kelner. Wydawał się trochę przestraszony.

– Przepraszam pana. Z pozdrowieniami od pani z pokoju dwieście siedemdziesiąt siedem.

– Tak. Oczywiście. – March stanął z boku, wpuszczając go do pokoju. Kelner wszedł z lekkim wahaniem do środka, tak jakby bał się, że March może go uderzyć. Postawił tacę na stoliku i chwilę się ociągał w oczekiwaniu napiwku. Nie doczekawszy się go, wyszedł. March zamknął za nim drzwi na klucz.

Na stoliku stała butelka Glenfiddich z dołączonym liścikiem, na którym widniało tylko jedno słowo: „Detente?”

March stał przy oknie z rozluźnionym krawatem, popijając jęczmienną whisky i wpatrując się w Zürich See. Wokół czarnej tafli jeziora nanizane były paciorki żółtych latarni; dalej podskakiwały i mrugały odbite w wodzie czerwone, zielone i białe światełka. Zapalił milionowego w tym tygodniu papierosa.

Na podjeździe pod jego oknem śmiali się ludzie. Po jeziorze przesunęło się jakieś światło. Nie było Wielkiego Pałacu, nie było maszerujących orkiestr i wszechobecnych mundurów. Po raz pierwszy od jak dawna? – co najmniej od roku – znalazł się daleko od wykutego w żelazie i granicie Berlina. Tak. Podniósł w górę szklaneczkę i przyjrzał się bladej wypełniającej ją cieczy. Byli jeszcze inni ludzie, były inne miasta.

Zauważył, że oprócz butelki zamówiła dwie szklanki.

Usiadł na skraju łóżka i spojrzał na telefon. Przez chwilę bębnił palcami po blacie nocnego stolika.

Chyba oszalał.

Miała zwyczaj wbijania rąk głęboko w kieszenie płaszcza i przechylania głowy na bok. Na jej ustach pojawiał się wtedy drwiący uśmieszek. W samolocie, zapamiętał to, ubrana była w czerwoną, spiętą skórzanym paskiem wełnianą sukienkę. Na zgrabnych nogach miała czarne pończochy. A kiedy była czymś zdenerwowana albo ubawiona – czyli właściwie bez przerwy – skubała włosy za uchem.

Śmiech za oknem umilkł.

„Gdzieś ty się podziewał przez ostatnie dwadzieścia lat?” Jej pogardliwe pytanie w apartamencie Stuckarta.

Tyle wiedziała. Bawiła się z nim jak kot z myszą.

Trzy miliony Żydów, którzy zginęli podczas wojny.

Obrócił jej liścik w palcach, nalał sobie kolejną whisky i położył się na plecach na łóżku. Dziesięć minut później podniósł słuchawkę.

– Z pokojem dwieście siedemdziesiąt siedem – poprosił telefonistkę.

Szaleństwo, istne szaleństwo.

Spotkali się w holu, pod liśćmi rozłożystej palmy. W przeciwległym rogu przygrywał kwartet skrzypcowy, prezentując wybór melodii z „Zemsty nietoperza”.

– Whisky jest bardzo dobra – powiedział.

– Oferta pokojowa.

– Przyjęta. Dziękuję. – Rzucił okiem na podstarzałą wiolonczelistkę. Rozstawiła szeroko grube nogi, tak jakby doiła krowę. – Bóg jeden wie, dlaczego miałbym ci ufać.

– Bóg jeden wie, dlaczego ja miałabym ufać tobie.

– Musimy ustalić pewne zasady – oznajmił stanowczo. – Po pierwsze: koniec z kłamstwami. Po drugie: będziesz robić to, co ci powiem, czy to ci się podoba, czy nie. Po trzecie: pokażesz mi to, co planujesz wydrukować, i jeśli poproszę, żebyś o czymś nie pisała, wykreślisz to. Zgoda?

– Umowa stoi. – Podała mu z uśmiechem rękę. Uścisnął ją. Jej dłoń była chłodna, uścisk mocny.

Po raz pierwszy zauważył, że nosi męski zegarek.

– Co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? – zainteresowała się.

– Jesteś gotowa do wyjścia? – zapytał, puszczając jej rękę. Wciąż miała na sobie tę czerwoną sukienkę. – Tak.

- Masz przy sobie notes? Dotknęła kieszeni płaszcza.
- Nigdzie się bez niego nie ruszam.
- Podobnie jak ja. Dobrze. Idziemy.

*

Otoczona zewsząd przez wrogów Szwajcaria była skupiskiem światła w ciemności: na południu graniczyła z Włochami, na zachodzie z Francją, na północy i wschodzie z Niemcami. Fakt, że przetrwała, był prawdziwą zagadką: „szwajcarskim cudem”.

Luksemburg stał się Mosellandem, Alzacja i Lotaryngia Westmarkiem, Austria Ostmarkiem. Czechosłowacja – ten bękarci twór Traktatu Wersalskiego – skurczyła się do Protektoratu Czech i Moraw. Polska, Litwa, Łotwa i Estonia zostały wymazane z mapy. Na wschodzie Niemieckie Imperium podzielono na cztery Reichskommissariaty: Ostlandu, Ukrainy, Kaukazu i Moskowii.

Dwanaście krajów Zachodu – Portugalia, Hiszpania, Francja, Irlandia, Wielka Brytania, Belgia, Holandia, Włochy, Dania, Norwegia, Szwecja i Finlandia – otoczyło wianuszkim Rzeszę, tworząc na mocy podpisanego w Rzymie traktatu Europejską Wspólnotę Gospodarczą. Niemiecki był drugim oficjalnym językiem we wszystkich szkołach. Ludzie jeździli niemieckimi samochodami, kupowali niemieckie radia i telewizory, pracowali w należących do Niemców fabrykach i narzekali na hałaśliwe zachowanie niemieckich turystów w zdominowanych przez Niemców kurortach. Niemcy wygrywali wszystkie międzynarodowe zawody sportowe z wyjątkiem krykieta, w którego grali tylko Anglicy.

W tym wszystkim Szwajcaria zachowała neutralność. Nie taki był pierwotny zamysł Führera. Ale zanim stratedzy Wehrmachtu opracowali plany podboju szwajcarskiego państwa, zaczął się pat zimnej wojny. Kraj pozostał skrawkiem ziemi niczyjej, w miarę upływu lat coraz bardziej użytecznym dla obu stron, miejscem, gdzie można się było w tajemnicy spotykać i prowadzić niekoniecznie legalne interesy.

– W Szwajcarii są tylko trzy kategorie obywateli – powiedział Marchowi ekspert Kripo. – Szpieczy amerykańscy, szpieczy niemieccy oraz szwajcarscy bankierzy, którzy próbują dobrać się do pieniędzy jednych i drugich.

W ciągu minionego stulecia bankierzy ci pojawili się na północnym brzegu Zürich See niczym złotonośny osad: wskaźnik rosnącego dobrobytu. Podobnie jak na Schwanenwerder ich kryjące się za gęstą zasłoną drzew wille ogrodzone były wysokimi murami i solidnymi bramami.

March pochylił się do przodu.

– Niech pan tutaj zwolni – powiedział kierowcy. Tworzyli teraz prawdziwą kawalkadę: za taksówką z Xavierem i Charlie jechały dwa samochody, każdy z siedzącym w środku szwajcarskim policjantem. Bellerive Strasse przeszła w See Strasse. March liczył numery posesji.

– Niech pan się zatrzyma.

Taksówka podjechała do krawężnika. Policyjne samochody minęły ją; sto metrów dalej błysnęły ich światła stopu. Charlie rozejrzała się dookoła.

– Co teraz?

– Teraz przyjrzymy się willi doktora Hermanna Zaugga.

March zapłacił kierowcy, który szybko zawrócił i odjechał w stronę śródmieścia. Ulica była pusta.

Wszystkie wille były dobrze zabezpieczone, ale Zaugga – trzecia w kolejności – stanowiła prawdziwą fortecę. Wysoka na trzy metry brama sporządzona była z litego metalu i osadzona w

kamiennym murze. Wejście śledziła specjalna kamera. March podał Charlie ramię i ruszyli razem niczym zażywający spaceru zakochani. Przeszli na drugą stronę ulicy i zatrzymali się przy podjeździe. Xavier spojrzał na zegarek. Była godzina dziewiąta. Minęło pięć minut. Właśnie miał zaproponować, żeby wracali, kiedy zazgrzytała maszyna i brama zaczęła się otwierać.

– Ktoś wyjeżdża – szepnęła Charlie.

– Nie – odparł, kiwając głową w stronę ulicy. – Ktoś nadjeżdża.

Limuzyna była wielka i potężna: pomalowany na czarno brytyjski samochód marki Bentley. Nadjechał z dużą szybkością od strony miasta i skręcił w aleję dojazdową. Z przodu siedział szofer i jeszcze jeden mężczyzna; z tyłu błysnął wianuszek siwych włosów – najprawdopodobniej Zaugg. March zdążył zauważyć, jak nisko zawieszona jest karoseria. A potem opony zaabsorbowały jedna po drugiej uderzenie o krawężnik – bump, bump, bump, bump – i Bentley zniknął im z oczu.

Brama zaczęła się zamykać, a potem zatrzymała się w połowie drogi. Od strony domu szli szybkim krokiem dwaj mężczyźni.

– Hej, wy! – zawołał jeden z nich. – Wy oboje! Nie ruszajcie się z miejsca! – Od ulicy dzieliło go już tylko kilkanaście kroków. Xavier złapał Charlie za łokieć. W tej samej chwili jeden z policyjnych samochodów ruszył szybko, wyjąc silnikiem, do tyłu. Ochroniarz spojrzał przez ramię, zawahał się i cofnął.

Samochód zatrzymał się, zarzucając kołami.

– Wsiadajcie, do jasnej cholery – odezwał się zmęczony głos.

March otworzył tylne drzwi, wepchnął do środka Charlie i wsunął się w ślad za nią. Szwajcarski policjant zakręcił o sto osiemdziesiąt stopni i dodając gazu ruszył w stronę miasta. Goryle Zaugga zdążyli zniknąć; zatrzasnęła się za nimi brama.

March obrócił się, żeby wyrzucić przez tylną szybę.

– Czy wszyscy wasi bankierzy są tak dobrze chronieni?

– Zależy, z kim prowadzą interesy. – Policjant poprawił lusterko, żeby mieć ich na oku. Zbliżał się do pięćdziesiątki i miał zaczerwienione od niewyspania oczy. – Czy planuje pan jakieś następne przygody, Herr March? Może chce pan wziąć udział w jakiejś bijatyce? Na przyszłość lepiej niech pan nas uprzedzi.

– Myślałem, że mieliście nas śledzić, a nie pilnować.

– „Śledzić i jeśli to konieczne chronić”, tak brzmią nasze rozkazy. W samochodzie z tyłu jedzie mój partner. To był cholernie długi dzień. Przepraszam za niewyparzony język, Fräulein; nie powiedzieli nam, że będzie w to zamieszana kobieta.

– Może nas pan podrzucić z powrotem do hotelu? – zapytał March.

– Więc teraz na dodatek mam być jeszcze szoferem? – mruknął policjant i włączył radiotelefon.

– Już po bólu. Wracamy do Baur au Lac – poinformował partnera.

Charlie otworzyła na kolanie notes i zawzięcie w nim pisała.

– Kim są ci ludzie?

March zawahał się, ale potem uświadomił sobie, że nie ma to w końcu żadnego znaczenia.

– Ten pan i jego kolega są funkcjonariuszami szwajcarskiej policji – powiedział. – Mają dopilnować, żebym pozostając poza granicami Rzeszy nie zwrócił się przypadkiem o azyl polityczny. A także zadbać, żebym wrócił cały i zdrowy.

– Zawsze z przyjemnością pomagamy naszym niemieckim kolegom – mruknął głos z przodu.

– Istnieje niebezpieczeństwo, że mógłbyś nie wrócić? – zapytała Charlie.

– Najwyraźniej.

– Jezu.

Zapisała coś w notesie. Odwrócił wzrok. Za oknem, w odległości kilku kilometrów, w wodzie jeziora odbijały się żółtą wstęgą światła Zurychu. Od jego oddechu zaparowała szyba.

Zaugg musiał wracać ze swego banku. Było późno, ale zuryscy mieszczanie zarabiali swoje pieniądze w pocie czoła – dwanaście albo czternaście godzin na dobę nie było niczym niezwykłym. Do domu bankiera można było dotrzeć tylko tą drogą, co wykluczało najbardziej skuteczny sposób zmylenia przeciwnika: codzienną zmianę trasy. A See Strasse – przyklejona do jeziora, z kilkudziesięcioma odchodzącymi od niej uliczkami – stanowiła prawdziwy koszmar dla każdego pracownika ochrony. To wiele wyjaśniało.

– Widziałas ten samochód? – zapytał Charlie. – Jaki był ciężki i jaki hałas robiły opony? Takie wozy widuje się często w Berlinie. Ten bentley był zrobiony z pancernej blachy. – Przeczesał dłonią włosy. – Dwóch ochroniarzy, więzienna brama, telewizyjna kamera i pancerny samochód. Co z niego za bankier?

W ciemności nie widział dobrze jej twarzy, ale wyczuł emanujące z niej podniecenie.

– Nie zapominaj o tym, że mamy upoważnienie – powiedziała. – Jaki jest, taki jest, ale to nasz bankier.

7

Kolację zjedli w restauracji na starym mieście. Kryte lnianymi obrusami stoliki uginały się pod ciężką srebrną zastawą; ustawieni w kolejce kelnerzy unosili pokrywki półmisków niczym trupa wędrownych iluzjonistów. Jeśli za hotel zapłacił połowę miesięcznej pensji, ta kolacja z pewnością powinna go kosztować drugą połowę. Ale March miał to w nosie.

Charlie była niepodobna do wszystkich kobiet, które dotąd poznał. Różniła się od kur domowych z Nationalsozialistische Frauenschaft*, dla których liczyły się tylko *Kinder, Kirche und Küche* – przygotowana zawsze na czas kolacja, wiszący w szafie wyprasowany mundur męża i piątka śpiących na górze dzieci. Podczas gdy każda zdrowa niemiecka dziewczyna pogardzała kosmetykami, nikotyną i alkoholem, Charlotte Maguire korzystała bez umiaru ze wszystkich trzech. Nie dając mu prawie dojść do głosu rozprawiała o Nowym Jorku i o zagranicznych reporterach, o pobycie jej ojca w Berlinie i łajdactwach Josepha Kennedy'ego; o polityce, pieniądzach, mężczyznach i o samej sobie. Jej oczy lśniły miękko w świetle świec.

Urodziła się w Waszyngtonie na wiosnę roku 1939. („Ostatnia pokojowa wiosna, mówili moi rodzice; i mieli rację pod każdym względem”). Jej ojciec wrócił właśnie niedawno z Berlina do pracy w Departamencie Stanu. Jej matka próbowała osiągnąć sukces jako aktorka, ale po roku 1941 cieszyła się, że udało jej się uniknąć internowania. Po wojnie, w latach pięćdziesiątych, Michael Maguire objął placówkę w Omsku, stolicy tego, co pozostało z Rosji. Miejsce było uważane za zbyt niebezpieczne, żeby zabierać ze sobą czwórkę dzieci. Słodka Charlotte pozostała w Stanach, gdzie kształcono ją w kosztownych prywatnych szkołach w Wirginii. Cztery lata później opuściła je siedemnastoletnia Charlie – rozwydrzona, wiecznie przeklinająca dziewczyna, buntująca się przeciw wszystkiemu, co było w zasięgu jej wzroku.

– Pojechałam do Nowego Jorku. Próbowałam zostać aktorką. Nic z tego nie wyszło. Próbowałam zostać dziennikarką. To już bardziej mi się spodobało. Ku wielkiej uldze mojego ojca wstąpiłam na Columbia University. A potem... co na to powiesz...? nawiązałam romans z wykładowcą. – Potrząsnęła głową. – Jak głupi potrafi być człowiek? – Wypuściła z ust potężny kłęb dymu. – Czy można tutaj dostać jeszcze trochę wina?

Nalał jej resztkę wina i zamówił nową butelkę. Nadeszła kolej, żeby on coś powiedział.

– Dlaczego wybrałaś Berlin? – zapytał.

– Chciałam się wyrwać z Nowego Jorku. Z matką Niemką łatwiej mi było dostać wizę. Muszę przyznać, że World European Features nie jest wcale taką wielką agencją. Dwóch facetów i wynajęte w zakazanej dzielnicy biuro z teleksem. Szczerze mówiąc, pasował im ktokolwiek, kto mógł załatwić sobie wizę wyjazdową do Berlina. Nawet ja. – Wlepiała w niego błyszczące oczy. – Nie wiedziałam, że jest żonaty, rozumiesz? Ten wykładowca. – Wyłamała z trzaskiem palce – Podstawowy błąd w gromadzeniu danych, nie powiedziałabyś?

– Kiedy to się skończyło?

– W zeszłym roku. Wyjechałam do Europy, żeby pokazać im, że potrafię sobie poradzić. Dlatego taka jestem wściekła, że mnie wydalają. Boże, kiedy pomyślę, że będę im musiała teraz wszystkim spojrzeć w twarz... – Wypiła łyk wina. – Może jestem sfiksowana na punkcie ojca. Ile masz lat?

– Czterdzieści dwa.

– To znaczy, że nie jesteś jeszcze dla mnie za stary. – Uśmiechnęła się do niego znad skraju kieliszka. – Lepiej uważaj. Jesteś żonaty?

– Rozwiedziony.

– Rozwiedziony! To obiecujące. Opowiedz mi o niej. Jej szczerowość sprawiła, że przestał się pilnować.

– Ona była... – zaczął. – Ona jest... – poprawił się i przerwał. Jak miał opisać kogoś, z kim ożenił się przed dziewięciu laty, rozwiódł przed siedmioma i kto całkiem niedawno doniósł na niego na Gestapo? – Ona jest zupełnie niepodobna do ciebie. – To było wszystko, co mu przyszło do głowy.

– To znaczy?

– Nie ma własnego światopoglądu. Obchodzi ją tylko to, co mówią inni. Jest zgorzkniała.

– Z twojego powodu?

– Oczywiście.

– Widuje się z kimś innym?

– Tak. Z partyjnym biurokratą. Kimś o wiele bardziej odpowiednim ode mnie.

– A ty? Masz kogoś?

W umyśle Marcha zabrzmiał ostrzegawczy sygnał. Nie odslaniaj się! Po rozwodzie miał dwa romanse. Pierwszy z mieszkającą piętro niżej nauczycielką, drugi z młodą wdową uczącą historii na uniwersytecie – kolejną przyjaciółką Rudiego Haldera. Czasami podejrzewał, że jedyną misją życiową Rudiego stało się znalezienie mu nowej żony. Każdy ze związków ciągnął się przez kilka miesięcy, do czasu kiedy obie kobiety miały dość otrzymywanych w ostatniej chwili telefonów z Werderscher Markt: „Znowu wyskoczyło coś nowego, przepraszam...”

– Tak dużo pytań – stwierdził, uchylając się od odpowiedzi. – Powinnaś była zostać detektywem.

– Tak mało odpowiedzi – odparła, krzywiąc się. – Powinieneś zostać reporterem.

Kelner nalał im więcej wina.

– Kiedy cię po raz pierwszy zobaczyłam, poczułam do ciebie instynktowną niechęć – powiedziała, gdy kelner się oddalił.

– To mundur. Nie widać spod niego człowieka.

– Spod tego munduru na pewno. Dzisiaj w samolocie ledwo cię rozpoznałam.

March uprzytomnił sobie, że to może być kolejna przyczyna jego dobrego humoru: nie dostrzegął

w lustrze swego czarnego odbicia, nie widział omijających go z daleka ludzi.

– Powiedz mi – poprosił – co mówią o SS w Ameryce? Uniosła w górę oczy.

– Och, daj spokój, March. Proszę. Nie psuj przyjemnego wieczoru.

– Mówię serio. Chcę się dowiedzieć. – Musiał się jej podlizywać, żeby odpowiedziała.

– No dobrze – odparła w końcu. – Mówią o was, że jesteście mordercami. Sadystami. Wcielonym złem. Takie rzeczy. Sam mnie prosiłeś. Bez osobistej urazy, rozumiesz? Masz jakieś inne pytania?

– Milion. Nie starczyłoby na nie całego życia.

– Całego życia? Dobrze, zaczynaj. Na razie nie mam żadnych innych planów.

Przez chwilę zrobiło mu się głupio, sparaliżowała go możliwość wyboru. Od czego zacząć?

– Wojna na Wschodzie – zaczął. – W Berlinie słyszymy wyłącznie o zwycięstwach. A Wehrmacht wysyła trumny z Uralu specjalnymi nocnymi pociągami, żeby nikt nie widział, jakie mamy straty.

– Czytałam gdzieś, że Pentagon ocenia straty poniesione przez Niemców od roku 1960 na mniej więcej sto tysięcy zabitych. Luftwaffe dzień w dzień zrównuje z ziemią rosyjskie miasta, a mimo to wciąż z wami walczą. Nie możecie ich zwyciężyć, bo nie mają dokąd pójść. A nie ośmielicie się użyć broni nuklearnej w obawie, że zastosujemy środki odwetowe i cały świat wyleci w powietrze.

– Co jeszcze? – Próbował przypomnieć sobie ostatnie tytuły gazet. – Goebbels twierdzi, że niemiecka technologia kosmiczna bije Amerykanów na głowę.

– Szczerze mówiąc, wydaje mi się, że to prawda. Wysyłane z Peenemünde satelity krążyły po orbicie na długo przed naszymi.

– Czy żyje jeszcze Winston Churchill?

– Tak. Jest teraz bardzo stary. Mieszka w Kanadzie. Podobnie jak królowa. – Spostrzegła jego zdumienie. – Elżbieta II uważa, że tron należy się jej, a nie jej wujowi.

– A Żydzi? – zapytał Xavier. – Co zdaniem Amerykanów z nimi zrobiliście? Potrząsnęła głową.

– Dlaczego o to wszystko pytasz?

– Proszę. Chcę znać prawdę.

– Prawdę! Skąd mam wiedzieć, jaka jest prawda? – Nagle zaczęła mówić podniesionym tonem, prawie krzycząc. Ludzie siedzący przy innych stolikach odwracali się w ich stronę. – Przyzwyczajono nas myśleć o Niemcach jak o ludziach z innej planety. Co ma z tym wspólnego prawda?

– Więc dobrze. Powiedz mi, co twierdzi propaganda. Odwróciła od niego rozdrażniona wzrok, ale potem spojrzała z powrotem z taką mocą, że o mało nie spuścił oczu.

– W porządku. Mówią, że tropiąc Żydów przetrzasnęliście wszere i wzdłuż całą Europę. A potem wysłaliście ich wszystkich – mężczyzn, kobiety, dzieci i małe niemowlęta – do gett na Wschodzie, gdzie tysiące zmarły z głodu i chorób. Tych, co przeżyli, zmusiliście, żeby ruszyli dalej na Wschód. Nikt nie wie, co się z nimi następnie stało. Garstka uciekła przez Ural do Rosji. Widziałam ich w telewizji. W większości śmieszni starcy; trochę sfiksowani. Opowiadają o zbiorowych egzekucjach, o zbrodniczych eksperymentach medycznych, o obozach, z których nikt nie wyszedł. Mówią o milionach zabitych.

Ale wtedy pojawia się w swoim eleganckim garniturze niemiecki ambasador i mówi, że to wszystko jest komunistyczna propaganda. I powiem ci coś więcej: w gruncie rzeczy większość ludzi ma to głęboko w nosie. – Oparła się o krzesło. – Zadowolony?

– Przykro mi.

– Mnie też. – Sięgnęła po papierosy, a potem znieruchomiała i posłała mu długie spojrzenie.

– To dlatego wtedy w hotelu zmieniłeś zdanie i postanowiłeś mnie jednak ze sobą zabrać? To nie miało nic wspólnego z whisky. Chciałeś wyciągnąć ze mnie wszystko, co wiem. – Zaczęła się głośno śmiać. – A mnie się zdawało, że to ja cię wykorzystuję.

Potem rozmawiało im się lepiej. Cokolwiek zatruwało ich wzajemne stosunki, teraz zniknęło. Opowiedział jej o swoim ojcu, o tym, jak idąc w jego ślady wstąpił do marynarki, a potem wylądował w policji i odkrył w sobie upodobanie – a nawet powołanie – do tej pracy.

– Wciąż nie rozumiem, jak możesz to nosić – stwierdziła.

– Co takiego?

– Mundur. Nalał sobie kolejny kieliszek wina.

– Odpowiedź jest bardzo prosta. W roku 1936 Kriminalpolizei połączono z SS; wszyscy funkcjonariusze musieli przyjąć honorowe stopnie SS. Miałem więc do wyboru: albo założę ten mundur, zostanę inspektorem i być może uda mi się zrobić coś pożytecznego, albo nie założę munduru, zostanę kimś innym i nie zrobię nic.

Jeśli nic się nie zmieni, pomyślał, wkrótce nie będę miał już żadnego wyboru.

Przechyliła swoim zwyczajem twarz w bok i pokiwała głową.

– Rozumiem. To wydaje się uczciwe.

Poczuł ogarniające go zniecierpliwienie; miał siebie dosyć.

– Ale nie jest – odparł. – To bzdura, Charlie. – Nazwał ją tak po raz pierwszy, odkąd poprosiła go o to na początku kolacji; użycie tego imienia zabrzmiało jak deklaracja. – Tej właśnie odpowiedzi – dodał szybko – udzielałem od dziesięciu lat wszystkim, włączając w to samego siebie. Niestety ostatnio nawet ja sam przestałem w to wierzyć.

– Ale to, co się wydarzyło... najgorsze rzeczy wydarzyły się podczas wojny, kiedy nie było cię w Niemczech. Byłeś na morzu, sam mówiłeś.

Nie odzywał się, wbijając oczy w talerz.

– A poza tym – kontynuowała – podczas wojny wszystko wygląda inaczej. Wszystkie kraje popełniają paskudne rzeczy. Mój kraj zrzucił bombę atomową na bezbronną ludność, zabijając w ciągu paru sekund ćwierć miliona Japończyków. Przez dwadzieścia lat byliśmy sojusznikami Rosjan. Pamiętasz przecież, co zrobili Rosjanie.

Mówiła prawdę. W miarę posuwania się na wschód, Niemcy odkrywali kolejne masowe groby ofiar Stalina – poczynając od pięciu tysięcy polskich oficerów zamordowanych w katyńskim lesie. Miliony umarły z głodu i podczas przeprowadzonych w latach trzydziestych czystek i deportacji. Nikt nie znał dokładnej liczby. Zbiorowe mogiły, izby tortur, założone za kołem podbiegunowym obozy Gułagu – wszystko to zamienili Niemcy w pomniki ku czci zamordowanych, muzea bolszewickiego zła. Byli więźniowie oprowadzali po nich dzieci. Istniały całe historyczne szkoły zajmujące się wyłącznie badaniem komunistycznych zbrodni. W telewizji pokazywano dokumentację stalinowskiego Holocaustu: pobielale czaszki i chodzące szkielety, spychane buldożerami zwłoki i przysypane ziemią szczątki kobiet i dzieci, których związano kolczastym drutem i zabito strzałem w tył głowy.

Położyła dłoń na jego rękę.

– Tak jest urządzony świat. Nawet ja to widzę.

– Tak. Doskonale – odparł, nie patrząc jej w oczy. – Znam to wszystko na pamięć. „To było dawno temu”. „Trwała wojna”. „Rosjanie byli najgorsi ze wszystkich”. „Co mógł poradzić jeden człowiek?” Słyszę, jak ludzie szepczą to od dziesięciu lat. Swoją drogą, to jedno potrafią robić. Szeptać.

Cofnęła dłoń. Zapaliła kolejnego papierosa i przez dłuższy czas obracała w palcach małą złotą zapalniczkę.

– Przed wyjazdem do Berlina rodzice dali mi listę osób, których znali tutaj przed wojną. Było na niej mnóstwo ludzi teatru, aktorów, przyjaciół mojej matki. Przypuszczam, że wielu spośród nich musiało być Żydami albo homoseksualistami. Zaczęłam ich szukać. Nie odnalazłam oczywiście nikogo. Specjalnie mnie to nie zdziwiło. Ale oni nie tylko zniknęli. Można było odnieść wrażenie, że kompletnie wyparowali, że nigdy ich nie było.

Postukała lekko zapalniczką o obrus. Przyjrzał się jej palcom – szczupłym, nie umalowanym, nie zadbanym.

– Oczywiście w mieszkaniach, w których mieszkali kiedyś przyjaciele mojej matki, żyli teraz inni ludzie. Często w podeszłym wieku. Musieli coś o nich wiedzieć, prawda? Ale ich oczy były puste. Oglądali telewizję, pili herbatę, słuchali muzyki. Po tamtych nie zostało kompletnie nic.

– Popatrz na to – powiedział March.

Wyjął portfel, wyciągnął z niego fotografię i podał jej. Dziwnie nie pasowała do otaczających ich pluszy – przypominała relikw z czyjegoś strychu, śmieć z pchłego targu.

Przez chwilę jej się przyglądała. Na twarz opadł jej kosmyk włosów.

– Kto to jest? – zapytała, odgarniając go.

– Mieszkanie, do którego wprowadziłem się po rozwodzie z Klarą, nie było odnawiane od wielu lat. Znalazłem to zdjęcie wsunięte za tapetę w sypialni. Mówię ci, przewróciłem do góry nogami całe mieszkanie, ale to było wszystko, co znalazłem. Nazywali się Weissowie. Ale kim byli? Gdzie są teraz? Co się z nimi stało?

Wziął z powrotem fotografię, złożył ją we czworo i schował do portfela.

– Co byś zrobiła – powiedział – gdybyś poświęciła całe swoje życie ściganiu przestępców i stopniowo zaczęła sobie uprzytomniać, że prawdziwymi zbrodniarzami są ludzie, dla których pracujesz? Co byś zrobiła, gdyby wszyscy naokoło mówili ci: nie przejmuj się, nic na to nie poradzisz, to było dawno temu?

Spojrzała na niego w inny sposób.

– Chyba zwariowałeś...

– Gorzej. Stałem się normalny.

Mimo jego protestów uparła się, żeby zapłacić połowę rachunku. Była prawie północ, kiedy opuścili restaurację. Szli w milczeniu w stronę hotelu. Na niebie świeciły gwiazdy, w dole, przy końcu stromej, brukowanej kocimi łbami ulicy lśniło jezioro.

Wzięła go pod ramię.

– Pytałeś mnie, czy ten facet z ambasady... Nightingale... jest moim kochankiem.

– Zachowałem się niegrzecznie. Przepraszam.

– Czy poczułbyś się rozczarowany, gdybym powiedziała, że jest? Zawahał się.

– Nie jest – ciągnęła dalej. – Chciałby być. Przepraszam. To brzmi, jakbym się przechwalała.

– Nie, wcale nie. Jestem pewien, że chciałoby tego wielu mężczyzn.

– Nie spotkałam jeszcze nikogo... Nie spotkała... Charlie zatrzymała się.

– Mam dwadzieścia pięć lat. Chodzę własnymi ścieżkami. Wybieram, kogo chcę. – Odwróciła się do Xaviera i lekko dotknęła ciepłą dłonią jego policzka. – Boże, jak ja nie znoszę tego całego wstępu. Przyciągnęła jego głowę do siebie.

Jakie to dziwne, pomyślał potem March. Przeżyć życie, nie wiedząc nic o przeszłości, o

otaczającym świecie, o samym sobie. A z drugiej strony, jakie to łatwe! Dzień mija za dniem, człowiek stąpa ścieżką wydeptaną przez innych, nigdy nie podnosząc głowy – okutany od powijaków aż po całun w ich logikę. Logikę strachu.

Ale z tym już koniec. Jak dobrze zostawić to za sobą – cokolwiek się teraz wydarzy.

Jego stopy tańczyły po bruku. Objął Charlie ramieniem. Na usta cisnęło mu się tyle pytań.

– Czekał, czekał... – Śmiała się, obejmując go także. – Dość już. Przestań. Zaczynam się martwić, że zależy ci tylko na moim umyśle.

W hotelowym pokoju Xaviera rozwiązała mu krawat i ponownie przyciągnęła do siebie. Nie odrywając ust od jego warg, ściągnęła mu z ramion marynarkę, a potem rozpięła i rozchyliła koszulę. Jej dłonie muskały jego pierś i brzuch, obejmowały plecy.

Uklękła i rozpięła mu pasek.

Zamknął oczy i wsunął palce między jej włosy.

Po kilku chwilach delikatnie się odsunął, uklękł i podciągnął w górę jej sukienkę. Uwolniona z niej, odchyliła głowę i odrzuciła do tyłu włosy. Chciał poznać ją całą. Całował jej szyję, jej piersi, jej brzuch; wdychał w nozdrza jej zapach; pod palcami czuł jej silne, napięte, gładkie ciało, językiem dotykał miękkiej skóry.

Potem zaprowadziła go do łóżka i ukucnęła nad nim. Jedyne światło padało od strony jeziora. Migotliwy, otaczający ich zewsząd blask. Kiedy otworzył usta, żeby coś powiedzieć, położyła mu palec na wargach.

CZEŚĆ CZWARTA

PIĄTEK, 17 KWIETNIA

Gestapo, Kriminalpolizei i służby bezpieczeństwa otacza tajemnicza aura politycznej powieści detektywistycznej.

REINHARD HEYDRICH

Berlińska giełda rozpoczęła swą działalność pół godziny wcześniej. Przy zuryskiej Bahnhof Strasse, na zamontowanej w oknie Union des Banques Suisses tablicy, cyfry zmieniały się niczym w kalejdoskopie. Bayer, Siemens, Thyssen, Daimler – wszystkie akcje szły w górę. Jediną firmą, której wiadomość o odprężeniu raczej zaszkodziła, niż pomogła, był Krupp.

Przed wystawą zgromadził się tłum elegancko ubranych osób, jak co dzień bacznie obserwujących liczby, które obrazowały stan zdrowia niemieckiej gospodarki. Ceny na berlińskiej giełdzie spadały od sześciu miesięcy i inwestorów zaczęła ogarniać panika. Ale w tym tygodniu, dzięki staremu Kennedy'emu bessa zatrzymała się – stary Joe zawsze znał się na giełdzie, nie darmo zarobił w swoim czasie na Wall Street pół miliarda dolarów. Berlin był szczęśliwy. Wszyscy byli szczęśliwi. Nikt nie zwrócił uwagi na idących od strony jeziora kobietę i mężczyznę. Nie trzymali się za ręce, ale szli wystarczająco blisko siebie, żeby co jakiś czas musnąć się ciałami. Z tyłu za nimi podążali dwaj wyraźnie zmęczeni dżentelmeni w żółtawoszarych nieprzemakalnych płaszczach.

Przed wyjazdem z Berlina Marchowi udzielono krótkiego wykładu na temat zwyczajów i praktyk szwajcarskiej bankowości.

– Bahnhof Strasse jest finansowym centrum. Wygląda jak główna ulica handlowa, którą w zasadzie jest. Tak naprawdę jednak liczą się podwórka i kantory nad sklepami. Tam właśnie mieszczą się banki. Ale trzeba mieć oczy szeroko otwarte. Szwajcarzy powiadają: im starsze pieniądze, tym trudniej je zobaczyć. W Zurychu pieniądze są czasami tak stare, że w ogóle ich nie widać.

Pod chodnikami i liniami tramwajowymi Bahnhof Strasse biegła sieć katakumb i piwnic, w których zgromadziły swe fortuny trzy pokolenia europejskich bogaczy. March przyglądał się kupującym i turystom, zastanawiając się, po czyich dawnych marzeniach i tajemnicach, po czyich kościach tak niefrasobliwie stąpają.

Wszystkie te banki były małymi, rodzinnymi firmami: kilkunastu pracowników, kilka pomieszczeń, niewielka mosiężna tabliczka. Zaugg & Cie nie różnił się od innych. Nad mieszczącym się w bocznej uliczce, za sklepem jubilera, wejściem zamontowana była kamera, taka sama jak ta przy willi Zaugga. Wciskając dzwonek March poczuł, jak Charlie dotyka jego ręki.

Kobiecy głos zapytał go przez interkom o nazwisko i sprawę, z którą przyszedł. Xavier spojrzał prosto w oko kamery.

– Nazywam się March. A to jest Fräulein Maguire. Chcielibyśmy widzieć się z Herr Zauggiem.

– Macie państwo umówione spotkanie?

– Nie.

– Herr dyrektor nie przyjmuje nikogo, kto nie był przedtem umówiony.

– Proszę mu powiedzieć, że mamy upoważnienie do konta numer dwadzieścia cztery zero dwa.

– Chwileczkę.

Policjanci kręcili się przy wylocie bocznej uliczki. March spojrzał na Charlie. Miał wrażenie, że jej oczy są jaśniejsze, skóra bardziej błyszcząca. Nie wiedział, czy sobie nie pochlebia. Wszystko wydawało mu się dzisiaj bardziej intensywne – drzewa bardziej zielone, kwiaty bielsze, skąpane w blasku niebo bardziej błękitne.

Na ramieniu Maguire trzymała skórzaną torbę, z której wyjęła teraz aparat fotograficzny, leicę.

– Myślę, że warto zrobić zdjęcie do rodzinnego albumu.

– Jak chcesz. Ale beze mnie.

– Jaki skromny.

Zrobiła zdjęcie drzwi i mosiężnej tablicy.

– Proszę na drugie piętro – odezwał się z interkomu głos recepcjonistki. Zazgrzytały odsuwane rygle i March pchnął do środka ciężkie drzwi.

Dom był złudzeniem optycznym. Mały i niepozorny z zewnątrz, mieścił w środku wspaniałe, połyskujące chromami i szkłem schody, które prowadziły do przestronnej sali, udekorowanej sztuką nowoczesną. Czekał tam na nich Hermann Zaugg. Za jego plecami stał jeden z widzianych poprzedniego dnia ochroniarzy.

– Herr March, nieprawdaż? – zagałł bankier, wyciągając rękę. – A to Fräulein Maguire? – Uścisnął również jej dłoń, skłaniając przy tym lekko głowę. – Angielka?

– Amerykanka.

– A! Znakomicie. Zawsze miło jest spotkać się z naszymi amerykańskimi przyjaciółmi. – Przypominał porcelanową lalkę: srebrzyste włosy, błyszcząca różowa twarz, drobne dłonie i stopy. Ubrany był w nieskazitelnie czarny garnitur, białą koszulę, perłowoszary krawat. – Jak rozumiem, macie państwo niezbędne upoważnienie?

March podał mu pismo. Zaugg zbliżył je szybko do światła i przyjrzał się podpisowi.

– Istotnie. Moja ręka. Z lat młodości. Obawiam się, że od tamtych czasów mój charakter pisma znacznie się pogorszył. Proszę za mną.

W gabinecie wskazał im obitą białą skórą niską sofę. Sam usiadł za biurkiem. Teraz miał nad nimi przewagę kilkunastu centymetrów – najstarszy pod słońcem trik.

March postanowił zagrać w otwarte karty.

– Wczoraj wieczorem spacerowaliśmy obok pańskiej rezydencji. Pański dom jest bardzo dobrze strzeżony.

Zaugg splótł dłonie na biurku. Jego kciuki uniosły się w wymijającym geście, tak jakby chciał powiedzieć: wiecie, jak to jest.

– Dowiedziałem się od moich współników, że wy również jesteście dobrze chronieni. Czy to wizyta oficjalna, czy prywatna?

– I taka, i taka. A właściwie ani oficjalna, ani prywatna.

– Nie po raz pierwszy mam do czynienia z taką sytuacją. Teraz zapewne powie mi pan, że to „delikatna sprawa”... – To delikatna sprawa.

– Moja specjalność. – Bankier poprawił mankiety. – Czasami wydaje mi się, że przez ten gabinet przesunęła się cała historia dwudziestowiecznej Europy. W latach trzydziestych w miejscu, gdzie teraz siedzicie, widziałem żydowskich uchodźców: często żalodne istoty ściskające w rękach to, co udało im się ocalić z pożogi. W ślad za nimi pojawiali się na ogół dżentelmeni z Gestapo. W latach czterdziestych ich miejsce zajęli niemieccy dygnitarze, którzy... jak by tu powiedzieć... całkiem niedawno weszli w posiadanie okazałych fortun. Czasami ci sami osobnicy, którzy jeszcze niedawno przychodzili likwidować konta innych, pojawiali się tu, żeby zakładać swoje własne. W latach pięćdziesiątych mieliśmy do czynienia ze spadkobiercami tych, którzy zniknęli w latach czterdziestych. Teraz, w latach sześćdziesiątych, kiedy dwa wasze wielkie kraje po raz kolejny zbliżyły się do siebie, przewiduję wzrost transakcji z klientami amerykańskimi. Lata siedemdziesiąte zostawiam memu synowi.

– Jaki zakres ma nasze upoważnienie? – zapytał March.

– Macie kluczyk? March kiwnął głową.

– W takim razie dysponujecie pełnym dostępem do skrytki.

– Najpierw chcielibyśmy poznać dokumentację.

– Proszę bardzo. – Zaugg przyglądał się przez chwilę upoważnieniu, po czym podniósł

słuchawkę telefonu. – Fräulein Graf, proszę przynieść dokumentację skrytki numer dwadzieścia cztery zero dwa.

Minutę później do gabinetu weszła kobieta w średnim wieku, niosąc cienki brązowy skoroszyt. Podała go bankierowi.

– Co chcecie wiedzieć? – zapytał.

– Kiedy założono konto? Zajrzał do papierów.

– W lipcu tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego roku. Dokładnie ósmego lipca.

– Kto je założył?

Zaugg zawahał się. Był niczym skąpiec niechętnie rozstający się z bezcennymi skarbami, udzielanie każdej informacji sprawiało mu niemal fizyczny ból. Ale ustalone przez niego samego reguły nie dawały mu żadnego wyboru.

– Herr Martin Luther – wykrztusił w końcu. March robił notatki.

– Na jakich warunkach?

– Jedna skrytka. Cztery klucze.

– Cztery klucze? – March uniósł brwi. Jeden klucz był dla samego Luthera, dwa następne najprawdopodobniej dla Buhlera i Stuckarta. Dla kogo przeznaczony był czwarty? – Kto je otrzymał?

– Wszystkie wydano panu Lutherowi, razem z czterema upoważnieniami. Co z nimi zrobił, to oczywiście nie nasza sprawa. Zdaje pan sobie sprawę, że był to specjalny rodzaj konta, założony podczas wojny w ekstremalnych warunkach. Jego celem była ochrona anonimowości klienta, a także, w wypadku gdyby coś mu się stało, umożliwienie dostępu do skrytki wszelkiego rodzaju spadkobiercom i beneficjentom.

– Jak zapłacił za skrytkę?

– Gotówką. Za trzydzieści lat. Z góry. Nie musi się pan obawiać, Herr March, nie trzeba nic płacić aż do roku siedemdziesiątego drugiego.

– Czy ma pan dokumentację obsługi konta? – zapytała Charlie.

– Wyłącznie daty, kiedy otwierana była skrytka – odparł bankier.

– Kiedy to było?

– Ósmego lipca tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego. Siedemnastego grudnia czterdziestego drugiego. Dziewiątego sierpnia czterdziestego trzeciego. Trzynastego kwietnia sześćdziesiątego czwartego.

Trzynastego kwietnia! Marchowi ledwo udało się stłumić okrzyk triumfu. Jego domysły były trafne. Luther przyleciał do Zurychu na początku tego tygodnia. Zapisał daty w notesie.

– Tylko cztery razy? – zapytał.

– Zgadza się.

– Do ostatniego poniedziałku skrytka nie była otwierana przez prawie dwadzieścia jeden lat?

– Na to wskazują daty. – Zaugg zamknął ze zniecierpliwieniem skoroszyt. – Mógłbym dodać, że nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Mamy skrytki, których nikt nie otwierał od pięćdziesięciu i więcej lat.

– To pan ją zakładał?

– Tak.

– Czy Herr Luther powiedział, dlaczego chce ją otworzyć bądź dlaczego potrzebuje tego szczególnego rodzaju konta?

– Przywilej klienta.

– Słucham?

– To informacja, do której ma dostęp tylko bankier i jego klient.

– Ale my też jesteśmy pańskimi klientami – przerwała mu Charlie.

– Bynajmniej, Fräulein Maguire. Jesteście państwo beneficjentami mego klienta. Ważne rozróżnienie.

– Czy Herr Luther za każdym razem osobiście otwierał skrytkę? – zapytał March.

– Przywilej klienta.

– Czy to Luther otworzył skrytkę w poniedziałek? W jakim był nastroju?

– Przywilej klienta, przywilej klienta. – Bankier podniósł w górę rękę. – Możemy się tak bawić przez cały dzień. Nie tylko nie mam obowiązku przekazywać wam tych informacji, ale stanowiłoby to w istocie naruszenie szwajcarskiego prawa bankowego. Powiedziałem wam wszystko, co mieliście prawo wiedzieć. Coś jeszcze?

– Tak. – March zamknął notes i spojrzał na Charlie. – Chcielibyśmy osobiście sprawdzić skrytkę.

Mała winda zwiozła ich do podziemi. Miejsca starczało akurat dla czterech pasażerów. March, Charlie, Zaugg i jego ochroniarz stali ściśnięci jak szprotki. Z bliska bankier pachniał wodą kolońską; jego błyszczące włosy namaszczone były oleistą pomadą.

Piwnica przypominała więzienie albo kostnicę: wyłożony białymi kaflami, ciągnący się przez trzydzieści metrów korytarz, po którego obu stronach widać było kraty. Na końcu, obok dużych drzwi, siedział przy biurku strażnik. Zaugg wyciągnął z kieszeni przymocowany łańcuszkiem do paska ciężki pęk kluczy. Szukając właściwego, nucił coś cicho pod nosem.

Sufit drżał lekko, kiedy nad ich głowami przejeżdżały tramwaje.

Zaugg wprowadził ich do skarbcza. Stalowe ściany błyszczały w świetle jarzeniówek: wszędzie widać było kwadratowe drzwiczki, każde o boku mniej więcej pół metra. Bankier minął Xaviera i Charlie, otworzył jedno z nich, umieszczone na wysokości mniej więcej metra, po czym dał krok do tyłu. Strażnik wyciągnął ze środka metalowy pojemnik wielkości sporego kufra i postawił go na stole.

– Pańskie klucze pasują do zamka – powiedział Zaugg. – Ja zaczekam na zewnątrz.

– Nie musi pan.

– Dziękuję, ale wolę wyjść.

Bankier opuścił skarbiec i stanął odwrócony plecami do metalowych prętów. March spojrzał na Charlie i podał jej klucz.

– Ty to zrób.

– Drżą mi ręce.

Włożyła klucz do zamka. Obrócił się całkiem łatwo. Otworzyła się tylna ścianka pojemnika. Maquire sięgnęła do środka. Na jej twarzy odmalowało się zdumienie, a potem rozczarowanie.

– Chyba nic tu nie ma... – Wyraz jej twarzy zmienił się. – Nie, coś jest...

Uśmiechnęła się i wyciągnęła płaskie kwadratowe pudło, mniej więcej pięćdziesiąt centymetrów szerokie i pięć centymetrów grube. Do zapieczętowanej czerwonym lakiem pokrywki przyklejona była kartka z wystukany na maszynie napisem: „Własność Archiwum Traktatowego Ministerstwa Spraw Zagranicznych Rzeszy”. Niżej, gotyckimi literami: „Geheime Reichssache”. Tajny dokument państwowy.

Traktat?

Xavier złamał pieczęć, używając klucza. Podniósł pokrywkę. Z wnętrza uniósł się zapach pleśni i kadzidła.

Przejechał kolejny tramwaj. Zaugg wciąż nucił, dzwoniąc kluczami. W środku pudła leżał

owinięty w ceratę jakiś przedmiot. March wyjął go i położył na stole. Odwinął ceratę: miał przed sobą drewnianą płytę, podrapaną i starą; z odłamanym z jednej strony rogiem. Obrócił ją.

– Jakie to piękne – szepnęła stojąca obok niego Charlie.

Brzegi płyty były nierówne, tak jakby wyrwano ją z oprawy. Ale sam portret był doskonale zachowany. Młoda, patrząca w prawo piękna kobieta z jasnobrązowymi oczyma i podwójnym sznurem czarnych pereł na szyi. Dotykała wąskimi arystokratycznymi palcami białego futra siedzącego jej na rękę małego zwierzęcia. To nie był pies; zwierzę bardziej przypominało łasicę.

Charlie miała rację. Obraz był piękny. Zdawał się wchłaniać palące się w piwnicy światło i wypromieniowywać je z powrotem. Od bladej skóry dziewczyny bił anielski blask.

– Co to jest? – zapytała Charlie.

– Bóg jeden wie. – Xavier poczuł się w niejasny sposób oszukany. Czyżby skrytka nie była niczym więcej jak przedłużeniem skarbca Buhlera? – Znasz się trochę na sztuce?

– Niezbyt wiele. Ale obraz wydaje mi się znajomy. Mogę? – Wzięła go od niego i wyciągnęła na długość ręki. – To chyba szkoła włoska. Widzisz jej suknię? Kwadratowe wycięcie dekoltu, rękawy. Moim zdaniem to Renesans. Bardzo stary i na pewno prawdziwy.

– I na pewno kradziony. Włóż go z powrotem.

– Musimy?

– Oczywiście. Chyba że opowiesz jakąś przekonującą historyjkę celnikom na berlińskim lotnisku.

Kolejny obraz: i to wszystko. Klnąc pod nosem March przesunął rękoma po ceracie, sprawdził tekturowe pudło. Obrócił do góry dnem metalowy pojemnik i potrząsnął nim. Nic. Pusta skrytka drwiła sobie z niego. Czego się spodziewał? Nie miał pojęcia. Ale na pewno czegoś bardziej określonego niż to.

– Musimy iść – powiedział.

– Chwileczkę.

Charlie oparła obraz o pojemnik, ukucnęła i zrobiła pół tuzina fotografii. Potem owinęła go ponownie w ceratę, włożyła z powrotem do pojemnika i przekręciła klucz w zamku.

– Już skończyliśmy, Herr Zaugg! – zawołał March. – Dziękuję.

Zaugg i strażnik pojawili się ponownie – trochę zbyt szybko, pomyślał March. Domyślał się, że bankier wiele by oddał, żeby ich podsłuchać.

Mały Szwajcar zatarł rękę.

– Mam nadzieję, że pan zadowolony?

– Całkowicie.

Strażnik wsunął pojemnik z powrotem w otwór, Zaugg zamknął drzwiczki i renesansowy obraz zniknął w ciemności. „Mamy tutaj skrytki, których nikt nie otwierał od pięćdziesięciu i więcej lat...” Czy minie pół wieku, zanim ktoś ponownie zatrzyma na nim oko?

W windzie panowała cisza. Bankier odprowadził ich aż do drzwi wyjściowych.

– Tutaj powiemy sobie chyba do widzenia – rzekł, podając im kolejno rękę.

March czuł, że powinien powiedzieć coś więcej, spróbować jakiejś sztuczki.

– Muszę pana ostrzec, Herr Zaugg, że w zeszłym tygodniu zostali zamordowani dwaj współwłaściciele tego konta. Sam Martin Luther zaginął bez wieści.

Bankier nawet nie mrugnął.

– Mój Boże. Starzy klienci odchodzą, a na ich miejsce – wskazał ręką Marcha i Charlie – przychodzą nowi. I tak już jest. Jednego może pan być pewien, Herr March: niezależnie od tego, kto wygra kolejną wojnę, kiedy rozwieją się bitewne dymy, w szwajcarskich kantonach wciąż istnieć

będą banki. Żegnaj państwa.

Wyszli na ulicę; zamykały się za nimi drzwi, wtedy Charlie nagle zawołała:

– Herr Zaugg!

Jego twarz ukazała się w szparze i zanim zdążył się cofnąć, pstryknęła migawka aparatu. I tak został uwieczniony: z wytrzeszczonymi oczyma i szeroko otwartymi z oburzenia małymi ustami.

Züricher See spowite było w błękitnej mgłę niczym na obrazku z bajki – krajobraz, z którego powinny się wynurzyć morskie potwory, a potem szlachetni, walczący z nimi rycerze. Gdyby tylko świat był taki, jaki nam obiecano, pomyślał March. Z oparów wyłoniłyby się wtedy zamki ze strzelistymi wieżyczkami.

Trzymając przy nogach walizkę, opierał się o wilgotną kamienną balustradę naprzeciwko hotelu. Charlie płaciła rachunek.

Żałował, że nie mogą zostać dłużej – zabrałby ją na przejażdżkę po jeziorze, na spacer po mieście i po pobliskich wzgórzach. Na kolację zapraszały ją na stare miasto; a każdego wieczoru wracaliby razem do jego pokoju, żeby kochać się, słuchając szumu jeziora. Marzenie... Z lewej strony, w odległości pięćdziesięciu metrów, siedzieli poziewując w swoich samochodach jego opiekunowie ze Swiss Polizei.

Przed wielu laty, kiedy March był młodym detektywem w hamburskim Kripo, kazano mu eskortować odsiadującego dożywotni wyrok więźnia, któremu udzielono specjalnej jednodniowej przepustki. Wiadomość o procesie ukazała się w gazetach; przeczytała ją sympatia więźnia z dzieciństwa. Napisała do niego, a potem odwiedziła w więzieniu; w końcu zgodziła się wyjść za niego za mąż. Cała sprawa poruszyła tak żywą w niemieckiej duszy sentymentalną strunę. Zorganizowano kampanię na rzecz doprowadzenia do skutku ślubnej ceremonii. Władze ugięły się. I March zabrał go na ślub i niczym jakiś niezwykle czujny drużba stał przykuty do niego kajdankami podczas całej mszy, a nawet podczas robienia ślubnych zdjęć.

Wesele odbyło się w ponurej przykościelnej sali. Kiedy zbliżało się do końca, pan młody szepnął, że obok jest składzik z matą na podłodze i że ksiądz nie robi żadnych obiekcji... A March – wówczas sam młody żonkoś – sprawdził składzik, przekonał się, że nie ma w nim żadnych okien, i na dwadzieścia minut zostawił więźnia i jego żonę samych. Ksiądz – który trzydzieści lat spędził jako kapelan w hamburskich dokach i niejedno w życiu widział – z poważną miną mrugnął do niego okiem.

W drodze powrotnej, kiedy zobaczyli wysokie mury więzienia, March oczekiwał, że pan młody będzie załamany, że poprosi o jeszcze trochę czasu albo nawet spróbuje dać drapak. Nic z tych rzeczy. Facet z uśmiechem skończył swoje cygaro. Stojąc teraz przy brzegu Zürich See, March uświadomił sobie, co czuł wtedy jego więzień. Wystarczyło przekonać się o tym, że możliwe jest inne życie; wystarczył jeden dzień.

Poczuł, że podchodzi do niego Charlie. Stała z boku i pocałowała go lekko w policzek.

Półki sklepu na zuryskim lotnisku ugięły się pod ciężarem kolorowych prezentów: zegarów z kukułką, miniaturowych nart, popielniczek z wymalowanym w środku Matterhornem i niezliczonych czekoladek. March wybrał bombonierkę z pozytywką i umieszczoną na pokrywce napisem: „Najlepsze życzenia urodzinowe dla naszego ukochanego Führera, 1964”. Przy ladzie czekała na niego pulchna sprzedawczyni w średnim wieku.

– Czy może to pani za mnie zapakować i wysłać?

– Żaden problem, proszę pana. Proszę napisać adres odbiorcy.

Dała mu kartkę papieru i ołówek. Xavier napisał nazwisko i adres Hannelore Jaeger. Hannelore była jeszcze grubsza od swego męża i uwielbiała czekoladki. Miał nadzieję, że Max doceni jego poczucie humoru.

Sprzedawczyni wzięła bombonierkę i szybko zapakowała ją wprawnymi palcami w brązowy papier.

– Dużo ich pani sprzedaje?

– Tysiące. Wy, Niemcy, z całą pewnością kochacie swego Führera.

– Tak, to prawda. – Przyjrzał się paczce. Wyglądała dokładnie tak samo jak ta, którą wyjął ze skrzynki pocztowej Buhlera. – Nie prowadzi pani może rejestru miejsc, do których je wysyłacie?

– To byłoby niemożliwe. – Wypisała adres, przykleiła znaczek i odłożyła paczkę na leżący za jej plecami stos.

– Oczywiście. A może zapamiętała pani starego Niemca, kupującego taką bombonierkę w poniedziałek o czwartej po południu? Miał grube oprawki okularów i łzawiące oczy.

Jej rysy stwardniały. Spojrzała na niego podejrzliwie.

– Kim pan jest? Policjantem?

– Nieważne. – Zapłacił za czekoladki, a także za kubek z napisem *I love Zurich*.

Luther nie przebył całej tej drogi do Szwajcarii, żeby umieścić w skrytce obraz, pomyślał. Nawet emerytowany urzędnik Ministerstwa Spraw Zagranicznych nie mógłby przemycić pod nosem Zollgrenzschutz paczki tej wielkości, w dodatku ostemplowanej pieczęcią z napisem „Tajne”. Przyjechał po to, żeby coś wyjąć, żeby zabrać to z powrotem do Niemiec. A ponieważ odwiedzał bank po raz pierwszy od dwudziestu jeden lat, do skrytki były trzy inne klucze, a on nie ufał nikomu, musiał mieć wątpliwości, czy to coś jeszcze tam jest.

March stał, przyglądając się hali odlotów i próbując wyobrazić sobie wbiegającego na lotnisko, zaciskającego w rękę bezcenny bagaż starszego mężczyznę, w którego klatce piersiowej tłukło się schorowane serce. Czekoladki musiały oznaczać, że mu się udało: jak na razie, towarzysze, wszystko idzie dobrze. Co mógł zawierać ten bagaż? Na pewno nie wyjął ze skrytki obrazów ani pieniędzy; mieli ich dosyć w Niemczech.

– Papier.

– Co?

Charlie, która czekała na niego w hali, obróciła się zdumiona.

– To musi być to. Papier. Wszyscy byli państwowymi urzędnikami. Prowadzili papierowe życie, życie na papierze.

Wyobraził sobie ich, jak siedzieli po nocach w swoich gabinetach w wojennym Berlinie – wymieniając w bezustannym biurokratycznym młynie memoriały i noty, budując sobie papierowe fortece. Miliony Niemców walczyło na wojnie: w marznącym błocie ukraińskich stepów, w piaskach Libii, pod błękitnym niebem południowej Anglii albo – tak jak March – na morzu. Ale ci starcy walczyli – wykrwawiali się i marnowali swoje najlepsze lata – na papierze.

– Mówisz bez sensu – stwierdziła potrząsając głową Charlie.

– Wiem. Do samego siebie. Zobacz, co ci kupiłem. Odpakowała kubek i roześmiała się, przyciskając go do piersi.

– Zachowam go do końca życia.

Przeszli szybko przez kontrolę paszportową. Za barierką March obrócił się, żeby spojrzeć po raz ostatni na lotnisko. Dwaj szwajcarscy policjanci obserwowali ich, stojąc przy stanowisku odprawy. Jeden z nich – ten, który pomógł im przy willi Zaugga – podniósł na pożegnanie rękę.

Xavier pomachał mu w odpowiedzi.

Ich numer lotu wywoływany był po raz ostatni.

– Pasażerowie Lufthansy numer lotu dwieście dwadzieścia siedem proszeni są...

March opuścił rękę i ruszył w stronę wyjścia na płytę lotniska.

2

Tym razem ani kropli whisky, ale za to kawa – mnóstwo czarnej, mocnej kawy. Charlie próbowała czytać gazetę, ale szybko zasnęła. March był zbyt podniecony, żeby odpoczywać.

Wydarł z notesu tuzin czystych kartek i każdą z nich podzielił na cztery mniejsze arkusiki. Rozłożył je przed sobą na plastikowym stoliku. Na każdym napisał nazwisko, datę i wydarzenie. Bez końca je przesuwiał: te z przodu na tył, te z tyłu na środek, te ze środka na początek. Z ust zwisał mu papieros, głowa tonęła w chmurze dymu. Pasażerowie, których kilku posłało mu ukradkowe spojrzenia, mogli pomyśleć, że gra w jakąś szczególnie zwariowaną formę pasjansa.

Lipiec 1942. Na froncie wschodnim Wehrmacht przeprowadza operację „Blau”; ofensywę, która w ostatecznym rozrachunku przyniesie zwycięstwo Niemcom. Ameryka zbiera cięgi od Japończyków. Brytyjczycy bombardują Zagłębie Ruhry i walczą w Afryce Północnej. W Pradze Reinhardowi Heydrichowi udaje się wrócić do zdrowia po zamachu na jego życie.

Dobre czasy dla Niemców, zwłaszcza dla tych, którzy znajdują się na okupowanych terytoriach. Eleganckie mieszkania, kochanki, łapówki – całe skrzynie łupów wysyłane z powrotem do domu. Korupcja od góry do dołu; od kaprala do komisarza; od alkoholu po średniowieczne ołtarze. Buhler, Stuckart i Luther zajmują w tej grze szczególnie korzystne pozycje. Buhler rekwiruje dzieła sztuki w Generalnej Guberni i fałszując specyfikacje wysyła je do Stuckarta w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych – niewiele ryzykuje, bo któż ośmieliłby się sprawdzać pocztę tak wpływowych dygnitarzy Rzeszy. Luther szmugluje dzieła sztuki za granicę i sprzedaje – także bez większego ryzyka, bo kto ośmieliłby się poprosić o otworenie bagaży szefa Abteilung Deutschland. W latach pięćdziesiątych wszyscy przechodzą na emeryturę, opływając w bogactwa i honory.

A potem, w roku 1964, katastrofa.

Xavier ponownie poprzesuwał papiery.

W piątek, 11 kwietnia, trzech konspiratorzy zbierają się w willi Buhlera: dochodzą do nich pierwsze wiadomości o groźącym niebezpieczeństwie...

Nie. To nieprawda. Przekartkował ponownie swój notes, szukając zapisków na temat rozmowy, jaką Charlie odbyła ze Stuckartem. Oczywiście.

W czwartek, 10 kwietnia, na dzień przed spotkaniem, Stuckart przyjeżdża na Bülow Strasse, żeby zanotować numer telefonu w budce obok bloku Charlotte Maguire. W piątek idzie z tym numerem do willi Buhlera. Grozi im coś tak strasznego, że trzech mężczyźni rozważają rzecz normalnie nie do pomyślenia: ucieczkę do Stanów Zjednoczonych. Stuckart przedstawia im plan działania. Nie mogą ufać pracownikom ambasady, bo Kennedy obsadził ją ludźmi kompromisu. Potrzebny jest bezpośredni łącznik z Waszyngtonem. Stuckart ma kogoś takiego: to córka Michaela Maguire. Zapada zgoda. W sobotę Stuckart telefonuje do dziewczyny, żeby zaaranżować spotkanie. W niedzielę Luther leci do Szwajcarii: nie po obrazy ani pieniądze, których mieli dosyć w Berlinie, ale aby odebrać coś, co umieścili w skrytce podczas którejs z trzech wizyt między latem

1942 a wiosną 1943.

Lecz jest już za późno. Luther odbiera to, co miał do odebrania, wysyła sygnał z Zurychu i ląduje w Berlinie. Ale Buhler i Stuckart już nie żyją. Luther postanawia zatem zniknąć razem z tym, co zabrał ze skrytki w Zurychu.

March odchylił się w fotelu i przyjrzał swojej do połowy rozwiązanej układance. Była to pewna wersja wydarzeń: tak samo dobra jak każda inna.

Charlie westchnęła, zadrżała przez sen i przekręciła się, żeby ułożyć głowę na jego ramieniu. Pocałował ją we włosy. Dzisiaj był piątek. Führertag przypadał w poniedziałek. Został mu tylko weekend.

– Obawiam się, droga Fräulein Maguire, że przez cały czas szukamy w złym miejscu – mruknął pod nosem.

*

– Panie i panowie, wkrótce będziemy lądować na lotnisku Hermanna Göringa w Berlinie. Proszę ustawić fotele w najwyższej pozycji i złożyć stoliki.

Ostrożnie, żeby nie obudzić Charlie, March wysunął ramię spod jej głowy, zebrał swoje karteluski i lekko się kołysząc ruszył w stronę ogona. Chłopak w mundurze Hitlerjugend wyszedł z ubikacji i przytrzymał mu grzecznie drzwi. March podziękował skinieniem głowy, wszedł do środka i zamknął drzwi na zasuwkę. Zapaliło się przyćmione światło.

W małej kabinie unosił się zapach taniego mydła, kawy i wymienianego bez przerwy tego samego powietrza. March uniósł deskę klozetową i wrzucił do środka karteczki. Samolot podskoczył i zadrżał. Zapaliło się ostrzegawcze światełko. UWAGA! PROSZĘ WRÓCIĆ NA SWOJE MIEJSCE. Turbulencja sprawiła, że żołądek podszedł mu do gardła. Czy tak właśnie czuł się Luther, kiedy samolot schodził do lądowania w Berlinie? Metal był lepki w dotyku. Pociągnął za spuszcającą wodę dźwignię i notatki zniknęły w błękitnym wirze.

Lufthansa nie zaopatrywała toalet w ręczniki, ale w wilgotne małe chusteczki nasycone jakimś niezdrowym płynem. March wytarł jedną z nich twarz. Przez śliską bibułę czuł gorącą skórę. Kolejna wibracja, jak w U-Boocie, obok którego wybuchała głębinowa bomba. Schodzili szybko w dół. Przycisnął rozpalone czoło do chłodnego lustra. Zanurzaj się, zanurzaj...

Charlie obudziła się i z trudem rozczesywała swoje gęste włosy.

– Myślałam już, że wyskoczyłeś.

– Przez chwilę o tym myślałem. – Usiadł i zapiął pasy. – Ale ty możesz stać się moim ocaleniem.

– Jesteś bardzo miły.

– Powiedziałem: możesz. – Wziął ją za rękę. – Posłuchaj. Czy Stuckart na pewno powiedział ci, że przyszedł zanotować numer telefonu w czwartek?

Przez chwilę się zastanawiała.

– Tak, jestem tego pewna. Pamiętani, że pomyślałam sobie wtedy: ten facet traktuje sprawę serio, odrobił pracę domową.

– Uważam dokładnie to samo. Pytanie brzmi, czy Stuckart działał na własną rękę, próbując przygotować dla siebie trasę ucieczki, czy też dzwonił w wyniku porozumienia z innymi?

– Czy to istotne?

– Bardzo. Pomyśl tylko. Skoro uzgodnił to z innymi w piątek, to Luther może wiedzieć, kim

jesteś i jak się z tobą skontaktować. Cofnęła zaskoczona rękę.

– Przecież to szaleństwo. On nigdy by mi nie zaufał.

– Masz rację, to szaleństwo. – Weszli w pierwszą warstwę chmur, potem w drugą. March widział przezierającą przez nie niczym czubek hełmu kopułę Wielkiego Pałacu. – Zakładając, że Luther wciąż jeszcze żyje, jakie są jego opcje? Lotnisko jest obserwowane. Podobnie jak nabrzeża, dworce kolejowe, granica lądowa. Nie może zwrócić się o pomoc do ambasady amerykańskiej. Nie po tym, jak ogłoszono wiadomość o wizycie Kennedy'ego. Nie może wrócić do domu. Co mu pozostaje?

– Nie wierzę. Mógł zadzwonić do mnie we wtorek albo w środę. Albo w czwartek rano. Na co czekał?

W jej głosie wyczuł powątpiewanie. Nie chcesz w to uwierzyć, pomyślał. Uważasz, że byłaś taka sprytna, szukając danych do swego artykułu w Zurychu, ale przez cały ten czas twój artykuł czekał na ciebie tutaj, w Berlinie.

Odwróciła się od niego, wlepiając wzrok w okno.

Xavier poczuł, jak ogarnia go nagłe zniechęcenie. Tak mało ją mimo wszystko znał.

– Nie dzwonił do ciebie – powiedział – bo chciał znaleźć jakieś lepsze, bezpieczniejsze wyjście. Kto wie? Może już je znalazł. Nie odpowiedziała.

Wylądowali w Berlinie w lekkiej mżawce tuż przed drugą. Przy końcu pasa startowego, kiedy Junkers zawrócił, deszcz zaciął nagle w szybę, zostawiając na niej cienkie smużki. Nad budynkiem lotniska smętnie zwisał mokry sztandar ze swastyką.

Do kontroli paszportowej prowadziły dwie kolejki: jedna dla Niemców i obywateli Wspólnoty Europejskiej, druga dla reszty świata.

– Tu się rozstaniemy – powiedział March. Z pewnymi trudnościami przekonał ją wcześniej, żeby pozwoliła mu nieść jej walizkę. Teraz oddał ją z powrotem. – Co masz zamiar robić?

– Wrócę chyba do domu i zaczekam na telefon. A ty?

– Pomyślałem, że zafunduję sobie małą lekcję historii. – Spojrzała na niego, nie bardzo rozumiejąc. – Zadzwonię do ciebie później.

– Nie zapomnij.

Powrócił cię dawnej nieufności. Widział ją w jej oczach, czuł, że ona odnajduje ją w jego. Chciał powiedzieć coś, co by ją uspokoiło.

– Nie przejmuj się. Umowa stoi.

Kiwnęła głową. Przez chwilę trwało niezręczne milczenie. A potem nagle wspięła się na palce i musnęła ustami jego policzek. Zniknęła, zanim zdążył zareagować.

Stojący w kolejce Niemcy wkraczali jeden po drugim na terytorium Rzeszy. March stał cierpliwie, ze splecionymi z tyłu rękoma, patrząc, jak urzędnik sprawdza jego paszport. W ciągu kilku ostatnich dni przed urodzinami Führera kontrola graniczna jeszcze bardziej się zaostrzyła, strażnicy byli jeszcze bardziej dociekliwi.

Oczy funkcjonariusza Zollgrenzschutz kryły się pod daszkiem czapki.

– Wrócił pan na trzy godziny przed terminem upłynięcia ważności wizy, Herr Sturmbannführer. – Przekreślił grubą czarną kreską wizę, nagryzmolił na niej ANULOWANE i wręczył mu paszport z powrotem. – Witamy w domu.

W zatłoczonej hali odprawy celnej Xavier na próżno szukał wzrokiem Charlie. Być może odmówili jej prawa wjazdu. Miał nadzieję, że tak się stało; byłaby wtedy bezpieczniejsza.

Funkcjonariusze Zollgrenzschutz otwierali każdą sztukę bagażu. Nigdy dotąd nie widział tak

szeroko zakrojonych środków bezpieczeństwa. W hali panował chaos. Kręcący się wokół stosów garderoby i wyklócający z celnikami pasażerowie upodobniali ją do orientalnego bazaru. March spokojnie czekał na swoją kolej.

Dopiero po trzeciej dotarł do przechowalni bagażu i odebrał walizkę. W toalecie przebrał się z powrotem w mundur, a potem zwinął i zapakował cywilne ubranie. Sprawdził lugera i wsunął go do kabury. Wychodząc zerknął w lustro. Znajoma czarna sylwetka.

Witamy w domu.

3

Pogoda Führera, mówiła partia, kiedy świeciło słońce. Nie mieli żadnego określenia na deszcz.

Tego popołudnia, bez względu na to, czy będzie padało czy nie, zadekretowano początek trzydniowego święta, i z zacieklą narodowo-socjalistyczną determinacją ludzie wyruszyli na obchody.

March siedział w jadącej przez Wedding na południe taksówce. Typowa robotnicza dzielnica, w latach dwudziestych twierdza komunistów. W ramach uroczystości o godzinę wcześniej niż zwykle zabrzmiały fabryczne syreny. Teraz ulice wypełniły się tłumem zmoczonych świętujących. Blockleiterzy należycie wywiązali się ze swych obowiązków. Prawie na co drugim budynku zatknięty był sztandar – na ogół ze swastyką, ale były także transparenty ze stosownymi hasłami, zawieszane między żelaznymi balkonami czynszowych kamienic. BERLIŃSCY ROBOTNICY POZDRAWIAJĄ FÜHRERA Z OKAZJI JEGO 75 URODZIN! NIECH ŻYJE NASZA ŚWIETLANA NARODOWOSOCJALISTYCZNA REWOLUCJA! NIECH ŻYJE NASZ PRZEWODNIK I PIERWSZY TOWARZYSZ, ADOLF HITLER! Boczne uliczki wypełniała feeria kolorów; dochodziło z nich stłumione umpa-umpa! dętych orkiestr SA. A był dopiero piątek. March zastanawiał się, co planują władze Wedding na sam Führertag.

Na rogu Wolff Strasse jakiś buntownik wymalował białą farbą nadprogramowy napis: KTO NIE BĘDZIE SIĘ DOBRZE BAWIŁ, ZOSTANIE ROZSTRZELANY. Próbowano go zetrzeć kilku podenerwowanych młodzieńców w brązowych koszulach.

March dojechał taksówką na Fritz-Todt Platz. Jego volkswagen wciąż stał przed blokiem Stuckarta, tam gdzie go przedwczoraj zostawił. Rzucił okiem na czwarte piętro. Ktoś zaciągnął story.

Na Werderscher Markt zostawił walizkę w swoim gabinecie i zadzwonił do oficera dyżurnego. Martin Luther wciąż był nieuchwytny.

– Tak między nami, March, Globus urzęduje nam tu prawdziwy dopust boży. Wpada co pół godziny, wydzierając się i grożąc, że jeśli go nie odnajdziemy, wszyscy wylądujemy w kacie.

– Herr Obergruppenführer jest bardzo oddanym oficerem.

– O tak, z całą pewnością. – W głosie Krausego nagle zabrzmiał strach. – Wcale nie zamierzałem sugerować...

March odłożył słuchawkę. To powinno dać podsłuchującym jego rozmowy wiele do myślenia.

Postawił na biurku maszynę do pisania i wsunął w nią pojedynczy arkusz papieru. Zapalił papierosa.

1. Mam zaszczyt poinformować, że dzisiaj o godzinie 10.00 odwiedziłem siedzibę firmy Zaugg & Cie, Bankiers przy Bahnhof Strasse w Zurychu.
2. Tajną skrytkę, na temat istnienia której dyskutowaliśmy w dniu wczorajszym, założył 8.07.1942 podsekretarz stanu w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Martin Luther. Wydane zostały cztery klucze.
3. Skrytka otwierana była trzy razy: 17.12.1942, 9.08.1943 oraz 13.04.1964.
4. Kiedy sprawdziłem ją osobiście, okazało się...

March odchylił się na krześle i wypuścił w stronę sufitu kilka zgrabnych kółek dymu. Myśl o tym, że obraz wpadnie w ręce Nebego – żeby utonąć w jego kolekcji bombastycznych, kiczowatych Schmutzlerów i Kircherów – budziła w nim prawdziwą odrazę. To byłoby niemal świętokradztwo. Lepiej zostawić go w spokoju, w mroku podziemi. Przez chwilę trzymał palce na klawiszach maszyny, a potem napisał:

...że jest pusta.

Wysunął raport z maszyny, podpisał go i wsadził do koperty. Zadzwoił do gabinetu Nebego; kazano mu się natychmiast zgłosić. Odłożył słuchawkę i przez chwilę wpatrywał się w ceglany mur za oknem.

To nie był zły pomysł.

Wstał, podszedł do półki i poszukał na niej berlińskiej książki telefonicznej. Wyjął ją, odnalazł numer i żeby uniknąć podsłuchu, wszedł do sąsiedniego pokoju.

– Reichsarchiv – odparł męski głos, kiedy wykręcił numer.

Dziesięć minut później jego buty tonęły w miękkim dywanie w gabinecie Artura Nebego.

– Wierzysz w zbieg okoliczności, March?

– Nie, Herr Oberstgruppenführer.

– Nie – powtórzył Nebe. – Znakomicie. Ja też nie wierzę. – Odłożył szkło powiększające i odsunął na bok raport. – Nie wierzę, żeby dwóch zbliżonych wiekiem i rangą emerytowanych urzędników państwowych wołało popełnić samobójstwo, niż narazić się na oskarżenie o korupcję. Mój Boże... – Z jego ust wydarło się chrapliwe parsknięcie. – Gdyby każdy dygnitarz w Berlinie chciał pójść w ich ślady, ulice zasłalyby stosy trupów. Nie jest to też przypadek, że zamordowano ich obu w tym samym tygodniu, kiedy amerykański prezydent ogłosił łaskawie, że gotów jest nas odwiedzić.

Odsunął krzesło i pokuśtykał w stronę wypełnionej świętymi księgami narodowego socjalizmu małej biblioteczki. Były wśród nich „Mein Kampf Hitlera”, „Mythus der XX. Jahrhunderts” Rosenberga, „Tagebücher” Goebbelsa. Oberstgruppenführer nacisnął guzik i grzbiety tomów odsunęły się, odsłaniając mały barek. March zorientował się, że nie było tam żadnych książek: wyłącznie przyklejone do drewnianej płyty ich grzbiety.

Nebe nalał sobie dużą wódkę i wrócił do biurka. March nadal stał przed nim, ani w postawie na baczność, ani na spocznij.

– Globus pracuje dla Heydricha – powiedział Oberstgruppenführer. – To proste. Globus nie podtarłby własnego tyłka, gdyby Heydrich nie powiedział, że nadeszła na to pora.

March nie odezwał się ani słowem.

– A Heydrich pracuje w przeważającej części dla Führera. A kiedy tego nie robi, pracuje dla samego siebie.

Nebe przytknął potężny kieliszek do warg. Wysunął z ust jaszczur-czy język i umoczył go w

wódce. Przez chwilę milczał.

– Czy wiesz, dlaczego dogadujemy się z Amerykanami, March? – zapytał w końcu.

– Nie, Herr Oberstgruppenführer.

– Bo ugrzęźliśmy po uszy w gównie. Powiem ci coś, czego nie przeczytasz w gazetach małego doktora. Do roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego mieliśmy osiedlić na Wschodzie dwadzieścia milionów ludzi. Taki był plan Himmlera. Do końca wieku dziewięćdziesiąt milionów. Zgoda, wysyłamy ich wszystkich zgodnie z harmonogramem. Kłopot polega na tym, że połowa chce wracać. Zwróć uwagę na ten kosmiczny paradoks, March: przestrzeń życiowa, w której nikt nie ma ochoty żyć. Terroryzm... – Nebe uniósł w górę kieliszek, w którym zabrzączał lód. – Nie potrzebuję chyba tłumaczyć oficerowi Kripo, jak poważnym problemem stał się dla nas terroryzm. Amerykanie dostarczają pieniądze, broń, prowadzą szkolenia. Od dwudziestu lat podtrzymują przy życiu czerwonych. A my? Młodzi nie chcą walczyć, a starzy nie chcą pracować.

Potrząsnął siwą głową, nie mogąc się temu nadziwić, a potem wyłowił językiem kostkę lodu i wciągnął ją hałaśliwie do ust.

– Heydrichowi szalenie zależy na tym porozumieniu z Amerykanami. Gotów jest zabić każdego, kto stanąłby mu na drodze. Czy nie o to tutaj właśnie chodzi, March? Buhler, Stuckart i Luther... czy nie stanowili jakiegoś zagrożenia?

Oberstgruppenführer nie spuszczał z oczu jego twarzy. March patrzył prosto przed siebie.

– Na swój sposób, March, ty też jesteś chodzącym paradoksem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałeś?

– Nie, Herr Oberstgruppenführer.

– „Nie, Herr Oberstgruppenführer” – powtórzył, przedrzeźniając go, Nebe. – No to zastanów się teraz. Mieliśmy wychować pokolenie nadludzi, Übermenschów. Mieli przejąć od nas rządy imperium. Nauczylimy ich posługiwać się twardą logiką; bezlitosną, nawet okrutną logiką. Pamiętasz, co kiedyś powiedział Führer? „Największym darem, jaki otrzymali ode mnie Niemcy, jest to, że nauczyłem ich jasnego rozumowania”. I co się stało? Niektórzy z was... być może nawet najlepsi... zaczynają posługiwać się tą bezlitosną twardą logiką przeciwko nam. Wiesz, co ci powiem? Cieszę się, że jestem już stary. Boję się przyszłości.

Przez chwilę milczał, zatopiony w rozmyślaniach. W końcu rozczarowany podniósł lupę do oka.

– A więc chodzi tylko o dzieła sztuki – mruknął. Przeczytał ponownie raport Marcha, a potem podarł go i wyrzucił do kosza.

Reichsarchiv strzegła Klio, muza historii: naga Amazonka dłuta Adolfa Zieglera, „najlepszego w Rzeszy specjalisty od włosów łonowych”. Patrzyła surowym wzrokiem wzdłuż alei Zwycięstwa, obserwując tłum turystów, którzy stali w długiej kolejce, czekając, żeby przedfilować przed złożonymi w Soldatenhalle kośćmi Fryderyka Wielkiego. Siedzące na jej olbrzymim spadzistym biuście gołębie przypominały alpinistów, którzy zapuścili się zbyt daleko na czoło lodowca. Z tyłu, nad wejściem do archiwum widniały wyryte w granicie, połączane litery. Cytat z Adolfa Hitlera: DLA KAŻDEGO NARODU WŁAŚCIWA HISTORIA WARTA JEST STUDYWIZJI.

Rudolf Halder zaprowadził Marcha na trzecie piętro. Pchnął podwójne drzwi i stanął z boku, żeby wpuścić go do środka. Wyłożony kamiennymi płytami korytarz wydawał się ciągnąć w nieskończoność.

– Robi wrażenie, nie? – W pracy Halder przemawiał jak zawodowy historyk: tonem, w którym mieszała się duma i sarkazm. – Nazywamy ten styl parodią teutońszczyzny. Nie zdziwisz się pewnie, jeśli ci powiem, że to największy budynek archiwalny na świecie. Wyżej mieszczą się dwa piętra

administracji. Na tym piętrze biura archiwistów i czytelnie. Pod nami: sześć pięter dokumentów. Stąpasz, przyjacielu, po ojczystej historii. A ja jestem tutaj strażnikiem lampy Klio.

Gabinet Rudiego przypominał celę zakonnika; mała, pozbawiona okien, wyłożona granitowymi płytami kłitka. Stół zavalony był wysokimi na pół metra stosami papierów, podłoga zasłana kartkami. Wszędzie leżały książki – było ich kilka setek, z każdej wystawał gąszcz zakładek: kolorowe paski papieru, bilety tramwajowe, skrawki kartonów od papierosów, zużyte tekturowe zapalniczki.

– Zadanie historyka: uporządkować chaos tak, żeby powstał z niego chaos wyższego rzędu. – Halder podniósł z jedyne, stojące w pomieszczeniu krzesła stos starych armijnych depesz, starł z niego kurz i wskazał Xavierowi, żeby usiadł.

– Znowu potrzebuję twojej pomocy, Rudi. Halder oparł się o skraj biurka.

– Nie dajesz znaku życia od kilku miesięcy, a potem nagle pojawiaasz się dwa razy w ciągu tygodnia. Przypuszczam, że to również ma coś wspólnego ze śmiercią Buhlera. Widziałem jego nekrolog.

March kiwnął głową.

– Powiniennem cię uprzedzić, że rozmawiasz z pariasem. Pomagając mi narażasz się na niebezpieczeństwo.

– Coraz bardziej mnie zaciekawiasz. – Rudi splótł dłonie i wyłamał głośno palce. – Wal śmiało.

– To dla ciebie prawdziwe wyzwanie. – Xavier przerwał i wziął głęboki oddech. – Trzej ludzie: Josef Buhler, Wilhelm Stuckart i Martin Luther. Pierwsi dwaj nie żyją, trzeci gdzie się ukrywa. Wszyscy trzej byli, jak wiesz, wyższymi urzędnikami. Latem tysiąc dziewięćset czterdziestego drugiego założyli skrytkę w zuryskim banku. Z początku uważałem, że przechowywali tam furę pieniędzy albo dzieła sztuki... tak jak podejrzewałeś, Buhler był doszczętnie skorumpowany... ale teraz bardziej prawdopodobne wydaje mi się, że to były jakieś dokumenty.

– Jakiego rodzaju?

– Dokładnie nie wiem.

– Ważne?

– Z całą pewnością.

– Postawiłeś przynajmniej jasno problem. Mówisz o trzech różnych instytucjach: Ministerstwie Spraw Zagranicznych, Ministerstwie Spraw Wewnętrznych i rządzie Generalnej Guberni, który w gruncie rzeczy nie był prawdziwym rządem. To oznacza tony dokumentów. Nie nabieram cię, Zavi: dosłownie tony.

– Czy masz tutaj ich rejestr?

– Spraw zagranicznych i wewnętrznych. Dokumenty Generalnej Guberni są w Krakowie.

– Masz do nich dostęp?

– Oficjalnie nie. Nieoficjalnie... – Pokiwał kościstą dłonią. – Być może, przy odrobinie szczęścia. Ale mówię ci, Zavi, nie starczy nam życia, żeby się przez nie przekopać. Co proponujesz?

– Musi tam być jakiś ślad. Być może czegoś w nich brakuje.

– Ale tego się nie da stwierdzić.

– Mówiłem ci, że to wyzwanie.

– I kiedy mamy odkryć ten twój „ślad”?

– Muszę go mieć dziś w nocy.

Halder wydał z siebie głośne parsknięcie: zabrzmiała w nim mieszanina niedowierzania, złości i politowania.

– Za trzy dni. Rudi – powiedział cicho March – SS chce mnie postawić przed sądem wojennym.

Wiesz, co to oznacza. Muszę to teraz odnaleźć.

Halder przyglądał mu się przez chwilę, jakby nie wierzył własnym uszom, a potem odwrócił wzrok.

– Niech pomyślę – mruknął.

– Mogę zapalić? – zapytał Xavier.

– Na korytarzu. Nie tutaj. Te rzeczy są nie do odtworzenia.

Pałac papierosa March słyszał spacerującego po swojej klitce Rudiego. Spojrzał na zegarek. Szósta. Długi korytarz był kompletnie pusty. Większość pracowników musiała już pójść do domu; zaczął się świąteczny weekend. Nacisnął klamki kilku kolejnych drzwi; dwoje pierwszych było zamkniętych, trzecie ustąpiły. Wszedł do środka i podniósł słuchawkę telefonu. Przez chwilę przysłuchiwał się tonowi, a potem wykręcił dziewiątkę. Ton zmienił się: najwyraźniej wyszedł na miasto. Wykręcił numer Charlie. Odebrała od razu.

– To ja. U ciebie wszystko w porządku? – zapytał.

– W porządku. Coś odkryłam... pewien drobiazg.

– Nie mów nic przez telefon. Porozmawiam z tobą później. – Zaczął się zastanawiać, o co jeszcze ją zapytać, ale odłożyła słuchawkę.

Teraz telefonował Halder, jego pogodny głos niósł się echem po wyłożonym granitowymi płytami korytarzu.

– Eberhard? Dobry wieczór... To prawda, niektórzy z nas nie wiedzą, co to wypoczynek. Szybkie pytanie, jeśli można. Rejestry Ministerstwa Spraw Wewnętrznych? Zostały skatalogowane? Dobrze. Na zasadzie kompetencji? Rozumiem. Doskonale. W całości?

Xavier zamknął oczy i oparł się o ścianę, próbując nie myśleć o rozpościerającym się pod jego stopami oceanie papieru. Szybciej, Rudi, szybciej.

Usłyszał pojedynczy cichy odgłos dzwonka: Halder odłożył słuchawkę. Kilka sekund później Rudi pojawił się na korytarzu, naciągając marynarkę. Z kieszonki na piersi wystawała mu bateria długopisów.

– Mieliśmy odrobinę szczęścia. Z tego, co mówi mój kolega, dokumenty Ministerstwa Spraw Wewnętrznych zostały przynajmniej skatalogowane.

Ruszył szybkim krokiem w stronę windy. March stąpał obok niego.

– Co to oznacza?

– To oznacza, że istnieje centralny indeks, na podstawie którego można się dowiedzieć, jakie papiery i kiedy przeszły przez biurko Stuckarta. – Postukał bez rezultatu w przyciski obok windy. – Wygląda na to, że wyłączyli ją na noc. Będziemy musieli zejść po schodach – stwierdził. – Zdajesz sobie sprawę, że to jest niezgodne z wszelkimi przepisami?! – zawołał, kiedy stukając obcasami zbiegali w dół spiralnymi schodami. – Jestem uprawniony do przebywania w dziale spraw wojskowych, w sekcji dotyczącej frontu wschodniego, a nie w dziale spraw wewnętrznych, sekcji administracji. Jeżeli nas nakryją, będziesz musiał wcisnąć facetowi z ochrony jakiś kit o policyjnym dochodzeniu... coś, czego sprawdzenie zajęłoby im co najmniej kilka godzin. Co do mnie, jestem po prostu anonimowym, wyświadczającym ci grzeczność archiwistą, jasne?

– Za co jestem ci bardzo wdzięczny. Daleko jeszcze?

– Na sam dół. Sąd wojenny... – powtórzył, kiwając z niedowierzaniem głową, Halder. – Wielki Boże, Zavi, w coś ty się wpakował?

Tłoczone na głębokość sześćdziesięciu metrów powietrze było suche i chłodne; lampy nie paliły się zbyt jasno ze względu na zbiory.

– Mówią, że to miejsce powinno wytrzymać bezpośrednie trafienie amerykańskiej rakiety –

oświadczył Rudi.

– Co tam jest? – zapytał March, wskazując na stalowe drzwi, na których widniały ostrzegawcze tabliczki: UWAGA! OSOBOM NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY! WEJŚCIE TYLKO ZA OKAZANIEM PRZEPUSTKI!

– „Właściwa historia warta jest stu dywizji”, pamiętasz? Tutaj właśnie ukryta jest ta niewłaściwa. Rany boskie! Popatrz!

Halder pociągnął Xaviera za sobą, w głąb korytarza. W ich stronę szedł strażnik. Pochylony niczym górnik w podziemnym chodniku pchał przed sobą metalowy wózek. March był przekonany, że ich zobaczy, ale on przeszedł obok, stękając z wysiłku. Zatrzymał się przy metalowych drzwiach i otworzył je. Zanim zatrzasnęły się z powrotem, przez chwilę zobaczyli huczące głośno płomienie paleniska.

– Chodźmy.

Rudi wyjaśnił procedurę. Archiwum działało na podobnej zasadzie co magazyn. Zamówienia na poszczególne akta spływały do dyspozytorni na każdym piętrze. Tutaj w wysokich na metr i grubych na dwadzieścia centymetrów księgach znajdował się główny indeks. Do każdego zamówienia dołączony był numer regału. Regały mieściły się w ognioodpornych magazynach biegnących wokół dyspozytorni. Sekret polegał na tym, stwierdził Halder, że trzeba było umieć posługiwać się indeksem. Przez chwilę paradował wzdłuż oprawnych w czerwoną skórę ksiąg, dotykając palcem ich grzbietów. Znalazłszy tę, której szukał, zataszczył ją na biurko.

Xavier był kiedyś pod pokładem lotniskowca Grossadmiral Raeder. Przepastne głębie Reichsarchiv przypominały mu w jakiś sposób tamtą wizytę: niskie sufity z przyćmionymi lampami, przytłaczające poczucie olbrzymiego, wiszącego nad głową ciężaru. Obok biurka fotokopiarka: rzadki widok w Niemczech, gdzie ze względu na zwalczanie nielegalnej literatury dystrybucja takich urządzeń była ściśle kontrolowana. Przy szybkiej windy stało kilkanaście pustych metalowych wózków. March widział wszystko, co działo się w promieniu pięćdziesięciu metrów. Piętro było puste.

Rudi wydał okrzyk triumfu.

– Sekretarz stanu: akta urzędowe od roku 1939 do 1950. Chryste Panie! Czteryście pudeł. Na jakie lata chcesz rzucić okiem?

– Konto w Szwajcarii zostało założone w lipcu 1942. Przyjrzyjmy się pierwszym siedmiu miesiącom tego roku. Halder obrócił kolejną stronę.

– Zobaczymy, jak to uporządkowali – mruknął pod nosem. – Podzielili papiery na cztery działy: korespondencja urzędowa, notatki i memoriały, statuty i rozporządzenia, skład osobowy ministerstwa...

– Szukam czegoś, co łączy Stuckarta z Buhlerem i Lutherem.

– W takim razie zacznijmy lepiej od korespondencji. To powinno nas z grubsza zorientować, co się wtedy działo. – Rudi zanotował sygnaturę. – D/15/M/28-34. W porządku. Idziemy.

Magazyn D mieścił się dwadzieścia metrów po lewej stronie. Sekcję M regału piętnastego znaleźli w samym środku.

– Tylko sześć pudeł, dzięki Bogu. Ty przejrzyj te od stycznia do kwietnia, ja od maja do sierpnia.

Każde tekturowe pudło miało wielkość sporej szuflady biurka. W magazynie nie było żadnego stołu, siedli więc na podłodze. Oparłszy się plecami o metalowe półki, Xavier otworzył pierwsze pudło, wyjął zeń garść papierów i zaczął czytać.

W życiu potrzeba zawsze trochę szczęścia.

Pierwszym dokumentem był list z 2 stycznia od podsekretarza stanu z Ministerstwa Lotnictwa w sprawie reglamentacji masek gazowych dla Reichsluftschutzbundu, organizacji zajmującej się obroną przeciwlotniczą. Drugi, datowany na 4 stycznia, pochodził z Biura Planu Czteroletniego i dotyczył bezprawnego pobierania przydziałów na paliwo przez wyższych urzędników państwowych.

Trzeci był od Reinharda Heydricha.

March najpierw spostrzegł podpis – charakterystyczny kanciasty bazgroł. Potem jego wzrok pobił ku nagłówkowi – Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy, Berlin SW 11, Prinz-Albrecht Strasse 8 – i ku dacie: 6 stycznia 1942. Treść listu brzmiała następująco:

Potwierdza się mniejszym, że zaplanowane pierwotnie na 9 grudnia 1941 międzyministerialne spotkanie przełożone zostało na 20 stycznia. Dyskusja, po której nastąpi lunch, odbędzie się w siedzibie Międzynarodowej Komisji Policji Kryminalnej w Berlinie Am grossen Wannsee nr 56/58.

Xavier przekartkował znajdujące się w pudle inne listy: cienkie bibułkowe kopie i kremowe oryginały; imponujące nagłówki – Kancelaria Rzeszy, Ministerstwo Gospodarki, Organizacja Todta; zaproszenia na zebrania i lunche; prośby, dyrektywy i pisma okólne. Nie było jednak nic więcej od Heydricha.

– Co o tym sądzisz? – zapytał, podając list Halderowi. Rudi zmarszczył brwi.

– Trochę niezwykle, żeby Główny Urząd Bezpieczeństwa Rzeszy zwoływał zebranie agencji rządowych.

– Możemy odkryć, o czym dyskutowali?

– Nie powinniśmy mieć z tym trudności. Możemy porównać w dziale notatek i memoriałów.

Spojrzymy: dwudziesty stycznia.

Halder zajrzał do swoich notatek, podniósł się i ruszył wzdłuż regału. Wyciągnął kolejne pudło, wrócił z nim i usiadł ze skrzyżowanymi nogami na podłodze. March patrzył, jak kartkuje zawartość. Nagle zatrzymał się.

– Mój Boże – powiedział powoli.

– Co tam masz? – zapytał Xavier.

Rudi wręczył mu pojedynczą kartkę papieru, na której widniało napisane na maszynie zdanie: „Ze względu na interes bezpieczeństwa państwa protokół międzyministerialnej konferencji z dnia 20 stycznia został usunięty na żądanie Reichsführera SS”.

– Popatrz na datę – powiedział Halder.

March spojrzał. 6 kwietnia 1964. Heydrich kazał wycofać protokół zaledwie jedenaście dni wcześniej.

– Czy mógł to zrobić... to znaczy, czy miał do tego prawo?

– Gestapo może stąd wyciągać, co chce, powołując się na względy bezpieczeństwa. Przewożą na ogół papiery do swoich piwnic przy Prinz-Albrecht Strasse.

W korytarzu na zewnątrz rozległ się hałas. Rudi podniósł ostrzegawczo palec. Obaj mężczyźni umilkli i zastygli w bezruchu, czekając, aż strażnik, który wyszedł z kotłowni, przetoczy z powrotem pusty wózek. Po chwili stukot kół ucichł po drugiej stronie budynku.

– Co teraz zrobimy? – zapytał Xavier. Halder podrapał się w głowę,

– Międzyministerialne zebranie, w którym uczestniczą podsekretarze stanu...

March domyślał się, co chodzi mu po głowie.

– Musieli na nie zaprosić również Buhlera i Luthera?

– To wydaje się logiczne. Na tym poziomie bardzo dba się o względy protokolarne. Nie

zaprasza się podsekretarza stanu z jednego ministerstwa i jakiegoś młodszego urzędnika z drugiego. Która jest godzina?

– Ósma.

– W Krakowie jest już dziewiąta. – Rudi przygryzał przez chwilę wargę, a potem podjął męską decyzję i wstał z podłogi. – Zatelefonuję do przyjaciela, który pracuje w archiwach Generalnej Guberni. Zapytam, czy Gestapo nie weszło tam w ciągu kilku ostatnich tygodni. Jeśli nie, być może uda mi się go przekonać, żeby sprawdził, czy protokół z zebrania wciąż jest w papierach Buhlera.

– Czy nie moglibyśmy sprawdzić tutaj, w archiwum Ministerstwa Spraw Zagranicznych? W papierach Luthera?

– Nie. Są zbyt wielkie i nie posegregowane. Zajęłoby to nam całe tygodnie. To najlepszy sposób, wierz mi.

– Uważaj na to, co mu powiesz, Rudi.

– Nie przejmuj się. Zdaję sobie sprawę z niebezpieczeństwa. – Halder przystanął na chwilę w drzwiach. – I, na miłość boską, nie pal, kiedy mnie tu nie będzie. To najbardziej łatwopalny budynek w całej Rzeszy.

To prawda, pomyślał Xavier. Począł, aż Halder zniknie za drzwiami i zaczął przechadzać się w tę i z powrotem wzdłuż regałów. Strasznie chciało mu się zapalić. Trzęsły mu się ręce. Wsadził je do kieszeni.

Jakim pomnikiem niemieckiej biurokracji było to miejsce. Pan A, chcąc coś zrobić, pytał o pozwolenie doktora B. Doktor B zabezpieczał się, przekazując sprawę wyżej do dyrektora departamentu C. Dyrektor departamentu podrzucał ją ministrowi D, który oświadczał, że pozostawia całą rzecz decyzji pana A, a ten oczywiście ponownie zwracał się do doktora B. Alianse i wzajemne rywalizacje, pułapki i intrygi trwających trzy dekady rządów partii – wszystko to kryło się między metalowymi półkami regałów; dziesięć tysięcy utkanych między włóknami papieru i zawieszonych w chłodnym powietrzu pajęczych sieci.

Rudi wrócił po dziesięciu minutach.

– SS było w Krakowie przed dwoma tygodniami. – Zacierał zakłopotany ręce. – Do dzisiaj nie mogą o tym zapomnieć. Pofatygował się do nich osobiście Obergruppenführer Globocnik.

– Gdziekolwiek się nie obrócę – powiedział March – natykam się na Globocnika!

– Przyleciał specjalnym odrzutowcem Gestapo prosto z Berlina. Miał upoważnienie podpisane przez samego Heydricha. Najwyraźniej załazł im za skórę. Ciskał się i wrzeszczał. Wiedział dokładnie, czego szuka; zabrał tylko jedną teczkę. W porze lunchu już go nie było.

Globus, Heydrich, Nebe. March przyłożył rękę do czoła. Kręciło mu się w głowie.

– A więc tutaj się to kończy?

– Tutaj się kończy. Chyba że twoim zdaniem możemy znaleźć coś jeszcze w papierach Stuckarta. Xavier rzucił okiem na pudła. Ich zawartość wydawała mu się martwa jak ludzkie prochy. Myśl o dalszym grzebaniu się w papierach wydawała mu się wstrętą. Chciał odetchnąć świeżym powietrzem.

– Zapomnij o tym, Rudi. Dziękuję.

Halder pochylił się, żeby podnieść z podłogi list od Heydricha.

– Ciekawe, że przesunięto konferencję z dziewiątego grudnia na dwudziestego stycznia.

– Jakie to ma znaczenie?

Halder rzucił mu współczujące spojrzenie.

– Czy rzeczywiście nie wychyliłeś ani razu łyka z tej cholernej żelaznej puszką, w której nas zamknęli? Nie docierało do ciebie nic, co działo się w szerokim świecie? Siódmego grudnia 1941,

zakuta pało, eskadry Jego Cesarskiej Mości, cesarza Japonii, Hirohito, zaatakowały zacumowaną w Pearl Harbour flotę Stanów Zjednoczonych. Jedenastego grudnia Niemcy wypowiedziały Ameryce wojnę. To chyba wystarczające przyczyny, żeby przełożyć jakąś konferencję, nie sądzisz? – Rudi szczerzył zęby w uśmiechu, ale powoli na jego miejscu pojawił się wyraz zamyślenia. – Zastanawiam się...

– Nad czym?

– Musiało być jakieś oryginalne zaproszenie, jeszcze przed tym – oświadczył, stukając palcem w papier.

– I co z tego?

– To zależy. Czasami nasi przyjaciele z Gestapo nie są tacy dokładni, jak im się wydaje. Zwłaszcza jeśli działają w pośpiechu...

March stał już przed regałem, lustrując wzrokiem półki. Po jego przygnębieniu nie zostało ani śladu.

– Które pudło? Odkąd zaczniemy?

– O konferencji na tym szczeblu Heydrich powinien uprzedzić uczestników co najmniej dwa tygodnie wcześniej. – Halder zajrzał do swoich notatek. – To *oznacza*, że powinniśmy zajrzeć do korespondencji Stuckarta z listopada 1941. Niech spojrzę. To będzie chyba pudło numer dwadzieścia sześć.

Stanął obok Xaviera i odliczał pudła, aż znalazł to właściwe. Wyjął je i objął ramionami.

– Nie bądź taki niecierpliwy, Zavi. Wszystko w swoim czasie. Historia uczy nas cierpliwości.

Ukląkł na podłodze, postawił pudło przed sobą i wyjął z niego całe naręczce papierów. Rzucił szybko okiem na każdy z nich, po czym odkładał go na stos z lewej strony.

– Zaproszenie na bankiet wydany przez włoskiego ambasadora: nudy. Konferencja organizowana przez Waltera Darrego w Ministerstwie Rolnictwa: nudy na pudy. – Trwało to przez jakieś dwie minuty. March stał obok, zaglądając mu przez ramię i zaciskając nerwowo dłoń w pięść. Nagle Rudi zastygł w bezruchu. – Cholera! – Przeczytał ponownie pismo i podniósł wzrok. – Zaproszenie od Heydricha. Wcale nienudne. Obawiam się, że wcale nienudne.

4

Niebo ogarnął chaos. Eksplodowała mgławica. Komety i meteory przelatywały nad głowami, znikwały na moment, a potem wybuchały w zielonym oceanie blasku.

Pokaz ogni sztucznych nad Tiergarten zbliżał się do wielkiego finału. Nad Berlinem krzyżowały się niczym podczas nalotu smugi reflektorów.

March czekał właśnie, żeby skrócić w lewo w Unter den Linden, kiedy przed jego samochodem pojawiła się banda zataczających się esamanów. Dwaj z nich, spleceni ramionami, odstawili w świetle reflektorów coś w rodzaju pijackiego kankana; inni walili w karoserię albo przyciskali twarze do szyb. Z wytrzeszczonymi oczyma i wywalonymi z ust językami wyglądali jak stado małp. March wrzucił pierwszy bieg i powoli ruszył, potrącając z głuchym odgłosem jednego z tancerzy.

Wrócił na Werderscher Markt. Na weekend odwołano wszelkie policyjne urlopy. We wszystkich oknach jarzyło się elektryczne światło. Ktoś zawołał go w holu, ale March udał, że nie słyszy. Stukając obcasami zbiegł do piwnicy.

Bankowe skarbce, piwnice, schrony, podziemne archiwa... Powoli upodabnam się do troglodyty, pomyślał. Staję się jaskiniowcem, pustelnikiem, rabusiem papierowych grobów.

Gorgona z archiwum wciąż tkwiła w swojej norze. Czyżby w ogóle nie spała? Pokazał jej

swoją legitymację. Przy głównym biurku siedziało kilku innych detektywów, kartkując ze znudzonym wyrazem twarzy wszechobecne brązowe akta. March usiadł w samym rogu sali. Zapalił boczną lampkę, nachylił klosz nisko nad stołem i wyciągnął z kieszeni munduru trzy kartki, które zabrał z Reichsarchiv.

Fotokopie nie były najlepszej jakości. Nastawili kopiarke na zbyt słaby odcień, oryginały wrzucali krzywo i w pośpiechu. Nie winił o to Rudiego. On w ogóle nie chciał robić odbitek. Był ciężko przerażony. Po przeczytaniu zaproszenia od Heydricha ulotniła się gdzieś cała jego szczeniacka brawura. March musiał dosłownie siłą zaciągnąć go do fotokopiarki. Sporządziwszy kopie, Halder wrócił w te pędy do magazynu, wetknął papiery z powrotem do pudeł i odstawił je na półki. Na jego nalegania opuścili budynek Reichsarchiv tylnym wyjściem.

– Wydaje mi się, Zavi, że nie powinniśmy się teraz przez dłuższy czas widywać.

– Oczywiście.

– Wiesz, jak to jest...

Rudi jakby skurczył się w sobie: żałosna, bezradna postać. W tej samej chwili nad ich głowami zaczęły szumieć i wybuchać fajerwerki. March objął go.

– Nie rób sobie wyrzutów. Ja wiem, najważniejsza jest rodzina – powiedział i szybko odszedł.

Dokument pierwszy. Oryginalne zaproszenie od Heydricha, z dnia 19 listopada 1941:

W dniu 31 lipca 1941 Reichsmarschall Wielkiej Rzeszy Niemieckiej polecił mi, abym w koordynacji z innymi powołanymi do tego agencjami rządowymi zajął się przygotowaniem wszelkich niezbędnych działań organizacyjnych, technicznych i materialnych, które pozwolą na ostateczne rozwiązanie kwestii żydowskiej w Europie. Reichsmarschall wyraził także życzenie, abym przedstawił mu zwięzły i całościowy szkic propozycji w tej sprawie. Załączam fotokopię dyrektywy.

Z uwagi na nadzwyczajne znaczenie wyżej wymienionych problemów oraz w celu wypracowania wspólnego poglądu zainteresowanych agencji rządowych na temat oczekujących nas dalszych zadań w kwestii ostatecznego rozwiązania proponuję omówić te sprawy podczas ogólnej dyskusji. Problem jest szczególnie palący, ponieważ od dnia 10 października Żydzi sukcesywnie opuszczają terytorium Rzeszy i Protektoratu, udając się w szeregu zorganizowanych transportów na Wschód.

Proszę w związku z tym, aby wspólnie z innymi zaproszonymi osobami, których nazwiska załączam, zechciał pan wziąć udział w dyskusji, która odbędzie się w dniu 9 grudnia o godzinie 12.00 w siedzibie Międzynarodowej Komisji Policji Kryminalnej w Berlinie, Am grossen Wannsee 56/58. Po dyskusji przewidziany jest lunch.

Dokument drugi. Fotokopia fotokopii, miejscami prawie nieczytelna niczym wryta na starym nagrobku inskrypcja. Dyrektywa Hermanna Göringa skierowana do Heydricha z dnia 31 lipca 1941:

W uzupełnieniu zadania, które powierzyłem panu w dniu 24 stycznia 1939, a które dotyczyło rozwiązania problemu żydowskiego poprzez emigrację i ewakuację, polecam panu niniejszym przygotowanie wszelkich niezbędnych działań organizacyjnych, technicznych i materialnych, które pozwolą na ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego w granicach niemieckiej strefy wpływów w Europie.

Inne agencje rządowe zobowiązane są do współpracy wszędzie tam, gdzie okaże się to konieczne.

Chcę również, aby w najbliższej przyszłości przysłał mi pan całościowy plan wszelkich działań organizacyjnych, technicznych i materialnych, które okażą się konieczne dla zgodnego z naszym życzeniem ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego.

Dokument trzeci. Lista czternastu osób zaproszonych na konferencję. Stuckart był na niej trzeci, Buhler szósty, Luther siódmy. Nazwiska kilku innych obity się Marchowi o uszy.

Wydarł kartkę z notesu, zapisał na niej jedenaście nazwisk i podszedł do biurka, przy którym wydawano akta. Dwaj detektywi zniknęli. Archiwistki nie było nigdzie widać. Popukał w biurko.

– Jest tu kto?! – zawołał.

Zza rzędu szafek doszedł go brzęk uderzającej o butelkę szklanki. A więc tak wyglądał jej sekret. Musiała zapomnieć, że March jeszcze tu jest. W chwilę później pojawiła się, kołyszając biodrami, przy biurku.

- Czy mamy akta tych jedenastu osób? – zapytał, wyciągnąwszy ku niej listę.
- Bez specjalnego zezwolenia nie wolno wypożyczać więcej niż trzy teczki naraz – odparła, krzyżując pulchne ręce na zatłuszczonym mundurze.
- Niech pani o tym zapomni.
- Nie wolno.
- Nie wolno również pić alkoholu na służbie, a mimo to cuchnie pani gorzelnią. Chcę mieć zaraz te wszystkie akta.

*

Każdemu człowiekowi przypisany był numer; każdemu numerowi teczka. Nie wszystkie przechowywane były przy Werderscher Markt. Tu znajdowały się akta wyłącznie tych osób, które w ten czy inny sposób zetknęły się kiedyś w życiu z Reich Kriminalpolizei. Ale zasięgając wiadomości w biurze informacyjnym przy Alexander Platz i przeglądając nekrologi „Völkischer Beobachter” (publikowane corocznie jako Apel Poległych) March był w stanie wypełnić puste miejsca. Odnalazł dane wszystkich. Zajęło mu to dwie godziny.

Pierwszy na liście figurował doktor Alfred Meyer z Ministerstwa do Spraw Wschodu. Z teczki, którą miał w Kripo, wynikało, że kilkakrotnie leczył się w szpitalu psychiatrycznym. W roku 1960 popełnił samobójstwo.

Drugie nazwisko: dr Georg Leibrandt, również z Ministerstwa do Spraw Wschodu. Zginął w wypadku samochodowym w 1959. Jego samochód zmiądzony został przez ciężarówkę na autostradzie między Stuttgartern i Augsburgiem. Kierowcy ciężarówki nigdy nie udało się odnaleźć.

Erich Neumann, sekretarz stanu w Urzędzie Planu Czteroletniego.

Zastrzelił się w 1957.

Doktor Roland Freisler, sekretarz stanu w Ministerstwie Sprawiedliwości: zasztyletowany przez szaleńca na schodach berlińskiego Sądu Ludowego zimą 1954. Dochodzenie, które miało odkryć, dlaczego ochroniarze tak blisko dopuścili do niego znanego z przestępczych skłonności osobnika, wykazało, że nikt nie ponosi za to winy. Zabójca został zastrzelony w kilka sekund po ataku na Freislera.

Przejrzawszy cztery teczki, March wyszedł na korytarz na papierosa. Zaciągał się głęboko i odchylając głowę do tyłu wypuszczał powoli dym, jakby zażywał lekarstwo.

Po powrocie zastał na biurku świeży stos akt.

Oberführer SS Gerhard Klopfer, zastępca szefa Kancelarii Partii. Żona zgłosiła jego zaginięcie w maju 1963; wetknięte do betoniarki ciało odnaleźli robotnicy na budowie w południowej części Berlina.

Friedrich Kritzinger. To nazwisko wydawało się Marchowi znajome. Oczywiście. Przypomniawszy sobie fragment telewizyjnych wiadomości: zablokowana ulica, wrak samochodu, podtrzymywana przez synów wdowa. Kritzinger, były Ministerialdirektor Kancelarii Rzeszy, zginął w zamachu bombowym tuż obok swego domu w Monachium nie dalej jak miesiąc temu, 7 marca. Do zamachu nie przyznała się na razie żadna grupa terrorystyczna.

Dwaj mężczyźni zmarli według „Völkischer Beobachter” śmiercią naturalną. Standartenführer SS Adolf Eichmann z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy zmarł na atak serca w roku 1961, Sturmbannführer SS Rudolph Lange z KdS Latvia na guz mózgu w roku 1955.

Heinrich Müller. Kolejne nazwisko, które nie było Marchowi obce. Bawarski policjant, były szef Gestapo, znajdował się na pokładzie wysadzonego w powietrze w roku 1962 samolotu

Himmlera. Nikt nie ocalał z katastrofy.

Oberführer SS, doktor Karl Schöngarth, reprezentujący siły bezpieczeństwa Generalnej Guberni, zginął pod kołami U-Bahnu, który wjeżdżał na stację ZOO 9 kwietnia 1964 – zaledwie tydzień temu. Nie było żadnych świadków.

Obergruppenführera Ottona Hoffmanna z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy odnaleziono w drugi dzień Bożego Narodzenia 1963 roku w jego apartamencie w Spandau. Wisiał na sznurze od bielizny.

To było wszystko. Z czternastu mężczyzn, którzy uczestniczyli w zorganizowanej przez Heydricha konferencji, trzynastu nie żyło. Czternasty – Luther – zginął.

Ministerstwo Propagandy wydało w ramach kampanii antyterrorystycznej całą serię dziecinnych komiksów. Ktoś przypiął jeden z nich na tablicy ogłoszeń na drugim piętrze komendy. Mała dziewczynka zaczynała otwierać dostarczoną przez listonosza paczkę. Na każdym kolejnym obrazku usuwała z niej kolejną warstwę papierów, aż w końcu miała przed sobą wielki budzik, do którego podłączone były dwie laski dynamitu. Ostatni rysunek przedstawiał eksplozję. UWAGA! – głosił podpis – NIE OTWIERAJ ŻADNEJ PACZKI, JEŚLI NIE ZNASZ JEJ ZAWARTOŚCI!

Świetny dowcip. Maksyma każdego niemieckiego policjanta. Nie otwieraj żadnej paczki, jeśli nie znasz jej zawartości. Nie zadawaj żadnego pytania, jeśli nie znasz na nie odpowiedzi.

Endlösung: ostateczne rozwiązanie. *Endlösung*. *Endlösung*. To słowo tłukło się w głowie Marcha, kiedy pół biegnąc, pół idąc zmierzał korytarzem w stronę swego gabinetu.

Endlösung.

Otworzył na oścież szuflady biurka Jaegera i zaczął przetrząsać ich zawartość. Max zupełnie nie radził sobie z papierkową robotą, ciągle strofowano go za bałaganiarstwo. Xavier modlił się teraz, żeby jego partner nie wziął sobie do serca tych uwag.

Modlitwa okazała się skuteczna.

Niech cię Bóg błogosławi, Max, ty zakuta pało.

March zamknął z powrotem szuflady.

Dopiero wtedy zauważył przypięty do jego telefonu żółty liścik: „Pilne. Proszę natychmiast skontaktować się z biurem oficera dyżurnego”.

5

Odnalezione na stacji rozrządowej Dworca Gotenlandzkiego ciało otoczono baterią lamp łukowych. Z oddali scena wydawała się dziwnie nierzeczywista niczym plan jakiegoś filmu.

Idąc w stronę świateł March stapał w górę i w dół po drewnianych podkładach, stalowych szynach i pochłapanym ropą żwirze.

Zanim zmieniono jej nazwę na Gotenlandzką, stacja nazywała się Anhalter Bahnhof i była najważniejszym prowadzącym na wschód dworcem kolejowym Rzeszy. To właśnie stąd Führer wyruszał pancernym pociągiem Amerika do swojej wojennej kwatery w Prusach Wschodnich; to tu właśnie ładowano berlińskich Żydów – wśród nich Weissów – do pociągów, które miały ich wywieźć z Niemiec.

„Od października Żydzi sukcesywnie opuszczają terytorium Rzeszy, udając się w szeregu zorganizowanych transportów na Wschód...”

Za jego plecami cichło echo dworcowych zapowiedzi; gdzieś z przodu rozbrzmiewał stukot kół i słaby odgłos gwizdka. Stacja rozrządowa była rozległa – skąpany w pomarańczowym świetle

sodowych lamp bajeczny pejzaż z plamą oślepiającej bieli w samym środku. Zbliżywszy się, March dostrzegł kilkanaście stojących przy pociągu towarowym osób: było wśród nich paru funkcjonariuszy Orpo, Krebs, doktor Eisler, fotograf, grupa przejętych urzędników z Deutsche Reichsbahn oraz Globus.

Obergruppenführer dostrzegł go pierwszy i z udawaną aprobatą zaczął wolno klaskać w odziane w rękawiczki dłonie.

– Panowie, możecie się odprężyć. Zaraz podzieli się z nami swymi teoriami największy geniusz Kriminalpolizei.

Jeden z funkcjonariuszy Orpo parsknął śmiechem.

Ciało albo to, co z niego pozostało, znajdowało się pod szorstkim, rzuconym na tory, wełnianym kocem, a także w zielonym plastikowym worku.

– Czy mogę zobaczyć zwłoki?

– Ależ naturalnie. Nawet ich nie dotknęliśmy. Czekaliśmy na pana, wielki detektywie. – Globus skinął na Krebsa, który odsunął koc.

W poprzek torów leżał na brzuchu męski tułów. Miał uciętą jedną rękę i zmiażdżoną głowę. Obie nogi również zostały odcięte, ale postrzępione skrawki odzieży utrudniały dokładne określenie miejsca amputacji. W powietrzu unosił się silny zapach alkoholu.

– A teraz musi pan spojrzeć tutaj. – Globus zbliżył do światła plastikowy worek. Otworzył go i podsunął Marchowi pod samą twarz. – Nie chcemy, żeby ktoś oskarżył potem Gestapo o ukrywanie dowodów rzeczowych.

Ucięte stopy, jedna wciąż w bucie; zakończona strzaskaną białą kością i złotą bransoletką zegarka dłoń. March nie zamknął oczu, co najwyraźniej rozczerowało Globusa.

– No dobra – powiedział, rzucając worek na ziemię. – Wyglądają gorzej, kiedy zaczynają śmierdzieć albo kiedy dobiorą się do nich szczury. Sprawdź kieszenie, Krebs.

W trzepoczącym skórzanym płaszczu pochylony nad ciałem Krebs przypominał żywiącego się padliną sępa. Wsunął rękę pod zwłoki, sięgając do wewnętrznej kieszeni marynarki.

– Dwie godziny temu – powiedział przez ramię – Reichsbahn Polizei poinformowała nas, że widziano tutaj mężczyznę odpowiadającego rysopisowi Luthera. Niestety jeszcze przed naszym przyjazdem...

– Doszło do nieszczęśliwego wypadku... – March uśmiechnął się gorzko. – Kto by się spodziewał.

– Znalazłem, Herr Obergruppenführer – powiedział Krebs, wyjmując z kieszeni paszport i portfel. Wyprostował się i podał je Globusowi.

– To jego paszport, nie ma co do tego żadnych wątpliwości – stwierdził, kartkując dokument, Globus. – Jest tu także kilka tysięcy marek w gotówce. Dosyć pieniędzy, żeby wylegiwać się w jedwabnej pościeli hotelu Adlon. Ale sukinsyn nie mógł się oczywiście pokazać w cywilizowanym towarzystwie. Nie miał żadnego wyboru: musiał spać tutaj.

Ta myśl najwyraźniej dawała mu swoistą satysfakcję. Pokazał Marchowi paszport; spod poobijanego kciuka wystawała nalana twarz Luthera.

– Niech pan się temu wszystkiemu dobrze przyjrzy, Herr Sturmbannführer, a potem biegnie w te pędy do Nebege i powie mu, że już po wszystkim. Od tej chwili sprawę w całości przejmuje Gestapo. A panu należy się zasłużony odpoczynek. – Odpoczywaj, mówiły jego oczy, póki jeszcze możesz.

– Herr Obergruppenführer jest bardzo miły.

– Jeszcze się dowiesz, jaki jestem miły, March, to jedno mogę ci obiecać. – Globus odwrócił

się do Eislera. – Gdzie jest ten cholerny ambulans?

Lekarz stanął na baczność.

– Z całą pewnością w drodze, Herr Obergruppenführer.

March domyślił się, że został odprawiony. Ruszył w stronę zostawionych samym sobie, stojących w odległości dziesięciu metrów kolejarzy.

– Który z was odkrył ciało?

– Ja, Herr Sturmbannführer. – Mężczyzna, który dał krok do przodu, nosił ciemnoniebieską kurtkę od munduru i miękką czapkę maszynisty. Miał zaczerwienione oczy i zachrypnięty z przejęcia głos. March zastanawiał się, czy to z powodu trupa, czy też niespodziewanego pojawienia się generała SS.

– Papierosa?

– O tak, bardzo chętnie, Herr Sturmbannführer. Maszynista poczęstował się, rzucając trwożne spojrzenie w stronę Globusa, który rozmawiał teraz z Krebssem. March podał mu ogień.

– Niech pan się odpręży. Nie ma pośpiechu. Zdarzyło się panu już kiedyś coś takiego?

– Raz. – Mężczyzna zaciągnął się i popatrzył z wdzięcznością na papierosa. – To zdarza się co trzy, cztery miesiące. Włóczędzy śpią pod wagonami, żeby schronić się przed deszczem. A potem, kiedy skład rusza, zamiast leżeć tam, gdzie są, próbują wyskoczyć. – Zasłonił dłonią oczy. – Musiałem najechać na niego tyłem, ale nic nie usłyszałem. Kiedy spojrzałem z powrotem na tory, już się nie ruszał. Przypominał kupę łachmanów.

– Wielu macie tutaj włóczędzów? – March starał się mówić lekkim tonem.

– Zawsze co najmniej kilkudziesięciu. Reichsbahn Polizei próbuje ich przepędzać, ale miejsce jest zbyt duże, żeby je stale patrolować. Niech pan spojrzysz. Właśnie tam przebiegają.

Pokazał ręką przez tory. Z początku March nie widział nic oprócz rzędu bydlęcych wagonów. A potem zobaczył jakiś ruch: prawie niewidoczny w cieniu pociągu kształt, który przesuwiał się, podskakując jak marionetka; za nim następny, potem cała grupa. Biegli wzdłuż torów, kucali w przerwach między wagonami, czekali chwilę, a potem pędzili w stronę następnej plamy cienia.

Globus nadal odwrócony był plecami. Nie zwracając na nich uwagi wciąż rozmawiał z Krebssem, uderzając prawą pięścią w otwartą lewą dłoń.

March obserwował chroniące się w bezpiecznym miejscu drobne figurki – a potem nagle szyny zawibrowały, powiał wiatr i wszystko zasłonił wyjeżdżający z Berlina pociąg sypialny do Równa. Przez pół minuty przesuwiała się przed nim ruchoma ściana sleepingów i piętrowych wagonów restauracyjnych. Kiedy przejechał ostatni wagon, mała kolonia bezdomnych zniknęła w pomarańczowym półmroku.

CZEŚĆ PIĄTA

SOBOTA, 18 KWIETNIA

Większość z was wie, jak wygląda sto rzuconych obok siebie trupów. Albo pięćset. Albo tysiąc. Patrzeć na to i nie licząc kilku wyjątków, spowodowanych zwyczajną ludzką słabością, pozostać przyzwoitym człowiekiem – to właśnie sprawiło, że staliśmy się twardzi. Ale ta chwalebna stronica naszej historii nie może i nigdy nie zostanie zapisana.

HEINRICH HIMMLER

tajna mowa do wyższych oficerów SS

Poznań, 4 października 1943

Spod jej drzwi padała smuga światła. W mieszkaniu grało radio. Muzyka zakochanych – miękkie smyczki i niski zmysłowy głos, w sam raz na nocną porę. Przyjęcie? Czy tak właśnie zachowują się Amerykanie w obliczu niebezpieczeństwa? Stojąc samotnie na niewielkim podeście March spojrzął na zegarek. Dochodziła druga w nocy. Zapukał i po kilku chwilach radio zostało ściszone. Usłyszał jej głos.

– Kto tam?

– Policja.

Po dwóch sekundach rozległ się hałas otwieranej zasuwki i zdejmowanego łańcucha. Drzwi uchylły się.

– Bardzo śmieszne – stwierdziła. Ale jej uśmiech był fałszywy, przyklejony do twarzy specjalnie dla niego. W ciemnych oczach kryło się zmęczenie, a także – chyba się nie mylił? – cień strachu. Pochylił się, żeby ją pocałować; jego dłonie dotknęły lekko jej bioder i natychmiast poczuł, jak ogarnia go pożądanie. Mój Boże, przemknęło mu przez głowę, przy niej czuję się jak szesnastolatek...

Gdzieś w głębi mieszkania rozległy się kroki. Xavier podniósł wzrok. Za jej ramieniem ujrzał wychodzącego z łazienki mężczyznę. Był kilka lat młodszy od Marcha: brązowe zamszowe buty, sportowa marynarka, krawat, biały sweter założony niedbale na elegancką koszulę. Charlie zeszywniała nagle i delikatnie uwolniła się z jego uścisku.

– Pamiętasz Henry'ego Nightingale'a? Wyprostował się, czując, jak ogarnia go zmieszanie.

– Oczywiście. Spotkaliśmy się w barze przy Potsdamer Strasse. Obaj mężczyźni stali jak wmurowani w miejscu. Twarz Amerykanina była nieprzenikniona jak maska.

– Co się tutaj dzieje? – zapytał cicho Xavier, nie odrywając oczu od Amerykanina.

– Nic nie mów – szepnęła mu do ucha, stając na palcach. – Nie tutaj. Coś się wydarzyło. – A potem głośniejszym głosem: – Czy to nie ciekawe, że spotkaliśmy się wszyscy troje? – Wzięła Marcha pod ramię i ruszyła w stronę łazienki. – Powinieneś chyba przejść do mojej rozmównicy.

W łazience Nightingale zachowywał się jak gospodarz. Odkręcił kurki zimnej wody nad umywalką i wanną i nastawił głośniejszym głosem radio. Program zmienił się. Obite boazerią ściany wibrowały teraz w rytmie oficjalnie aprobowanego „niemieckiego jazzu” – rozwodnionej synkopowanej muzyki, całkowicie pozbawionej wszelkich „negroidalnych wpływów”. Zadowolony z poczynionych przygotowań, Amerykanin przysiadł na skraju wanny. March usadowił się obok niego, Charlie przykucnęła na podłodze.

– Właśnie opowiadałam panu Nightingale'owi o naszym przedwczorajszym gościu – oświadczyła, otwierając zebranie. – O tym, z którym musiałeś walczyć. Pan Nightingale uważa, że Gestapo mogło zainstalować tu podsłuch.

– Obawiam się, że w ten właśnie sposób funkcjonuje pański kraj, Herr Sturmbannführer – stwierdził, uśmiechając się szeroko, Amerykanin.

Pański kraj...

– Rozumie pan: środek zapobiegawczy...

Może nie jest wcale ode mnie młodszy, pomyślał Xavier. Dyplomata miał gęste jasne włosy, jasne rzęsy i narciarską opaleniznę. Jego olśniewająco białe, pokryte emalią zęby były absurdalnie regularne. Z pewnością nie wiedział, co to są jednodaniowe obiady; w dzieciństwie nie jadał wodnistych kartoflanych zupek i trociniastej kiełbasy – wystarczyło spojrzeć na jego cerę. Ze swoim

chłopięcym wyglądem mógł mieć równie dobrze dwadzieścia pięć jak pięćdziesiąt lat.

Przez kilka chwil nikt się nie odzywał. Ciszę wypełniała muzyczna europejska sznura.

– Wiem, że zakazałeś mi z kimkolwiek o tym rozmawiać – odezwała się w końcu Charlie, zwracając się do Marcha. – Ale nie mogłam inaczej. Teraz musisz ufać Henry'emu, a Henry musi ufać tobie. Wierz mi, nie ma innego wyjścia.

– I naturalnie obaj musimy ufać tobie.

– Och, daj spokój...

– W porządku – powiedział, podnosząc ręce na znak, że się poddaje.

Obok niej leżał na sedesie najnowszy model amerykańskiego przenośnego magnetofonu. Na drugim końcu tkwiącego w nim kabla znajdowała się zamiast mikrofonu mała przyssawka.

– Posłuchaj tego – powiedziała. – Wtedy wszystko zrozumiesz.

– Pochyliła się i nacisnęła przycisk. Szpule w magnetofonie zaczęły się obracać.

– Fräulein Maguire?

– Tak?

– Taka sama procedura jak poprzednio, jeśli można prosić. Rozległ się trzask odkładanej słuchawki, a potem brzęczenie. Charlie nacisnęła inny przycisk, zatrzymując taśmę.

– To był pierwszy telefon. Powiedziałeś, że zadzwoni. Czekałam na niego. – W jej głosie zabrzmiał triumf. – To Martin Luther.

To była zwariowana historia, najbardziej zwariowana, z jaką kiedykolwiek się zetknął; podążanie jej śladem przypominało wizytę w gabinecie strachów w wesołym miasteczku w Tiergarten. Stawiasz stopę i deski ustępują pod twoim ciężarem. Zza rogu wyskakuje szalenciec. Cofasz się i widzisz w krzywym zwierciadle własną zniekształconą twarz.

Luther.

– O której to było godzinie? – zapytał.

– Za piętnaście dwunasta.

Jedenasta czterdzieści pięć: czterdzieści pięć minut po odkryciu ciała na torach. Przypomniawszy sobie wyraz triumfu na twarzy Globusa i uśmiechnął się.

– Co pana tak śmieszy? – zapytał Nightingale.

– Nic. Wyjaśnię później. Co zdarzyło się potem?

– Dokładnie to samo, co przedtem. Poszłam do budki telefonicznej i po pięciu minutach zadzwonił ponownie. Xavier podniósł dłoń do czoła.

– Nie powiesz mi, że targałaś ten sprzęt przez ulicę?

– Potrzebowałam przecież jakiegoś dowodu, do cholery. – Rzuciła mu zniecierpliwione spojrzenie. – Wiedziałam dobrze, co robię. Popatrz. – Wstała, żeby mu lepiej pokazać. – Magnetofon można sobie zawiesić na pasku na ramieniu. Mieści się cały pod płaszczem. Przewód wsadziłam sobie do rękawa. Przyssawkę przymocowałam do słuchawki, w ten sposób. To bardzo łatwe. Było ciemno. Nikt nie mógł niczego zobaczyć.

– Nigdy nie przejmuj się, w jaki sposób udało ci się sporządzić nagranie ani czy miałeś prawo je zrobić – wtrącił Nightingale, profesjonalny dyplomata. – Proponuje, żebyśmy po prostu posłuchali rozmowy – zwrócił się do Marcha.

Charlie nacisnęła przycisk. Usłyszeli spotęgowany przez wzmacniacz odgłos mocowania przyssawki. Zaraz potem odezwał się Luther:

– Nie mamy dużo czasu. Jestem przyjacielem Stuckarta. – Głos starego mężczyzny, ale bynajmniej nie słaby. Głos, w którym słychać było sarkastyczny zaśpiew urodzonego berlińczyka.

Mówił dokładnie tak, jak się tego spodziewał Xavier. A potem usłyszeli wypowiedziane doskonałą niemczyzną pytanie Charlie:

- Proszę mi powiedzieć, czego pan chce?
- Stuckart nie żyje.
- Wiem. Odnalazłam jego ciało.

Długa przerwa. W tle słychać było dworcową zapowiedź. Luther musiał wykorzystać zamieszanie spowodowane odkryciem ciała, żeby zadzwonić z peronu Dworca Gotenlandzkiego.

– Nie odzywał się tak długo – szepnęła Charlie. – Pomyślałam, że się przestraszył i uciekł. March potrząsnął głową.

– Jesteś jego jedyną nadzieją. Już ci mówiłem. Luther odezwał się ponownie.

– Wie pani, kim jestem?

– Tak.

– Pyta mnie pani, czego chcę – powtórzył znużonym głosem. – Czego pani zdaniem mogę chcieć? Azylu w pani kraju.

– Niech mi pan powie, gdzie pan teraz jest.

– Mam czym zapłacić.

– To nie wysta...

– Mam informacje. Na temat pewnych faktów.

– Niech mi pan powie, gdzie pan jest. Przyjadę po pana. Zaprowadzę pana do ambasady.

– Za wcześniej. Jeszcze nie teraz.

– Więc kiedy?

– Jutro rano. Niech pani dobrze słucha. O dziewiątej rano. Na głównych schodach Wielkiego Pałacu. Zrozumiała pani?

– Tak.

– Proszę przyprowadzić ze sobą kogoś z ambasady. Ale pani musi tam być także.

– Jak pana rozpoznamy? Parsknięcie śmiechu.

– Nie, to ja was rozpoznam, pojawię się, kiedy sam uznam to za stosowne. – Pauza. – Stuckart powiedział, że jest pani młoda i ładna. – Pauza. – Cały Stuckart. – Pauza. – Proszę założyć coś, co będzie panią wyróżniać z tłumu.

– Mam płaszcz. Jasnoniebieski płaszcz.

– Ładna dziewczyna w błękicie. Dobrze. Do zobaczenia jutro rano, Fräulein.

Trzask odkładanej słuchawki.

Szum magnetofonu.

Terkot wyłączanej taśmy.

– Puść to jeszcze raz – poprosił Xavier.

Przewinęła taśmę, zatrzymała ją i wcisnęła przycisk PLAY. March odwrócił wzrok i wpatrywał się w spływającą w otwór odpływowy, brunatną od rdzy wodę. Głos Luthera zlewał się z wysokim dźwiękiem pojedynczego klarnetu. „Ładna dziewczyna w błękicie...” Przesłuchali taśmę po raz drugi i Charlie wyłączyła magnetofon.

– Kiedy odwiesił słuchawkę, wróciłam tutaj i wyjęłam taśmę. Potem poszłam z powrotem do budki i próbowałam się do ciebie dodzwonić. Nie było cię. Zadzwoniłam więc do Henry'ego. Nie miałam innego wyjścia. Sam słyszałeś. Chciał się spotkać z kimś z ambasady.

– Wyrwała mnie z łóżka – stwierdził Nightingale. Ziewnął i przeciągnął się, odsłaniając kawałek bladej, bezwłosej łydki. – Nie rozumiem tylko, dlaczego nie chciał, żeby Charlie od razu zaprowadziła go do ambasady.

– Słyszał pan – odparł Xavier. – Dziś w nocy jest za wcześnie. Nie ma odwagi się pojawić. Musi poczekać do rana. Do tego czasu obława, którą zarządziło na niego Gestapo, zostanie prawdopodobnie odwołana.

Charlie zmarszczyła brwi.

– Nie rozumiem...

– Nie mogłaś się ze mną skontaktować dwie godziny temu, bo jechałem właśnie na Dworzec Gotenlandzki. Ludzie z Gestapo podskakiwali tam z radości, przekonani, że odnaleźli wreszcie ciało Luthera.

– To niemożliwe.

– Zgadza się. To niemożliwe. – Xavier uszczypnął się w grzbiet nosa i potrząsnął głową. Trudno mu było zachować jasność umysłu. – Moim zdaniem przez ostatnie cztery dni, od samego powrotu ze Szwajcarii Luther ukrywał się na stacji rozrządowej, próbując się z tobą jakoś skontaktować.

– Ale jak udało mu się tam przetrwać? March wzruszył ramionami.

– Pamiętaj, że miał pieniądze. Być może zawarł znajomość

z jakimś włóczęgą, który za otrzymane pieniądze przynosił mu coś do jedzenia i picia; może nawet ciepłą odzież. I tak wegetował do czasu, aż wpadł mu do głowy pewien plan.

– Jaki plan, Herr Sturmbannführer? – zapytał Nightingale.

– Potrzebował kogoś, kto by go zastąpił. Kto przekonałby Gestapo, że Luther nie żyje. – Xavier przerwał. Czy nie mówił zbyt głośno? Udzielała mu się paranoja Amerykanów. Pochylił się do przodu i ściszył głos: – Wczoraj, kiedy się ściemniło, zabił prawdopodobnie człowieka. Kogoś, kto był mniej więcej w jego wieku i miał zbliżoną budowę ciała. Upił go, ogłuszył... nie wiem dokładnie, jak to zrobił... a potem ubrał w swoje ubranie, dał mu swój portfel, paszport i zegarek. Następnie zawlókł go pod pociąg towarowy, ułożył głowę i ręce na szynach i poczekał, aż pociąg ruszy. W ten sposób próbuje kupić sobie trochę czasu. Doszedł do wniosku, że do dziewiątej rano berlińska policja najprawdopodobniej przestanie go szukać. Moim zdaniem trafnie.

– Jezu Chryste... – Amerykanin spoglądał to na Marcha, to na Charlie. – I takiego człowieka mam zaprowadzić do ambasady?

– To jeszcze nic, panie Nightingale. – Z wewnętrznej kieszeni munduru Xavier wyciągnął dokumenty z archiwum. – Martin Luther był jedną z czternastu osób, którą zaproszono dwudziestego stycznia 1942 roku na specjalną konferencję w siedzibie Interpolu w Wannsee. Od zakończenia wojny sześć z tych osób zostało zamordowanych, cztery popełniły samobójstwo, jedna zginęła w wypadku samochodowym, dwie zmarły prawdopodobnie z przyczyn naturalnych. Dzisiaj pozostał przy życiu tylko Luther. Smutna statystyka, nieprawdaż? – Podał dyplomacie papiery. – Jak pan widzi, konferencja została zwołana przez Reinharda Heydricha w celu przedyskutowania ostatecznego rozwiązania kwestii żydowskiej w Europie. Moim zdaniem Luther chce wam zaproponować transakcję: nowe życie w Ameryce w zamian za dokumentację tego, co stało się z Żydami.

Woda nadal leciała z kranu. Muzyka ucichła.

– A teraz, dla nocnych kochanków, gdziekolwiek są – odezwał się jedwabistym głosem spiker – Peter Kreuder i jego orkiestra zagrają swoją wersję *I'm in Heaven*...

Nie podnosząc wzroku, Charlie wyciągnęła dłoń. March podał jej swoją. Ich palce splotły się i mocno zacisnęły. Boże, pomyślał, ona musi mieć porządnego stracha. Jej uścisk stężał. Trzymali się niczym spadający w dół skoczkowie, jeszcze przed rozpięciem spadochronu. Nightingale pochylił głowę nad dokumentami.

– Jezu Chryste, Jezu Chryste – powtarzał raz po raz.

– Istnieje pewien problem – stwierdził Amerykanin. – Będę z wami szczerzy. To, co powiem, nie jest do publikacji, Charlie. – Mówił tak cicho, że musieli wstrzymać oddech, żeby go usłyszeć. – Przed trzema dniami prezydent Stanów Zjednoczonych oświadczył, że zamierza odwiedzić ten zapomniany przez Boga kraj. Nie wiemy, jakie przyświecały mu pobudki. Faktem jest, że w tym momencie wywrócone zostały do góry nogami dwie dekady amerykańskiej polityki zagranicznej. A teraz, jeśli to, co pan mówi, jest prawdą, ten Luther odwróci je ponownie... i to wszystko w ciągu siedemdziesięciu dwu godzin.

– Dzięki temu pod koniec tygodnia wszystko wróci do normy – stwierdziła Charlie.

– Tani dowcip – odparł po angielsku dyplomata. March zmierzył go wzrokiem.

– Co pan powiedział, mister Nightingale?

– Powiedziałem, Herr Sturmbannführer, że zamierzam porozmawiać z ambasadorem, a ambasador będzie musiał porozmawiać z Waszyngtonem. I wydaje mi się, że zarówno ambasador, jak i Waszyngton będą chcieli zobaczyć coś bardziej konkretnego niż to – stwierdził, rzucając na podłogę fotokopie – zanim otworzą bramę ambasady przed człowiekiem, który jak wynika z tego, co pan sam mówi, jest najprawdopodobniej pospolitym przestępcą.

– Ale Luther zaferuje wam konkretne dowody.

– To pan tak mówi. Ale nie wydaje mi się, żeby Waszyngton chciał ryzykować cały postęp, jaki poczyniono w tym tygodniu na drodze odprężenia, tylko z powodu pańskich... teorii.

Teraz z kolei zerwała się na nogi Charlie.

– To draństwo. Jeśli Luther nie pójdzie razem z tobą prosto do ambasady, zaaresztują go i zabiją.

– Przykro mi, Charlie. Po prostu nie mogę tego zrobić. Zastanów się! – Teraz prawie ją prosił. – Nie możemy przyjmować każdego starego nazisty, który chce uciec do Ameryki. Zwłaszcza w obecnej sytuacji.

– Nie wierzę własnym uszom. – Oparła ręce na biodrach i wbiła wzrok w podłogę, potrząsając głową.

– Po prostu przez chwilę się nad tym zastanów. – W jego głosie zabrzmiało błaganie. – Ten facet, Luther, chce uzyskać azyl. Niemcy powiedzą: przekażcie go nam z powrotem, właśnie popełnił morderstwo. My powiemy: nie, bo facet chce nam powiedzieć, co wy, sukinsyny, zrobiliście z Żydami podczas wojny. Jak to się odbije na zapowiadającym szczyt? Nie, Charlie, nie odwracaj po prostu głowy. Pomyśl. W nocy ze środy na czwartek

Kennedy zyskał dziesięć punktów w przedwyborczych sondażach. Jak zareaguje Biały Dom, kiedy podrzucimy im taką świnię? – Po raz drugi tej nocy Nightingale ujrzał wszystkie implikacje i po raz drugi przeszedł go dreszcz. – Jezu Chryste, Charlie, w coś ty się wplątała?!

Amerykanie kłócili się przez kolejne dziesięć minut.

– Czy o czymś pan nie zapomniał, mister Nightingale? – odezwał się w końcu cicho March.

Amerykanin niechętnie odwrócił się od Charlie.

– Być może. To pan jest policjantem. Pamiętaj pan o wszystkim.

– Wydaje mi się, że wszyscy: pan, ja i Gestapo nie doceniamy towarzysza Luthera. Pamiętaj pan, co powiedział Charlie: „Pani musi tam być także...”

– I co z tego?

– Wiedział, jak zareagujecie. Niech pan nie zapomina, że Luther pracował w Ministerstwie Spraw Zagranicznych. Domyśla się, że przed zbliżającym się szczytem Amerykanie najchętniej

oddaliby go z powrotem w ręce Gestapo. W innym przypadku już w poniedziałek wieczór pojechalby prosto z lotniska do ambasady. Dlatego właśnie chce zaangażować w sprawę dziennikarza. W charakterze świadka. – Xavier pochylił się i podniósł dokumenty. – Wybaczcie, jako prosty policjant niezbyt dobrze rozumiem niuanse funkcjonowania amerykańskiej prasy. Ale Charlie ma już materiał do artykułu, prawda? Ma śmierć Stuckarta, ma szwajcarskie konto bankowe, ma te papiery i nagranie rozmowy z Lutherem... – Odwrócił się do niej. – Czy fakt, że rząd amerykański postanowił nie przyznać azylu Lutherowi i chce go oddać w ręce Gestapo, nie sprawi przypadkiem, że cała ta sprawa stanie się jeszcze bardziej łakomym kąskiem dla zdegenerowanej amerykańskiej prasy?

– Możesz się założyć – mruknęła Charlie.

Nightingale ponownie zaczął sprawiać wrażenie zdesperowanego.

– Daj spokój, Charlie. Wszystko to było poza protokołem. Ani razu nie powiedziałem, że się z tym wszystkim zgadzam. W ambasadzie jest wiele osób, które tak jak ja uważają, że Kennedy w ogóle nie powinien tu przyjeżdżać. W żadnym wypadku. Kropka. – Poprawił krawat. – Ale ta sprawa jest piekielnie skomplikowana.

W końcu doszli do porozumienia. Nightingale miał za pięć dziesiątą spotkać się z Charlie na stopniach Wielkiego Pałacu. Zakładając, że Luther w ogóle się pojawi, mieli jak najszybciej wepchnąć go do prowadzonego przez Marcha samochodu. Amerykanin miał wysłuchać opowieści Luthera i dopiero potem postanowić, czy zawieźć go do ambasady. Zobowiązał się także nie informować o całym planie ambasadora, Waszyngtonu i w ogóle nikogo. Kiedy już znajdą się wewnątrz kompleksu ambasady, o losie Luthera miały zdecydować „wyższe władze” – ale będą to musiały uczynić ze świadomością, że Maguire nagłośni całą sprawę w środkach masowego przekazu. Charlie ze swej strony była przekonana, że Departament Stanu nie ośmieli się wydać Luthera Niemcom.

Inną kwestią było, jak przeszmuglują go za granicę.

– Mamy swoje sposoby – oświadczył Nightingale. – Zajmowaliśmy się uciekinierami już wcześniej. Ale nie będę na ten temat dyskutował w obecności oficera SS, choćby był nie wiadomo jak bardzo godzien zaufania. – Najwięcej, stwierdził, martwi się o Charlie. – Chcąc cię uciszyć będą na ciebie wywierali olbrzymią presję.

– Poradzę sobie.

– Nie bądź tego taka pewna. Ludzie Kennedy'ego walczą poniżej pasa. W porządku. Załóżmy, że Luther coś ma. Przypuśćmy, że wszyscy się tym podniecą. *Zaczną* się demonstracje, artykuły wstępne, mowy w Kongresie. To jest rok wyborów, pamiętaj. I tuż przed szczytem Biały Dom znajdzie się nagle w poważnych opałach. Jak twoim zdaniem zareaguje?

– Poradzę sobie.

– Wyleją ci na głowę ciężarówkę gówna, Charlie. I na głowę tego twojego starego nazisty. Co jest w tym nowego, zapytają. Ta sama stara śpiewka, którą słyszymy od dwudziestu lat, plus parę dokumentów, sfabrykowanych prawdopodobnie przez komunistów. Kennedy pokaże się w telewizji. Zastanówcie się, moi rodacy, powie. Dlaczego cała ta sprawa wypłynęła właśnie teraz? W czyim interesie jest zerwanie szczytu? – Amerykanin pochylił się tak, że jego twarz znalazła się o kilka centymetrów od twarzy Charlie. – Napuszczą na ciebie Hoovera i FBI. Znasz jakichś lewicowców, Charlie? Jakichś żydowskich działaczy? Spałaś z jakimś? Bo jestem na sto procent pewien, że znajdą paru takich, którzy przysięgną, że to robili, choćbyś nie widziała żadnego na oczy.

– Odwal się, Nightingale. – Odepchnęła go pięścią. – Odwal się.

Nightingale naprawdę był w niej zakochany, pomyślał March. Beznadziejnie, po uszy zakochany. Charlie wiedziała o tym i bawiła się z nim jak kot z myszą. Przypomniawszy sobie pierwszą noc, kiedy zobaczył ich razem w barze: jak strząsnęła z ramienia jego wyciągniętą dłoń. Dziś w nocy: jak Amerykanin spoglądał na nich, kiedy Xavier pocałował Charlie; jak cierpliwie znosił jej humory, jak nie spuszczał z niej maślanych oczu. Jej szept w Zurychu: „Pytałeś, czy jest moim kochankiem... Chciałby być...”

Zanim zniknął w mroku, stał przez chwilę w nieprzemakalnym płaszczu w progu jej mieszkania: zagubiony, niepewny, niechętnie pozostawiający ich razem.

Na pewno przyjdzie na spotkanie z Lutherem, pomyślał March. Choćby po to, żeby chronić ją przed niebezpieczeństwem.

Po wyjściu Nightingale'a leżeli obok siebie na wąskim łóżku. Przez dłuższy czas żadne z nich się nie odezwało. Przez okno wpadało światło ulicznych latarni; sufit przecinał przypominający więzienną kratę cień okiennej ramy. Lekki powiew wiatru unosił zasłony. Raz doszły ich jakieś krzyki i trzaśnięcie drzwi samochodu – to rozbawieni berlińczycy wracali z pokazu ogni sztucznych.

– Powiedziałaś wczoraj przez telefon, że coś znalazłaś – przypomniał sobie March, kiedy głosy oddaliły się.

Dotknęła jego ręki i wstała z łóżka. Słyszał, jak szuka czegoś wśród stosów papieru w salonie. Minutę później wróciła, dźwigając pod pachą duże album.

– Kupiłam to w drodze powrotnej z lotniska. – Usiadła na skraju łóżka, włączyła lampę i znalazła właściwą stronę. – Tutaj – powiedziała, wręczając Xavierowi otwarte album.

To była czarno-biała reprodukcja obrazu, który oglądali w szwajcarskim skarbcu. Nie oddawała w pełni jego walorów. March zaznaczył stronę palcem i zamknął książkę, żeby przeczytać tytuł. „Sztuka Leonarda da Vinci” pióra profesora Arna Brauna z Kaiser Friedrich Museum w Berlinie.

– Mój Boże.

– Wiem. Już w Szwajcarii wydawało mi się, że go poznaję. Przeczytaj.

Historycy sztuki nadali mu tytuł „Dama z łasiczką”. „Jedno z najbardziej tajemniczych dzieł Leonarda”. Uważa się, że zostało namalowane między rokiem 1483 a 1486 i „przedstawia Cecilie Gallerani, młodą kochankę Lodovico Sforzy, władcy Mediolanu”. Na temat obrazu istnieją dwie publiczne wzmianki: jedna znajduje się w poemacie zmarłego w roku 1492 Bernardina Bellincioniego; drugą stanowi dwuznaczna, zamieszczona w liście z roku 1498 uwaga samej

Cecilii Gallerani o „niedojrzałym” portrecie. „Na nieszczęście dla studiujących sztukę Leonarda badaczy prawdziwą tajemnicę stanowi obecne miejsce przechowywania obrazu. Wiadomo, że pod koniec osiemnastego wieku wszedł w skład kolekcji polskiego księcia Adama Czartoryskiego i został sfotografowany w Krakowie w roku 1932. Następnie zaginął, padając ofiarą tego, co Karl von Clausewitz tak elokwentnie nazywa »wojennym zamętem«. Wszelkie wysiłki władz Rzeszy, mające na celu zlokalizowanie obrazu, okazały się do tej pory daremne i można się obawiać, że to bezcenne dzieło włoskiego Renesansu zostało raz na zawsze stracone dla ludzkości”. Xavier zamknął album.

– Zdaje mi się, że masz kolejny temat.

– I to nadzwyczajny. Na całym świecie jest tylko dziewięć obrazów, co do których wiadomo na sto procent, że są pędzla Leonarda. – Uśmiechnęła się. – Jeśli tylko uda mi się stąd wydostać, zrobię prawdziwą furorę.

– Nie martw się. Jakoś cię wyprawimy. – Położył się na plecach i zamknął oczy. Po kilku chwilach usłyszał, jak Charlie odkłada album. Położyła się obok i przytuliła do jego boku.

– A ty? – szepnęła mu do ucha. – Wyjedziesz stąd razem ze mną?

– Nie możemy teraz rozmawiać. Nie tutaj.

– Przepraszam. Zapomniałam.

Czubek jej języka dotknął jego ucha. Poczł mrowienie, jakby poraził go prąd. Jej dłoń musnęła lekko jego nogę. Zaczęła wodzić palcami po wewnętrznej stronie jego uda. Mruknął coś, ale podobnie jak w Zurychu położyła mu palec na ustach.

– Kto się pierwszy odezwie, daje fant.

Później nie mogąc zasnąć, wsłuchiwał się w jej oddech. Co jakiś czas wydawała ciche pomruki. A potem odwróciła się do niego z głośnym jękiem. Rzucona na poduszkę ręka zasłaniała jej twarz. Najwyraźniej z kimś walczyła. Gładząc ją po zmierzwionych włosach poczekał, aż oddali się dręcząca ją zmora, a potem wyslizgnął się cicho spod kołdry.

Kuchenna podłoga ziębiła stopy. Otworzył kilka szafek. W środku stały zakurzone talerze i w połowie puste opakowania z żywnością. Przedpotopowa lodówka wyglądała, jakby wypożyczono ją z jakiegoś instytutu biologii; zawartość pokryta była niebieskim nalotem i nakrapiana egzotycznymi plamkami pleśni. Najwyraźniej nie myślano tutaj zbyt wiele o zaopatrzeniu domu. Postawił wodę na gaz, wypłukał kubek i wsypał do niego trzy łyżeczki rozpuszczalnej kawy.

Popijając gorzki napój włóczył się po mieszkaniu. W salonie stanął przy oknie i odsunął lekko zasłonę. Bülow Strasse była pusta. Za słabo oświetloną budką telefoniczną widać było ciemny zarys wejścia na stację. Zasunął z powrotem zasłonę.

Ameryka. Myśl, że mógłby się tam znaleźć, nigdy przedtem nie przyszła mu do głowy. Jego umysł wypełnił się obrazami, które starannie umieścił tam doktor Goebbels. Żydzi i Murzyni. Kapitałiści w wysokich cylindrach i zadymione fabryki. Żebracy na ulicach. Bary ze striptizem. Strzelający do siebie z wielkich samochodów gangsterzy. Pożary wielkich kamienic i jazzowa muzyka niosąca się przez murzyńskie getta niczym wycie policyjnych syren. Szczerczący zęby Kennedy. Ciemne oczy i jasne nogi Charlie. Ameryka.

Wszedł do łazienki. Ściany były zaparowane i pokryte plamami mydła. Wszędzie stały buteleczki, tubki i małe słoiczki. Tajemnicze kobiece przedmioty ze szkła i plastiku. Minęło mnóstwo czasu, odkąd po raz ostatni odwiedził kobiecą łazienkę. Człł się tu obco i niezgrabnie – niczym niezdarny ambasador innego gatunku. Wziął do ręki kilka kosmetyków i powąchał je, a potem nałożył na palec wskazujący trochę kremu i roztarł go kciukiem. Jej zapach mieszał się na jego rękach z innymi.

Owinął się w duży ręcznik i usiadł na podłodze, żeby się zastanowić. Zanim zaczęło świtać, usłyszał, jak Charlie trzy albo cztery razy krzyknęła przez sen. W jej głosie brzmiał autentyczny strach. Czy wracała do niej przeszłość, czy bała się przyszłości? Chciałby to wiedzieć.

2

Tuż przed siódmą March wyszedł na Bülow Strasse. Jego volkswagen stał zaparkowany sto metrów dalej po lewej stronie ulicy, obok sklepu rzeźnika. Właściciel wieszał właśnie w witrynie potężne kawały mięsa. Stos leżących na tacy krwistych kielbas nieodparcie z czymś się Marchowi kojarzył.

Paluchy Globusa, tak, to było to – te wielkie czerwone pięści.

Pochylił się nad tylnym siedzeniem samochodu, wyciągnął na zewnątrz walizkę i wyprostowując się rozejrzał szybko dookoła. Nie zauważył nic podejrzanego: normalny sobotni

wczesny ranek. Większość sklepów otwierano o tej samej porze co zwykle; w związku ze świętem miały być czynne tylko do pierwszej.

Wróciwszy do mieszkania, zrobił więcej kawy, postawił pełen kubek na stoliku przy łóżku Charlie i poszedł do łazienki się ogolić. Po kilku minutach usłyszał, jak wchodzi i staje tuż za nim. Objęła go w pół, przytulając piersi do jego nagich pleców. Nie odwracając się pocałował ją w rękę. SPAKUJ SIĘ. NIE WRACAMY TU JUŻ, napisał palcem na zaparowanym lustrze. Starł napis i pierwszy raz chyba zobaczył ją wyraźnie w świetle dnia – z rozczochraną głową, na pół przymkniętymi powiekami, rysami twarzy wciąż miękkimi od snu. Kiwnęła głową i ruszyła z powrotem do sypialni.

Podobnie jak to zrobił przed odlotem do Zurychu, ubrał się w cywilne ubranie. Z niewielką różnicą: tym razem luger wylądował w prawej kieszeni trenca. Płaszcz – kupiony przez niego tanio i dawno temu z nadwyżek Wehrmachtu – był wystarczająco obszerny, żeby nikt nie zorientował się, że ma przy sobie broń. Gdyby chciał, mógł wsadzić rękę do kieszeni i wziąć kogoś w gangsterskim stylu na muszkę: „Okay, koleś, idziemy”. Uśmiechnął się pod nosem. Znowu Ameryka.

Fakt, że mogą być podsłuchiwani, kładł się cieniem na ich przygotowaniach. Poruszali się w milczeniu po mieszkaniu. Dziesięć po ósmej Charlie była gotowa. March przeniósł radio z łazienki do salonu i nastawił je na pełny regulator.

– Z obrazów przysyłanych na wystawę wynika jasno, że oczy niektórych ludzi widzą rzeczywistość inaczej, niż ona wygląda: że naprawdę istnieją osobnicy, według których łąka jest niebieska, niebo zielone, a chmury żółte jak siarka... – Weszło już w zwyczaj, że w tych dniach nadawano ponownie najbardziej słynne mowy Führera. To przemówienie powtarzano rok w rok: atak na nowoczesnych malarzy wygłoszony w roku 1937 z okazji otwarcia Domu Niemieckiej Sztuki.

Ignorując cichy protest Charlie, wziął oprócz swojej również jej walizkę. Charlie założyła swój niebieski płaszcz. Na jedno ramię zarzuciła skórzaną torbę, na drugim zawiesiła aparat. W progu obróciła się, żeby po raz ostatni rozejrzeć się po mieszkaniu.

– Albo ci „artyści” naprawdę widzą przedmioty w ten sposób i wierzą, że wyglądają one właśnie tak, jak je przedstawiają; wtedy należy zapytać, jak powstała wada ich wzroku, i jeśli okaże się dziedziczna, nakazać ministrowi spraw wewnętrznych powstrzymanie dalszego rozprzestrzeniania się tak upiornego defektu. Albo sami nie wierzą w przedstawianą przez siebie rzeczywistość, ale z jakichś innych względów dążą do tego, żeby narzucić ją narodowi; wtedy sprawą powinien zająć się prokurator...

Zamykając drzwi słyszeli za sobą gromkie brawa i śmiechy.

– Jak długo to potrwa? – zapytała go szeptem Charlie, kiedy schodzili po schodach.

– Cały weekend.

– Sąsiedzi powinni być zadowoleni.

– Oby tylko któryś nie zebrał się na odwagę i nie poszedł poprosić cię o ściszenie radia.

Na dole, nieruchoma niczym wartownik, stała dozorczyń. W rękę trzymała butelkę mleka, pod pachą egzemplarz „Völkischer Beobachter”.

– Dzień dobry, Fräulein – zwróciła się do Charlie, nie odrywając wzroku od Marcha.

– Dzień dobry, Frau Schustermann. To mój kuzyn z Aachen. Mamy zamiar sfotografować spontanicznie bawiącą się na ulicach ludność – powiedziała, dotykając ręką aparatu. – Szybciej, Haraldzie, bo się spóźnimy.

Starsza kobieta nadal mierzyła surowym wzrokiem Xaviera i zaczął się obawiać, czy przypadkiem go nie rozpoznała. Było to raczej wątpliwe: zapamiętała najprawdopodobniej tylko mundur. Po kilku chwilach odchrząknęła i powłócząc nogami wróciła do swojego mieszkania.

– Kłamiesz bardzo przekonująco – powiedział March, kiedy znaleźli się na ulicy.

– Dziennikarski nawyk – odparła. Ruszyli szybko w stronę volkswagena. – To szczęście, że nie miałeś na sobie munduru. Z pewnością chciałyby ci wtedy zadać parę pytań.

– Luther w życiu nie wsiadłby do samochodu prowadzonego przez umundurowanego Sturmbannführera SS. Czy przypominam szofera ambasady?

– Tylko bardzo dystyngowanego.

Wepchnął obie walizki do bagażnika i wsiedli do środka.

– Nie możesz tam nigdy wrócić, zdajesz sobie sprawę? – powiedział, zanim zapalił silnik. – Niezależnie od tego, czy nam się uda, czy nie. Pomoc udzielona uciekinierowi czyni z ciebie kogoś w rodzaju szpiega. To już nie będzie kwestia deportacji, ale coś o wiele poważniejszego.

Machnęła z lekceważeniem ręką.

– I tak nigdy się tu dobrze nie czułam.

Obrócił kluczyk w stacyjce, wrzucił bieg i ruszył do przodu.

Jadąc ostrożnie i sprawdzając co pół minuty, czy nikt ich nie śledzi, dotarli za dwadzieścia dziewięć do Adolf Hitler Platz. March okrążył cały plac. Kancelaria Rzeszy, Wielki Pałac, budynki Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu – wszystko wyglądało tak, jak powinno: błyszczące frontony, wyprężeni na baczność wartownicy; wszystko w tak samo nieludzkiej skali jak zwykle.

Z tuzina autokarów wysiadali, otwierając usta z przejęcia, pierwsi turyści. Po śnieżnobiałych schodach Wielkiego Pałacu, zmierzając w stronę kolumn z czerwonego granitu, wspinały się niczym sznur mrówek idące parami dzieci. Pośrodku placu, wokół znajdujących się tam wielkich fontann, leżały stosy barier, gotowych do ustawienia w poniedziałek rano, kiedy, jak co roku, Führer miał przejechać z Kancelarii Rzeszy do Wielkiego Pałacu, a potem, już po ceremonii dziękczynienia, wrócić do swojej rezydencji i pojawić się na balkonie, naprzeciwko którego wzniosła już wysokie rusztowanie niemiecka telewizja. Konstrukcję z rur otaczały ciasnym wianuszkiem wozy transmisyjne.

Xavier wjechał na parking i zatrzymał się tuż obok autokarów. Przez pasma ruchu miał stąd szeroki widok na fasadę Pałacu.

– Wejdz po schodach – powiedział – zajrzyj do środka, kup jakiś przewodnik, zachowuj się tak naturalnie, jak potrafisz. Kiedy pojawi się Nightingale, wpadnij na niego: jesteście starymi przyjaciółmi, czy to nie cudowne i tak dalej. Stańcie na chwilę na schodach i rozmawiajcie.

– A ty?

– Kiedy tylko zobaczę, że nawiązaliście kontakt z Lutherem, podjadę i zabiorę was. Tylne drzwi nie będą zamknięte. Nie wchodźcie za wysoko na górę, trzymajcie się blisko jezdni. I nie dajcie mu się wciągać w dłuższą rozmowę: musimy się stąd szybko wynosić.

Zniknęła, zanim zdążył jej życzyć powodzenia.

Luther dobrze wybrał to miejsce. Plac obfitował w wiele dogodnych punktów obserwacyjnych; starzec mógł nie spuszczać z oczu schodów Pałacu, samemu nie wychodząc z ukrycia. Nikt nie powinien zwrócić uwagi na spotkanie trójki cudzoziemców. A gdyby coś poszło nie tak, tłumy turystów zapewniały doskonałą osłonę podczas ucieczki.

March zapalił papierosa. Zostało jeszcze dwanaście minut. Patrzył, jak Charlie wspina się po długich schodach. Stała na górze, żeby zaczerpnąć oddechu, a potem odwróciła się i zniknęła w środku gmachu.

Wszędzie panowała zwiększona aktywność. Plac okręgały białe taksówki i długi zielony mercedes Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. Technicy telewizyjni sprawdzali kąty ustawienia

kamer, przekazując sobie krzykiem instrukcje. Straganiarze wykładali na lady swój towar: pocztówki, gazety, lody, kawę i kielbaski. Szwadron lecących w ścisłym szyku gołębi zatoczył krąg nad głowami tłumu i trzepocząc skrzydłami wylądował obok jednej z fontann. W stronę ptaków ruszyło, wymachując ramionami, kilku młodych chłopców w mundurkach Deutsches Jungvolk i Xavier pomyślał o Pilim; dotkliwie ukłucie bólu sprawiło, że zamknął na chwilę oczy, powierzając swoją winę ciemności.

Dokładnie za pięć dziesiątą Charlie wyszła z cienia i ruszyła w dół schodów. W jej stronę zmierzał mężczyzna w nieprzemakalnym płaszczu. Nightingale.

Nie zachowuj się zbyt ostentacyjnie, idioto...

Charlie zatrzymała się i rozpostarła szeroko ramiona – doskonała imitacja pełnego zaskoczenia. Zaczęli rozmawiać.

Za dwie dziesiątą.

Czy Luther przyjdzie? Jeśli tak, to skąd? Ze wschodu, od strony Kancelarii? Z zachodu, od strony budynku Naczelnego Dowództwa? Czy może z północy, pokonując po drodze cały plac?

Nagle w oknie po lewej stronie pojawiła się dłoń w rękawiczce. Należała do ubranego w skórzany mundur funkcjonariusza Orpo z drogówki.

March odkręcił szybę.

– Nie wolno tutaj parkować – oświadczył gliniarz.

– Rozumiem. Za dwie minuty już mnie tu nie będzie.

– Żadne dwie minuty. Teraz. – Facet był gorylem, który uciekł z berlińskiego zoo.

Nie spuszczać z oczu schodów March wyciągnął z wewnętrznej kieszeni legitymację Kripo.

– Źle pogrywasz, przyjacielu – syknął. – Wpieprzyłeś się w sam środek prowadzonej przez Sipo akcji inwigilacyjnej i jeśli nie dasz sobie na wstrzymanie, wszystko może wziąć przez ciebie w łeb.

Gliniarz wydarł mu z ręki legitymację i przytknął ją do oczu.

– Nikt mi nie mówił o żadnej inwigilacji, Herr Sturmbannführer. Co to za operacja? Kto jest obserwowany?

– Wszyscy. Komuniści. Masoni. Studenci. Słowianie.

– Nikt mi o tym nie powiedział. Muszę sprawdzić.

March zacisnął ręce na kierownicy, żeby opanować ich drżenie.

– Przestrzegamy ciszy w eterze. Jeśli ją naruszysz, Heydrich osobiście przerobi ci jaja na spinki do mankietów. Masz to jak w banku. A teraz oddaj mi legitymację.

Z twarzy orpowca nie znikwały wątpliwości. Przez chwilę wyglądał, jakby miał zamiar wywlec Marcha z samochodu, ale potem powoli oddał mu legitymację.

– No nie wiem...

– Dziękuję za współpracę, Unterwachtmeister. – March zakręcił szybę, zamykając w ten sposób dyskusję.

Minuta po dziesiątej. Charlie i Nightingale wciąż pogrążeni byli w rozmowie. Xavier spojrzął w lusterko. Gliniarz cofnął się kilka kroków, stanął w miejscu i wpatrywał się w samochód. Przez chwilę się namyślał, a potem najwyraźniej podjął decyzję – podszedł do swego motocykla i podniósł do ust mikrofon.

March zaklął pod nosem. Zostały mu najwyżej dwie minuty.

Nadal ani śladu Luthera.

A potem zobaczył go. Z Wielkiego Pałacu wynurzył się ubrany w postrzępione palto mężczyzna w grubych oprawkach okularów. Przez chwilę stał w miejscu, rozglądając się dookoła i opierając

dłoń o jedną z granitowych kolumn, tak jakby bał się jej puścić. A potem z wahaniem ruszył powoli w dół schodów.

March zapalił silnik.

Charlie i Nightingale wciąż stali odwrócenymi plecami do Luthera. Szedł prosto w ich stronę.

Szybciej. Szybciej. Obejrzyj się za siebie, na litość boską!

W tym momencie Charlie obróciła się. Zobaczyła starca i rozpoznała go. Luther wyciągnął rękę niczym wyczerpany, dopływający do brzegu pływak.

To się nie może udać, pomyślał nagle March. Coś jest nie w porządku. Coś, czego nie przewidziałem.

Luther miał do Charlie nie więcej niż pięć metrów, kiedy nagle zniknęła jego głowa. Rozprysła się w podmuchu czerwonych mokrych trocin; a potem ciało starca runęło do przodu i stoczyło się po schodach, a Charlie podniosła rękę, zasłaniając twarz przed bryzgami krwi i mózgu.

Sekunda. Półtoręj. Dopiero teraz przez Adolf Hitler Platz przetoczył się terkot szybkostrzelnego karabinu maszynowego. Przestraszone gołębie wzbiły się w powietrze i zawirowały niczym strzępy szarego papieru nad całym placem.

Ludzie zaczęli krzyczeć.

March wrzucił bieg, włączył kierunkowskaz i wjechał na jezdnię, nie zwracając uwagi na wściekłe trąbienie. Przeciął jedno pasmo, potem następne; jechał jak człowiek, który uwierzył, że nie może mu się stać nic złego; jakby od kolizji mogła go uchronić sama tylko wiara i siła woli. Widział, jak wokół ciała, z którego ściekały w dół krew i mózg, zgromadziła się mała grupka. Słyszał policyjne gwizdki. Ze wszystkich stron zbliżały się czarne mundury – widział wśród nich Globusa i Krebsa.

Nightingale złapał Charlie za ramię i odciągnął na bok, kierując się w stronę jezdni. Xavier wcisnął hamulec. Dyplomata otworzył na oścież drzwiczki samochodu, wepchnął Charlie na tylne siedzenie i wcisnął się w ślad za nią. Trzasnęły zamykane drzwi; volkswagen skoczył do przodu.

Zostaliśmy zdradzeni.

W konferencji uczestniczyło czternaście osób; nie ocalała żadna z nich.

Widział wyciągniętą rękę Luthera, tryskającą z jego szyi fontannę krwi, walący się w dół tułów. Biegnącego Globusa i Krebsa. Luther zabrał swoją tajemnicę do grobu; nie było już ratunku...

Zdradzeni...

Zajechał na podziemny parking przy Rosen Strasse, niedaleko giełdy, tam gdzie kiedyś stała synagoga i gdzie najchętniej spotykał się ze swoimi informatorami. Czy można sobie było wyobrazić bardziej odludne miejsce? Wyjął bilet z automatu i wjechał samochodem na stromą rampę zjazdową. Opony mlaskały po betonie; światło reflektorów wyławiało z ciemności stare, przypominające skalne rysunki plamy po oleju i węglu.

Poziom drugi był pusty – w sobotę finansowa dzielnica Berlina zamieniała się w pustynię. March zaparkował w centralnej zatoce. Kiedy zgasił silnik, zapadła kompletna cisza.

Nikt się nie odzywał. Charlie czyściła swój płaszcz papierową chusteczką. Nightingale zamknął oczy i odchylił głowę do tyłu. Nagle Xavier wałnął pięściami w kierownicę.

– Komu powiedziałeś? Amerykanin otworzył oczy.

– Nikomu.

– Ambasadorowi? Ludziom w Waszyngtonie? Rezydentowi wywiadu?

– Powiedziałem już: nikomu. – W jego głosie zabrzmiał gniew.

– To nic nie da – odezwała się Charlie.
– To obraźliwe i absurdalne. Chryste, wy dwoje...
– Rozważmy wszystkie możliwości. – March zaczął wyliczać je na palcach. – Luther sam się komuś wygadał: śmieszne. W budce przy Biilow Strasse założony był podsłuch: niemożliwe. Nawet Gestapo nie stać na to, żeby podsłuchiwać wszystkie budki telefoniczne w Berlinie. Doskonale. Więc może podsłuchano nas w nocy w łazience? Mało prawdopodobne, skoro sami ledwie się słyszeliśmy.
– Dlaczego ktoś musiał kogoś podsłuchać? Może po prostu szli za Lutherem?
– W takim razie dlaczego nie zgarnęli go wcześniej? Dlaczego zastrzelili go w miejscu publicznym dokładnie wtedy, kiedy zamierzał się skontaktować?
– Patrzył prosto na mnie... – Charlie skryła twarz w dłoniach.
– To wcale nie musiałem być ja – oświadczył Nightingale. – Przeciek mógł równie dobrze pochodzić od któregoś z was.
– Jakim cudem? Całą noc byliśmy razem.
– Tego jestem pewien – syknął wściekle i złapał za klamkę. – Powinnaś wrócić ze mną do ambasady, Charlie. Teraz. Wsadzimy cię do pierwszego samolotu, wylatującego dziś w nocy z Berlina, i będziemy się modlić, żeby nikt nie skojarzył cię z tym, co się stało. Chodź.
Potrząsnęła głową.
– Jeśli nie martwisz się o siebie, pomyśl o swoim ojcu.
– A co on ma z tym wspólnego? – zapytała sceptycznie. Amerykanin wygramolił się z volkswagena.
– Nie powinienem nigdy godzić się na to szaleństwo. Jesteś głupia jak but. A ten facet – powiedział, kiwając głową w stronę Marcha – jest już martwy.
Odszedł od samochodu. Odgłosy jego kroków odbijały się echem od ścian parkingu – z początku głośno, potem coraz ciszej. Trzasnęły zamykane metalowe drzwi i Nightingale zniknął im z oczu.
Xavier spojrzał na Charlie w lusterku. Wydawała się bardzo mała, zwinięta w kłębek na tylnym siedzeniu.
Gdzieś daleko rozległ się jakiś hałas. To uniosła się bariera przed wjazdem na rampę. Na dół zjeżdżał samochód. March poczuł, jak nagle ogarnia go panika. Miejsce ich schronienia mogło równie dobrze okazać się pułapką.
– Nie możemy tutaj zostać – powiedział, zapalając silnik. – Musimy być w ciągłym ruchu.
– W takim razie chcę zrobić więcej zdjęć.
– Musisz?
– Ty zbierasz swoje dowody, ja gromadzę moje.
Popatrzył na nią ponownie. Odłożyła na bok chusteczkę i wlepiła w niego oczy. Malował się w nich rodzaj kruchej determinacji. Zdjął nogę z hamulca. Jazda przez miasto była ryzykowna, nie miał co do tego wątpliwości, ale co innego mu zostało? Położyć się za zamkniętymi drzwiami i czekać, aż po niego przyjdą?
Skręcił i wjechał na rampę wyjazdową w tej samej chwili, kiedy z tyłu zaślnęły światła reflektorów.

3

Zaparkowali przy Haweli i podeszli do brzegu. March pokazał jej miejsce, w którym odnalezione zostało ciało Buhlera. Zrobiła parę zdjęć, podobnie jak przed czterema dniami Spiedel, ale nie było specjalnie czego fotografować. W błocie pozostało kilka ledwie widocznych odcisków

butów. W miejscu, w którym z wody wyciągnięto ciało, zgnieciona była trawa. Za dzień albo dwa zniknie nawet i to. Charlie odwróciła się od jeziora i drżąc z zimna otuliła szczelniej płaszczem.

Jazda do willi Buhlera była zbyt niebezpieczna, zatrzymał się więc, nie gasząc silnika, przy końcu grobli. Charlotte wychyliła się przez okno, żeby zrobić zdjęcie drogi prowadzącej na wyspę. Czerwono-biały szlaban był opuszczony. Ani śladu wartownika.

– To wszystko? – zapytała. – „Life” nie zapłaci mi wiele za te zdjęcia.

Przez chwilę się zastanawiał.

– Może pokażę ci jeszcze jedno miejsce.

Dom pod numerem 56/58 przy Am grossen Wannsee okazał się dużym dziewiętnastowiecznym pałacykiem z biegnącą wzdłuż fasady kolumnadą. Nie mieściła się już w nim kwatera niemieckiego Interpolu. W okresie powojennym w budynku znalazła siedzibę szkoła dla dziewcząt. Wysadzana kwitnącymi drzewami ulica tonęła w zieleni i różu. March rozejrzał się na wszystkie strony i nacisnął klamkę furtki. Nie była zamknięta. Dał znak Charlie, żeby podeszła bliżej.

– Jesteś moją żoną – powiedział, otwierając furtkę. – Mamy córeczkę...

Kiwnęła głową.

– Tak, oczywiście. Nazywa się Heidi. Ma siedem lat i małe warkoczyki...

– Nie czuje się zbyt dobrze w obecnej szkole. Ten zakład polecili nam znajomi. Chcieliśmy się rozejrzeć... – Weszli na teren posesji. Xavier zamknął z powrotem furtkę.

– Ale jeżeli naruszamy cudzy teren, oczywiście bardzo przepraszamy – dodała. – Czy Frau March nie wygląda zbyt młodo, żeby mieć siedmioletnią córkę?

– W wieku osiemnastu lat uwiódł ją przystojny inspektor...

– Brzmi to dosyć prawdopodobnie.

Kolista, wysypany żwirem podjazd biegł wokół obsadzonych kwiatami grządek. Xavier próbował sobie wyobrazić, jak mogło to wszystko wyglądać w styczniu 1942. Ziemia przyprószona śniegiem albo pokryta szronem. Bezlistne drzewa. Przy wejściu kilku drżących z zimna strażników. Zajeżdżające jeden po drugim rządowe samochody, chrzęst opon po oblodzonym żwirze. Adiutant, który salutuje i daje krok do przodu, żeby otworzyć drzwiczki. Stuckart: przystojny i elegancki. Buhler: ze swymi starannie ułożonymi w teczce notatkami prawnika, Luther: mrugający zza grubych szkielek okularów. Czy kiedy oddychali, z ich ust unosiły się obłoki pary? I Heydrich. Czy przybył pierwszy, jako gospodarz? Czy ostatni, żeby pokazać, kto tu jest panem? Czy jego wiecznie blade policzki zaróżowił mróz?

Budynek był zamknięty i opustoszały. Podczas gdy Charlie robiła zdjęcia, March precyzyjnie przeszedł przez niskie krzaki, żeby zajrzeć do środka klasy. Rzędy małych ławek, na blatach których ustawiono małe, jakby zaprojektowane dla krasnoludków, odwrócone do góry nogami krzeselka. Dwie tablice, na których zapisano teksty specjalnych partyjnych modlitw.

PRZED POSIŁKIEM

Führerze, mój Führerze, zesłany mi przez Pana,
Opiekuj się mną i ochraniaj, jak długo żyję!
Ty uratowałeś Niemcy od najczarniejszej klęski.
Dziękuję ci za codzienny chleb,
Pozostań ze mną długo, nie porzucaj w potrzebie,
Führerze, mój Führerze, świetlisty płomieniu mej wiary!
Heil, mein Führer!

PO POSIŁKU

Dziękuję ci za te obfite dary,
Protektorze młodych i przyjacielu starych!
Wiem, że masz wiele trosk, ale nie martw się,
Jestem z tobą we dnie i w nocy.
Złóż głowę na mym łonie,
Wiedz, mój Führerze, że jesteś wielki!
Heil, mein Führer!

Na dziecinnych wiszących na ścianach rysunkach widać było niebieskie łąki, zielone niebo i żółte niczym siarka chmury. Wyobraźnia dzieci niebezpiecznie zbliżała się do zdegenerowanej sztuki; należało wybić im z głowy całą tę perwersję... Nawet stąd dobiegał Xaviera zapach szkoły: charakterystyczna mieszanka kredowego pyłu, drewnianej podłogi i stęchłego jedzenia ze stołówki.

W sąsiednim ogrodzie ktoś palił mokre drzewo i zeschnięte liście. Za domem snuł się biały gryzący dym. Po obu stronach prowadzących w dół szerokich schodów stały zastygłe w bezruchu, groźne kamienne lwy. Za trawnikiem jaśniała między drzewami matowa tafla Haweli. Spojrzeli na południe. Odległy o mniej niż pół kilometra Schwanenwerder z pewnością było widać z okien na piętrze. Czy kiedy na początku lat pięćdziesiątych Buhler kupował swoją willę, na jego decyzję miała wpływ bliskość tego miejsca – czy przestępcę ciągnęło na miejsce zbrodni? A jeśli tak, to na czym dokładnie polegała ta zbrodnia?

March pochylił się i wziął do ręki garść ziemi. Powąchał ją, a potem pozwolił, by przesypała się między palcami. Ślad wywietrzył przed wieloma laty.

Przy końcu ogrodu stało kilka drewnianych, pozieleniałych ze starości beczek, których ogrodnik używał do zbierania deszczówki. Xavier i Charlie usiedli na nich obok siebie, kiwając w powietrzu nogami i gapiąc się na jezioro. Nigdzie mu się nie spieszyło. Nikt nie powinien ich tutaj szukać.

Ogarnęła go trudna do opisanego melancholia. Cisza, zeschnięte, miotane wiatrem liście, zapach dymu – to wcale nie kojarzyło się z wiosną. Prędzej z jesienią, kiedy wszystko dobiega kresu.

– Czy ci mówiłem – zapytał – że zanim wypłynąłem na morze, w naszym mieście było wielu Żydów? Kiedy wróciłem, wszyscy zniknęli. Pytałem o to. Ludzie mówili, że ewakuowano ich na Wschód. Że zostali przesiedleni.

– Wierzyli w to?

– Publicznie tak, oczywiście. Ale i prywatnie mądrzej było nie spekulować. Mądrzej i łatwiej. Udawać, że to prawda.

– Wierzyłeś w to?

– Nie zastanawiałem się nad tym – odparł. – Kogo to zresztą obchodzi? – dodał nagle. – Przypuśćmy, że wszyscy dowiedzieliby się prawdy. Czy to w istocie ma jakieś znaczenie?

– Ktoś uważa, że ma – przypomniała mu. – Dlatego właśnie zginęli wszyscy uczestnicy zwołanej przez Heydricha konferencji. Wszyscy oprócz samego Heydricha.

Spojrzał w stronę domu. Jego matka, szczerze wierząca w duchy, często powtarzała, że ceglane ściany i cement nasiąkają historią, że magazynują niczym gąbka wszystko to, czego były świadkami. Od tego czasu March oglądał wiele miejsc, w których popełniono różne zbrodnie i trudno mu było w to uwierzyć. Dom pod numerem 56/58 Am grossen Wannsee również nie sprawiał złowrogiego wrażenia. Był zwyczajnym, należącym niegdyś do przemysłowca pałacykiem, który przerobiono na szkołę dla dziewcząt. Co teraz wchłaniały ceglane ściany? Młodzieńcze zauroczenia? Lekcje geometrii? Egzaminacyjne stresy?

Wyciągnął zaproszenie od Heydricha. „Po dyskusji przewidziany jest lunch”. Zaczęli o dwunastej w południe. Skończyli prawdopodobnie o trzeciej albo czwartej. Kiedy wyjeżdżali, musiało już zmierzchać. Żółte lampy w oknach; unosząca się znad jeziora mgła. Czternastu mężczyzn. Dobrze nakarmionych mężczyzn; niektórym zaszumiało być może w głowie podane przez Gestapo wino. Samochody, które miały ich zawieźć z powrotem do śródmieścia. Czekający długo na mrozie, przytupujący nogami kierowcy z nosami niczym lodowe sople...

A po pięciu miesiącach Martin Luther wkracza w środku upalnego lata do zuryskiego gabinetu Hermanna Zaugga, bankiera bogatych i przestraszonych, i zakłada skrytkę z czterema kluczami.

– Zastanawiam się, dlaczego przyszedł z pustymi rękoma.

– Co? – zapytała roztargniona. Wyrwał ją z zamyślenia.

– Zawsze wydawało mi się, że Luther będzie niósł jakąś małą walizeczkę. A jednak kiedy schodził po stopniach na twoje spotkanie, nic przy sobie nie miał.

– Może poupychał wszystko w kieszeniach.

– Może. – Nieruchome wody Haweli wyglądały jak jezioro rtęci. – Ale musiał przecież przylecieć z Zurychu z jakimś bagażem. Spędził za granicą całą noc. I pobrał coś z banku.

Wiatr poruszył drzewami. Xavier rozejrzał się dookoła.

– Stary sukinsyn nigdy nikomu nie ufał. Nie byłby sobą, gdyby nie chował w rękawie jakiegoś asa. Nie zaryzykowałby przekazania Amerykanom od razu wszystkich materiałów: nie mógłby się wtedy z nimi targować.

Nisko nad ich głowami przeleciał schodzący do lądowania odrzutowiec – razem z wysokością lotu obniżał się ton jego silników. Tego dźwięku nie znano w roku 1942...

Nagle March skoczył na nogi, pomógł Charlie zejść z beczki i ruszył wielkimi krokami w stronę domu. Biegła za nim, potykając się, śmiejąc i wołając, żeby zwolnił.

Zaparkował volkswagena na poboczu drogi w Schlachtensee i pobiegł do budki telefonicznej. Max Jaeger nie odbierał telefonu ani przy Werderscher Markt, ani w domu. Słuchając sygnału Xavier zapragnął nagle z kimś się skontaktować, z kimś pogadać.

Wykręcił numer Rudiego Haldera. Może go przeprosi, da do zrozumienia, że gra była warta świeczki. Nikt nie odpowiadał. Przez chwilę gapił się bezmyślnie w słuchawkę. Może Pili? Nawet rozmowa z wrogo nastawionym do niego chłopcem była jakimś rodzajem kontaktu. Ale w domu w Lichtenrade także nikt nie odbierał telefonu.

Miasto zamknęło się przed nim.

Był w połowie drogi do samochodu, kiedy tknięty nagłym impulsem zawrócił i wykręcił numer własnego mieszkania. Po drugim dzwonku odezwał się mężczyzna.

– Tak? – Głos Krebsa; w mieszkaniu było Gestapo. – To ty, March? Wiem, że to ty! Nie rozłączaj się!

Wypuścił z ręki słuchawkę, jakby go ugryzła.

Pół godziny później wchodził przez drewniane obdrapane drzwi do berlińskiej kostnicy. Bez munduru czuł się nagi. W kącie płakała cicho jakaś kobieta; obok niej, nie wiedząc, jak zareagować na tak jawnie manifestowane w miejscu publicznym emocje, siedziała sztywno wyprostowana policjantka z korpusu pomocniczego. March pokazał pracownikowi swoją legitymację i zapytał o Martina Luthera. Mężczyzna przejrzał stos kartek z pozaginаныmi rogami.

– Mężczyzna, około sześćdziesięciu lat, zidentyfikowany jako Martin Luther. Przywieziony zaraz po północy. Wypadek kolejowy.

– A co z tym facetem, który zginął dziś rano podczas strzelaniny na Adolf Hitler Platz?

Kierownik westchnął, polizał poźółtkły od nikotyny palec i obrócił kartkę.

– Mężczyzna, około sześćdziesięciu lat, zidentyfikowany jako Alfred Stark. Przywieźli go przed godziną.

– To ten. Jak został zidentyfikowany?

– Miał w kieszeni dowód.

– Dobrze. – March ruszył zdecydowanym krokiem w stronę windy, przecinając wszelkie ewentualne protesty. – Sam znajdę drogę.

Pech chciał, że kiedy otworzyły się drzwi windy, zobaczył za nimi doktora Augusta Eislera.

– March! – Zaskoczony Eisler dał krok do tyłu. – Krążą pogłoski, że zostałeś aresztowany.

– Pogłoski są nieprawdziwe. Pracuję w cywilnym przebraniu. Doktor przyjrzał się jego garniturowi.

– Jako alfons? – Własny żart tak go ubawił, że musiał zdjąć okulary i wytrzeć załzawione oczy. March roześmiał się razem z nim.

– Nie, jako lekarz sądowy. Powiedziano mi, że pensja jest dobra i nie obowiązują stałe godziny pracy. Eisler przestał się uśmiechać.

– Żebyś wiedział. Siedzę tutaj od pomocy. Rozkaz z samej góry – dodał, ścisząc głos. – Operacja Gestapo. Cicho sza. – Poklepał się po nosie. – Nie mogę powiedzieć ci nic więcej.

– Odpręż się, Eisler. Znam sprawę. Czy Frau Luther zidentyfikowała już szczątki?

Doktor wyglądał na rozczarowanego.

– Nie – mruknął. – Oszczędziliśmy jej tego.

– A Stark?

– No, no, March, jesteś naprawdę dobrze poinformowany. Właśnie do niego idę. Chcesz się przyłączyć?

March przypomniał sobie eksplodującą głowę, gęsty, tryskający w górę strumień mózgu i krwi.

– Nie, dziękuję.

– Tak myślałem. Z czego do niego strzelano? Z panzerfausta?

– Złapali zabójcę?

– To ty jesteś policjantem. Ty mi powiedz. „Nie bądź zbyt drobiazgowy”, polecono mi.

– Gdzie są rzeczy Starka?

– Zapakowane i gotowe do odjazdu. W magazynie.

– Gdzie to jest?

– Idź tym korytarzem. Czwarte drzwi po lewej. March ruszył w tamtą stronę.

– Hej, March! – zawołał za nim Eisler. – Zachowaj dla mnie kilka swoich najlepszych dziwek!

– Piskliwy śmiech lekarza ścigał go wzdłuż korytarza.

Czwarte drzwi po lewej nie były zamknięte. Sprawdził, czy nikt go nie obserwuje, i wszedł do środka.

Magazyn był niewielki, szeroki na trzy metry. Po obu stronach przejścia, w którym mogła się zmieścić akurat jedna osoba, stały zakurzone metalowe regały, wypełnione stosami zapakowanej w grube polietylenowe worki odzieży. Były tu także walizki, torby, parasole, sztuczne nogi, kapelusze, a nawet groteskowo powykręcany fotel na kółkach. Należące do zmarłych przedmioty na ogół odbierali z kostnicy ich najbliżsi krewni. Jeśli okoliczności śmierci były niejasne, zabierała je policja albo przesyłano je bezpośrednio do laboratorium kryminalistycznego w Schönweld. Xavier zaczął sprawdzać plastikowe tabliczki, na których odnotowano datę i miejsce zgonu oraz nazwisko ofiary. Niektóre rzeczy leżały tu od lat: żałosne łańchmany i rupiecie, ostatni spadek po tych, o których nie

dbał nikt, nawet policja.

Jakie to typowe dla Globusa, że nie przyznał się do błędu. Za wszelką cenę trzeba było ratować przekonanie o nieomyślności Gestapo. Dlatego ciało Starka nadal traktowane było jako Luthera, podczas gdy Luther pochowany zostanie jako ubogi włóczęga, Stark.

March przyciągnął bliżej tobół, który leżał najbliżej drzwi, i obrócił do światła tabliczkę. 18.04.64. Adolf Hitler PL Stark, Alfred.

A zatem Luther odszedł z tego świata niczym najędzniejszy więzień kacetu: zabity z broni palnej, na pół zagłodzony, ubrany w należące do kogoś innego brudne łachy. Jego ciało sprofanował nóż chirurga, w jego rzeczach grzebał nieznajomy. Dosięła go sprawiedliwość losu – jedyna bodaj sprawiedliwość, na którą można liczyć.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i przeciął pękaty plastikowy worek. Zawartość wysypała się niczym wnętrzności na podłogę.

Nie obchodziła go sprawiedliwość losu. Jedyne, czego chciał, to się dowiedzieć, w jaki sposób pomiędzy północą a dziewiątą rano Globus odkryje, że Luther nie zginął.

Amerykanie!

Rozdarł resztki polietylenu.

Ubranie śmierdziało kałem, moczem, wymiotami i potem – wszystkim, co może wydzielać ludzkie ciało. Bóg jeden wiedział, jakie gnieździły się w nim pasożyty. March sprawdził kieszenie. Były puste. Swędziały go ręce. Nie powinien tracić nadziei. Kwit z przechowalni bagażu jest bardzo mały – zwinięty w rolkę nie przekracza wielkości zapałki; z łatwością można go ukryć, robiąc nacięcie w kołnierzu palta. Pruł scyzorykiem lepzącą się od skrzepłej krwi podszewkę długiego brązowego płaszcza; palce miał brunatne i śliskie.

Nic. Wszystkie przedmioty, które jak wynikało z jego doświadczenia, noszą przy sobie na ogół włóczędzy – kawałki papieru i sznurka, guziki, papierosowe pety – zostały już usunięte. Gestapowcy starannie przeszukali całe ubranie. Oczywiście, że to zrobili. Był głupcem, sądząc, że jest inaczej. Zaczął z wściekłością ciąć materiał – z prawej do lewej i z lewej do prawej.

Po pewnym czasie podniósł się znad sterty szmat, dysząc ciężko niczym morderca. A potem podniósł kawałek materiału i wytarł o niego ręce i scyzoryk.

– Wiesz, co myślę? – powiedziała Charlie, kiedy wrócił z pustymi rękoma do samochodu. – Wydaje mi się, że w ogóle niczego tutaj nie przywiózł z Zurychu.

Siedziała wciąż na tylnym siedzeniu volkswagena. March obrócił się, żeby na nią spojrzeć.

– Przywiózł coś. Na pewno. – Próbował ukryć ogarniające go zniecierpliwienie; to nie była przecież jej wina. – Ale za bardzo się bał, żeby to przy sobie nosić. Więc oddał bagaż gdzieś na przechowanie, dostał kwit... na lotnisku albo na dworcu... i miał zamiar później go odebrać. Jestem tego pewien. Teraz ten bagaż albo przepadł na dobre, albo ma go w swoich rękach Globus.

– Nie. Posłuchaj. Wczoraj, kiedy kontrolowano mnie na lotnisku, dziękowałam Bogu, że powstrzymałeś mnie przed przywiezieniem tego obrazu do Berlina. Pamiętasz te kolejki? Przeszukiwali wszystkie torby. W jaki sposób Luther mógłby przemycić cokolwiek przez Zollgrenzschutz?

March zastanawiał się nad tym, masując skronie.

– Trafne pytanie – przyznał w końcu. – Może – dodał po chwili – najtrafniejsze, jakie kiedykolwiek słyszałem.

Na lotnisku Hermanna Göringa Hanna Reitsch nadal mokła na deszczu, gapiąc się zaczerwienionymi od rdzy oczyma w niebo.

– Lepiej zostań w samochodzie – powiedział March. – Potrafisz prowadzić?

Kiwnęła głową.

– Jeśli Flughafen Polizei każe ci stąd odjechać – powiedział, rzucając jej kluczyki na kolana – nie kłóć się, ale odjedź i za chwilę przyjedź z powrotem. Nie przestawaj krążyć. Daj mi dwadzieścia minut.

– A potem co?

– Nie wiem. – Wykonał nieokreślony gest ręką. – Improvizuj.

Wszedł zdecydowanym krokiem do hali. Na wiszącym nad stanowiskami kontroli paszportowej dużym zegarze zmieniły się cyfry. 13.22. Obejrzał się do tyłu. Czas, w którym pozostawał na wolności, mógł prawdopodobnie mierzyć w minutach. A jeśli Globus zarządził szerokie poszukiwania, być może w sekundach. Żaden obiekt w Rzeszy nie był tak pilnie strzeżony jak to lotnisko.

Nie przestawał myśleć o siedzącym w jego mieszkaniu Krebsie i o Eislerze. „Krążą pogłoski, że zostałeś aresztowany...”

Mężczyzna z pamiętkową torbą z Soldaten Halle wydawał się znajomy. Tajniak z Gestapo? Xavier nagle skręcił, kierując się w stronę toalety. Stał przy pisuarze, udając, że się załatwia, i nie spuszczał z oczu wejścia. Nikt się nie pojawił. Kiedy wyszedł na zewnątrz, mężczyzna zniknął.

– Kończymy odprawę pasażerów odlatujących rejsem Lufthansy numer dwieście siedem do Tyflisu...

Podszedł do głównego stanowiska Lufthansy i pokazał jednemu ze strażników swoją legitymację.

– Chcę mówić z waszym szefem bezpieczeństwa. To pilne.

– Może go tu nie być, Herr Sturmbannführer.

– Niech pan go poszuka.

Strażnika nie było bardzo długo. Na zegarze ukazała się 13.27. 13.28. Może dzwoni na Gestapo. 13.29. March wsunął rękę do kieszeni i poczuł pod palcami chłodny metal lugera. Lepiej zginąć na miejscu, niż czołgać się później po kamiennej podłodze w kazamatach przy Prinz-Albrecht Strasse, wypluwając w dłoń własne zęby.

13.30.

Strażnik powrócił.

– Proszę tędy, Herr Sturmbannführer.

Friedman wstąpił do berlińskiej Kripo w tym samym czasie co March. Opuścił ją pięć lat później, tuż przed wszczęciem przeciwko niemu dochodzenia o korupcję. Teraz nosił ręcznie szyte angielskie garnitury, palił wolne od cła szwajcarskie cygara i zarabiał pięć razy tyle co w policji dzięki kombinacjom, o które go wszyscy podejrzewali, ale których nikt nie potrafił udowodnić. Był księciem handlarzy; lotnisko stanowiło jego małe skorumpowane dominium.

Kiedy uświadomił sobie, że March nie przyszedł, żeby go przesłuchać, ale prosić o wyświadczenie przysługi, jego radość nie miała granic. Nie tracąc doskonałego humoru prowadził Marcha długim przejściem, które wiodło od budynku lotniska.

– Jak się miewa Jaeger? Dalej taki z niego bałaganiarz? A Fiebes? Nadal skręca się, oglądając zdjęcia aryjskich pańienek i ukraińskich sprzątarek? Och, jak mi was wszystkich brakuje, nie masz pojęcia. Jesteśmy na miejscu. – Friedman przełożył cygaro z dłoni do ust i przekręcił kłamek

potężnych drzwi. – Sezamie, otwórz się!

Metalowe drzwi odsunęły się ze zgrzytem, odsłaniając niewielki hangar wypełniony zgubionym i porzuconym bagażem,

– Nie wyobrażasz sobie, jakie rzeczy potrafią zgubić ludzie – rzekł Friedman. – Mieliśmy tu kiedyś nawet żywego leoparda.

– Leoparda? Kota?

– Zdechł. Jakiś leniwy sukinsyn zapomniał go nakarmić. Wyszło z niego całkiem niezłe futro. – Friedman roześmiał się i strzelił z palców. Z mroku wynurzył się stary mężczyzna. Miał słowiańskie rysy, spadziste ramiona i szeroko osadzone, przestraszone oczy.

– Wyprostuj się, człowieku. Okaż szacunek! – Friedman pchnął starego, który zatoczył się do tyłu. – Sturbannführer jest moim przyjacielem. Czegoś szuka. Powiedz mu, March.

– Chodzi o walizkę, być może torbę. Zostawił ją w poniedziałek, trzynastego kwietnia, pasażer ostatniego wieczornego lotu z Zurychu. W samolocie albo przy odbiorze bagażu.

– Zrozumiałeś? – Słowianin kiwnął głową. – No to ruszaj! – Stary odszedł, powłócząc nogami, a Friedman dotknął wymownym gestem ust. – Niemowa. Odcięto mu język podczas wojny. Idealny pracownik! – Roześmiał się i poklepał Marcha po ramieniu. – No. Jak leci?

– Nie narzekam.

– W cywilnych ciuchach. Podczas weekendu. To musi być jakaś grubsza afera.

– Całkiem możliwe.

– Chodzi o tego Martina Luthera? – March nie odpowiedział. – A więc ty także stałeś się niemową. Rozumiem. – Friedman strząsnął popiół z cygara na czystą podłogę. – Nie musisz mówić nic więcej. Ktoś zesrał się w portki. Tak?

– Nie rozumiem.

– Tak mówią o tym ludzie z Zollgrenzschutz. Ktoś ma zamiar wwieźć coś, czego nie powinien. Podchodzi do kontroli celnej, widzi strażników i zaczyna srać w gacie. RzUCA to, co przywiózł, i wieje.

– Ale to chyba wyjątkowa sytuacja? Nie sprawdzacie przecież codziennie wszystkich pakunków?

– Tylko w tygodniu poprzedzającym urodziny Führera.

– A zgubiony bagaż? Otwieracie go?

– Tylko jeśli wygląda na wartościowy! – Friedman ponownie się roześmiał. – Nie. Żartuję. Nie marny tyłu ludzi. Tak czy owak wszystko prześwietlamy. Pamiętasz: żadnej broni, żadnych materiałów wybuchowych. A potem zostawiamy bagaż tutaj, czekając, aż ktoś się zgłosi. Jeśli nikt nie pojawi się w ciągu roku, otwieramy walizki i patrzymy, co w nich mamy.

– Przypuszczam, że można sobie za to sprawić parę godziwych garniturów.

– Co? – Friedman strzepnął wymaginowany pyłek z rękawa. – Chodzi ci o te szmaty? – Obejrzał się, słysząc za sobą szuranie stóp. – Wygląda na to, że masz szczęście, March.

W ich stronę szedł, niosąc w ręku torbę, niemy magazynier. Friedman odebrał ją i zważył w dłoni.

– Całkiem lekka. Na pewno nie złoto. Co twoim zdaniem może być w środku, March? Narkotyki? Dolary? Kontrabanda ze Wschodu? Mapa wyspy skarbów?

– Chcesz ją otworzyć? – March dotknął pistoletu w kieszeni. W razie potrzeby zdecydowany był go użyć. Friedman sprawiał wrażenie wstrząśniętego.

– Wyświadczam ci uprzejmość. Jak przyjaciel przyjacielowi. Co jest w środku, to twoja sprawa. – Podał torbę Marchowi. – Nie zapomnisz o tym, prawda? Że oddałem ci przysługę.

Któregoś dnia ty zrobisz dla mnie to samo. Jak towarzysz towarzyszowi...

Torba przypominała lekarski sakwojaż; miała wzmocnione mosiądzem narożniki, ciemne grube szwy i masywny, matowy ze starości zamek. Brązowa skóra była podrapana i wyblakła, a wytarty przez lata noszenia uchwyt gładki niczym kamień w potoku – wydawał się prawie przedłużeniem ręki. Torba miała świadczyć o niezawodności, profesjonalizmie i dyskretnym bogactwie. Wykonano ją z całą pewnością przed wojną, być może nawet pierwszą – żeby służyła kilku pokoleniom. Była solidna i dużo warta.

Wszystko to March uświadomił sobie w drodze powrotnej do volkswagena. Szedł omijając posterunki Zollgrenzschutzu: kolejna uprzejmość ze strony Friedmana.

Charlie rzuciła się na torbę niczym dziecko na urodzinowy prezent.

Zakłęła szpetnie, stwierdzając, że jest zamknięta. Kiedy wyjechali z terenu lotniska, pogrzebała w swojej własnej torebce i wydobyła z niej nożyczki do paznokci. Dłubała nimi desperacko w zamku, rysując bezskutecznie mosiądz.

– Tracisz tylko czas – stwierdził Xavier. – Muszę wyłamać zamek. Poczekaj, aż zajedziemy na miejsce. Potrząsnęła sfrustrowana głową.

– Jakie miejsce?

Przesunął dłonią po włosach.

Trafne pytanie.

W mieście zajęte były wszystkie hotele. Bristol przy Unter den Linden, Kaiserhof przy Mohren Strasse i Eden z umieszczoną na dachu kawiarnią – wszystkie przestały przyjmować rezerwacje już przed miesiącem. W gigantycznych hotelach z tysiącami miejsc i otaczających kolejowe dworce małych pensjonatach roiło się od mundurów. Nie tylko SA, SS, Luftwaffe, Wehrmacht, Hitlerjugend i Bund deutscher Mädel, ale również wielu innych organizacji: Narodowosocjalistycznego i Cesarskiego Stowarzyszenia Wojennego, Niemieckiego Zakonu Sokołów i Szkół Narodowosocjalistycznego Przywództwa...

Przed najbardziej znanym i luksusowym berlińskim hotelem – położonym na rogu Pariser Platz i Wilhelm Strasse Adlonem – tłum nacierał na metalowe bariery, chcąc choćby przez chwilę rzucić okiem na słynne osobistości – filmowego gwiazdora, sławnego piłkarza i partyjnego satrapę – które pojawiły się w mieście na urodziny Führera. Kiedy Charlie i Xavier przejeżdżali obok hotelu, przed głównym wejściem zatrzymał się mercedes. Czarne mundury pasażerów zalało światło setek fleszy.

March zjechał z placu w Unter den Linden, skręcił w lewo, a potem w prawo w Dorotheen Strasse. Zaparkował obok pojemników na śmieci, na tyłach Prinz Friedrich Karl Hotel. To tutaj właśnie, przy śniadaniu z Rudim Halderem, zaczęła się tak naprawdę cała ta historia. Kiedy to było? Nie potrafił sobie przypomnieć.

Dyrektor hotelu odziany był w staroświecki czarny tuzurek oraz prążkowane spodnie i do złudzenia przypominał zmarłego prezydenta Hindenburga. Na widok Xaviera wybiegł zza biurka, gładząc swoje okazałe białe bokobrody, tak jakby to były domowe zwierzątka.

– Sturmbannführer March, co za radość! Co za radość! Po cywilnemu!

– Dzień dobry, Herr Brecker. Mam prośbę. Muszę wynająć pokój.

Hotelarz podniósł zmartwiony ręce.

– To niemożliwe. Nawet dla tak szanowanego klienta jak pan.

– Niech pan nie odmawia, Herr Brecker. Wystarczy pokoik na poddaszu, jakiś składzik. Odda pan Reichskriminalpolizei olbrzymią przysługę...

Stare oczy dyrektora zlustrowały jego bagaż i zatrzymały się na Charlie. Pojawił się w nich błysk zrozumienia.

– A to jest zapewne Frau March...?

– Niestety nie. – March wziął Breckera pod ramię i odprowadził w kąt sali, gdzie obserwował ich podejrzliwym wzrokiem starszy recepcjonista. – Ta młoda osoba jest w posiadaniu bardzo ważnych informacji, ale pragniemy ją przesłuchać... jak mam to wyrazić?

– W zacisznym *entourage'u*.

– Dokładnie! – March wyjął to, co zostało mu z oszczędności całego życia, i zaczął odwijać banknoty. – Za zapewnienie tego „zacisznego *entourage'u*” Kriminalpolizei pragnie pana oczywiście sowicie wynagrodzić.

– Rozumiem. – Hotelarz spojrział na pieniądze i oblizął językiem wargi. – A ponieważ cała sprawa otoczona jest najściślejszą tajemnicą, z pewnością będzie pan wolał, abyśmy ominęli pewne formalności. Na przykład wpis do księgi.

March przestał liczyć, wepchnął cały rulon banknotów w spocone ręce dyrektora i zacisnął na nim jego palce.

W zamian za doprowadzenie się do bankructwa Xavier dostał położony na poddaszu pokoi pomywaczki, do którego wchodziło się po rozklekotanych schodach z trzeciego piętra. W ciągu pięciu minut, które spędzili w recepcji, wyproszono dziewczynę z jej klitki i położono świeżą pościel na łóżko. March odrzucił składane kilkakrotnie przez pana Breckera oferty własnoręcznego zaniesienia ich bagażu, ignorując również lubieżne spojrzenia, którymi stary satyr obdarzał Charlie. Poprosił jednak o dostarczenie im na górę chleba, sera, szynki, owoców i dzbanka czarnej kawy, co dyrektor zobowiązał się uczynić osobiście. Xavier kazał mu zostawić tacę na korytarzu.

– To nie jest Adlon – powiedział, kiedy zostali sami. W małym pokoiku nie było czym oddychać. Wydawało się, że całe hotelowe ciepło zgromadziło się za kaflami, którymi wyłożone były ściany.

March wdrapał się na krzesło, otworzył na oścież lufcik i zeskoczył w chmurze kurzu na podłogę.

– Kto mówił coś o Adlonie? – zapytała, obejmując go ramionami i całując mocno w usta.

Dyrektor zostawił tacę, tak jak się umówili, przed drzwiami. Wspinaczka po schodach prawie go wykończyła. Xavier przysłuchiwał się przez grube na trzy centymetry drewniane drzwi jego chrapliwemu oddechowi, a potem oddalającym się krokiem. Odczekał jeszcze trochę, żeby upewnić się, że stary zszedł na dół, i dopiero wtedy zabrał tacę i postawił ją na odrapanej toalecie. Ponieważ w drzwiach nie było zamka, podstawił pod klamkę krzesło.

Położył torbę Luthera na twardym drewnianym łóżku i wyjął z kieszeni scyzoryk.

Zamek został tak zaprojektowany, żeby oprzeć się i tej próbie. Poddał się dopiero po pięciu minutach kręcenia i podważania, podczas których złamało się małe ostrze scyzoryka. March otworzył torbę.

Znowu owionął go zapach papieru – stęchły odór długo zamkniętej szafki albo szuflady biurka, zmieszany z wonią oleju do maszyn. I coś jeszcze: zapach środków antyseptycznych i lekarstw.

Charlie stała przy jego ramieniu. Czuł na policzku jej ciepły oddech.

– Nie mów mi. Torba jest pusta.

– Nie, nie jest pusta. Jest pełna.

Wyjął z kieszeni chusteczkę i wytarł spocone dłonie. A potem odwrócił torbę do góry dnem i wytrząsnął na kołdrę jej zawartość.

OŚWIADCZENIE ZŁOŻONE POD PRZYSIĘGĄ PRZEZ WILHELMA STUCKARTA, SEKRETARZA STANU W MINISTERSTWIE SPRAW WEWNĘTRZNYCH

[4 strony maszynopisu]

W dniu 21 grudnia 1941 doradca ministra spraw wewnętrznych do spraw żydowskich, doktor Bernhard Losener, poprosił mnie o pilne spotkanie w cztery oczy. Doktor Losener pojawił się w moim domu w stanie najwyższego wzburzenia. Poinformował mnie, że jego podwładny, zastępca doradcy do spraw rasowych, doktor Werner Feldscher, dowiedział się z „całkowicie wiarygodnego źródła, od przyjaciela”, że w Polsce zostało straconych tysiąc ewakuowanych ostatnio z Berlina Żydów. Dodał także, że oburzenie, które wywołał w nim ten fakt, uniemożliwia mu dalszą pracę w ministerstwie i prosi w związku z tym o powierzenie mu innych obowiązków. Odparłem, że postaram się wyjaśnić całą sprawę.

Następnego dnia spotkałem się na własną prośbę z Obergruppenführerem Reinhardem Heydrichem w jego gabinecie przy Prinz-Albrecht Strasse. Obergruppenführer potwierdził prawdziwość informacji doktora Feldschera i polecił mi ujawnić jej źródło. Podobne przecieki, powiedział, nie mogą być tolerowane. Po odprawieniu adiutanta oświadczył, że chce ze mną porozmawiać w cztery oczy.

Poinformował mnie, że w lipcu został wezwany do kwatery głównej Führera w Prusach Wschodnich. Führer oświadczył mu szczerze, że postanowił raz na zawsze rozwiązać problem żydowski. Nadeszła właściwa godzina. Nie może w tym względzie polegać na swoich następcach, którzy nie będą prawdopodobnie posiadać niezbędnej siły woli i potencjału militarnego, którym on dzisiaj dysponuje. Nie boi się konsekwencji. Ludzie świętują dzisiaj rocznicę Rewolucji Francuskiej, ale czy ktoś pamięta o poległych wtedy tysiącach niewinnych ludzi? Czas rewolucji rządzi się własnymi prawami. Kiedy Niemcy wygrają wojnę, nikt nie będzie nas pytał, jak to zrobiliśmy. Jeśli natomiast ulegną w śmiertelnej walce, zniszczeni zostaną przynajmniej ci, którzy obiecywali sobie korzyści z upadku Narodowego Socjalizmu. Konieczne jest wyeliminowanie raz na zawsze biologicznej bazy judaizmu. W przeciwnym razie problem odnowi się, stając się plagą dla przyszłych pokoleń. Tego uczy nas historia.

Obergruppenführer oświadczył następnie, że wszelkie pełnomocnictwa niezbędne do realizacji tego rozkazu Führera zostały mu przyznane przez Reichsmarschalla Göringa w dniu 31.07.41. Sprawy te zostaną przedyskutowane podczas zbliżającej się międzyministerialnej konferencji. Tymczasem zaś zobowiązał mnie, abym używając wszelkich uznanych przeze mnie za niezbędne środków dowiedział się, kim był informator doktora Feldschera. Sprawa ta, dodał, ma olbrzymie znaczenie dla bezpieczeństwa państwa.

W odpowiedzi stwierdziłem, że ze względu na olbrzymią wagę omawianych problemów, z prawniczego punktu widzenia, lepiej byłoby mieć rozkaz Führera na piśmie. Obergruppenführer odparł, że uzyskanie go jest ze względów politycznych niemożliwe. Jeśli jednak mam jakieś zastrzeżenia, powinienem osobiście przedyskutować je z Führerem. Następnie zakończył spotkanie, stwierdzając żartem, że ja jestem głównym autorem obowiązujących w Rzeszy praw, a on jest jej głównym policjantem, przeto nie powinniśmy się zanadto przejmować kwestiami legalizmu.

Przysięgam niniejszym, że powyższy zapis rozmowy oparty jest na sporządzonych przeze mnie tego samego wieczoru notatkach i odpowiada ściśle prawdzie.

PODPISANO: Wilhelm Stuckart (adwokat)

DATA: 4 lipca 1942

ZA ZGODNOŚĆ: Josef Buhler (adwokat)

Dzień kończył się. Słońce schowało się za Wielki Pałac, złocąc go niczym kopułę jakiegoś wielkiego meczetu. Światła reflektorów zalały z szumem aleję Zwycięstwa i Oś Wschód - Zachód. Masy ludzi mieszały się ze sobą, rozłączały i zmieniały kształt, omijając ustawione przed restauracjami i kinami kolejki. Gdzieś wysoko nad Tiergarten buczał zawieszony w ciemnościach samolot.

*Zapis rozmowy z Josephem P. Kennedym, ambasadorem
Stanów Zjednoczonych w Wielkiej Brytanii*

[Fragmenty; 2 strony druku]

Otrzymano w Berlinie, 13 czerwca 1938

Chociaż nigdy nie był w naszym kraju [ambasador Kennedy], dowiedział się z wielu źródeł, że obecny rząd dokonał dla Niemiec wielkich rzeczy, że Niemcy są zadowoleni i żyją w dobrobycie.

Ambasador poruszył następnie problem żydowski. Zaznaczył, że ma on naturalnie olbrzymie znaczenie dla stosunków niemiecko-amerykańskich. Jego zdaniem szkodzi nam nie tyle sam fakt, że chcemy się pozbyć Żydów, co hałaśliwa propaganda, która towarzyszy naszym staraniom. On sam całkowicie rozumie naszą politykę względem Żydów; pochodzi z Bostonu, gdzie od pięćdziesięciu lat nie przyjmuje się Żydów do klubów golfowych i w ogóle do żadnych innych klubów.

Otrzymano w Berlinie, 18 października 1938

Dzisiaj również, podobnie jak podczas naszych poprzednich rozmów, ambasador Kennedy wspominał, że w Stanach Zjednoczonych istnieją bardzo silne tendencje antysemitki i że duża część ludności rozumie niemiecki stosunek do Żydów... Biorąc pod uwagę charakter ambasadora, uważam, że powinien znaleźć wspólny język z Führerem.

– Nie możemy zrobić tego sami.

– Musimy.

– Proszę. Pozwól mi zabrać te papiery do ambasady. Mogą przemycić je w bagażu dyplomatycznym.

– Nie!

– Nie masz pewności, że to on nas zdradził...

– A któż inny mógł to zrobić? Poza tym zastanów się. Naprawdę sądzisz, że będą chcieli maczać w tym palce amerykańscy dyplomaci?

– Jeśli nas z tym złapią... to wyrok śmierci.

– Mam plan.

– Dobry?

– Lepiej, żeby się taki okazał.

CENTRALNE BIURO KONSTRUKCYJNE, OŚWIĘCIM
do
NIEMIECKICH ZAKŁADÓW INŻYNIERYJNYCH, OŚWIĘCIM,
31 MARCA 1943

Dotyczy: waszego pisma z 24 marca 1943

[Fragment]

W odpowiedzi na wasze pismo, informujemy, że 3 hermetyczne wieże mają zostać zbudowane zgodnie z zamówieniem z 18 stycznia 1943, dla Bw 30B i 3c, w tych samych rozmiarach i w ten sam sposób jak wieże dostarczone uprzednio.

Korzystamy z okazji, żeby przypomnieć o innym zamówieniu z 6 marca 1943 na drzwi przeciwgazowe 100/192 do I podziemnego magazynu zwłok przy III krematorium, Bw 30a. Mają one być skonstruowane w ten sam sposób i w tych samych rozmiarach, co drzwi do magazynu naprzeciwko II krematorium, z oprawionym w gumę wizjerem z podwójnego szkła o grubości 8

*

Niedaleko hotelu, na północ od Unter den Linden, mieściła się otwarta przez całą noc apteka. Należała jak wszystkie firmy do Niemców, ale prowadzili ją Rumuni – jedyni ludzie, którzy byli dość biedni, żeby chętnie pracować w tych godzinach. Sklep przypominał bazar: na półkach leżały garnki, parafinowe prymusy, pończochy, jedzenie dla dzieci, urodzinowe kartki, papeterie, zabawki, akcesoria fotograficzne. Chętnie zachodzili tutaj coraz bardziej liczni berlińscy gastarbeiterzy.

Weszli do środka oddzielnie. Charlie powiedziała coś starszej ekspedientce, która szybko znikła na zapleczu i wróciła z baterią butelek. March kupił przy innym stoisku szkolny zeszyt, dwa arkusze grubego brązowego papieru, dwa arkusze papieru do pakowania prezentów i taśmę klejącą.

Po wyjściu przeszli dwie przecznice dalej, do stacji przy Friedrich Strasse, i wsiedli do metra jadącego na południe. Wagon wypełniał zwykły sobotni nocny tłum – trzymający się za ręce zakochani, wracające z pokazu iluminacji rodziny, młodzi ludzie na lekkim rauszu. Z tego, co mógł stwierdzić Xavier, nikt nie zwracał na nich najmniejszej uwagi. Mimo to wyciągnął Charlie na peron stacji Tempelhof dopiero na sekundę przed zamknięciem drzwi. Po dziesięciu minutach jazdy tramwajem numer trzydzieści pięć znaleźli się na lotnisku.

Przez cały ten czas nie odezwali się do siebie ani słowem.

[Rękopis]

Mein lieber Kritzinger,

Oto lista:

Oświęcim	50.02 Pn	19.11 W
Chełmno	53.20 Pn	18.25 W
Bełżec	50.12 Pn	23.28 W
Treblinka	52.48 Pn	22.20 W
Majdanek	51.18 Pn	22.31 W
Sobibór	51.33 Pn	23.31 W

Heil Hitler!

Podpisano: Buhler [?]

Lotnisko Tempelhof było starsze od Flughafen Hermann Göring – bardziej zaniedbane i prymitywne. Wybudowaną jeszcze przed wojną halę odlotów ozdobiono obrazkami przedstawiającymi pionierski okres lotnictwa pasażerskiego – stare, latające pod barwami Lufthansy heinkle z kadłubami z falistej blachy, brawurowi lotnicy w goglach i szalikach, nieustraszone podróżniczki o masywnych łydkach i twarzach skrytych pod szerokimi rondami kapeluszy. Niewinne dni! March zajął pozycję przy wejściu i udawał, że ogląda fotografie. Charlie podeszła do stanowiska wynajmu samochodów.

Nagle na jej twarzy pojawił się uśmiech, a ręce zaczęły wykonywać niezborne, przeproszające gesty – wypisz, wymaluj, dama, która znalazła się w kłopotach. Spóźniła się na samolot, czeka na nią rodzina... Agent był oczarowany i nie zwlekając zajrzał do swoich notatek. Przez moment cała sprawa zawisała na włosku – a potem: tak, Fräulein, tak się składa, że mam coś dla pani. Coś dla dziewczyny o tak pięknych oczach jak pani, oczywiście. Poproszę o prawo jazdy.

Podawała mu je. Zostało wydane w ubiegłym roku na nazwisko Magdy Voss, lat dwadzieścia cztery, zamieszkałej w Mariendorfie w Berlinie. Było to prawo jazdy dziewczyny zamordowanej przed pięcioma dniami w dniu własnego wesela – prawo jazdy, które Max Jaeger zostawił w swoim biurku razem z innymi papierami dotyczącymi strzelaniny w Spandau.

Xavier odwrócił wzrok i mobilizując całą siłę woli zaczął przyglądać się staremu, zrobionemu z lotu ptaka zdjęciu lotniska. Wzdłuż pasa startowego widniał namalowany wielkimi białymi literami napis BERLIN. Kiedy zerknął z powrotem, agent wpisywał dane z prawa jazdy do formularza, śmiejąc się z jakiegoś własnego dowcipu.

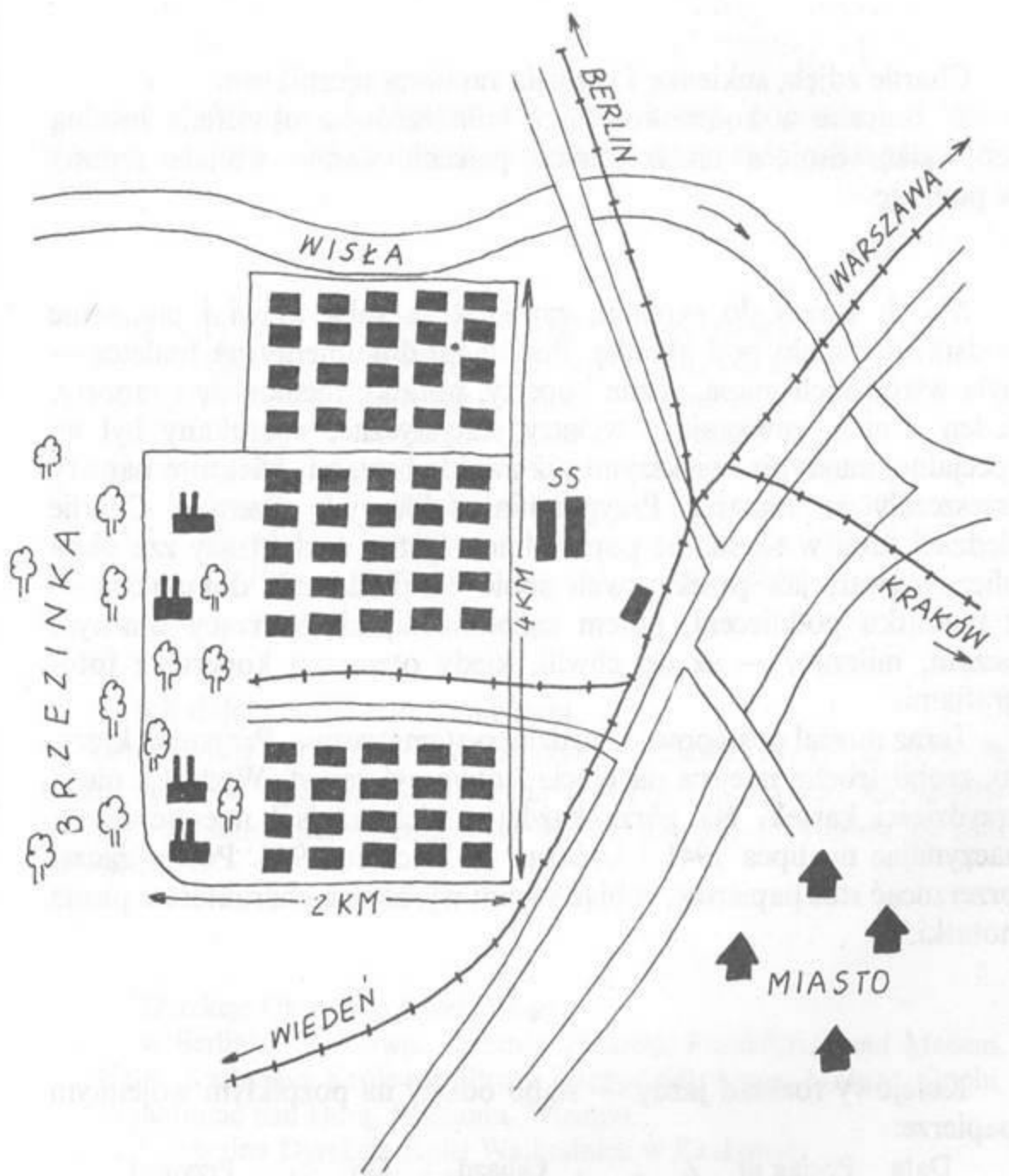
Cały plan nie pozbawiony był ryzyka. Rano kopia umowy powinna zostać automatycznie przekazana na policję i nawet Orpo zacznie się zastanawiać, jakim cudem zamordowana dziewczyna wynajęła samochód. Ale nazajutrz była niedziela, w poniedziałek Führertag, a we wtorek – czyli najwcześniej, kiedy Orpo będzie miało czas na zastanowienie się nad czymkolwiek – on i Charlie będą albo bezpieczni, albo aresztowani, albo martwi.

Dziesięć minut później, po ostatniej wymianie uśmiechów, Charlie dostała do ręki kluczyki do czterodrzwiowego czarnego opla z dziesięcioma tysiącami na liczniku. Po pięciu minutach March spotkał się z nią na parkingu. Ona usiadła za kierownicą, on pilotował. Po raz pierwszy widział ją w roli kierowcy: jej drugie ja. W gęstym ruchu przejawiała przesadną ostrożność, co na pewno nie przychodziło jej z łatwością.

Foyer hotelu księcia Karla Friedricha było puste: goście wypuścili się na miasto. Kiedy Xavier i Charlie szli w kierunku schodów, recepcjonista nie podniósł nawet głowy. Byli specjalnymi gośćmi

pana Breckera – lepiej było za wiele nie wiedzieć.

*Szkic obozu sporządzony odręcznie przez
Martina Luthera w dniu 15 lipca 1943 r.*



Ich pokój nie został przeszukany. Nitki bawełny wisiały tam, gdzie March je umieścił, między drzwiami i framugą. Wewnątrz, kiedy wyjął spod materaca lugera, pojedynczy włoszek wciąż tkwił w zamku.

Charlie zdjęła sukienkę i owinięła ramiona ręcznikiem.

W łazience w końcu korytarza goła żarówka oświetlała brudną umywalkę. Stojąca na żelaznych palcach wanna wbijała szpony w podłogę.

March wrócił do sypialni, zamknął za sobą drzwi i ponownie podstawił krzesło pod klamkę. Poukładał dokumenty na toalecie – była wśród nich mapa, różne koperty, notatki, memoriały i raporty. Jeden z nich, zawierający wykazy statystyczne, wystukany był na specjalnej maszynie, większymi niż zwykle literami. Niektóre papiery trzeszczały ze starości. Przypomniał sobie, jak razem z Charlie siedzieli tutaj w słoneczne popołudnie, słysząc dochodzący zza okna uliczny gwar; jak przekazywali sobie z rąk do rąk dokumenty – z początku podnieceni, potem oszołomieni, nie wierzący własnym oczom, milczący – aż do chwili, kiedy otworzyli kopertę z fotografiami.

Teraz musiał postępować bardziej systematycznie. Przysunął krzesło, zrobił trochę miejsca na blacie i otworzył zeszyt. Wydarł z niego trzydzieści kartek. Na górze każdej z nich napisał miesiąc i rok, zaczynając do lipca 1941 i kończąc na styczniu 1944. Potem zaczął przerzucać stos papierów, robiąc swoim wyraźnym charakterem pisma notatki.

*

Kolejowy rozkład jazdy – słabo odbity na pożółkłym wojennym papierze:

Data	Pociąg nr	Z	Odjazd	Do	Przyjazd 26.1
	Da 105	Terezin		Oświęcim	
27.1	Lp 106	Oświęcim		Terezin	
29.1	Da 13	Berlin	17.20	Oświęcim	10.48
	Da 107	Terezin		Oświęcim	
30.1	Lp 108	Oświęcim		Terezin	
31.1	Lp 14	Oświęcim		Zamość	
1.2	Da 109	Terezin		Oświęcim	
2.2	Da 15	Berlin	17.20	Oświęcim	10.48
	Lp 110	Oświęcim		Mysłowice	
3.2	Po 65	Zamość	11.00	Oświęcim	
4.2	Lp 16	Oświęcim		Łódź	

...i tak dalej, aż w drugim tygodniu lutego pojawiła się nowa stacja docelowa. Teraz prawie wszystkie czasy były podane co do minuty:

11.2	Pj 131	Białystok	9.00	Treblinka	12.10
	Lp 132	Treblinka	21.18	Białystok	1.30
12.2	Pj 133	Białystok	9.00	Treblinka	12.10
	Lp 134	Treblinka	21.18	Grodno	
13.2	Pj 135	Białystok	9.00	Treblinka	12.10
	Lp 136	Treblinka	21.18	Białystok	1.30
14.2	Pj 163	Grodno	5.40	Treblinka	12.10
	Lp 164	Treblinka		Ostrołęka	

...i tak dalej, aż do końca miesiąca.

Zardzewiały spinacz pobrudził skraj rozkładu. Przypięta była do niego depesza wysłana 13 stycznia 1943 przez Zarząd Generalny Dyrekcji Wschodniej Niemieckich Kolei Rzeszy. Otwierała ją lista adresatów:

Dyrekcje Okręgowe Kolei Rzeszy
w Berlinie, Wrocławiu, Dreźnie, Erfurcie, Frankfurcie nad Menem, Halle, Karlsruhe, Królewcu (Prusy Wschodnie), Linzu,
Mainzu, Opolu, Frankfurcie nad Odrą, Poznaniu, Wiedniu.
Generalna Dyrekcja Kolei Wschodnich w Krakowie,
Reichsprotectorat Linii Kolejowych w Pradze,
Dyrekcja Nadzoru Ruchu w Warszawie,
Nadzór Ruchu w Mińsku.

Potem następował tekst:

Dotyczy: pociągów specjalnych dla przesiedleńców w okresie od 20 stycznia do 28 lutego 1943.

Załączam uzgodniony w dniu 15 stycznia 1943 w Berlinie na okres od 20 stycznia do 28 lutego 1943 wykaz pociągów specjalnych (oznaczonych jako Vd, Rm, Po, Pj i Da) razem z cyrkulacyjnym planem składów.

Dla każdego pociągu ustalony jest indywidualny skład i należy się w tym względzie ściśle trzymać instrukcji. Po zakończeniu każdego kursu wagony powinny zostać dobrze wyczyszczone, a jeśli okaże się to konieczne, również zdezynfekowane i aż do zakończenia całego programu skierowane do dalszego użytkowania. Liczba i rodzaj wagonów winny być każdorazowo ustalane po odprawieniu poprzedniego pociągu i po potwierdzonym na kartach służbowych, telefonicznym uzgodnieniu ze mną.

Podpisano: Dr Jacobi
33 Bfp 5 Bfsv

Mińsk, 9 lutego 1943

March zajrzał z powrotem do rozkładu. Terezin/Oświęcim, Oświęcim/Terezin, Białystok/Treblinka, Treblinka/Białystok; obco brzmiące sylaby dudniły w jego znękanej głowie niczym stukające po szynach koła pociągu.

Przebiegł palcem wzdłuż kolumny dat i cyfr, próbując odczytać zawartą w nich wiadomość. W porze śniadania ładowano pociąg w polskim mieście Białystok. W południe dojeżdżał do piekła w Treblince. (Nie wszystkie podróże były tak krótkie – przeszedł go dreszcz na myśl o siedemnastu godzinach, które trwała jazda z Berlina do Oświęcimia). Po południu wagony były opróżniane i dezynfekowane. O dziewiątej wieczorem tego samego dnia wyruszały w drogę powrotną do Białegostoku, gdzie przybywały parę minut po północy, gotowe do przyjęcia nowego ładunku w porze śniadania.

Dwunastego lutego wzór się zmienił. Zamiast wracać do Białegostoku, pusty pociąg jechał do Grodna. Tam przez dwa dni czekał na bocznicy, a potem – w ciemności, na kilka godzin przed świtem – ruszał z powrotem z pełnym ładunkiem do Treblinki. Przyjeżdżał w południe. Rozładowywano go. I tej samej nocy, stukając kołami, wracał na zachód, tym razem do Ostrołeki.

Co jeszcze mógł wydedukować z tego dokumentu inspektor berlińskiej Kriminalpolizei?

Mógł dokonać prostych obliczeń. Powiedzmy sześćdziesiąt osób w wagonie, sześćdziesiąt wagonów w pociągu. Wynik: trzy tysiące sześćset osób w transporcie.

W lutym transporty przychodziły raz dziennie. Dawało to dwadzieścia pięć tysięcy osób tygodniowo, sto tysięcy osób miesięcznie; milion dwieście tysięcy osób rocznie. A był to średni wynik osiągnięty w środku siarczystej zimy, kiedy zamarzały zwrotnice, tory blokowały zaspasy śniegu, a z lasów wynurzały się niczym duchy podkładający bomby partyzanci.

Wniosek: wiosną i latem liczba osób była jeszcze większa.

Stał przy drzwiach łazienki. Odwrócona do niego plecami, ubrana tylko w czarne figi Charlie pochylała się nad umywalką. Z mokrymi włosami wydawała się jeszcze mniejsza; prawie krucha. Kiedy masowała głowę, pod bladą skórą jej ramion widać było poruszające się mięśnie. Spłukała po raz ostatni włosy i wyciągnęła na oślep rękę do tyłu. Podał jej ręcznik.

Na skraju wanny poustawiała różne przedmioty: parę zielonych gumowych rękawic, szczotkę, głęboki talerz, łyżkę i dwie buteleczki. March podniósł je i przeczytał nalepki. Pierwsza zawierała mieszanek węglanu magnezu i octanu sodu, druga dwudziestoprocentowy roztwór wody utlenionej. Nad umywalką Charlie przypięła obok lustra paszport dziewczyny. Magda Voss wpatrywała się w Xaviera szeroko otwartymi, pogodnymi oczyma.

– Jesteś pewna, że to się uda?

Charlie zawinęła w turban ręcznik na głowie.

– Najpierw zrobię się na czerwono. Potem na pomarańczowo. Potem na jasny blond. – Odebrała mu butelki. – Mając piętnaście lat zakochałam się w Jean Harlow. Moja matka się wściekła. Zaufaj mi.

Naciągnęła na ręce gumowe rękawice, wlała do talerza ściśle odmierzoną ilość chemikaliów i zaczęła mieszać je łyżką, aż zamieniły się w gęstą niebieską pastę.

TAJNY DOKUMENT PAŃSTWOWY. PROTOKÓŁ KONFERENCJI. SPORZĄDZONO 30 KOPII. KOPIA NUMER... [numer wydrapany]

W konferencji na temat ostatecznego rozwiązania problemu żydowskiego, która odbyła się 20 stycznia 1942 w Berlinie, Am grossen Wannsee 56/58, wzięły udział następujące osoby...

Ten protokół March przeczytał już dwukrotnie po południu. Pomimo to zaczął ponownie przerzucać strony. „Ostateczne rozwiązanie problemu żydowskiego dotyczy około jedenastu milionów Żydów...” Nie tylko Żydów niemieckich. Protokół wyliczał przeszło trzydzieści europejskich narodowości, wśród których byli Żydzi francuscy (865000), holenderscy (160000), polscy (2284000), ukraińscy (2994684), a także angielscy, hiszpańscy, irlandzcy, szwedzcy i fińscy; podczas konferencji zajęto się nawet Żydami albańskimi, których było dwustu.

W trakcie ostatecznego rozwiązania Żydzi powinni zostać przetransportowani pod odpowiednim nadzorem i przy użyciu stosownych środków do obozów pracy na Wschodzie. Zdolnych do pracy Żydów skieruje się w osobnych męskich i żeńskich dużych kolumnach do budowy dróg, gdzie niewątpliwie duża ich liczba odpadnie w wyniku naturalnej redukcji.

Tych, którzy pozostaną i którzy niewątpliwie stanowią będą najtwardszy element, trzeba będzie odpowiednio potraktować. Reprezentują oni bowiem wynik naturalnej selekcji, który w przypadku liberalizacji może stać się zarodkiem ponownego rozwoju rasy żydowskiej (o czym uczy nas historia).

W trakcie praktycznej realizacji ostatecznego rozwiązania przeczesana zostanie z zachodu na wschód cała Europa.

„Przetransportowani pod odpowiednim nadzorem i przy użyciu stosownych środków... Najtwardszy element trzeba będzie odpowiednio potraktować...” „Odpowiedni, odpowiedni”. Najbardziej ulubione słowa w biurokratycznym żargonie – wazelina umożliwiająca gładkie obejście nieprzyjemnych szczegółów, uniknięcie konkretów.

March rozłożył przed sobą niewyraźne fotokopie. Odbito je najprawdopodobniej z pierwotnej wersji protokołu konferencji, sporządzonej przez Standartenführera Eichmanna z Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Rzeszy. Maszynopis pełen był gniewnych przekreśleń i ręcznych poprawek, w

których Xavier rozpoznał pedantyczny charakter pisma Heydricha.

Tak na przykład Eichmann napisał:

Na koniec zapytano Obergruppenführera Heydricha o praktyczne trudności, które mogą się wyłonić przy obsłudze tak dużych grup. Obergruppenführer stwierdził, że stosowano dotychczas różne metody. Użycie broni palnej uznano z wielu względów za nieodpowiednie. Praca postępuje wolno. Trudno jest zachować odpowiedni nadzór, istnieje ponadto stała groźba wybuchu paniki wśród osób oczekujących na swoją kolej. Zaobserwowano również, że metoda ta negatywnie oddziałuje na naszych ludzi. Obergruppenführer poprosił Sturmbannführera doktora Rudolfa Lange (KdS Latvia) o bliższe przedstawienie sprawy.

Sturmbannführer Lange oświadczył, że w ostatnim czasie korzystano z trzech metod, co pozwala na dokonanie pewnych porównań. 30 listopada w lesie niedaleko Rygi rozstrzelano tysiąc Żydów z Berlina. 8 grudnia jego ludzie posłużyli się ciężarówkami z wewnętrznym obiegiem spalin. Tymczasem w obozie w Oświęcimiu prowadzone są już od października eksperymenty na rosyjskich więźniach i polskich Żydach. Używa się w nich gazu Cyklon B. Osiągnięte tutaj rezultaty są szczególnie obiecujące, zarówno ze względu na wysoką przepustowość, jak i możliwość zapewnienia odpowiedniego nadzoru.

Przy obydwu tych akapitach Heydrich napisał wielkimi literami „Skreślić!” March zajrzał do ostatecznej wersji protokołu. Cały fragment dyskusji został zredukowany do pojedynczego zdania:

Na koniec dyskutowano o różnych możliwych metodach realizacji ostatecznego rozwiązania.

Przykrojony w ten sposób protokół można było złożyć w archiwum.

Xavier zawzięcie notował: październik, listopad, grudzień 1941. Powoli puste kartki wypełniały się zapiskami. W przyćmionym świetle mansardy wyłaniał się stopniowo coraz bardziej wyraźny obraz powiązań, strategii, przyczyn i skutków... Przyjrzał się jeszcze raz wypowiedziom Luthera, Stuckarta i Buhlera. Luther przewidywał problemy w „państwach nordyckich”, ale „żadnych kłopotów w południowo-wschodniej i wschodniej Europie”. Stuckart, zapytany o osobę, która ma wśród swych dziadków jednego Żyda, „zapropozował zastosowanie w tym przypadku przymusowej sterylizacji”. Buhler, co charakterystyczne, podlizywał się Heydrichowi: „prosił tylko o jedno – aby problem żydowski w Generalnej Guberni został rozwiązany tak szybko, jak to tylko możliwe”.

Przerwał na pięć minut lekturę, żeby zapalić papierosa. Chodził po korytarzu, przeglądając papiery niczym uczący się roli aktor. Z łazienki dobiegał szum płynącej wody. Pograżony w mroku hotel skrzypiał cicho niczym stojący na kotwicy galeon.

6

MARTIN LUTHER

PODSEKRETARZ STANU W MINISTERSTWIE SPRAW ZAGRANICZNYCH RZESZY

NOTATKI Z INSPEKCJI OBOZU W OŚWIĘCIMIU-BRZEZINCE

[Rękopis, 11 stron]

14 lipca 1943

Nareszcie, po ponawianych prawie przez cały rok staraniach otrzymałem zezwolenie na przeprowadzenie w imieniu Ministerstwa Spraw Zagranicznych pełnej inspekcji obozu w Oświęcimiu-Brzezince.

Krótko przed zachodem słońca przylatuję z Berlina na lotnisko w Krakowie i spędzam wieczór na zamku na Wawelu w towarzystwie gubernatora Hansa Franka, sekretarza stanu Josefa Buhlera i ich personelu. Jutro rano o świcie samochód ma mnie zabrać z zamku i zawieźć do obozu (czas podróży: około jednej godziny), gdzie czeka na mnie jego komendant, Rudolf Hoess.

15 lipca 1943

Pierwsze moje wrażenie to ogrom całego obozu, który według Hoessa zajmuje teren o długości 4 i szerokości 2 kilometrów. Gleba jest tu żółtawa i gliniasta, podobna do tej, która dominuje na wschodnim Śląsku – krajobraz pustyński, urozmaicony tu i ówdzie zielonymi kępami drzew. Wewnątrz obozu stoją jak okiem sięgnąć setki drewnianych, krytych zieloną papą baraków. W oddali widzę poruszających się między nimi więźniów. Odziani są w biało-czarne pasiaki – niektórzy niosą deski, inni łopaty i kilofy; jeszcze inni ładują wielkie skrzynie na ciężarówkę. Wszędzie czuć niemiły zapach.

Dziękuję komendantowi, że mnie przyjął. Wyjaśnia mi schemat administracyjny. Obóz znajduje się pod jurysdykcją Głównego Urzędu

Administracji Gospodarczej SS. Inne, położone w dystrykcie lubelskim podlegają Obergruppenführerowi SS Odilowi Globocnikowi. Nawał pracy uniemożliwia niestety Hoessowi osobiste oprowadzenie mnie po obozie. Z tego względu powierza mnie opiece młodego Untersturmführera o nazwisku Weidemann. Ma on dopilnować, aby pokazano mi wszystko i żeby udzielono pełnych odpowiedzi na wszelkie moje pytania. Zaczynamy od śniadania w barakach SS.

Po śniadaniu jedziemy do południowego sektora obozu. Usytuowana jest tutaj około półtorakilometrowej długości bocznic kolejowa. Po jej obu stronach znajduje się przymocowane do betonowych słupów ogrodzenie z drutu, a także drewniane wieże obserwacyjne z gniazdami karabinów maszynowych. Robi się gorąco. Zapach jest tutaj bardzo nieprzyjemny, w powietrzu fruwią chmary much. Na zachodzie widać wznoszący się nad drzewami, dymiący fabryczny komin z czerwonej cegły.

7.40 rano: na teren wzdłuż torów wchodzą żołnierze SS, niektórzy z psami, oraz specjaliści więźniowie, którzy mają im pomagać. W oddali słyszymy gwizd pociągu. Kilka minut później przez bramę wjeżdża powoli lokomotywa; kłęby pary wzniesają chmury żółtego pyłu. Zatrzymuje się dokładnie przed nami. Brama zostaje zamknięta. Weidemann: „To transport Żydów z Francji”.

Oceniam, że pociąg liczy około 60 towarowych wagonów; wszystkie mają wysokie drewniane ściany. Zbliżają się do nich żołnierze i specjaliści więźniowie. Odryglowują i otwierają drzwi. Wszędzie wzdłuż torów wykrzykiwany jest ten sam rozkaz: „Wszyscy wysiadać! Ręczny bagaż zabrać ze sobą! Ciężki bagaż zostawić w wagonach!” Pierwsi pojawiają się mężczyźni; oślepieni światłem skaczą z wysokości półtora metra na ziemię, a potem odwracają się, żeby odebrać bagaże i pomóc swoim dzieciom, kobietom i starcom.

Deportowani znajdują się w oplakanyim stanie – brudni i zakurzeni wyciągają miski i filizanki, pokazując na usta i płacząc z pragnienia. Za nimi leżą w wagonach zmarli i ci, którzy są zbyt chorzy, żeby się poruszać. Weidemann mówi, że ich podróż trwała cztery dni. Żołnierze SS formują tych, którzy potrafią chodzić, w dwie kolumny. Przy rozdzielaniu rodzin ludzie krzyczą do siebie wzajemnie. Przy akompaniamencie krzyków obie kolumny odmaszerowują w różnych kierunkach. Silni mężczyźni udają się do obozu pracy. Pozostali, a razem z nimi ja i Untersturmführer, kierują się w stronę gęstej ściany drzew. Oglądając się widzę, jak więźniowie w pasiakach wspinają się do wagonów i wyciągają z nich bagaż i trupy.

8.30 rano: Weidemann ocenia liczebność kolumny na mniej więcej 2000 osób; są tu kobiety niosące na rękach niemowlęta, czepiające się ich spódnic dzieci, starcy, młodzież, ludzie chorzy i szaleńcy. Idą piątkami 300-metrową, wysypaną żużlem alejką, przez dziedziniec i kolejną alejką, przy końcu której dwanaście betonowych stopni prowadzi w dół do ogromnej, długiej na 100 metrów podziemnej komory. „Łaźnia i sala dezynfekcyjna”, głosi w kilku językach (po niemiecku, francusku, grecku i węgiersku) umieszczona na niej duża tablica. W jasno oświetlonym wnętrzu znajduje się wiele ławek i setki numerowanych wieszaków.

Strażnicy krzyczą: „Wszyscy rozbierać się! Macie dziesięć minut!” Ludzie wahają się. patrzą na siebie wzajemnie. Rozkaz jest powtarzany ostrzejszym tonem i tym razem niechętnie, ale spokojnie spełniają go. „Zapamiętajcie numer wieszaka, żebyście mogli odzyskać wasze ubrania!” Między ludźmi przesuwają się zaufani więźniowie, dodając im szeptem otuchy, pomagając rozebrać się fizycznie i psychicznie chorym. Niektóre matki starają się zagrzebać swoje niemowlęta w stosach odzieży, ale dzieci są szybko odkrywane.

9.05 rano: nagi tłum przechodzi szurając nogami przez masywne dębowe drzwi do drugiej sali, tak samo dużej jak pierwsza, ale kompletnie pustej, nie licząc czterech grubych, rozstawionych co dwadzieścia metrów słupów, które wspierają sufit. Nad każdym słupem znajduje się metalowa krata. Komora wypełnia się, zatraskują się drzwi. Untersturmführer daje znak, żebym szedł za nim. Mijam pustą szatnię i wspinając się po betonowych schodkach wychodzę na zewnątrz. Słyszę warkot zbliżającego się samochodu.

Na trawnik, który pokrywa dach komory, wjeżdża mała furgonetka ze znakami Czerwonego Krzyża. Zatrzymuje się. Wysiadają z niej oficer SS i lekarz. Mają na twarzach maski przeciwgazowe i trzymają cztery metalowe pojemniki. Z trawy wystają mniej więcej co dwadzieścia metrów cztery kwadratowe betonowe wywietrzniki. Lekarz i oficer zdejmują z nich pokrywy i wsypują do środka jasnoróżowy granulatur. Zdejmują maski i stojąc w jasnym słońcu zapalają papierosy.

9.09 rano: Weidemann prowadzi mnie z powrotem na dół. Jedynym dźwiękiem, który dobiega z drugiej strony sali, zza walizek i stosu wciąż ciepłych ubrań, jest stłumione dudnienie. W dębowych drzwiach osadzony jest niewielki szklany wizjer. Przytykam do niego oko. W dziurę uderza męska dłoń i odsuwam gwałtownie głowę.

„Woda w prysznicach musi być dzisiaj bardzo gorąca. Krzyczą głośniejszym niż zwykle”, mówi jeden ze strażników.

Na zewnątrz Untersturmführer oświadcza, że musimy zaczekać dwadzieścia minut. Czy mam ochotę odwiedzić Kanadę? Jaką Kanadę, pytam. Śmieje się. Tak nazywa się jeden z oddziałów obozu. Dlaczego akurat Kanada? Wzrusza ramionami: nie wiadomo.

Kanada. Kilometr na północ od komory gazowej. Duży prostokątny dziedziniec, ogrodzony drutem kolczastym i otoczony z czterech stron wieżami strażniczymi. Całe hałdy przedmiotów: kufry, plecaki, walizki, torby, paczki, koce, wózki dziecięce, fotele

na kółkach, sztuczne nogi, szczotki, grzebienie. Weidemann podaje spisane dla Reichsführera SS cyfry dotyczące wysłanego ostatnio do Rzeszy dobytku: koszule męskie – 132 000; płaszcze damskie – 155 000; kobiece włosy – 3000 kg („cały wagon”); kurtki chłopięce – 15 000; sukienki dziewczęce – 9000; chusteczki – 135 000. Dostają w prezencie przepięknie wykończony lekarski sakwojaż – Weidemann bardzo nalega.

9.31 rano: wracamy do podziemnej komory. Powietrze wypełnia głośnie brzęczenie. To patentowany, elektryczny system „Exhator” do usuwania gazu. Drzwi otwarte. Zwalone na stos przy jednym końcu ciała [fragment nieczytelny] nogi pobrudzone ekskrementami i krwią menstruacyjną; liczne zadrapania i ugryzienia. Do środka wkraczają członkowie żydowskiego Sonderkommando. Ubrani w gumowe buty i fartuchy mają na twarzach przeciwgazowe maski (według W. w niektórych miejscach opary gazu zalegają przy podłodze do 2 godzin). Polewają zwłoki wodą. Trupy są śliskie. Wloką je za zaczepione wokół nadgarstków rzemienie do czterech dwudrzwiowych wind. Pojemność każdej – 25 [fragment nieczytelny] słychać dzwonek, wjeżdżamy piętro wyżej do...

10.02 rano: krematorium. Żar zatyka oddech: 15 pieców pracuje pełną parą. Głośnie hałas: silniki diesla wentylują płomienie. Ciała z windy ładowane są na taśmociąg (metalowe rolki). Krew itp. spływa do betonowych ścieków. Stojący po obu stronach fryzjerzy obcinają włosy, które zbierane są do worków. Obrączki, pierścionki, naszyjniki, bransoletki itp. wrzucane są do metalowych kasetek. Na samym końcu ekipa dentystów – 8 osób z dłutami i szczypcami – usuwa złoto (mostki, koronki, plomby). W. podaje mi, żebym zważył w rękę, puszkę ze złotem: bardzo ciężka. Trupy wrzuca się do pieców z metalowych wózków.

Untersturmführer: w obozie znajdują się cztery takie komory gazowe i krematoria. Każde z nich ma przepustowość 2000 osób dziennie, co daje 8000 razem. Obsługuje je personel żydowski, zmieniany co 2–3 miesiące. W ten sposób cała operacja jest samowystarczalna, a sekret dobrze strzeżony. Największym zmartwieniem z punktu widzenia bezpieczeństwa jest gryzący, unoszący się z kominów dym, a w nocy płomienie, które widać z odległości wielu kilometrów, w tym także od strony głównej linii kolejowej, którą podążają na Wschód nasze oddziały.

March sprawdził daty. Luther odwiedził Oświęcim 15 lipca. 17 lipca Buhler przesłał współrzędne geograficzne sześciu obozów do Kritzingera w Kancelarii Rzeszy. 9 sierpnia złożony został ostatni depozyt w Szwajcarii. W tym samym roku, zgodnie z tym, co mówiła jego żona, Luther przeżył załamanie nerwowe.

Zapisał coś w notesie. Czwartym człowiekiem był Kritzinger. Jego nazwisko było wszędzie. Sprawdził notatnik Buhlera. Tutaj także zgadzały się daty. Rozwiązana została kolejna tajemnica.

Pióro sunęło szybko po papierze. Zbliżał się do końca.

Mała karteczka, której nie zauważył po południu; jedna z kilkunastu wetkniętych na chybił trafił do podartego skoroszytu. Opatrzony datą 6 sierpnia 1942 okólnik wydany przez Gruppenführera SS Richarda Glücksa, szefa Amtsgruppe D Głównego Urzędu Administracji Gospodarczej SS.

Dotyczy: utylizacji włosów.

W odpowiedzi na wasz raport szef Głównego Urzędu Administracji Gospodarczej SS, Obergruppenführer Pohl, wydał rozkaz, na mocy którego mają zostać wykorzystane wszystkie ucięte w obozach koncentracyjnych ludzkie włosy. Powinno się je przerobić na filc przemysłowy, z którego zostanie utkana przędza. Przczesane włosy kobiece mogą służyć jako przędza, z której wyrabiane będą skarpety dla załóg U-Bootów i walonki dla pracowników kolei.

Polecam w związku z tym przechowywać wszystkie poddane uprzednio dezynfekcji włosy kobiece. Włosy męskie mogą zostać wykorzystane tylko w przypadku, jeśli mają ponad 20 mm długości.

Dane na temat ilości zebranych comiesięcznie włosów, w wyszczególnieniu na męskie i kobiece, winny być przekazywane do naszego urzędu do 5 dnia każdego miesiąca, poczynając od 5 września 1942.

Xavier przebiegł jeszcze raz oczyma tekst. „Skarpety dla załóg U-Bootów...”

– Raz. Dwa. Trzy. Cztery. Pięć. – Leżał pod wodą, wstrzymując oddech i licząc. Przepływające przed jego oczyma cienie przypominały płataninę alg. Wszystkie dźwięki były przytłumione. – Czternaście. Piętnaście. Szesnaście. – Wynurzył się z rykiem na powierzchnię, łapiąc kurczowo powietrze i wypluwając wodę. Odetchnął kilka razy, a potem wziął potężny haust tlenu i zanurzył się ponownie. Tym razem udało mu się doliczyć do dwudziestu pięciu. Czując, jak pękają mu płuca, wyskoczył w górę, wylewając wodę na podłogę łazienki.

Czy kiedykolwiek zdoła się oczyścić?

Zwiesił potem ręce po obu stronach wanny, odchylił głowę do tyłu i niczym topielec wlepił nieruchomy wzrok w sufit.

CZEŚĆ SZÓSTA

NIEDZIELA, 19 KWIETNIA

Niezależnie od tego, jak skończy się ta wojna, wygraliśmy ją z wami; nie pozostanie z was nikt, kto mógłby dać świadectwo. A nawet jeśli ktoś ocaleje, świat nie da mu wiary. Będzie zapewne wiele wątpliwości i dyskusji, historycy będą grzebać w archiwach, ale zabraknie pewności, wszelkie dowody bowiem zostaną zniszczone razem z wami. A nawet jeśli ocaleje jakiś dowód, ludzie powiedzą, że opisywane przez was wydarzenia są zbyt potworne, żeby mogły być prawdziwe; powiedzą, że to wyolbrzymiona aliancka propaganda, i uwierzą nie wam, lecz nam, którzy zaprzeczmy wszystkiemu. To my będziemy tymi, którzy podyktują historię łagrów.

Wypowiedź oficera SS przytoczona w „Zatopionych i ocalonych” Prima Leviego

W lipcu 1953 roku, kiedy Xavier March był jeszcze dobrze zapowiadającym się trzydziestolatką, a jego praca polegała głównie na zgarnianiu kręcących się po hamburskim porcie prostytutek • i alfonsów, wybrali się razem z Klarą na wakacje. Najpierw zatrzymali się we Freiburgu, u podnóża Schwarzwald; stamtąd ruszyli jego poobijanym KdF-wagenem na południe w stronę Renu, a potem na wschód w okolice Jeziora Bodeńskiego. I tam, w jednym z położonych blisko rzeki małych hotelików, któregoś ulewnego popołudnia, kiedy na niebie zaświeciła tęcza, zasiali ziarno, z którego rozwinął się Pili.

Wciąż miał przed oczyma to miejsce: balkon z kutego żelaza, a niżej dolina Renu: przesuwane się leniwie po szerokiej wodzie barki, kamienne mury starego miasta, chłodne wnętrza kościoła, długa do kostek, żółta jak słoneczniki spódnica Klary.

I było coś jeszcze, co pamiętał do dzisiaj: błysk stalowego mostu, spinającego kilometr niżej rzekę; mostu łączącego Niemcy i Szwajcarię.

Nie wchodziła w grę ucieczka drogą morską albo powietrzną; porty i lotniska były obserwowane i strzeżone tak samo gorliwie jak Kancelaria Rzeszy. Nie wchodziło w grę przekroczenie granicy z Francją, Belgią, Holandią, Danią, Węgrami, Jugosławią, Włochami – przypominałoby to sforsowanie więziennego muru po to tylko, żeby wylądować na spacerniaku innego więzienia. Nie wchodziło w grę wysłanie dokumentów z Rzeszy za pośrednictwem poczty: zbyt wiele przesyłek było rutynowo otwieranych, żeby liczyć, że to się uda. Nie wchodziło w grę przekazanie ich jakiemuś innemu berlińskiemu korespondentowi: napotkaliby oni na te same przeszkody, a poza tym zdaniem Charlie byli zdradzieccy jak grzechotniki.

Jedyną nadzieję oferowała granica ze Szwajcarią; most zachęcał do przejścia.

Teraz trzeba to było ukryć. Wszystko.

March uklęknął na wytartym dywanie, rozpostarł na nim arkusz pakowego papieru i umieścił pośrodku poukładane równo dokumenty. Wyjął z portfela fotografię rodziny Weissów. Przyglądał się jej przez moment, a potem położył na samej górze. Owinął wszystko ciasno papierem i oblepił kilkakrotnie taśmą, aż pakunek przypominał twardy kawałek drewna.

Podłużna, gruba na dziesięć centymetrów paczka była sztywna w dotyku i nie rzucała się specjalnie w oczy.

Wypuścił z płuc powietrze. Tak było lepiej.

Owinął dokumenty kolejną warstwą papieru, tym razem do pakowania prezentów. Wypisane złotymi literami życzenia szczęścia i pomyślności wiły się niczym serpentyny między balonikami i korkami od szampana, które otaczały uśmiechniętą małżeńską parę.

Autostradą z Berlina do Norymbergi: pięćset kilometrów. Autostradą z Norymbergi do Stuttgartu: sto pięćdziesiąt kilometrów. Ze Stuttgartu aż do położonego nad Renem Waldshut droga wiała się między dolinami i lasami Wirtembergii: kolejne sto pięćdziesiąt kilometrów. Razem osiemset.

– Ile to będzie w milach?

– Pięćset. Uważasz, że dasz radę?

– Oczywiście. W dwanaście godzin, może jeszcze krócej. – Przycupnęła na skraju łóżka, pochylona do przodu i uważna. Miała na sobie dwa ręczniki – jeden owinięty wokół ciała, drugi na głowie.

– Nie musisz się wcale spieszyć. Masz dwadzieścia cztery godziny. Kiedy stwierdzisz, że

znalazłaś się w bezpiecznej odległości od Berlina, zadzwoń do hotelu Bellevue w Waldshut i zarezerwuj pokój – nie zaczął się jeszcze sezon i nie powinno być z tym trudności.

– Hotel Bellevue. Waldshut. – Kiwnęła powoli głową, ucząc się nazwy na pamięć. – A ty?

– Będę jechać parę godzin za tobą. Postaram się zjawić w hotelu koło północy.

Widział, że mu nie wierzy.

– Jeżeli nie boisz się zaryzykować – dodał szybko – uważam, że to ty powinnaś zabrać dokumenty. A także to... – Wyjął z kieszeni drugi ukradziony paszport. Paul Hahn, Sturmbannführer SS, urodzony w Kolonii 16 sierpnia 1925. Trzy lata młodszy od Marcha, co nietrudno było ukryć.

– Dlaczego nie chcesz tego mieć przy sobie?

– Jeżeli mnie zatrzymają, od razu znajdą paszport. I będą wtedy wiedzieć, pod kogo się podszywasz.

– Ty wcale nie masz zamiaru wyjeżdżać.

– Mam jak najbardziej.

– Uważasz, że już po tobie.

– Nieprawda. Ale mam mniejsze szansę od ciebie na przejechanie bez przeszkód tych ośmiuset kilometrów. Musisz to zrozumieć. Dlatego pojedziemy oddzielnie.

Potrząsnęła głową. Podeszedł i usiadł koło niej. Poglądził ją po policzku, obrócił jej twarz ku sobie i spojrzał prosto w oczy.

– Posłuchaj! Masz na mnie czekać... posłuchaj! Czekaj na mnie w hotelu aż do wpół do dziewiątej jutro rano. Jeśli się nie zjawię, jedź beze mnie. Nie czekaj ani chwili dłużej, w przeciwnym razie znajdziesz się w niebezpieczeństwie.

– Dlaczego do wpół do dziewiątej?

– Powinnaś tak wycelować, żeby znaleźć się na granicy dokładnie o dziewiątej. – Miała mokre policzki. Pocałował je. Wiedział, że nie może przestać mówić. Musiała zrozumieć. – O dziewiątej nasz ukochany Ojciec Narodu opuści Kancelarię Rzeszy, żeby przejechać do Wielkiego Pałacu. Nie pokazywał się od kilku miesięcy... to ich sposób na wprowadzenie tłumu w ekstazę. Możesz być pewna, że strażnicy będą mieli na posterunku radio i że będą go słuchać. Jeżeli istnieje jakaś pora, kiedy przepuszczą cię bez dokładnej kontroli, to jest nią właśnie godzina dziewiąta.

*

Wstała i rozwinęła turban. W przyćmionym świetle pokoju jej włosy połyskiwały bielą.

Pozwoliła, żeby zsunął się z niej drugi ręcznik.

Błada skóra, jasne włosy, ciemne oczy. Przypominała ducha. Musiał sprawdzić, czy jest prawdziwa, czy oboje jeszcze żyją. Wyciągnął rękę i dotknął jej biodra.

Leżeli potem spleceni ramionami na małym drewnianym łóżku. Przepowiadała mu szeptem przyszłość. Jutro wczesnym wieczorem wylądują na lotnisku Idlewild w Nowym Jorku. Pojadą prosto do siedziby nowojorskiego „Timesa”. Znała tam pewnego redaktora. Przede wszystkim muszą zrobić kopię – tuzin kopii – a potem wydrukować tyle, ile się da, najszybciej jak to możliwe. „Times” idealnie się do tego nadawał.

– A jeśli nie będą chcieli tego wydrukować? – Trudno było mu wyobrazić sobie ludzi, którzy drukują, co chcą.

– Wydrukują. Na Boga, jeśli mi odmówią, zrobię to samo co ci szaleńcy, którym nie udało się opublikować swoich powieści. Stanę na Fifth Avenue i będę wręczała kopie przechodniom. Ale nie

przejmuj się: wydrukują to, a my będziemy tymi, którzy zmienili historię.

– Ale czy ktoś w to uwierzy? – Ta wątpliwość rosła w nim z każdą chwilą, odkąd otworzył torbę. – Czy to nie jest coś, w co po prostu nie sposób uwierzyć?

Nie, odparła z olbrzymim przekonaniem, ponieważ teraz mają fakty, a fakty zmieniają wszystko. Bez nich nie ma się niczego, ma się pustkę. Ale po przedstawieniu faktów – po przedstawieniu nazwisk, dat, rozkazów, liczb, godzin, miejsc, współrzędnych geograficznych, rozkładów jazdy, fotografii, wykresów, opisów – ta pustka zaczyna nagle mieć swoją własną geometrię, można ją nareszcie zmierzyć, staje się czymś konkretnym. Oczywiście można zawsze ten konkretny podważyć, zakwestionować albo po prostu zignorować. Ale każda z tych reakcji jest z samej definicji jakąś reakcją, a więc odpowiedzią na rzecz, która istnieje.

– Niektórzy ludzie na pewno nie uwierzą: nie uwierzyliby nawet, gdybyśmy im dostarczyli nie wiadomo jakich dowodów. Ale jest tutaj, moim zdaniem, dosyć, żeby osadzić Kennedy'ego w miejscu. Nie będzie szczytu. Nie będzie powtórných wyborów. Nie będzie odprężenia. A za pięć albo za pięćdziesiąt lat to państwo legnie w gruzach. Nie można budować na masowych mogiłach. Ludzie nie są tacy źli... nie mogą być tacy źli... wierzę w to. A ty?

Nie odpowiedział.

Obudził się dość wcześnie, żeby obejrzeć kolejny berliński świt. W oknie poddasza tkwiła znajoma szara twarz, twarz starego przeciwnika.

– Nazwisko?

– Magda Voss.

– Urodzona?

– Dwudziestego piątego października 1939.

– Gdzie?

– W Berlinie.

– Zawód?

– Nie pracuję. Mieszkam razem z rodzicami w Berlinie.

– Dokąd pani jedzie?

– Do Waldshut nad Renem. Na spotkanie z narzeczoną.

– Jego nazwisko?

– Paul Hahn.

– W jakim celu udaje się pani do Szwajcarii?

– Na wesele przyjaciółki.

– Gdzie odbywa się wesele?

– W Zurychu.

– Co to jest?

– Prezent ślubny. Album fotograficzny. Albo Biblia? Książka? Deska do krojenia? – Sprawdziała na nim odpowiedzi.

– Deska do krojenia... doskonale. Dokładnie taki rodzaj podarunku, jaki dziewczyna pokroju Magdy będzie wiozła przez osiemset kilometrów, żeby wręczyć przyjaciółce. – March przemierzał wielkimi krokami pokój. Teraz zatrzymał się i wycelował palec w paczkę. – Proszę to otworzyć, Fräulein.

Przez chwilę się zastanawiała.

– Co mam na to odpowiedzieć?

– Nie ma na to żadnej dobrej odpowiedzi.

– Wspaniale. – Wyjęła papierosa i zapaliła. – Widzisz? Trzęsą mi się ręce.

Dochodziła siódma.

– Czas ruszać.

Hotel zaczynał budzić się do życia. Mijając rząd drzwi z cienkiej dytki słyszeli za nimi szum wody, radio, śmiech dzieci. Gdzieś na drugim piętrze chrapał głośno, nie przejmując się niczym, jakiś mężczyzna.

Trzymali paczkę ostrożnie, w wyciągniętych rękach, tak jakby zawierała uran. Charlie schowała ją między ubrania, do środka swojej walizki. March zniósł walizkę po schodach, minął pusty hol i wyszedł wąskim wyjściem przeciwpożarowym na tyły hotelu. Charlie miała na sobie ciemnoniebieski kostium, włosy schowała pod chustką. Wypożyczony opel stał tuż obok volkswagena. Z kuchni dochodziły krzyki, zapach świeżej kawy i syczenie frytury.

– Wyjeżdżając z Bellevue skręć w prawo. Droga biegnie wzdłuż doliny. Nie sposób nie zauważyć mostu.

– Już mi to mówiłeś.

– Zanim pojedziesz do odprawy, spróbuj zorientować się, jak dokładnie sprawdzają przekraczających granicę. Jeśli okaże się, że kontrolują wszystko, zawróć i postaraj się to gdzieś ukryć. W lesie, rowie, stodole... w jakimś miejscu, które potrafisz zapamiętać, miejscu, do którego ktoś po to wróci. Potem wyjedź. Obiecuj mi:

– Obiecuję.

– Z Zurychu codziennie odlatuje samolot Swissairu do Nowego Jorku. O drugiej po południu.

– O drugiej. Wiem. Mówiłeś mi to już dwa razy. Dał krok do przodu, żeby ją objąć, ale odepchnęła go.

– Nie będę się z tobą żegnać. Nie tutaj. Zobaczymy się dziś wieczorem. Zobaczymy się.

Przeżyli moment niepokoju, kiedy opel nie chciał zapalić. Ale potem Charlie włączyła ssanie, spróbowała ponownie i tym razem się udało. Nie patrząc na Xaviera wyjechała tyłem z parkingu. Zobaczył po raz ostatni jej profil – patrzyła prosto przed siebie, zaciskając palce na kierownicy – a potem opel zniknął, zostawiając za sobą w chłodnym porannym powietrzu obłoczek bladoniebieskich spalin.

March siedział samotnie na skraju łóżka, trzymając w ręku jej poduszkę. Odczekał godzinę, zanim ubrał się w mundur. Zapinając guziki stanął przed lustrem toaletki. Cokolwiek się z nim stanie, zakładał go po raz ostatni.

„Będziemy tymi, którzy zmienili historię...”

Włożył na głowę czapkę i poprawił ją. A potem wziął trzydzieści zapisanych kartek, swój notes, kieszonkowy kalendarz Buhlera, złożył wszystko razem, owinał w drugi arkusz pakowego papieru i wsunął do wewnętrznej kieszeni.

Czy tak łatwo zmienia się historię? Nie był tego taki pewien. Wiedział co prawda z własnego doświadczenia, że tajemnice są jak kwas – raz rozlane, potrafią przeżreć wszystko: jeśli udało im się rozbić małżeństwo, dlaczego nie mają zniszczyć prezydentury albo całego państwa? Ale historia? Potrząsnął głową, wpatrując się we własne odbicie – historia była czymś, co go przerastało. Policjanci zamieniają podejrzenia na dowody. On tego dokonał. Historię pozostawiał jej.

Zaniósł do łazienki torbę Luthera i wrzucił do niej wszystko, co zostawiła Charlie – puste butelki, gumowe rękawice, talerz, łyżkę, szczotki. Powtórzył to samo w sypialni. Dziwne, jak bardzo

wypełniała sobą to miejsce, jak bardzo wydawało się bez niej puste. Spojrzał na zegarek. Było wpół do dziewiątej. Powinna już dawno wyjechać z Berlina, być może mijala Wittenberg. W recepcji kręcił się dyrektor.

– Dzień dobry, Herr Sturmbannführer. Czy przesłuchanie skończone?

– Oczywiście, Herr Brecker. Jeszcze raz dziękuję za patriotyczną postawę.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Hotelarz uklonił się lekko i zatarł swoje tłuste białe dłonie, tak jakby namaszczał je olejkiem. – Gdyby Herr Sturmbannführer miał jeszcze kiedykolwiek życzenie kogoś przesłuchać, polecam swoje usługi... – Jego krzaczaste brwi wykonywały dziki taniec. – Być może będę nawet mógł dostarczyć jakąś podejrzaną?

March uśmiechnął się.

– Żegnam pana, Herr Brecker.

– Żegnam pana, Herr Sturmbannführer.

Usiadł w volkswagenie na fotelu obok kierowcy i przez chwilę się zastanawiał. Idealnym miejscem wydawało się koło zapasowe, ale nie miał na to czasu. Plastikowa tapicerka drzwi była zamontowana na stałe. Sięgnął pod tablicę rozdzielczą i po chwili natrafił palcami na gładką powierzchnię. Powinna wystarczyć. Oderwał dwa kawałki taśmy i przymocował paczkę do chłodnego metalu.

Potem wsadził taśmę do torby Luthera i wyrzucił ją do jednego ze stojących przy kuchni pojemników na śmieci. Leżący na wierzchu sakwojaż z brązowej skóry wyraźnie kłuł w oczy. March znalazł złamany kij od szczotki, wygrzebał w śmieciach dziurę i po kilku chwilach torba zniknęła pod fusami kawy, śmierdzącymi rybimi głowami, kawałkami tłuszczu i robaczywą wieprzowiną.

2

Żółte znaki, na których widniało pojedyncze słowo *Fernverkehr* – ruch tranzytowy – wskazywały wyjazd z Berlina w stronę biegnącej pierścieniem wokół miasta autostrady. Cały południowy pas March miał prawie wyłącznie dla siebie; nieliczne samochody i autobusy, które pojawiły się wczesnym niedzielnym rankiem na drodze, zmierzały na ogół w przeciwnym kierunku. Minął ogrodzenie lotniska Tempelhof i znalazł się nagle na peryferiach; po obu stronach szerokiej drogi widać było ponure uliczki. Stały wzdłuż nich rachityczne drzewa o poczerniałych pniach i wzniesione z czerwonej cegły domy i sklepy.

Po lewej stronie zobaczył szpital, po prawej nieczynny, zamknięty na glucho kościół, którego ściany upstrzone były partyjnymi sloganami. „Marienfelde” widniało na drogowskazie. „Bücker”. „Lichtenrade”.

Zatrzymał się na czerwonych światłach. Droga na południe stała przed nim otworem – droga w stronę Renu, Zurychu, Ameryki... Z tyłu rozległ się dźwięk klaksonu: zmieniły się światła. March włączył kierunkowskaz, skręcił z głównej szosy i szybko zniknął w labiryncie podmiejskich uliczek.

We wczesnych latach pięćdziesiątych w euforii zwycięstwa ulicom nadawano nazwiska generałów: Student Strasse, Reichenau Strasse, Manteuffel Allee. March zawsze się tu gubił. Czy z Modela trzeba było skręcić w prawo w Dietricha? Czy najpierw w lewo w Paulusa i potem dopiero w Dietricha? Jechał wolno wzdłuż rzędu identycznych bungalowów, aż w końcu rozpoznał ten właściwy.

Zajechał na znajomy podjazd i już chciał zatrąbić, kiedy przypomniał sobie, że nie jest to

pierwsza, ale trzecia niedziela miesiąca – że nie ma zatem tu czego szukać – i że w ogóle zabroniono mu dostępu do syna. Tutaj potrzebny był frontalny atak, coś w duchu samego Hassa Manteuffla.

Obok betonowego podjazdu nie walały się zabawki, a kiedy zadzwonił do drzwi, w środku nie zaszczekał pies. March zaklął pod nosem. Widać taki już był jego los w tym tygodniu: nie otwierały się przed nim żadne drzwi. Cofnął się z ganku i utkwiał oczy w oknie. Zatrzepotała lekko firanka.

– Pili! Jesteś tam?

Skraj firanki odchylił się nagle, jakby jakiś niewidoczny dygnitarz pociągnął za sznurek, odsłaniając portret. W oknie ukazała się blada twarz jego syna.

– Czy mogę wejść do środka? Chcę z tobą porozmawiać. Twarz pozbawiona była wyrazu. Firanka opadła z powrotem. To dobry czy zły znak? March nie miał pojęcia. Pomachał w stronę pustego okna i wyciągnął rękę w stronę ogrodu.

– Zaczekam tam na ciebie.

Podbiegł do małej drewnianej furtki i spojrzał w górę i dół ulicy. Bungalowy po tej stronie, bungalowy po przeciwnej. Ciągnęły się we wszystkich kierunkach niczym namioty zwycięskiej armii. W większości mieszkali w nich ludzie w podeszłym wieku: weterani pierwszej wojny światowej, którzy przetrwali to, co nastąpiło po niej – inflację, bezrobocie, rządy partii i drugą wojnę. Już przed dziesięcioma laty byli szarzy i pochyleni. Zobaczyli dosyć, przeżyli dosyć. Teraz siedzieli w domu, oglądali przez cały dzień telewizję i krzyczeli na Pilego, że za dużo hałasuje.

March obszedł dookoła mały ogródek. Trawnik można było nakryć chustką do nosa, chłopiec nie miał tu dla siebie zbyt wiele miejsca. Przejechało kilka samochodów. Dwa domy dalej stary mężczyzna pompował skrzypiącą pompką koło roweru. Gdzieś w oddali słychać było warkot kosiarki... Pili nie dawał znaku życia. March zastanawiał się właśnie, czy nie opaść na czworaki i nie wykrzyknąć tego, co ma do powiedzenia, przez otwór na listy, kiedy usłyszał zgrzyt otwieranych drzwi.

– Grzeczny chłopiec. Co u ciebie? Gdzie jest mama? Gdzie

Hefferlich? – Nie mógł się zmusić, żeby mówić o nim „wujek Erich”.

Syn uchylił drzwi tylko na tyle, żeby móc widzieć zza nich ganek.

– Wyszli. Kończę swój rysunek.

– Wyszli dokąd?

– Na próbę parady. Zostawili mnie, żebym pilnował domu. Tak powiedzieli.

– No pewnie. Czy mogę wejść do środka i chwilę z tobą porozmawiać?

Spodziewał się oporu. Zamiast tego chłopiec odsunął się bez słowa na bok i Xavier po raz pierwszy od czasu rozvodu przekroczył próg domu swojej byłej żony. Rozejrzał się dookoła – tanie, ale niezłe wyglądające meble; stojący na kominku bukiet świeżych żonkili; nigdzie ani jednej plamki. Wziąwszy pod uwagę skromny budżet, starała się, jak mogła. Nie powinno go to dziwić. W miarę gustowny był nawet wiszący nad telefonem portret Führera – fotografia starego, obejmującego dziecko mężczyzny. Bóg Klary był zawsze łagodny, raczej z Nowego niż ze Starego Testamentu. March zdjął czapkę. Czuł się tutaj jak włamywacz.

Stojąc na nylonowym dywaniku rozpoczął swoją przemowę.

– Muszę odejść, Pili. Może na długo. Ludzie mogą mówić o mnie złe rzeczy. Straszne rzeczy, które nie będą prawdziwe. Chciałem ci powiedzieć... – Słowa przechodziły mu z trudem przez gardło. Co chciał mu powiedzieć? Przesunął dłonią po włosach. Syn stał ze skrzyżowanymi rękoma, nie spuszczał z niego wzroku. – Ciężko jest nie mieć obok siebie ojca – podjął przerwany wątek. – Mój ojciec zginął, kiedy byłem bardzo mały, jeszcze młodszy od ciebie. I czasami nienawidziłem go za to...

Te chłodne oczy...

– Ale to minęło i potem zacząłem za nim tęsknić. I gdybym mógł z nim dzisiaj porozmawiać... zapytać go... oddałbym za to wszystko...

„...mają zostać wykorzystane wszystkie ucięte w obozach koncentracyjnych ludzkie włosy. Powinno się je przerobić na filc przemysłowy, z którego zostanie utkana przędza...”

Nie wiedział, jak długo tak stał bez słowa z pochyloną głową.

– Muszę już iść – powiedział w końcu.

I wtedy Pili dał krok do przodu i wziął go za rękę.

– W porządku, tato. Proszę, nie odchodź jeszcze. Proszę. Chodź zobaczyć mój rysunek.

Sypialnia chłopca przypominała punkt dowodzenia. W dół pikowały zawieszane na niewidocznych żyłkach, złożone z plastikowych zestawów modele odrzutowców Luftwaffe. Na jednej ze ścian widniała mapa frontu wschodniego. Kolorowe szpilki zaznaczały na niej pozycje wojsk. Obok wisiało zdjęcie drużyny Pilego – sfotografowane na tle betonowej ściany gołe kolana i poważne twarze.

Mały komentował na bieżąco, co rysuje, dodając specjalne efekty dźwiękowe.

– To są nasze odrzutowce... wwr... a to działa przeciwlotnicze Czerwonych. Trach! Trach! – Niebo znaczyły linie żółtej kredki. – Teraz mają, czego chcieli. – W dół spadały małe czarne kropki, na ziemi wykwiwały czerwone kwiaty ognia. – Komuchy wzywają na pomoc własne lotnictwo, ale ich myśliwce nie mają szans z naszymi... – Trwało to przez kolejne pięć minut, atak następował za atakiem.

Nagle, znudzony własnym dziełem, Pili odsunął na bok kredki i dał nurka pod łóżko. Wyciągnął stamtąd stos starych wojennych czasopism.

– Skąd je wzięłeś?

– Dał mi je wujek Erich. Kiedyś je zbierał. Chłopiec usiadł na łóżku i zaczął przerzucać strony.

– Co jest napisane pod tym zdjęciem, tato? – Podał Marchowi czasopismo i usiadł obok, biorąc go za rękę.

– „Saper przedarł się przez zapory z drutu kolczastego, osłaniając stanowisko karabinu maszynowego – przeczytał Xavier. – Kilka języków ognia i śmiertelny strumień płonącego oleju wyeliminował przeciwnika z akcji. Obsługujący miotacze ognia muszą być ludźmi o stalowych nerwach”.

– A pod tym?

March nie tak wyobrażał sobie swoje pożegnanie. Ale jeśli tego właśnie chciał chłopiec...

– „Chcemy walczyć o nową Europę – ciągnął dalej. – Tak twierdzą trzej bracia z Kopenhagi razem z dowódcą ich kompanii na obozie treningowym SS w Górnej Alzacji. Spełnili wszystkie wymagania dotyczące stanu zdrowia i czystości rasowej i cieszą się teraz urokami męskiego życia na świeżym powietrzu w położonym wśród lasów obozie”.

– A pod tym? Xavier uśmiechnął się.

– Daj spokój, Pili. Masz już przecież dziesięć lat. Potrafisz sam czytać.

– Ale chcę, żebyś ty to przeczytał. Tutaj jest fotografia U-Boota, takiego samego jak twój. Przeczytaj, co piszą pod spodem.

March przestał się uśmiechać i odłożył czasopismo. Coś było nie w porządku. Co? Nagle zdał sobie sprawę: to cisza. Od kilku minut nic nie wydarzyło się na ulicy: nikt nie przejechał, nikt nie przeszedł, nikt się nie odezwał. Ucichła nawet kosiarka. Zobaczył, jak oczy syna pobiegły ku oknu, i zrozumiał.

Gdzieś w środku domu zabręczało szkło. Xavier rzucił się ku drzwiom, ale chłopak był od niego szybszy: zsunął się z łóżka i złapał go za nogi, owijając się wokół nich niczym płód w parodii dzieciennego błagania.

– Proszę, nie odchodź, tato – powtarzał – proszę...

March złapał palcami za klamkę, ale nie mógł się poruszyć. Był przykuty, przytwierdzony do podłogi. Już mi się to kiedyś śniło, pomyślał. Za ich plecami pękła, zasypując ich szkłem, okienna szyba – w sypialni pojawiły się prawdziwe mundury i prawdziwa broń – i nagle Xavier zorientował się, że leży na plecach, wpatrując się w małe samolociki, które wirowały i huśtały się wściekle na

swoich podwieszonych u sufitu niewidzialnych nitkach.

– Wszystko będzie dobrze, tato – słyszał głos Pilego. – Oni ci pomogą. Sprawią, że staniesz się lepszy. A potem będziesz mógł wrócić i zamieszkać razem z nami. Obiecali mi...

3

Ręce skuli mu za plecami, dłońmi na zewnątrz. Dwóch esesmanów przygwoździło go do ściany, na której wisiała mapa frontu wschodniego. Globus stanął pół metra przed nim. Pilego, dzięki Bogu, wypchnęli z pokoju.

– Czekałem na ten moment – stwierdził Globus – tak jak pan młody czeka na swoją narzeczoną. – Uderzył go mocno w żołądek. March zgiął się wpół i osunął na kolana, ściągając na siebie upstrzoną szpilkami mapę. Miał wrażenie, że już nigdy nie uda mu się zaczerpnąć oddechu. A potem Globus złapał go za włosy; March zacharczał, próbując złapać powietrze, i w tej samej chwili Obergruppenführer uderzył go jeszcze raz, ponownie posyłając na podłogę. Powtórzyło się to kilka razy. W końcu, kiedy leżał z podkurczonymi nogami na dywanie, Globus postawił but na jego skroni, wbijając mu w ucho duży palec.

– Popatrzcie – powiedział. – Wdepnąłem w gówno. – Z bardzo daleka dobiegł Marcha rechotliwy śmiech mężczyzn.

– Gdzie jest dziewczyna?

– Jaka dziewczyna?

Globus rozprostował powoli, tuż przed twarzą Marcha, swoje grube paluchy, a potem zatoczył ręką łuk, uderzając go kantem dłoni w nerki.

To było o wiele gorsze od wszystkiego, czego Xavier doznał do tej pory – oślepiający biały błysk bólu, który przeszył go na wskroś i ponownie posłał plującego żółcią na podłogę. A najgorsza była świadomość, że to dopiero początek mozolnej wspinaczki. Czekały go długie, wznoszące się niczym nuty na pięciolinii etapy tortur: od głuchego basowego bólu po ciosach w brzuch, poprzez mieszczące się w środkowym rejestrze uderzenia w nerki, aż po jakiś niesłyszalny ludzkim uchem, czysty jak kryształ ton.

– Gdzie jest dziewczyna?

– Jaka... dziewczyna...?

Rozbroili go i przeszukali, a potem na pół popychając, na pół wlokąc wyprowadzili z bungalowu. Przy krawężniku zgromadził się już mały tłumek. Starsi sąsiedzi Klary przyglądali się, jak gestapowcy wpychają go głową naprzód na tylne siedzenie BMW. Rzucił szybko okiem na ulicę. Przed domem stała wojskowa ciężarówka i cztery albo pięć samochodów z obracającymi się na dachu światłami. Czego się tutaj spodziewali? Małej wojny? Wciąż nie było nigdzie widać Pilego. Kajdanki zmuszały go do pochylecia się do przodu. Na tylnym siedzeniu, po obu jego stronach usiedli dwaj gestapowcy. Kiedy samochód ruszył z miejsca, zobaczył, że część starszych ludzi szurając nogami wraca już do domów, do stojącej poświaty telewizorów.

Zawieźli go na północ pustymi w dniu święta ulicami. Z Saarland Strasse skręcili na wschód w Prinz-Albrecht, a potem, pięćdziesiąt metrów za głównym wejściem do gmachu Gestapo, cały konwój wjechał, mijając otwarte skrzydła wysokiej więziennej bramy, na brukowany dziedziniec z tyłu budynku.

Wywleczono go z samochodu i poprowadzono przez niskie wejście w dół, po stromych

betonowych schodach. Obcasy Marcha zaszurały po posadzce nisko sklepionego korytarza. A potem były drzwi, wewnątrz celi i cisza.

Zostawili go samego, pozwalając popracować trochę wyobraźni – normalny tryb postępowania. Bardzo dobrze. Podczołgał się do kąta i oparł czoło o wilgotną cegłę. Z każdą mijającą minutą Charlie oddalała się coraz bardziej od Berlina. Pomyślał o Pilim, o wszystkich kłamstwach i dłonie zacisnęły mu się bezwiednie w pięści.

Pałając się nad drzwiami gołą żarówkę osłaniała zardzewiała metalowa siatka. Zerknął na przegub ręki – daremny gest, zabrali mu zegarek. Charlie musi być chyba teraz niedaleko Norymbergi? Próbował wyobrazić sobie gotyckie wieże – świętego Wawrzyńca, świętego Sebalda, świętego Jakuba...

Bolała go każda kończyna – każda część jego ciała, którą potrafił nazwać – a przecież poświęcili mu dotychczas zaledwie pięć minut i udało im się nie pozostawić żadnego śladu na twarzy. Zaczął się bezgłośnie śmiać, ale zaboląły go żebra i przestał.

Zaprowadzono go korytarzem do pokoju przesłuchań: otynkowane na biało ściany, ciężki dębowy stół z dwoma stojącymi naprzeciwko siebie krzesłami; w kącie żelazny piecyk. Globus zniknął gdzieś, teraz sprawę prowadził Krebs. Marchowi zdjęto kajdanki. Znowu normalny tryb postępowania – po twardym gliniarzu przychodzi ten miękki. Sturmbannführer pozwolił sobie nawet na żart.

– Normalnie aresztowalibyśmy również twojego syna i postraszyli go, żeby zapewnić sobie z twojej strony lepszą współpracę. Ale wiemy, że takie postępowanie wywołałoby w tym przypadku przeciwny do zamierzonego efekt. – Specyficzne poczucie humoru tajniaka! Krebs pochylił się na krzesło i wycelował w Marcha ołówkiem. – Tak czy inaczej niezwykły z niego chłopak.

– Rzeczywiście „niezwykły”. – Kiedy go bili, March ugryzł się w którymś momencie w język. Teraz mówił, jakby spędził tydzień w fotelu dentysty.

– Zeszłej nocy daliśmy nasz numer twojej byłej żonie – kontynuował Sturmbannführer – na wypadek gdybyś próbował się z nią skontaktować. Chłopak zapamiętał go. Zadzwoił, kiedy tylko cię zobaczył. Odziedziczył twoją inteligencję, March. I inicjatywę. Powinieneś być z niego dumny.

– W tej chwili uczucia, jakie żywię do mojego syna, są naprawdę bardzo silne.

Dobrze, pomyślał. Oby tak dalej. Mijała kolejna minuta, kolejny kilometr.

Ale Krebs przystępował już do rzeczy, przewracając kartki grubego skoroszytu.

– Mamy tutaj dwie sprawy, March. Pierwsza dotyczy twojej ogólnej postawy politycznej i sięga wiele lat wstecz. To nas dzisiaj nie interesuje... przynajmniej nie bezpośrednio. Druga dotyczy tego, co robiłeś w zeszłym tygodniu... w szczególności roli, jaką odegrałeś podczas przedsięwziętej przez niezującego już towarzysza Luthera próby ucieczki do Stanów Zjednoczonych.

– Nie mam z tym nic wspólnego.

– Wczoraj rano wylegitymował cię na Adolf Hitler Platz funkcjonariusz Orpo. Znalazłeś się tam dokładnie w tym samym czasie, kiedy zdrajca Luther miał zamiar spotkać się z amerykańską dziennikarką Maguire i z towarzyszącym jej facetem z ambasady.

Skąd o tym wiesz?

– To absurd.

– Zaprzeczasz, że byłeś na placu?

– Nie. Oczywiście, że nie.

– Więc po co tam przyjechałeś?

– Śledziłem Amerykankę. Sturmbannführer robił notatki.

– Dlaczego?

– To ona właśnie odkryła zwłoki towarzysza Stuckarta. Była również w naturalny sposób podejrzana jako agentka burżuazyjno-demokratycznej prasy.

– Nie rób ze mnie durnia, March.

– Dobrze. Zawarłem z nią bliższą znajomość. Jeśli natknęła się na zwłoki jednego emerytowanego sekretarza stanu, myślałem, być może uda jej się trafić na następne.

– Słusznie. – Krebs potarł policzek i przez chwilę się zastanawiał. Otworzył świeżą paczkę papierosów i poczęstował Marcha, po czym wyjął z nie używanego pudełka zapalnik i podał mu ogień. March zaciągnął się dymem. Zauważył, że sam Sturbannführer nie zapalił – wszystko to stanowiło fragment roli, rekwizyty przesłuchującego.

Gestapowiec marszcząc brwi ponownie przejrzał swoje notatki.

– Uważamy, że zdrajca Luther miał zamiar przekazać dziennikarce Maguire pewne informacje. Czego one dotyczyły?

– Nie mam pojęcia. Być może kradzieży dzieł sztuki?

– Pojechałeś w czwartek do Zurychu. W jakim celu?

– Właśnie tam udał się Luther, zanim wszelki ślad po nim zginął. Chciałem odnaleźć jakąś wskazówkę, która wyjaśniłaby, dlaczego zniknął.

– I znalazłeś?

– Nie. Ale miałem pozwolenie na wyjazd. Po powrocie przedstawiłem pełen raport Oberstgruppenführerowi Nebemu. Nie czytaliście go?

– Oczywiście, że nie. – Krebs zrobił kolejną notatkę. – Oberstgruppenführer nie pokazuje swoich papierów nikomu, nawet nam. Gdzie jest Maguire?

– Skąd mam wiedzieć?

– Musisz wiedzieć, ponieważ zabrałeś ją z Adolf Hitler Platz po wczorajszej strzelaninie.

– To nie byłem ja, Krebs.

– To byłeś ty, March. Potem pojechałeś do kostnicy i przeszukałeś *rzeczy* zdrajcy Luthera: wiemy o tym od doktora Eislera.

– Nie wiedziałem, że to są rzeczy Luthera. Byłem przekonany, że należą do mężczyzny o nazwisku Stark, którego zastrzelono, gdy znajdował się w odległości pięciu metrów od Maguire. Ciekawiło mnie oczywiście, co miał przy sobie, ponieważ interesowałem się Amerykanką. Poza tym, jeśli sobie dobrze przypominasz, to właśnie wy pokazaliście mi w piątek w nocy to, co pozostało z Luthera. Kto go zastrzelił, jeśli wolno spytać?

– Nie twoja sprawa. Co spodziewałeś się znaleźć w kostnicy?

– Mnóstwo rzeczy.

– Co? Konkretniej

– Pchły. Pluskwy. Ślady wysypki od zauszonego ubrania. Sturbannführer rzucił na stół ołówek i skrzyżował ramiona.

– Niegłupi z ciebie facet, March. Ciesz się, że przynajmniej to gotowi jesteśmy ci przyznać. Myślisz, że cackalibyśmy się z tobą w ten sposób, gdybyś był jakimś durnym ciołkiem w rodzaju twojego przyjaciela, Maxa Jaegera? Założę się, że mógłbyś nas wodzić za nos całymi godzinami. Ale my nie mamy tyle czasu i jesteśmy mądrzejsi, niż myślisz. – Poprzesuwał na biurku papiery, uśmiechnął się z afektacją i wyciągnął asa, którego przez cały czas trzymał w rękawie. – Gdzie jest torba, którą odebrałeś z lotniska?

March spojrział mu prosto w oczy. Wiedzieli wszystko.

– Jaka torba?

– Torba podobna do lekarskiego nesesera. Torba, która nie waży zbyt wiele, ale może zawierać

jakieś papiery. Torba, którą Friedman dał ci na lotnisku i w sprawie której zadzwonił do nas pół godziny później. Zaraz po powrocie do swego gabinetu znalazł na biurku teleks z Prinz-Albrecht Strasse: był w nim wyraźny zakaz wypuszczania cię z kraju. Kiedy go zobaczył, uznał jako prawdziwy patriotą, że lepiej będzie, jeśli powiadomi nas o twojej wizycie.

– Friedman! – prychnął z pogardą March. – Prawdziwy patriotą? Dałeś się nabrać, Krebs. Facet kombinuje coś na własną rękę.

Gestapowiec westchnął. Wstał, obszedł stół i stanął za Marchem, opierając obie dłonie na oparciu krzesła.

– Kiedy to się skończy, March, chętnie poznam cię bliżej. Naprawdę. Zakładając, że zostanie z ciebie coś, co można będzie poznać. Dlaczego ktoś taki jak ty zszedł na złą drogę? Interesuje mnie to z technicznego punktu widzenia. Żeby uchronić przed tym innych.

– Twoje oddanie sprawie samodoskonalenia jest godne pochwały.

– Znowu zaczynasz? To problem postawy. Sytuacja w Niemczech zmienia się... zmienia się od środka... i ty, March, mógłbyś się w to włączyć. Sam Reichsführer osobiście interesuje się młodym pokoleniem: słucha naszych opinii, awansuje nas. Wierzy w konieczność przebudowy, większego otwarcia na świat, w to, że trzeba rozmawiać z Amerykanami. Czas ludzi podobnych do Odila Globocnika powoli mija. –

Krebs nachylił się do ucha Xaviera. – Wiesz, dlaczego Globus cię nie lubi? – zapytał szeptem.

– Oświeć mnie.

– Bo robisz z niego durnia. W jego kodeksie to największa obraza. Pomóż mi, a ja cię przed nim obronię. – Sturmbannführer wyprostował się. – Gdzie jest ta kobieta? – podjął normalnym głosem. – Jakie informacje chciał jej przekazać Luther? Gdzie jest jego torba?

Trzy te same powtarzane bez końca pytania.

Przesłuchanie ma przynajmniej jedną zaletę: więzień może się czasem dowiedzieć tyle samo albo więcej od ludzi, którzy zadają pytania.

Na podstawie tego, o co pytał Krebs, March mógł domyślić się, jaki jest zakres jego wiedzy. W pewnych kwestiach był on bardzo szeroki: Gestapo wiedziało na przykład, że March odwiedził kostnicę i że odebrał torbę z lotniska. Istniała jednak poważna luka. Dziwnie pokrętna gra Sturmbannführera wskazywała, że w gruncie rzeczy nie ma on pojęcia o tym, jakie dokładnie informacje Luther obiecał Amerykanom. Na tym wątplym fakcie March opierał swą jedyną nadzieję.

Po kolejnej półgodzinie, która nie doprowadziła do niczego, drzwi otworzyły się i pojawił się w nich Globus. W ręku trzymał długą pałkę z polerowanego drewna. Za jego plecami stało dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn w czarnych mundurach.

Krebs skoczył na baczność.

– Czy złożył pełne zeznanie? – zapytał Globus.

– Nie, Herr Obergruppenführer.

– Co za niespodzianka. W takim razie chyba moja kolej.

– Oczywiście. – Sturmbannführer pochylił się i zaczął zbierać swoje papiery.

March nie wiedział, czy mu się zdawało, czy rzeczywiście zobaczył na tej pociągłej, kamiennej twarzy cień żalu, a może nawet niesmaku.

Po wyjściu Krebsa Globus krążył przez chwilę po pokoju, wlokąc za sobą po kamiennej posadzce drewnianą pałkę.

– Wiesz, co to jest, March? – zapytał. – Nie? Nie chcesz odpowiadać? To amerykański

wynalazek. Kij do baseballu. Przywiózł mi go kumpel z naszej ambasady w Waszyngtonie. – Zatoczył kijem kilka łuków. – Myślę o stworzeniu drużyny SS. Moglibyśmy grać z amerykańską armią. Co o tym sądzisz? Goebbels uważa to za świetny pomysł. Jego zdaniem amerykańskim masom spodobała się transmisja w telewizji.

Oparł kij o ciężki drewniany stół i zaczął rozpinąć guziki munduru.

– Jeśli interesuje cię moja opinia, główny błąd został popełniony w trzydziestym szóstym, kiedy Himmler oświadczył, że każdy platfus z Kripo powinien nosić mundur SS. To wtedy właśnie wylądowały u nas wszelkie podobne do ciebie szumowiny. A także pomarszczone stare cipy w rodzaju Artura Nebego.

Wręczył kurtkę od munduru jednemu ze strażników i zawinał rękawy koszuli. Nagle zaczął wrzeszczeć.

– Mój Boże, kiedyś wiedzieliśmy, jak postępować z ludźmi twojego pokroju. Ale zrobiliśmy się słabi. Dzisiaj nie pyta się faceta, czy ma jaja, ale czy zrobił doktorat. Nie potrzebowaliśmy doktoratów w czterdziestym pierwszym na froncie wschodnim, kiedy było pięćdziesiąt stopni poniżej zera i siki zamarzały w powietrzu. Powinieneś słyszeć Krebsa, March, na pewno by ci się to spodobało. Należy do tej samej pierdolonej bandy co ty. „Za pańskim pozwoleniem, Herr Obergruppenführer – zaczął przedrzeźniać afektowany głos Krebsa – chciałbym przesłuchać podejrzanego w pierwszej kolejności. Mam wrażenie, że lepsze rezultaty może dać bardziej subtelne podejście”. Subtelne, kurwa! Jaki z ciebie pożytek, March? Gdybyś był moim psem, dałbym ci truciznę.

– Gdybym był twoim psem, od razu bym ją połknął. Globus uśmiechnął się do jednego ze strażników.

– Widzieliście, jaki chojrak? – Splunął w dłonie i podniósł w górę kij do baseballu. – Przeglądałem twoje akta – zwrócił się do Marcha. – Przekonałem się, że uwielbiasz pisać. Zawsze robisz notatki, zestawiasz listy. Całkiem jak jakiś pierdolony sfrustrowany literat. Powiedz mi: jesteś prawo czy leworęczny?

– Leworęczny.

– Kolejne kłamstwo. Połóż na stole prawą rękę. March poczuł, jakby wokół jego piersi zacisnęły się żelazne obręcze. Ledwie mógł oddychać.

– Odpierdol się.

Obergruppenführer posłał spojrzenie strażnikom i z tyłu chwyciły Marcha silne ręce. Krzesło, na którym siedział, wywróciło się. Wylądował głową na blacie stołu. Jeden z esesmanów wykręcił mu lewą rękę do tyłu i szarpnął ją w górę. March ryknął z bólu; w tej samej chwili drugi mężczyzna złapał go za prawą rękę, a potem wspiał się na stół i wbił kolano tuż powyżej łokcia, przygważdżając do drewnianych desek jego przedramię.

W ciągu kilku sekund wszystko zostało unieruchomione z wyjątkiem trzepoczących lekko niczym skrzydła uwięzionego ptaka palców.

Globus stanął w odległości metra od stołu i dotknął lekko końcem kija kłycki Marcha. A potem podniósł kij w górę, zamachnął się niczym toporem i zataczając liczący prawie trzysta stopni łuk, opuścił go z całej siły w dół.

Nie zemdlął od razu. Strażnicy puścili go i opadł na kolana, sącząc z kącika ust nitkę śliny, zostawiając na stole wilgotny ślad. Ręka była wciąż wyprostowana. Przez chwilę w ogóle się nie ruszał, a potem podniósł głowę. Zobaczył to, co pozostało z jego dłoni – obco wyglądającą masę krwi i kości, które leżały na stole niczym na rzeźniczym pniaku – i dopiero wtedy stracił

przytomność.

Kroki w ciemności. Głosy.

– Gdzie jest ta kobieta? Kopnięcie.

– Co to były za informacje? Kopnięcie.

– Co ukradłeś? Kopnięcie. Kopnięcie.

Podkuty but przydeptał mu palce, rozgniatając je na kamiennej posadzce.

Kiedy ponownie odzyskał przytomność, spoczywał w kącie. Jego zmiażdżona dłoń leżała obok niczym pozostawione przy matce, martwo urodzone niemowlę. Jakiś mężczyzna – chyba Krebs – kuczał przy nim i coś mówił. March próbował skupić na nim wzrok.

– Co to jest? – mówiły usta Sturmbannführera. – Co to znaczy?

Gestapowiec kurczowo łapał oddech, tak jakby przebiegł przed chwilą wiele pięter. Jedną ręką trzymał Marcha za podbródek, obracając jego twarz do światła, w drugiej ścisnął plik papierów.

– Co to znaczy, March? Te papiery były ukryte w twoim samochodzie. Przyklejone taśmą pod tablicą rozdzielczą. Co to znaczy?

March odwrócił głowę z powrotem, twarzą ku ciemniejącej ścianie.

Kap, kap, kap. Kapało w jego snach. Kap, kap, kap.

Trochę później – nie mógł bliżej określić pory, bo czas przestał być czymś wymiernym: raz pędził jak szalony, raz włókł się niewypowiedzianie wolno – pojawił się nad nim biały fartuch. Błysnęła stal. Przed oczyma Marcha mignęło wyprostowane pionowo cienkie ostrze. Próbował się cofnąć, ale czyjeś palce złapały go za nadgarstek i igła wbiła się w żyłę. Z początku, kiedy dotknęło jego dłoni, zawył z bólu, ale potem poczuł rozlewający się po żyłach chłód i cierpienie ustąpiło.

Lekarz dyżurujący przy izbie tortur był stary i zgarbiony. March, który czuł do niego wielką wdzięczność, nie mógł oprzeć się wrażeniu, że doktor przebywa w tych podziemiach od wielu lat. Brud osiadł w jego porach, mrok zagnieździł się w workach pod oczyma. W ogóle się nie odzywał. Oczyszczył rany Marcha, zalał je jakimś płynem, który cuchnął szpitalem i kostnicą, po czym ciasno obwiązał rękę białym bandażem. Nadal nic nie mówiąc, pomógł razem z Krebsem stanąć Marchowi na nogi. Posadzili go z powrotem na krześle, postawili przed nim na stole emaliowany kubek ze słodką białą kawą i wcisnęli do zdrowej ręki papierosa.

4

W swoim umyśle March zbudował mur. Umieścił za nim Charlie w jej pędzącym samochodzie. To był wysoki mur – do jego budowy użył wszystkiego, co zdołała mu podsunąć wyobraźnia: skalnych głazów, bloków betonu, wypalonych łózek, wykolejonych tramwajów, walizek i kufrów – mur, który ciągnął się przez całe Niemcy, niczym na pocztówce z Chin. Xavier patrolował przed nim teren. Nie wolno mu było przepuścić ich na drugą stronę. Poza tym mogli sobie wziąć, co chcieli.

Krebs czytał jego notatki. Siedział z łokciami opartymi o stół i splecionymi pod brodą dłońmi. Co jakiś czas wysuwał rękę, żeby przewrócić kartkę, a potem cofał ją i czytał dalej. March nie spuszczał z niego oka. Po znieczulającym zastrzyku, kawie i papierosie wypełniała go niemal euforia.

Sturmbannführer skończył i na moment zamknął oczy. Jego twarz była jak zawsze blada. Zebrał razem kartki, położył je przed sobą obok notesu Marcha i kalendarzyka Buhlera, po czym wyrównał wszystko co do milimetra z precyzją dowodzącego parady oficera. Może był to efekt zastrzyku, ale

nagle March zaczął dostrzegać wszystko bardzo wyraźnie: widział miniaturowe włoski, jakie zostawiał obok każdej litery rozlewający się po tanim włóknistym papierze atrament; widział, jak źle ogolił się dziś rano Krebs: na fałdzie pod nosem esesmana widniała kępka czarnego zarostu. W panującej w pokoju ciszy wydawało mu się, że słyszy szmer opadającego na stół kurzu.

– Chcesz mnie wykończyć, March?

– Wykończyć?

– Za pomocą tych papierów. – Ręka Krebsa zawisała nad notatkami.

– To zależy od tego, kto o nich wie.

– Tylko jakiś durny Unterscharführer, który pracuje w garażu. Znalazł to, kiedy sprowadziłem tu twój samochód. Przekazał to bezpośrednio mnie. Globus na razie nic o tym nie wie.

– Więc masz odpowiedź na swoje pytanie.

Sturmabführer zaczął nagle energicznie pocierać twarz, tak jakby stracił w niej czucie. A potem nie odrywając dłoni od policzków, znieruchomiał i spojrzał na Marcha przez palce.

– O co tutaj chodzi?

– Potrafisz chyba czytać.

– Potrafię, ale nie rozumiem. – Krebs podniósł kartki i zaczął je przerzucać. – Na przykład tutaj: co to jest „Cyklon B”?

– Krystaliczny cyjanowodor. Przedtem używali tlenku węgla. Jeszcze przedtem pocisków.

– A tutaj? „Oświęcim-Brzezinka”. „Chełmno”. „Bełżec”. „Treblinka”. „Majdanek”. „Sobibór”.

– Obozy śmierci.

– Te liczby: osiem tysięcy dziennie...

– To maksymalna liczba ludzi, którą można było uśmiercić dziennie w Oświęcimiu-Brzezince, mając do dyspozycji cztery komory gazowe i cztery krematoria.

– A jedenaście milionów?

– Jedenaście milionów to łączna liczba Żydów, których zamierzali wyeliminować. Być może im się udało. Nie ma ich dzisiaj zbyt wielu, prawda?

– Widzę tutaj nazwisko Globocnika.

– Globus był dowódcą policji i SS w Lublinie. Budował obozy śmierci.

– Nie wiedziałem. – Gestapowiec rzucił na stół notatki, tak jakby były na nich zarazki. – Nic o tym nie wiedziałem.

– Ależ oczywiście, że wiedziałeś! Wiedziałeś za każdym razem, kiedy ktoś żartował o „wyjeździe na Wschód”. Za każdym razem, kiedy słyszałeś, jak matka strofuje niegrzeczne dziecko, strasząc je, że pójdzie do gazu. Wiedzieliśmy, kiedy wprowadzaliśmy się do ich domów, kiedy przejmowaliśmy ich własność i miejsca pracy. Wiedzieliśmy, ale nie znaleźliśmy faktów. – Wskazał lewą ręką plik papierów. – Te notatki oblekają kości w ciało. A tam, gdzie nie było niczego, pokazują kości.

– Nic nie wiedziałem, że zaangażowani w to byli Buhler, Stuckart i Luther. To miałem na myśli. Nie wiedziałem o Globusie...

– Jasne. Myślałeś, że prowadzisz po prostu śledztwo w sprawie kradzieży dzieł sztuki.

– To prawda. To prawda – powtarzał Krebs. – Jeszcze w środę rano... pamiętasz, kiedy to było...? prowadziłem dochodzenie w sprawie korupcji w Deutsche Arbeitsfront*. Chodziło o sprzedaż lewych pozwoleń na pracę. Nagle, ni z tego, ni z owego wzywa mnie na rozmowę w cztery oczy Reichsführer. Oświadcza, że kilku emerytowanych wyższych urzędników maczało palce w zakrojonej na olbrzymią skalę kradzieży dzieł sztuki. Partia może mieć z tego powodu poważne kłopoty. Nadzór nad sprawą sprawuje Obergruppenführer Globocnik. Mam natychmiast jechać do

Schwanenwerder i zgłosić się pod jego rozkazy.

– Dlaczego akurat ty?

– A dlaczego nie? Reichsführer wie, że interesuję się sztuką. Rozmawialiśmy na ten temat. Moim zadaniem miało być po prostu skatalogowanie odkrytych skarbów.

– Ale musiałeś się przecież zorientować, że to Globus zabił Buhlera i Stuckarta?

– Oczywiście. Nie jestem idiotą. Znam reputację Globusa równie dobrze jak ty. Ale Globus wykonywał rozkazy Reichsführera. Jeśli Heydrich osobiście spuścił go ze smyczy, żeby zaoszczędzić partii publicznego skandalu, kim byłem, żeby się sprzeciwić?

– Kim byłeś, żeby się sprzeciwić? – powtórzył March.

– Postawmy sprawę jasno, March. Twierdzisz, że ich śmierć nie ma nic wspólnego z kradzieżą dzieł sztuki?

– Nic. To był zbieg okoliczności, który stał się dogodnym pretekstem.

– I wiele wyjaśniał. Między innymi, dlaczego Globus działał jako karząca ręka państwa i dlaczego tak bardzo mu zależało na zawieszeniu prowadzonego przez Kripo śledztwa. W środę wieczorem wciąż katalogowałem zgromadzone w Schwanenwerder obrazy, kiedy zadzwonił wściekły w twojej sprawie. Miałem pojechać i cię zgarnąć, co też zrobiłem. I coś ci powiem: gdyby dano Globusowi wolną rękę, byłoby po tobie już wtedy. Ale nie pozwolił na to Nebe. A potem, w piątek w nocy, odnaleźliśmy na stacji rozrządowej to, co zostało z Luthera, i wydawało się, że to już koniec.

– Kiedy odkryliście, że to nie były zwłoki Luthera?

– Mniej więcej o szóstej rano w sobotę. Globus zatelefonował do mnie do domu. Powiedział, że otrzymał informację, że Luther wciąż żyje i że o dziewiątej rano ma zamiar spotkać się z amerykańską dziennikarką.

– Zawiadomił go o tym ktoś z amerykańskiej ambasady? – zaryzykował March.

Sturmbannführer parsknął głośno.

– Skąd ten pomysł? Dostał wiadomość z podsłuchu.

– Niemożliwe.

– Dlaczego? Sam zobacz. – Krebs otworzył jedną z teczek i wyjął kartkę lichego brązowego papieru. – To przyszło w środku nocy z naszej stacji podsłuchowej w Charlottenburgu.

March przeczytał treść notatki:

Forschungsamt

Geheime Reichssache

G745,275

23.51

Mężczyzna: Pyta mnie pani, czego chce. Czego pani zdaniem mogę chcieć? Azylu w pani kraju.

Kobieta: Niech mi pan powie, gdzie pan jest.

Mężczyzna: Mam czym zapłacić.

Kobieta: To nie wysta...

Mężczyzna: Mam informacje. Na temat pewnych faktów.

Kobieta: Niech mi pan powie, gdzie pan jest. Przyjdę po pana. Zaprowadzę pana do ambasady.

Mężczyzna: Za wcześnie. Jeszcze nie teraz.

Kobieta: Wiec kiedy?

Mężczyzna: Jutro rano. Niech pani dobrze słucha. O dziewiątej rano. Na głównych schodach Wielkiego Pałacu. Zrozumiała pani?

Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy jej głos; czuje jej zapach; dotyka jej ciała.

Coś poruszyło się w zakamarkach jego umysłu.

Przesunął papier przez stół. Gestapowiec schował go z powrotem do skoroszytu.

– Wiesz, co zdarzyło się potem – podjął. – Globus zastrzelił Luthera, kiedy tylko ten się pojawił, i jeśli mam być szczery, trochę mną to wstrząsnęło. Żeby zrobić coś takiego w publicznym miejscu... Ten człowiek jest szalony, pomyślałem. Oczywiście zupełnie wtedy nie wiedziałem, dlaczego tak mu zależy, żeby nie brać Luthera żywcem. – Przerwał nagle, jakby dopiero teraz przypomniał sobie, gdzie się znajduje i jaką ma grać rolę. – Przeszukaliśmy ciało – dodał szybko – i nic nie znaleźliśmy. A potem ruszyliśmy za tobą.

Marcha znowu zaczęła boleć ręką. Spojrzał w dół i zobaczył, że na białym bandażu pojawiły się szkarłatne plamy.

– Która godzina?

– Piąta czterdzieści siedem. Charlie wyjechała prawie jedenaście godzin temu. Boże, jego ręką... Plamy czerwieni rozszerzały się i łączyły ze sobą, tworząc coraz większe archipelagi krwi.

– Było ich razem czterech – mówił March. – Buhler, Stuckart, Luther i Kritzinger.

– Kritzinger? – Sturmbannführer zanotował nazwisko.

– Friedrich Kritzinger, Ministerialdirektor Kancelarii Rzeszy. Na twoim miejscu nie robiłbym żadnych notatek. Krebs odłożył na bok ołówek.

– Tym, co spędzało im sen z powiek, nie był sam program eksterminacji... pamiętaj, że wszyscy byli wyższymi funkcjonariuszami partii... ale brak wyraźnego rozkazu Führera. Nie było niczego na papierze. Mieli tylko ustne zapewnienia Heydricha i Himmlera, że tego właśnie chce Führer. Czy mogą zapalić jeszcze jednego papierosa?

Sturmbannführer poczęstował go. March kilka razy się zaciągnął.

– To jest tylko przypuszczenie, rozumiesz? – stwierdził po chwili. Krebs kiwnął głową. – Zakładam, że zadali sobie pytanie: dlaczego nie ma żadnego pisemnego dowodu, że Führer popiera tę politykę? Odpowiedź, jakiej sobie udzielili, brzmiała prawdopodobnie następująco: ponieważ cała rzecz jest zbyt potworna, żeby mógł za nią brać odpowiedzialność szef państwa. Gdzie w związku z tym się znaleźli? Znaleźli się po same uszy w gównie. Ponieważ jeśli Rzesza przegra wojnę, zasiądą na ławie oskarżonych jako zbrodniarze wojenni. A jeśli wygra, któregoś dnia mogą stać się kozłami ofiarnymi, winnymi największego masowego morderstwa w historii.

– Nie jestem pewien, czy chcę tego słuchać – mruknął gestapowiec.

– Postanowili się zatem zabezpieczyć. Złożyli zaprzysiężone oświadczenia (to nie było trudne: wszyscy trzej byli adwokatami) i gromadzili, jakie mogli, dokumenty. Stopniowo udało im się zebrać całkiem pokaźny komplet. Ubezpieczyli się na każdą okazję. Gdyby Niemcy wygrały wojnę i podjęte zostały przeciwko nim jakieś działania, mogli zagrozić, że ujawnią to, co wiedzą. Gdyby wygrali alianci, mogli powiedzieć: patrzcie, sprzeciwialiśmy się tej polityce i ryzykowaliśmy nawet życie, żeby zebrać o niej informacje. Luther dodał nawet subtelny szantaż – kłopotliwe dokumenty na temat amerykańskiego ambasadora w Londynie, Kennedy'ego. Daj mi to.

March wskazał głową swój notes i kalendarzyk Buhlera. Po krótkim wahaniu Krebs przesunął je w jego stronę.

Niełatwo było otworzyć notes jedną ręką. Przesiąknięty krwią bandaż brudził białe kartki.

– Obozy zorganizowane były tak, żeby nie zostawić żadnych świadków. Komory gazowe i krematoria obsługiwali specjaliści więźniowie. Po jakimś czasie likwidowano ich i zastępowano nowymi, którzy także byli likwidowani. I tak dalej. Jeśli mogło się to zdarzyć na najniższym szczeblu, dlaczego nie na najwyższym? Spójrz. W konferencji w Wannsee uczestniczyło czternaście osób.

Pierwsza z nich umiera w pięćdziesiątym czwartym. Druga w pięćdziesiątym piątym. Potem szło to prawie rok w rok: w pięćdziesiątym siódmym, pięćdziesiątym dziewiątym, sześćdziesiątym, sześćdziesiątym pierwszym, sześćdziesiątym drugim. W sześćdziesiątym trzecim Luther miał prawdopodobnie paść ofiarą włamywaczy, którzy wdarli się do jego domu. Wynajął ochronę, ale czas mijał, nic się nie działo i doszedł do wniosku, że był to zbieg okoliczności.

– Dosyc, March.

– W sześćdziesiątym trzecim doszło do przyspieszenia. W maju umiera Klopfer. W grudniu wiesz się Hoffmann. W marcu tego roku ginie w zamachu bombowym Kritzinger. Buhler zaczyna się naprawdę bać. Ta ostatnia śmierć stanowi moment krytyczny. Kritzinger jest pierwszą ofiarą z czteroosobowej grupy.

March podniósł w górę kalendarzyk.

– Tutaj zaznacza krzyżykiem datę śmierci Kritzingera. Potem dni mijają spokojnie; nic się nie dzieje; być może alarm był przedwczesny. I nagle dziewiątego kwietnia kolejny krzyżyk. Pod koła U-Bahnu na stacji Zoo wpada stary kolega Buhlera z Generalnej Guberni, Schöngarth. Na Schwanenwerder wybucha panika! Ale jest już za późno...

– Powiedziałem: dosyc!

– Zastanawia mnie tylko jedno: dlaczego w pierwszych dziewięciu latach doszło tylko do ośmiu mordów, a w następnym półroczu aż do sześciu? Skąd ten pośpiech? Z jakiego powodu podejmuje się tak poważne ryzyko po uprzednim okazaniu tak olbrzymiej cierpliwości? Ale z drugiej strony: my, policjanci, rzadko podnosimy wzrok znad otaczającego nas bagna, rzadko zdobywamy się na szersze spojrzenie. Prawda, Krebs? Wszystko miało zostać zakończone w ubiegły wtorek, zanim ogłoszono, że przyjeżdżają do nas z wizytą nasi nowi przyjaciele, Amerykanie. I tu nasuwa się kolejne pytanie...

– Oddaj mi to! – Sturbannführer wyszarpnął kalendarzyk i notes z dłoni Marcha. Z korytarza dobiegał tubalny głos Globusa...

– Czy Heydrich zrobił to wszystko z własnej inicjatywy, czy spełniał rozkazy z góry? Rozkazy, które wydała mu, być może, ta sama osoba, która nie chciała złożyć podpisu na żadnym z tych dokumentów...

Krebs otworzył piec i wepchnął do niego papiery. Przez moment leżały, tłąc się na węglach, a potem, kiedy w drzwiach celi obrócił się klucz, zabłyśły żółtym płomieniem.

5

– Chełmno! – krzyczał do Globusa, kiedy ból stawał się zbyt wielki. – Bełzec! Treblinka!

– Nareszcie do czegoś dochodzimy. – Obergruppenführer uśmiechał się do swoich pomocników.

– Majdanek! Sobibór! Oświęcim! Brzezinka! – Zasłaniał się tymi nazwami niczym tarczą.

– Co mam według ciebie zrobić? Skurczyć się i umrzeć? – Gestapowiec przykucnął, złapał Marcha za uszy i obrócił jego twarz ku sobie. – To są tylko nazwy, March. Nic tam dzisiaj nie ma, nawet jednej cegły. Nikt w to nigdy nie uwierzy. I wiesz, co ci powiem? Ty sam w to też częściowo nie wierzysz. – Splunął mu w twarz pecyną zielonkawożółtej flegmy. – Świat pluje na to tak samo jak ja. – Pchnął Marcha w dół, waląc jego głową o kamienną posadzkę. – Pytam jeszcze raz. Gdzie jest dziewczyna?

6

Czas włókł się na czworakach, z przetrąconym grzbietem. March nie był w stanie powstrzymać drżenia. Zęby dzwoniły mu niczym w dziecinnym zegarze.

Byli tu przed nim inni więźniowie. Zamiast nagrobków zostały po nich na ścianach celi wyryte połamanymi paznokciami napisy. „J.F.G. 22.02.57”. „Katja”. „H.K. maj 44”. Komuś udało się wydrapać tylko połowę litery „E”, zanim opuściły go siły albo zabrakło czasu. Wciąż ta potrzeba pisania...

Zauważył, że żaden z napisów nie był umieszczony wyżej niż metr nad podłogą.

Ból w ręce spowodował wysoką gorączkę. Dręczyły go halucynacje. Jakiś pies miażdżył w pysku jego palce. Zamknął oczy i zastanawiał się, która teraz może być godzina. Kiedy po raz ostatni zapytał o to Krebsa, była która? – za parę minut szosta. Następnie rozmawiali przez jakieś pół godziny. Potem nastąpiła jego druga sesja z Globusem – nieskończoność. A potem okres, kiedy leżał samotnie w celi, tracąc i odzyskując przytomność, budzony przez szarpiącego mu dłoń psa i osuwający się z powrotem w ciemność.

Pod policzkiem czuł ciepłą posadzkę; gładki kamień topił się przy jego skórze.

Śnił mu się ojciec – wracały stare sny z dzieciństwa. Sztywna postać z fotografii machała ręką z pokładu wychodzącego z portu okrętu, machała tak długo, aż nie była większa od zapałki, aż znikła w końcu z pola widzenia. Śnił mu się Jost, który truchtając w miejscu deklamował poważnym głosem wiersz: „Rzucasz ochłapy bestii, która jest w człowieku/Żeby rosła...” Śniła mu się Charlie.

Ale najczęściej śniło mu się, że jest znowu w sypialni Pilego, w tamtej strasznej chwili, kiedy zrozumiał, co takiego uczynił z dobrego serca – z dobrego serca! – jego syn. Kiedy wyciągał ręce ku drzwiom, ale jego nogi tkwiły w pułapce – aż tyłu pękała okienna szyba i chwyciły go za ramiona silne dłonie...

Obudziło go szarpnięcie strażnika.

– Wstawać!

Leżał na lewym boku, zwinięty w kółko niczym płód; bolało go całe ciało, rwały stawy. Strażnik obudził szarpiącego jego dłoń psa i zrobiło mu się niedobrze. Nie miał już czym wymiotować, ale jego żołądkiem i tak wstrząsały torsje. Cella odpłynęła daleko, a potem nagle wróciła. Postawiono go na nogi. Strażnik trzymał w ręku kajdanki. Obok niego stał Krebs. Dzięki Bogu, że nie Globus.

Esesman przyglądał mu się z niesmakiem.

– Załóżcie lepiej kajdanki z przodu – polecił strażnikowi.

Skuli mu ręce, wepchnęli na głowę czapkę i poprowadzili go schylonego korytarzem, a potem po schodach na świeże powietrze.

Nocne powietrze było chłodne i czyste. Na niebie nad dziedzińcem świeciły gwiazdy. Kontury budynków i samochodów oblane były srebrną księżycową poświatą. Sturbannführer wepchnął Marcha na tylne siedzenie mercedesa i usiadł obok niego.

– Columbia Haus – rzucił w stronę kierowcy. – Zablokuj drzwi. Kiedy w drzwiach obok niego zasunęły się rygle, March odetchnął z ulgą.

– Nie rób sobie wielkich nadziei – oświadczył Krebs. – Obergruppenführer wciąż na ciebie czeka. W Columbia Haus mamy po prostu nowocześniejsze wyposażenie, to wszystko.

Wyjechali przez bramę. Ktoś postronny mógł ich wziąć za dwóch oficerów SS na służbie. Strażnik zasalutował.

Columbia Haus znajdował się trzy kilometry na południe od Prinz-Albrecht Strasse. Ciemne

budynki rządowe szybko ustąpiły miejsca obskurnym biurówcom i oszalanym magazynom. Na terenach graniczących z więzieniem planowano w latach pięćdziesiątych wznieść nową dzielnicę i buldożery Speera zdążyły już tu i ówdzie dokonać wstępnych spustoszeń. Ale pieniądze skończyły się, zanim udało się zbudować cokolwiek na miejscu zburzonych zabudowań. Zarośnięte pustkowia lśniły teraz w niebieskawym świetle niczym skraj pola bitwy. Pomiedzy nimi gnieździli się w mrocznych zaułkach wschodnioeuropejscy gastarbeiterzy.

March na pół siedział, na pół leżał na fotelu, opierając głowę o skórzane oparcie. Krebs pochylił się nagle w jego stronę.

– Cholera jasna! – wrzasnął. – Złał się – powiedział do kierowcy. – Zatrzymaj się tutaj. Szofer zaklął i ostro zahamował.

– Otwórz drzwi! Sturmbannführer wysiadł, objął ramieniem Marcha i wyciągnął go na zewnątrz.

– Szybko! Nie mamy na to całej nocy! – szepnął. – Zaczekaj chwilę – zwrócił się do kierowcy. – Nie gaś silnika.

Popychany z tyłu March ruszył, potykając się o kamienie, alejką biegnącą w stronę nieczynnego kościoła. Kiedy weszli do środka, Krebs rozpiął mu kajdanki.

– Szczęśliwy z ciebie facet, March.

– Nie rozumiem.

– Masz bardzo kochającego wujka.

Kap, kap, kap. Gdzieś w mroku kapała woda. Kap, kap, kap.

– Powinieneś przyjść do mnie od razu, mój chłopcze – mówił Artur Nebe. – Zaoszczędziłbyś sobie tych wszystkich cierpień. – Poglądził Marcha palcami po policzku. W gęstym mroku March nie widział dokładnie jego twarzy, zaledwie blady zarys.

– Weź mój pistolet. – Krebs wcisnął mu do ręki lugera. – Weź go. Obezwładniłeś mnie. Zabrałeś mi pistolet. Rozumiesz?

Chyba śnił? Ale tkwiąca w jego dłoni broń wydawała się całkiem rzeczywista...

– Och, March, March – ciągnął dalej Nebe niskim, dobitnym głosem. – Krebs przyszedł do mnie dziś wieczorem; powiedział mi, co odkryłeś. Wszyscy to oczywiście podejrzewaliśmy, ale nie mieliśmy żadnych dowodów. Teraz musisz to wydobyć. Ze względu na nas wszystkich. Musisz powstrzymać tych sukinsynów.

– Pan wybaczy, Herr Oberstgruppenführer – przerwał mu Krebs – ale nie mamy już więcej czasu. Spójrz tam, March. Widzisz samochód?

Pod złamaną uliczną latarnią w końcu alejki March dostrzegł niski obły kształt. Słyszał warkot zapalonego silnika.

– Co to znaczy? – Popatrzył pytająco na obu mężczyzn.

– Idź tam i wsiądź do samochodu. Nie mamy więcej czasu. Liczę do dziesięciu i zaczynam krzyczeć.

– Nie zawieź nas, March. – Nebe uszczypnął go w policzek. –

Twój wujek jest bardzo stary, ale ma nadzieję dożyć dnia, kiedy wszyscy ci dranie zawisną na szubienicy. Ruszaj. Wydobądź te papiery. Opublikuj je. Dając ci szansę, ryzykujemy wszystko.

– Zaczynam liczyć – powiedział Sturmbannführer. – Raz, dwa, trzy...

March zawahał się. Ruszył niepewnie do przodu, a potem zataczając się zaczął biec. Kiedy drzwi samochodu otworzyły się, obejrzał się do tyłu. Nebe zniknął już w mroku. Krebs przyłożył dłonie do ust. Za chwilę zacznie wzywać pomocy.

Odwrócił się i ostatkiem sił rzucił w stronę samochodu.

– Zavi! Zavi! – wzywał go ze środka znajomy głos.

CZEŚĆ SIÓDMA

FÜHRERTAG

Jadąc koleją na północny wschód w stronę Krakowa mijamy Oświęcim (348 km od Wiednia), przemysłowe, liczące 12 000 mieszkańców miasto, niegdyś stolicę piastowskich księstw oświęcimskiego i zatorskiego (hotel Zator, 20 pokoi). Drugorzędna linia kolejowa prowadzi stamtąd przez Skawinę do Krakowa (69 km w trzy godziny)...

Bedeker Generalnej Guberni, 1943

Nadejście urodzin Führera witały wydzwaniające północ kuranty. Mijające ich samochody trąbiły i dawały znaki reflektorami, zostawiając za sobą wiszącą nad jezdnią smugę światła. Fabryczne syreny pozdrawiały się wzajemnie niczym stojące na bocznicach pociągi.

– Przyjacielu, co oni ci zrobili?

Max Jaeger próbował skoncentrować się na prowadzeniu, ale co parę sekund spoglądał z przerażeniem i fascynacją w prawo, na siedzącego obok pasażera.

– Co oni ci zrobili? – powtarzał bez przerwy. Na pół zamroczony March nie wiedział, co jest snem, a co jawą. Obrócił się sztywno i spojrzał przez tylną szybę.

– Dokąd jedziemy, Max?

– Bóg jeden wie. Dokąd chcesz jechać?

Droga za nimi była pusta. Xavier ostrożnie obrócił się z powrotem i spojrzał na Maxa.

– Nebe ci nie powiedział?

– Nebe powiedział, że wszystkiego dowiem się od ciebie.

March odwrócił wzrok w stronę mijanych zabudowań. Nie patrzył na nie. Myślał o Charlie, która nie śpiąc czekała na niego w hotelowym pokoju w Waldshut. Zostało jeszcze osiem godzin. Razem z Maxem mieli prawie całą autostradę dla siebie. Powinni zdążyć.

– Siedziałem akurat na Werderscher Markt – opowiadał Jaeger. – Była jakaś dziewiąta. Dzwoni telefon. Wujek Artur. Herr Sturmbannführer! Czy March jest pana bliskim przyjacielem? Zrobiłbym dla niego wszystko, mówię. W tym czasie rozeszły się już pogłoski, gdzie jesteś. W porządku, Herr Sturmbannführer, zobaczymy, czy to prawda. Od jedenastej czterdzieści pięć do dwunastej piętnaście ma pan czekać w Kreuzbergu, na rogu Axmannweg, na północ od opuszczonego kościoła. I ani słowa nikomu, bo rankiem wyląduje pan w kacecie. To było wszystko. Odłożył słuchawkę.

Czoło Maxa świeciło się od potu. Raz po raz odwracał wzrok od drogi, spoglądając na Xaviera.

– Do diabła, Zavi. Sam nie wiem, co robię. Jadę na południe. Odpowiada ci to?

– Jak najbardziej.

– Nie jesteś zadowolony, że mnie widzisz?

– Bardzo zadowolony.

Marchowi znowu zrobiło się słabo. Przekręcił się w fotelu i otworzył lewą ręką szybę. Przez szum wiatru i opon przebijał się jakiś dźwięk. Co to było? Wystawił głowę przez szybę i zerknął w górę. Nie widział nic, ale dźwięk był dość wyraźny. Warkot helikoptera. Zasunął z powrotem szybę.

Przypomniał sobie zapis rozmowy telefonicznej, „...czego chcę. Czego pani zdaniem mogę chcieć? Azylu w pani kraju...”

Zegary i wskaźniki samochodu jarzyły się łagodnym zielonym światłem. Tapicerka pachniała świeżą skórą.

– Skąd wzięłeś ten samochód, Max? – zapytał. To był mercedes; najnowszy model.

– Z garażu przy Werderscher Markt. Niezłe cacko? Ma pełen bak. Możemy dojechać wszędzie, gdzie chcesz. Wszędzie.

Xavier zaczął się śmiać. Niezbyt głośno i niezbyt długo, bo za bardzo bolały go zębra.

– Och, Max, Max – szepnął. – Nebe i Krebs są świetnymi kłamcami, ale z ciebie zawsze był taki fajtłapa. Prawie mi ich żal, że mają cię w swojej drużynie.

Jaeger nie odwrócił wzroku od szyby.

– Zatruli cię narkotykami, Zavi. Skrzywdzili cię. Miesza ci się w głowie, uwierz mi.

– Gdyby wybrali każdego innego kierowcę, nie ciebie, być może dałbym się nabrać. Ale ty... Powiedz mi, Max: dlaczego droga za nami jest taka pusta? Moim zdaniem, jeśli śledzi się nowy jak spod igły, naszpikowany elektroniką, wysyłający sygnał samochód, nie trzeba się do niego zbliżać bliżej niż na kilometr. Zwłaszcza jeśli dysponuje się helikopterem.

– Ryzykowałem własne życie – jęknął Jaeger – i taka spotyka mnie nagroda.

March trzymał już w lewej dłoni lugera, którego dał mu Krebs. Nie było to zbyt wygodne, ale zdołał zdobyć się na pokaz stanowczości, wbijając lufę w tłustą fałdę na karku Maxa.

– Krebs dał mi swój pistolet. Żeby wszystko wyglądało bardziej autentycznie. Na pewno nie naładowany. Ale nie wiem, czy chcesz, żebym sprawdził. Chyba nie. Trzymaj lewą rękę na kierownicy, Max, nie odwracaj oczu od szyby i podaj mi prawą ręką swojego lugera. Bardzo powoli.

– Chyba oszalałeś.

Xavier wbił pistolet głębiej. Lufa ześlizgnęła się po spoconej skórze i zatrzymała tuż za uchem.

– Już dobrze, dobrze... Jaeger oddał mu broń.

– Znakomicie. Teraz będę tutaj siedział, celując w twój gruby brzuch, i jeśli spróbujesz jakichś sztuczek... jakichkolwiek sztuczek... naszpikuję cię ołowiem. Jeśli masz co do tego jakieś wątpliwości, po prostu się zastanów. Na pewno dojdiesz do wniosku, że nie mam nic do stracenia.

– Zavi...

– Zamknij się. Jedź prosto przed siebie aż do Ringu.

Miał nadzieję, że Max nie widzi, jak drży mu ręka. Oparł pistolet na kolanach. To dobry znak, przekonywał sam siebie. Naprawdę dobry. Świadczył o tym, że jej nie zgarnęli. I nadal nie wiedzą, gdzie jest. W przeciwnym razie nigdy nie uciekaliby się do czegoś takiego.

Dwadzieścia pięć kilometrów na południe od miasta jarzyły się w ciemności światła Ringu. Na wielkich żółtych tablicach widniały wypisane czarnymi literami nazwy wchodzących w skład imperium miast. Od góry do dołu, zgodnie z ruchem wskazówek zegara: Szczecin, Gdańsk, Królewiec, Mińsk, Poznań, Kraków, Kijów, Rostów, Odessa, Wiedeń; a potem z powrotem w górę: Monachium, Norymberga, Stuttgart, Strasburg, Frankfurt nad Menem, Hanower i Hamburg.

March kazał skrócić Jaegerowi w lewo, w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara. Dwadzieścia kilometrów dalej, na skrzyżowaniu niedaleko Friedersdorf, zjechali w prawo.

Kolejne znaki: Legnica, Wrocław, Katowice...

Na niebie świeciły gwiazdy. Nad drzewami jaśniały w smugach reflektorów małe strzępy mgły.

Mercedes wyjechał z drogi dojazdowej na zalaną blaskiem księżycą autostradę. Jezdnia lśniła niczym szeroka rzeka. March wyobraził sobie podążający za nim daleko z tyłu smoczy ogon światła i ciężkiej broni.

On stanowił głowę. Jadąc na wschód pustą autostradą, ciągnął ich za sobą – coraz dalej od Charlie.

2

Osaczały go ból i zmęczenie. Żeby nie zasnąć, zaczął mówić.

– Przypuszczam – stwierdził – że wszystko to zawdzięczamy Krausemu.

Żaden z nich nie odezwał się od blisko godziny. Jedynymi odgłosami był cichy pomruk silnika i mlaskanie opon po betonowej nawierzchni.

Jaeger podskoczył, usłyszawszy jego głos.

– Krause?

– Krausemu pomyliły się dyżury. Kazał mi jechać do Schwanenwerder zamiast ciebie.

– Krause! – nasrożył się Max. Jego spowita w zielonym blasku tablicy rozdzielczej twarz przypominała maskę scenicznego demona. Wszystkim jego życiowym kłopotom winien był Krause!

– Gestapo zadbało, żebyś to ty miał dyżur w poniedziałkową noc, prawda? Co ci powiedzieli? „Z Haweli wyłowione zostanie ciało, Herr Sturmbannführer. Nie musicie się spieszyć z identyfikacją. Najlepiej będzie, jeśli na kilka dni zawieruszą się wam gdzieś akta...”

– Coś w tym rodzaju – mruknął Jaeger.

– A potem zaspaełś i zanim dotarłś we wtorek na Werderscher Markt, ja objąłem całą sprawę. Biedny Max. Zawsze miał kłopoty z rannym wstawaniem. Gestapo musiało cię za to nieźle opieprzyć. Z kim rozmawiałeś?

– Z Globocnikiem.

– Z samym Globusem! – March zagwizdał przez zęby. – Pomyślałeś pewnie, że spadnie ci z nieba gwiazdka! Założę się. Co ci obiecał, Max? Awans? Przejście do Sipo?

– Odpierdol się, March.

– Informowałem więc ich o wszystkim, co robię. Kiedy powiedziałem ci, że Jost widział Globusa przy topielcu, przekazałeś to wyżej i Jost zniknął. Kiedy zadzwoniłem do ciebie z mieszkania Stuckarta, uprzedziłeś ich, gdzie jesteśmy i zostaliśmy aresztowani. Nazajutrz rano przeszukali apartament Amerykanki, bo powiedzieliś im, że ma coś, co wyjąłem z sejfu Stuckarta. Zostawili nas razem na Prinz-Albrecht Strasse, żebyś mógł mnie przesłuchać zamiast nich...

Prawa ręka Jaegera oderwała się od kierownicy. Złapał za lufę pistoletu i odsunął ją w górę. Xavier nacisnął cyngiel.

Od eksplozji w zamkniętej przestrzeni o mało nie popękały im bębenki. Samochód wypadł z autostrady, wjechał na rozdzielający jezdnie pas trawy i zaczął podskakiwać na nierównej nawierzchni. Przez chwilę March myślał, że sam się postrzelił; potem doszedł do wniosku, że trafił Maxa. Ale ten trzymał obie dłonie na kierownicy, starając się zapanować nad mercedesem. On sam wciąż ścisnął w dłoni pistolet. Przez widniejącą w suficie dziurę po pocisku wpadało do środka chłodne powietrze.

Jaeger śmiał się jak szaleniec i coś mówił, ale March wciąż był ogłuszony po wystrzale. Samochód zjechał z trawy z powrotem na autostradę.

Podczas szamotaniny Xavier oparł się o swoją pogruchotaną rękę i o mało nie zemdlął z bólu. Strumień zimnego powietrza szybko przywrócił mu świadomość. Odczuwał gorączkową potrzebę dokończenia swojej historii. Przekonałem się, że to ty mnie zdradziłeś – chciał powiedzieć – dopiero kiedy Krebs pokazał mi zapis podsłuchu. Byłeś jedyną osobą, której powiedziałem o budce telefonicznej przy Bülow Strasse, o tym, jak Stuckart skontaktował się z dziewczyną. Ale wszystkie słowa porywał wiatr. Zresztą jakie to miało teraz znaczenie?

Największym paradoksem był jego stosunek do Nightingale'a. Amerykanin okazał się człowiekiem uczciwym; zdrajcą był jego najbliższy przyjaciel.

Jaeger wciąż uśmiechał się i gadał do siebie jak wariat. Po pulchnych policzkach płynęły mu łzy.

Kilka minut po piątej zatrzymali się na czynnej przez całą dobę stacji benzynowej. Nie wysiadając z samochodu Max otworzył okno i kazał pracownikowi nalać do pełna. March wciąż

wcisnął mu w żebra lufę lugera, ale opuściła go wola walki. Czuł się zupełnie bezsilny. Worek kości w mundurze.

Młody człowiek, który obsługiwał pompę, przyjrzał się dziurze w dachu, zerknął na pasażerów – dwóch Sturmbannführerów SS

w fabrycznie nowym mercedesie – po czym przygryzł wargę i nic nie powiedział.

Przez linię drzew, które oddzielały stację od autostrady, Xavier widział przesuwające się co jakiś czas reflektory. Ale ani śladu kawalkady, która, wiedział o tym, podążała ich śladem. Domyślił się, że stanęli kilometr z tyłu, żeby zobaczyć, co ma zamiar zrobić dalej.

– Nigdy nie chciałem, żeby stało ci się coś złego, Zavi – powiedział Jaeger, kiedy znaleźli się z powrotem na autostradzie. March, który rozmyślał akurat o Charlie, odchrząknął.

– Globocnik jest przecież, na litość boską, generałem policji. Jeśli mówi mi: „Jaeger! Obejrzyj się za siebie”, oglądam się za siebie. Prawda? To znaczy, takie jest chyba prawo, tak czy nie? Musimy przestrzegać prawa!

Max odwrócił wzrok od szyby i przez dłuższą chwilę wpatrywał się w milczącego Xaviera. W końcu znowu spojrzał na jezdnię.

– Więc dobrze: co miałem zrobić, kiedy kazał mi powiedzieć, co odkryłeś?

– Mogłeś mnie ostrzec.

– Tak? A co ty byś zrobił? Znam cię: ciągnąłbyś to wszystko dalej. I do czego by mnie to doprowadziło? Mnie, Hannelore i dzieciaki? Nie wszyscy urodziliśmy się na bohaterów, Zavi. Muszą być także ludzie podobni do mnie, żeby tacy jak ty mogli strugać waśniaków.

Jechali w stronę świtu. Nad niskimi zadrzewionymi wzgórzami unosiła się biała poświata, tak jakby gdzieś daleko przed nimi paliło się miasto.

– Teraz pewnie mnie zabiją. Za to, że dałem ci się zaskoczyć. Powiedzą, że sam oddałem ci broń. Zastrzelą mnie jak psa. Jezu, chyba tylko żartowali, prawda? – Jaeger odwrócił w stronę Marcha załzawione oczy. – Powiedz, że żartowali!

– Żartowali – uspokoił go Xavier.

Kiedy przekraczali Odrę, zrobiło się już jasno. Szara rzeka ciągnęła się po obu stronach wysokiego stalowego mostu. Dwie barki mijały się pośrodku wolnego nurtu, bucząc do siebie głośno na dzień dobry.

Odra: naturalna granica Niemiec z Polską. Tyle tylko, że nie było tutaj żadnej granicy; nie było Polski.

March patrzył prosto przed siebie. Tędy właśnie sunęła na wschód we wrześniu 1939 Dziesiąta Armia Wehrmachtu. Przypomniawszy sobie stare kroniki filmowe: zaprzężona w konie artyleria, czołgi, maszerujące oddziały... Zwycięstwo wydawało się takie łatwe. Jak się wtedy cieszyli!

Ukazał się drogowskaz zapowiadający zjazd do Gliwic, miasta, w którym zaczęła się wojna.

– Jestem cały połamany, Zavi – jęknął Max. – Nie mam siły już jechać.

– Już niedaleko – pocieszył go Xavier.

Przypomniawszy sobie słowa Globusa. „Nic tam dzisiaj nie ma, nawet jednej cegły. Nikt w to nigdy nie uwierzy. I wiesz, co ci powiem? Ty sam w to też częściowo nie wierzysz”. To był dla niego najgorszy moment, dlatego że Globus wcale się nie mylił.

Na gołym wzgórzu niedaleko drogi stał Totenburg – Cytadela Poległych – cztery granitowe, wysokie na pięćdziesiąt metrów wieże, otaczające obelisk z brązu. Kiedy go mijali, na metalu zabłysły niczym w zwierciadle słabe promienie słońca. Między tym miejscem a Uralem stały dziesiątki takich mogił – monumentalnych pomników wzniesionych ku czci Niemców, którzy polegali i mieli jeszcze polec w walkach na Wschodzie. Przecinające Śląsk i stopy dwupasmowe drogi biegły grzbietem wzgórz, żeby nie zasypały ich zimowe śniegi – puste, wiecznie smagane wiatrem autostrady.

Dwadzieścia kilometrów dalej, kiedy zostawili za sobą dymiące fabryczne kominy Katowic, March kazał Jaegerowi zjechać z autostrady.

Widział ją całkiem wyraźnie.

Wymeldowuje się właśnie z hotelu. „Jest pan pewien, że nie ma dla mnie żadnych wiadomości?”, pyta recepcjonistę. Ten uśmiecha się. Pytała już o to kilkanaście razy. Portier chce pomóc jej wynieść bagaż, ale Charlie odmawia. Siada do samochodu, przygląda się przez chwilę rzece, a potem czyta ponownie list, który znalazła schowany w swojej walizce. „Oto klucz do sejfów, kochanie. Postaraj się, żeby Cecylia ujrzała kiedyś światło dnia...” Mija minuta. Potem następna. I jeszcze jedna. Charlie wciąż patrzy na północ, tam, skąd ma przyjechać Mardi. W końcu zerka na zegarek. Kiwa powoli głową, zapala silnik i skręca w prawo, w cichą uliczkę.

Po obu stronach drogi ciągnął się teraz typowy pejzaż przemysłowy: obramowane nie przycinanymi żywopłotami brązowe pola, pobielająca trawa, czarne zbocza górniczych hałd; drewniane wieże kopalni z obracającymi się upiornie, przypominającymi szkielety wiatraków kołami wind.

– Co za zadupie – stwierdził Jaeger. – Co się tutaj dzieje?

Droga biegła obok linii kolejowej, potem przecięła rzekę. Jej brzegów czepiał się gęsty osad. Wiatr wiał dokładnie od strony Katowic. W powietrzu unosił się smród chemikaliów i węglowego pyłu. Niebo naprawdę było żółte jak siarka; przez smog przebijała pomarańczowa kula słońca.

Przejechali pod poczeriałym wiaduktem, a potem przecięli przejazd kolejowy. Teraz byli już blisko. March próbował sobie przypomnieć naszkicowaną w pośpiechu mapkę Luthera.

Zbliżali się do skrzyżowania. Zawahał się.

– Skręć w prawo.

Minęli szopy z falistej blachy, jakieś drzewa, jeszcze jeden przejazd...

Rozpoznał nie używaną linię kolejową.

– Zatrzymaj się! Max wcisnął hamulec.

– To tutaj. Możesz zgasić silnik. Taka cisza. Nie słychać było nawet śpiewu ptaka. Jaeger przyjrzał się z niechęcią wąskiej drodze, pustym polom, stojącej w oddali kępie drzew. Ziemia jałowa.

– Stoimy przecież w środku pustkowia!

– Która jest godzina?

– Minęła dziewiąta.

– Włącz radio.

– O co chodzi? Chcesz posłuchać muzyki? „Wesołej wdówki”?

– Po prostu włącz radio.

– Który program?

– To nie ma znaczenia. Jeśli jest dziewiąta, wszystkie będą nadawać to samo.

Max wcisnął przycisk, przekręcił gałkę. Usłyszeli coś, co przypominało łoskot łamiących się o skaliste wybrzeże fal oceanu. Kiedy Jaeger zmieniał częstotliwość, łoskot oddalał się i znikał, aż w końcu odezwał się z pełną siłą: to nie był ocean, ale dobywający się z milionów gardeł ryk entuzjazmu.

– Wyjmij swoje kajdanki, Max. Tak. Teraz daj mi kluczyk. Przykuj się do kierownicy. Przykro mi, Max.

– Och, Zavi...

– Oto nadjeżdża! – krzyczał komentator. – Widzę go! Nadjeżdża!

Szedł już ponad pięć minut i prawie dotarł do kępy brzoź, kiedy w oddali rozległ się warkot helikoptera. Obrócił się i popatrzył wzdłuż porośniętych falującą trawą torów. Przy mercedesie stało teraz kilkanaście innych pojazdów. W jego stronę posuwała się tyraliera czarnych postaci.

Odwrócił się i ruszył dalej.

Podjeżdża teraz do granicy. Na posterunku powiewa flaga ze swastyką. Strażnik bierze do ręki jej paszport. „Jaki jest cel pani podróży, Fräulein?” „Jadę na wesele przyjaciółki. Do Zurychu”. Strażnik przygląda się fotografii w paszporcie i jej twarzy, sprawdza datę wizy. „Podróżuje pani sama?” „Miał mi towarzyszyć mój narzeczony, ale zatrzymały go pilne sprawy w Berlinie. Spełnia swój obowiązek. Wie pan, jak to jest”. Uśmiechnięta, naturalna. Tak, kochanie. Nikt nie potrafi tego robić lepiej od ciebie.

Nie odrywał oczu od ziemi. Musiało coś zostać.

Jeden strażnik zadaje jej pytania, drugi obchodzi dookoła samochód. „Jaki pani wiezie bagaż?” „Tylko rzeczy na jedną noc. I prezent ślubny”. Robi zdziwioną minę. „Dlaczego? Jakies problemy? Chcecie, panowie, żebym go rozpakowała?” Otwiera drzwi... Och, Charlie, lepiej nie przeszarżuj. Strażnicy wymieniają między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

W końcu zobaczył. Prawie zakopany pod młodym drzewkiem czerwony przedmiot. Pochylił się, podniósł go i obrócił w dłoniach. Cegła pokryta była żółtymi kropkami porostów, pokruszona na brzegach i spalona dynamitem. Ale istniała; była rzeczywista. Podrapał porosty kciukiem; pod paznokciem został przypominający zaschniętą krew karminowy pył. Kiedy pochylił się, żeby odłożyć cegłę na miejsce, zobaczył skryte w trawie następne – dziesięć, dwadzieścia, sto.

Ładna blondynka, przyjemny świąteczny dzień... Strażnik ponownie przygląda się tekstowi depeszy. Napisali tutaj tylko, że Berlinowi zależy na ujęciu jakiejś Amerykanki, brunetki. „Nie, Fräulein – mówi, oddając jej paszport i mrugając do swojego kolegi. – Kontrola nie będzie konieczna”. Szlaban unosi się. „Heil Hitler”, mówi strażnik. „Heil Hitler”, odpowiada dziewczyna.

Jedź, Charlie. Jedź...

Tak jakby go słyszała. Obraca się na wschód, w jego stronę, tam gdzie wisi na niebie świeże słońce, i kiedy samochód rusza do przodu, pochyla ze zrozumieniem głowę. Po drugiej stronie mostu widać biały szwajcarski krzyż. W porannym świetle lśni tafla Renu.

Wyjechała. Spojrzał w słońce i wiedział to – wiedział z absolutną pewnością.

– Nie ruszaj się!

Zatrzepotał nad nim czarny cień helikoptera. Z tyłu, z bliższej niż przedtem odległości,

dobiegały krzyki, metaliczne, powtarzane głosem robotów komendy:

- Rzuć broń!
- Nie ruszaj się!
- Nie ruszaj się!

Zdjął z głowy czapkę i cisnął ją płasko nad trawą, tym samym ruchem, jakim jego ojciec rzucał odbijające się od szczytów fal kręczone kaczki. A potem wyciągnął zza pasa pistolet, sprawdził, czy jest naładowany, i ruszył w stronę milczących drzew.

OD AUTORA

Wiele osób, których nazwiskami posłużyłem się w tej książce, żyło naprawdę. Szczegóły ich biografii są prawdziwe aż do roku 1942 – dalsze losy potoczyły się oczywiście inaczej.

Josefa Buhlera, sekretarza stanu w Generalnej Guberni, skazano na śmierć w Polsce i stracono w roku 1948.

Wilhelm Stuckart został aresztowany pod koniec wojny i spędził cztery lata w więzieniu. Uwolniony w roku 1949 osiadł w Berlinie Zachodnim. W grudniu 1953 zginął w „wypadku samochodowym” niedaleko Hanoweru: „wypadek” został prawdopodobnie zaaranżowany przez grupę odwetową, polującą na pozostających na wolności nazistowskich zbrodniarzy.

Martin Luther starał się w roku 1943 wysadzić z siodła niemieckiego ministra spraw zagranicznych, Joachima von Ribbentropa. Próba zakończyła się fiaskiem i Luthera wysłano do obozu koncentracyjnego w Sachsenhausen, gdzie usiłował popełnić samobójstwo. Uwolniony w roku 1945, na krótko przed końcem wojny, zmarł w lokalnym szpitalu na zawał serca w maju 1945 roku.

Odila Globocnika zatrzymał brytyjski patrol w Weissensee, w Karyntii 31 maja 1945. Popełnił samobójstwo łykając kapsułkę z cyjankiem.

Reinharda Heydricha zabili latem 1942 roku w Pradze bojownicy czeskiego ruchu oporu.

Los Artura Nebege jest, co charakterystyczne, bardziej tajemniczy. Uważa się, że w roku 1944 brał udział w lipcowym spisku przeciwko Hitlerowi, że ukrył się na wyspie na Wannsee i że zdradziła go wzgardzona kochanka. Oficjalnie został stracony w Berlinie 21 marca 1945. Podobno jednak widziano go potem we Włoszech i Irlandii.

Wymienione w książce osoby rzeczywiście brały udział w konferencji w Wannsee. Alfred Meyer popełnił samobójstwo w 1945. W tym samym roku zginął podczas nalotu Roland Freister. Friedrich Kritzinger zmarł na wolności po przebyciu ciężkiej choroby. Adolfa Eichmanna stracili w 1962 roku Izraelczycy. Karl Schöngarth został skazany na śmierć przez brytyjski sąd w roku 1946. Ottona Hoffmana skazał na 15 lat więzienia amerykański sąd wojskowy. Heinrich Müller zginął pod koniec wojny. Pozostali żyją nadal w Niemczech albo Ameryce Południowej.

Autentyczne są następujące, przytoczone w tekście dokumenty: zaproszenie Heydricha na konferencję w Wannsee; skierowany do Heydricha rozkaz Göringa z 31 lipca 1941; raport niemieckiego ambasadora opisujący wypowiedzi Josepha P. Kennedy'ego; zamówienie z Centralnego Biura Konstrukcyjnego w Oświęcimiu, kolejowy rozkład jazdy (skrót); fragmenty protokołu konferencji w Wannsee; notatka dotycząca wykorzystania uciętych włosów.

Tworząc fikcyjne dokumenty starałem się opierać je na autentycznych faktach – na przykład konferencja w Wannsee rzeczywiście została przełożona; protokół, który sporządził z niej Eichmann, rzeczywiście został poważnie okrojony przez Heydricha. Hitler konsekwentnie unikał złożenia podpisu pod jakimkolwiek dokumentem dotyczącym Ostatecznego Rozwiązania, ale prawie z całą pewnością wydał w tej sprawie latem 1941 ustne instrukcje.

Portret Cecylii Gallerani pędzla Leonarda da Vinci pod koniec wojny został odnaleziony w Niemczech i wrócił do Polski.

* – Kraft durch Freude – dosł. Siła przez Radość, nazistowska organizacja turystyczno-krajoznawcza (przyp. tłum.).

* – Pimpf – członek Deutsches Jungvolk (przyp. tłum.).

*
- Reichsarbeitsdienst – obowiązkowe młodzieżowe hufce pracy (przyp. tłum.)

*
- Thorax (łac.) – pancerz (przyp. tłum.)

*
- Nationalsozialistische Frauenschaft – powstała w 1931 r. narodowosocjalistyczna liga kobiet (przyp. tłum.)

*
- Deutsche Arbeitsfront – nazistowskie związki zawodowe (przyp. tłum.)

Spis treści

STRONA TYTUŁOWA..	1
CZEŚĆ PIERWSZA..	5
CZEŚĆ DRUGA..	27
CZEŚĆ TRZECIA..	70
CZEŚĆ CZWARTA..	116
CZEŚĆ PIĄTA..	140
CZEŚĆ SZÓSTA..	174
CZEŚĆ SIÓDMA..	194
OD AUTORA..	201

*

—